



GDY NADCIĄGA MROCZNY PRZYPLÝW,  
UFAJ TYLKO SOBIE!

SAGA OGNIA I WODY  
MROCZNY PRZYPLÝW

JENNIFER DONNELLY

ZIELONA  
SOWA

SAGA OGNI  
I WODY

KSIĘGA TRZECIA

# MROCZNY PRZYPIŁYW

JENNIFER DONNELLY

Przekład: Patryk Dobrowolski



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Podziękowania

Tytuł oryginału: WATERFIRE SAGA. DARK TIDE

Przekład: PATRYK DOBROWOLSKI

Redaktor prowadząca: SYLWIA BURDEK

Redakcja: TERESA ZIELIŃSKA

Korekta: MARZENA KWIETNIEWSKA-TALARCZYK

Skład i łamanie: BERNARD PTASZYŃSKI

Copyright © 2015 Disney Enterprises, Inc.

Copyright © for Polish translations by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Warszawa 2016

All rights reserved.

Żaden fragment tej książki nie może być bez zgody wydawcy powielany i przekazywany w żadnej formie, elektronicznej czy fizycznej, w tym kopiowany, nagrywany ani zapisywany w jakimkolwiek systemie przechowywania danych.

ISBN 978-83-8073-004-5

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 96, 00-807 Warszawa

tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51

e-mail: [wydawnictwo@zielonasowa.pl](mailto:wydawnictwo@zielonasowa.pl)

[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Dla L.A.M*

*Nie ma już dla mnie odwrotu. Zabiorę Cię teraz w podróż do miejsc, których istnienia nigdy sobie nie wyobrażałeś.*

– Alexander McQueen



# Prolog

Miecz syreny błysnął w podwodnej ciemności Głębi Tannera. Trzymała broń przed sobą, dzierżąc oburącz jej rękojeść. Poruszała się po opuszczonej wiosce.

Po Tannerze nie było już śladu, kimkolwiek był ten jegomość. Okolica jakby wymarła. Jednak syrena trzymała uniesiony miecz. Żarłaczce czarnopłetwe często polowały w spokojnych prądach płynących przez zapomniane wioski. Przemierzali je także innego rodzaju agresorzy – rabusie, którzy grabili domy zaginionych w poszukiwaniu czegokolwiek wartościowego.

Syrena zmierzała z powrotem do Ondaliny, swojego arktycznego domu, a po drodze minęła wiele podobnych wiosek. Najpierw w Słodkowodzie, następnie w Miromarze, a teraz tutaj, w Atlantyce. Wszystkie były splądrowane i zniszczone. Ich mieszkańców porwano. Nieliczni, którzy przeżyli, opowiadali o ubranych na czarno uzbrojonych żołnierzach oraz o kłatkach. Dokąd zabrano syreny – nie wiedział nikt.

Syrena, zadowolona z faktu, że grabieżcy się oddalili, schowała miecz do pochwy. Była zmęczona, a zbliżała się noc niosąca ze sobą wiele niebezpieczeństw. Tuż przed nią stał mały dom z wyrwanymi z zawiasów drzwiami. Syrena wpłynęła do niego ostrożnie, płosząc przy tym zbłąkaną makrelę. W pomieszczeniu na dole widać było ślady walki: przewrócony stół, rozbite talerze, porozrzucane na podłodze zabawki. Wpłynęła po schodach na górę, gdzie znalazła pokój z miękkim łóżem z ukwiałów.

Na jej twarzy malowało się znużenie. Marzyła o śnie, ale jednocześnie bardzo się go bała. Prześladowały ją koszmary. Za każdym razem, gdy otwierała oczy, widziała jego – potwora Abbadona. Widziała, jak zbliża się do nich, czyli do Ling, Avy, Neeli, Bekki i Sery, próbując je rozszarpać.

„Mogłam z nimi zostać – pomyślała syrena. – Mogłam im pomóc”.

Odrzuciłyby jednak jej pomoc, jeśliby poznały prawdę.

Podpływając do łóżka, wyczuła za sobą ruch. Dostrzegła niewyraźną ciemną plamę. Błądą twarz.

W pokoju był ktoś jeszcze.

Syrena odwróciła się z prędkością miecznika, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Dłoń położyła na rękojeści miecza.

Rzeczywiście, zobaczyła kogoś, ale nie w pomieszczeniu. Mężczyzna znajdował się w wiszącym na ścianie lustrze.

– Nie obawiaj się, Astrid Kolfinsdottir. Nigdy bym cię nie skrzywdził – rzekł. – Znam twoją

tajemnicę. Wiem, ile wycierpiałaś. Szydzą z ciebie i wyzywają cię od słabych, mimo że w twoich żyłach płynie krew największego z magów. Popłyni ze mną. Położę kres tym złośliwym słowom i śmiechom. Dam ci moc większą od mocy jakiejkolwiek żywej istoty.

Syrena obrzuciła go badawczym wzrokiem. To był człowiek, ale jego twarz kryła się w cieniu. Widziała jednak wiszącą na łańcuchu na jego szyi nieskazitelną czarną perłę.

– Skąd znasz moje imię? Kim jesteś? – zażądała odpowiedzi.

Mężczyzna wyciągnął do niej dłoń, która przeszła przez srebrzone szkło i zawisła w wodzie. Zamiast odpowiedzi syrena dostała kolejne pytanie.

Nastroszyła płetwy, ale zignorowała strach. Coś w środku kazało jej się do niego zbliżyć, coś równie potężnego jak siły pływów.

Uniosła dłoń i kątem oka dostrzegła własne odbicie w lustrze. Za nim cały czas widniała twarz mężczyzny, która wyszła już z cienia. Na ułamek sekundy jego czarne oczy bez dna stały się jej oczami.

Z przerażeniem uderzyła w lustro płetwą ogonową i rozbiła je w drobny mak. Kiedy jego części spadały na podłogę, syrena uciekła z pokoju.

Płynęła tak szybko, jak tylko potrafiła. Opuściła dom i wioskę. Wypłynęła na zimne ciemne wody nocy.

# Rozdział 1

**S**ERAFINA DI MERROVINGIA, prawowita regina Miromary, napięła swoją kuszę.  
– Zabić – nakazała.

Dwudziestu pięciu wojowników Czarnych Płetw pokiwało głowami, po czym się rozproszyli. Ich kamuflaż wtopił się w pokryte wodorostami skały u podnóża królewskiego pałacu Miromary. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ciemne wody powyżej, Sera popłynęła w kierunku tunelu w skale. Żołnierze jej wuja rzadko patrolowali tę opustoszałą część terenów okalających pałac, ale tej nocy syrena nie mogła sobie pozwolić na nieostrożność.

Prastary napis wykuty ponad wejściem do tunelu głosił: BRAMA ZDRAJCÓW. Tym przejściem prowadzono od tysięcy lat wrogów Miromary, aż do czasu, gdy tunel został na stałe zamknięty w okresie pierwszego w dziejach pokoju. W końcu syreny zapomniały o jego istnieniu. Serafina pojmowała ironię nazwy. Prawdziwi zdrajcy znajdowali się bowiem w pałacu – jej wuj Vallerio, jego nowa żona Portia Volnero oraz ich córka Lucia. Wspólnie zamordowali matkę Serafiny reginę Isabellę i przejęli tron.

Kilka metrów w głąb tunelu ciemność ustąpiła światłu przenośnej kuli lawy zawieszanej na ścianie przez jednego z Czarnych Płetw. Jej blask oświetlił Serę, ukazując syrenę znacznie różniącą się od tej, która jeszcze do niedawna mieszkała w pałacu.

Sera miała teraz budzącą respekt postawę – silną, wyprostowaną i pewną siebie. W jej rękach i ogonie pulsowały mięśnie. Jej ufarbowane na czarno włosy były krótko ścięte, żeby nie mógł za nie złapać nieprzyjaciół, tak jak kiedyś zrobił to władca luster. Podobnie jak każdy z Czarnych Płetw miała na sobie wojskową granatową marynarkę z czarną lamówką na cześć Cerulei, stolicy Miromary. U boku miała przypięty sztylet. Wątpliwości i niepewność, które niegdyś kryły się za spojrzeniem jej zielonych oczu, już nie istniały. Ich miejsce zajął mroczny gniew.

Sera zauważyła w górze wysoką żelazną bramę oblepioną pąklami. Czterech młodych syrenów zaciekle piłowało jej kraty. Na ich grzbietach i ramionach prężyły się mięśnie. Żelazo niweluje działanie magii, więc nie istniała możliwość przełamania czy rozpuszczenia metalu za pomocą pieśni magii śpiewu.

Sera opuściła broń.

– Jak długo jeszcze, Yaz? – zwróciła się do jednego z syrenów.

– Najwyżej pięć minut – odparł Yazeed. – Już prawie się przebiliśmy.

Syren był zastępcą głównodowodzącej, co sam zaproponował. Serafina przypomniała sobie dzień, w którym on i inny wojownik, Luca, wpłynęli do kwatery głównej Czarnych Płetw

o czwartej nad ranem, zanosząc się śmiechem.

– Zobaczcie, co znaleźliśmy! – ryczał Yaz.

To mówiąc, syren rozwinął stary zwój z wodorostów i umieścił go na stole w kryjówce. Serafina i pozostali bojownicy zebrali się wokół znaleziska.

– Oto oficjalny plan konstrukcyjny pałacu. Łącznie z kompletną siecią rur z lawą – wyjaśnił Yaz, zacierając ręce. – Ten fragment instalacji – wskazał grubą czarną linię zaznaczoną tuszem kałamarnicy – przenosi lawę ze spoiny pod pałacem do wschodniego skrzydła budynku. Miał zostać usunięty dwieście lat temu, kiedy umieszczono tu królewskie skarbcze z Grande Corrente.

Wtedy wtrącił się Luca.

– Ale nigdy do tego nie doszło! – zawołał, rozwijając drugi zwój. – Oto plany przeniesionego skarbcza. Nie mógł zostać zbudowany w pobliżu rur z lawą, ponieważ gdyby te pękły, lawa mogłaby roztopić ściany i narazić skarby na niebezpieczeństwo. Więc zbudowano nowy układ rur, znacznie poniżej skarbcza. Stare rury zostały tylko zamknięte, nie zniszczone.

– Wszystko pozostało na swoim miejscu! – zawołał radośnie Yaz. – Rury, rozdzielnik, a nawet śluza. Starą rurę od skarbcza dzieli tylko pół metra skały. Musimy zrobić dziurę w rurze, otworzyć starą śluzę i pozwolić, by lawa roztopiła skałę...

– I będziemy w skarbcu! – przerwała Sera, przybijając mu ogonem piątkę.

– Ale jak w ogóle dostaniemy się do pałacu? – spytała Neela, najlepsza przyjaciółka Serafiny, siostra Yazeeda, a teraz członkini Czarnych Płetw.

– Przez starą Bramę Zdrajców po północnej stronie pałacu. Leży u podnóża podwodnej góry i jest porośnięta wodorostami. Znajdziemy tam świetną kryjówkę – odparł Luca.

Sera знаła to miejsce, ale z niedowierzaniem wysłuchiwała opisu starej sieci rur z lawą. Zdecydowanie wiele straciła w czasach, gdy wiodła życie rozpieszczonej księżniczki. Czas wypełniała jej tylko nauka magii, szkoła oraz nieustanne wykłady matki. Były to ważne doświadczenia, ale nie pozwalały uzyskać dostępu do skarbców. Do tego niezbędny był spryt i odwaga.

– Kiedy wyruszamy? – spytała Neela.

– Kiedy tylko uda mi się sprawić, by Mahdi urządził przyjęcie. Wielkie przyjęcie, z pokazem fajerwerków – odrzekł Yaz.

– Nie rozumiem – rzekła Neela. – Po co nam przyjęcie? I po co fajerwerki?

– Kiedy zmienimy bieg lawy i usuniemy ją z głównej linii, w pałacu spadnie jej ciśnienie. Wszystkie światła na tym odcinku zaczną migotać, a lawa będzie skwierczeć. Ktoś to na pewno zauważy i nabierze podejrzeń.

– Więc Mahdi zgasi światła przed pokazem i nikt się nie zorientuje?! – zawołała Neela.

– Dokładnie tak – potwierdził Yazeed. – Zanim zgasną ostatnie sztuczne ognie, lawa zacznie płynąć ponownie, a my będziemy już w drodze do bazy z taką ilością łupów, jaką zdołamy udźwignąć.

– Yaz, jesteś geniuszem – pochwaliła go Sera.

– Nie mogę się nie zgodzić – odrzekł Yazeed. Wszyscy parsknęli śmiechem, a następnie zaczęli snuć plany akcji.

Sera była tak podekscytowana zdobyciem planów konstrukcyjnych pałacu, że dopiero po jakimś czasie przyszło jej do głowy, by spytać Yazeeda, w jaki sposób wszedł w ich posiadanie.

– Luca i ja udaliśmy się do ostrokonu – odparł Yazeed. – Można się tam wiele nauczyć.

Sera uniosła brwi na ten żart. Wszyscy wiedzieli, że ostrokon jest jej ulubionym miejscem w Cerulei. Przed napaścią na miasto uwielbiała odwiedzać bibliotekę i odsłuchiwać historyczne muszle, ale teraz stolica nie była już bezpieczna.

– To było ryzykowne, Yaz. Ostrokon jest intensywnie patrolowany – rzekła. Nie chciała sobie nawet wyobrazić, co by się stało, gdyby ich schwytano. Trudno było o lepszego zastępcę. Yaz był mądry, odważny i nieustraszony. Czasem aż nadto.

Uśmiechnął się.

– Najwidoczniej niewystarczająco – rzucił, kierując się ku swojej pryczy.

– Zaczekaj chwilę – przerwała mu Sera. – Mam jeszcze jedno pytanie: te stare rury... Skąd masz pewność, że nadal tam są?

– Sprawdziliśmy to – odparł syren, wzruszając ramionami.

– Sprawdziliście? Przecież rury znajdują się wewnątrz pałacu. A za twoją głowę wyznaczono nagrodę. W jaki sposób sprawdziliście?

Yaz zmarszczył czoło i pogładził swój podbródek.

– Hmm. Jeśli dobrze sobie przypominam, to chyba wkręciliśmy się na przyjęcie. Lucia ma do nich słabość.

Sera uderzyła się ręką w czoło.

– Na bogów, powiedz, że to nieprawda.

Yaz szybko rzucił zaklęcie *illusio*. Jego włosy zmieniły kolor na blond, oczy stały się niebieskie, a na twarzy, szyi i klatce piersiowej pojawiły się spiralne, wymyślne tatuaże. Przybrał rysy prymitywnego syrena i pasujący do niego ton.

– Brachu, grają Bilgusi! Uwielbiam tę kapekę! Hej, obczajasz ogon tej syreny? Wbijamy na parkiet!

Sera ze złością pokręciła głową. Tym razem przesadził.

– Yazeed, mogli cię pojmać. Ciebie, przywódcę ruchu oporu. Masz pojęcie, co mogliby ci zrobić?

– Ale nic nie zrobili. Za to teraz my urządzimy sobie polowanie. Polowanie na skarb.

Syren ucałował przyjaciółkę w czoło, po czym wskoczył na pryczę. Mimo całej swojej złości Serafina nie potrafiła powstrzymać triumfalnego uśmiechu. Ruch oporu potrzebował złota, i to dużo. Yazeed właśnie znalazł do niego idealną drogę.

– Jesteśmy! – krzyknął teraz.

Sera skupiła uwagę na bramie, z której wycięto sześć prętów, tak by dało się przepłynąć przez dziurę. Syrena popędziła z powrotem do tunelu i gwizdnęła. Zakamuflowani wojownicy pojawili się u jej boku niemal natychmiast i podążyli za nią.

Yazeed i jego syreni – Luca, Silvio i Franco – już czekali przy bramie z kilofami, bronią i pochodniami z lawą. Sera ujrzała w ich twarzach determinację, która ją ujęła. To właśnie dzięki ich lojalności, zaufaniu i gotowości poświęcenia życia dla dobrej sprawy ruch oporu był tak silny.

Wiedziała, że misja, której mieli się podjąć, jest ryzykowna, ale wiedziała też, że nie ma innej drogi. Czarne Płetwy walczyły nie tylko w obronie swego królestwa, ale wszystkich innych syrenich królestw. Vallerio i Portia wzięli już w posiadanie Miromarę i Matalę. Pragnęli jeszcze Atlantyki, Ondaliny, Qin oraz Słodkowody. W tych poczynaniach wspomagał ich okrutny człowiek Rafe Mfeme.

Pomagał ktoś jeszcze, choć Sera nie miała pojęcia, ani kim jest, ani dlaczego to robi. Słyszała tylko, że „on” opłacił najemnych żołnierzy jej wuja, czyli jeźdźców śmierci. W zamian Vallerio i Portia pomagali mu odszukać sześć talizmanów, potężnych artefaktów, które niegdyś należały do magów Atlantydy. Serafina dowiedziała się, że ta tajemnicza osoba zamierza za pomocą talizmanów uwolnić wielkie zło zatopione w Morzu Południowym – Abbadona, potwora stworzonego przez Orfea, jednego z magów. Kim był ten zagadkowy „ktoś”? I dlaczego jej wuj miał się z nim bratać? Tego nie wiedziała, ale miała świadomość, że Vallerio i Portia nie przejmują się, ile syren przez nich zginie. Interesowała ich tylko władza i bogactwo. Nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, że jeśli ich złowrogi sprzymierzeniec dostanie to, czego pragnie, im pozostanie niewiele do podbicia i splądrowania. Serafina musiała go powstrzymać, ale w tym celu najpierw musiała powstrzymać swojego wuja.

Syrena rzuciła ostatnie spojrzenie na wojowników. Wcześniej ich przywódcą był Fossegrim, *liber magus* całego królestwa. Po jego aresztowaniu dowodzenie przejęła Serafina. Była pewna, że starzec nie żyje, ale ani ona, ani jej wojownicy o nim nie zapominali.

W głowie ciągle dźwięczały jej słowa: „Największa moc królowej drzemie w jej sercu – to miłość, jaką obdarza swoich poddanych oraz jaką otrzymuje od nich”.

Czarne Płetwy były teraz poddanymi Sery, a jednocześnie jej siostrami i braćmi. Jej rodziną. Kochała ich całym sercem.

„Niech bogowie mają ich w opiece – modliła się teraz syrena. – Niech będą bezpieczni”.

Po chwili uniosła kuszę i zwróciła się do wojowników:

– Szybko i wściekle. Zgodnie z planem – przypomniwała. – Osłaniajcie się nawzajem. Bez strachu, bez błędów, bez jeńców. Ruszamy!

## Rozdział 2

**P**IERWSZY POPŁYNAŁ FRANCO, trzymając pochodnię z lawą, a za nim Serafina. Przemknęli szybko przez ciemny tunel, którego ściany były pokryte wodorostami, i nie zatrzymali się do czasu, aż dotarli do gigantycznej komory z lawą pod pałacem.

Jaskinia została wydrążona w skalnych fundamentach pałacu. W jej środku znajdował się kanalizator, czyli główna rura kierująca lawę spod oceanicznego dna. Bliżej sklepienia rura rozdzielała się na cztery odnogi wijące się wewnątrz tuneli w skale. Każda z tych mniejszych rur była otoczona przestrzenią o średnicy około metra, co pozwalało pracownikom technicznym wykonywać naprawy i czyścić rury.

Sera, Yazeed, Luca i Franco mieli zamiar wpłynąć do odnogi biegnącej na zachód od komory, w kierunku starej rury ponad skarbcem. Pozostali członkowie Czarnych Płetw mieli zostać na miejscu i czekać na powrót tej czwórki.

Yaz i Franco odłożyli kusze, ale nadal trzymali w dłoniach pochodnie, a na plecach nieśli kilofy. Odnoga była zbyt ciasna, by przemieszczać się po niej z bronią.

Sera ruszyła z napiętą kuszą w kierunku komory, gdy nagle Yazeed złapał ją za rękę i bezgłośnie wskazał coś przed nimi. Syrena już wcześniej zauważyła to, co go tak przestraszyło. W pomieszczeniu pojawił się strażnik. Wpłynął do komory i pochylił się nad pokrytym szkłem panelem sterowniczym. Był odwrócony plecami do Sery i reszty.

Czarne Płetwy były przygotowane na wszelkie ewentualności. Sera kiwnęła głową do Silvia, najlepszego ze strzelców. Syren uniósł kuszę i po sekundzie w szyi strażnika utkwiała strzałka.

Ugodzony krzyknął z bólu. Koniec strzały był wypełniony jadem płaszczki. Substancja ta w czystej postaci jest śmiertelna dla syren, ale rozcieńczona działa jedynie usypiająco. Silvio złapał upadającego do tyłu strażnika, którego powieki już się zamknęły.

Podczas gdy dwóch członków Czarnych Płetw ciągnęło nieprzytomnego syrena w kierunku szafy, Silvio rzucił czar *illusio* i zmienił się w identyczną kopię strażnika. Miał zająć jego miejsce przy zaworach i kontrolkach na wypadek, gdyby żołnierze Valleria wybrali się na patrol do komory z lawą.

Sera, Yaz, Luca i Franco wpłynęli do zachodniego tunelu, trzymając broń i narzędzia blisko przy sobie. Ruszyli tunelem w górę. Ciemności rozświetlały rozmieszczone co kilka metrów kule z lawą. Pod każdą z nich znajdował się hak służący do zawieszania toreb z narzędziami mechaników. Cała czwórka zwolniła tempo w obawie, by zbyt energicznymi ruchami ogonów nie porozbijać kul. Partyzanci mieli nadzieję, że dotrą do celu w pięć minut, ale w rzeczywistości potrzebowali aż dziesięciu.

– Jest – rzekł w końcu Franco, wskazując w górę, gdzie główna arteria rozdzielała się. Jedna sekcja rury prowadziła dalej wprost do pałacu, a druga na zachód ponad skarbcami.

– Mamy opóźnienie – oznajmił z niepokojem Yaz, gdy dotarli do węzła. – Zaraz rozpocznie się pokaz fajerwerków.

– Jest zawór – zauważył Luca, wskazując wystające ze ściany tuż za węzłem koło z brązu. – Musimy tylko wybić dziurę w starej rurze i ją otworzyć.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić – stwierdził Yaz, zbliżając pochodnię do wejścia do tunelu, w którym znajdowała się biegnąca na zachód rura.

Tunel wił się poziomo przez skalne podłoże i był znacznie węższy niż ten, który przed chwilą opuścili. Do jego sklepienia przyklejały się małe niebieskie kraby, umykające przed światłem pochodni. Podłoże z kolei było pokryte grubą warstwą mułu.

Najszczuplejszym spośród trzech syrenów był Franco. Kiedy wpłynął do tunelu i zaczął się przemieszczać w głąb, trzymając przed sobą pochodnię, okazało się, że musi się czołgać. W końcu utknął.

– Nie mogę się poruszyć! – zawołał. – Wyciągnijcie mnie!

Yaz i Luca złapali go za płetwę ogonową i zaczęli ciągnąć. Syren uwolnił się, ale cały był pokryty mułem.

– Ja to zrobię. Jestem najmniejsza, zmieszczę się – oznajmiła Sera.

Kiedy wpływała do tunelu, nerwy miała napięte jak postronki. Martwiła się, że może się zaklinować, ale determinacja zwyciężyła lęk. Udało im się dotrzeć tak daleko. Gdyby zdołała rozbić rurę, istniała szansa, że cała akcja się powiedzie.

Yaz wręczył syrenie swój kilof.

– Przepłyn kilka metrów, a później wydlub spory otwór – polecił.

Sera przeciskała się przez tunel na plecach, trzymając pochodnię i kilof na klatce piersiowej. Odpychała się od podłoża ogonem, wzbijając przy tym tumany mułu, tak że nic nie widziała. Kiedy przecisnęła się wystarczająco daleko, zaczekała, aż woda się uspokoi i zrobi przezroczysta. Miała już tak mało miejsca na ruch, że musiała wyciągnąć obie ręce ponad głowę i machać kilofem, nie zginając łokci. Po kilku minutach mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. Syrena zagryzła jednak zęby, aby stłumić ból, i zmusiła się do kolejnych prób.

Rura była zrobiona ze stali wykutej przez goblinów tak, aby wytrzymała ekstremalne temperatury wrzącej lawy. Miała jednak setki lat i pokrywała ją rdza. W końcu, gdy Serafina już nie wierzyła, że jest w stanie uderzyć kilofem po raz kolejny, usłyszała metaliczny dźwięk oznaczający, że rura została przebita. Wydała z siebie okrzyk zwycięstwa, a następnie zamachnęła się jeszcze kilka razy, uderzając wzdłuż brzegów otworu, by się poszerzył. Po chwili, drżąc z wycieńczenia, syrena wyczołgała się z tunelu. Kiedy znalazła się na zewnątrz, jej podekscytowanie minęło. Uświadomiła sobie pewien problem. I to poważny.

– Udało mi się przedziurawić rurę, ale nie zmienia to faktu, że tunel jest wyjątkowo wąski – poinformowała towarzyszy. – Nawet jeśli zdołamy się dostać do skarbcza, jak wyciągniemy



z niego kosztowności? Większość naszych żołnierzy nie przecisnie się przez tunel.

To była jedyna szansa Czarnych Płetw na dojście do skarbcza. Było pewne, że włamanie zostanie odkryte, a Vallerio dopilnuje, by więcej się nie powtórzyło.

– Coś wymyślimy – rzekł Yaz. – Mamy niewiele broni, brakuje nam jedzenia i leków. Bez złota nie damy rady zbyt długo walczyć.

– Potrzebujemy *ochi* – uznał Luca. – W Wielkiej Sali pewnie już zaczyna się widowisko. Gotowi?

Sera pokiwała głową. *Ochi* to zaklęcie szpiegowskie, piekielnie trudne do wykonania, gdyż wymagające całej energii, jaką zdoła zebrać w sobie mag. Potrzebny był także gandac, czyli pluskwa, najczęściej w postaci muszli, którą należy umieścić w pobliżu podsłuchiwanej syreny.

Przedostanie się do pałacu w celu podstawienia gandaca było niezwykle trudne. Nawet gdyby Serafinie się to udało, musiałyby ominąć strażników – Portia regularnie kazała im przetrząsać pomieszczenia w poszukiwaniu pluskiew. Nie wiedziała jednak, że gandac już dawno jest na miejscu. Był to piękny łodziki, jedna z ulubionych muszli Serafiny.

Kiedy zmarła jej ukochana babcia, Sera umieściła tę muszlę, będącą jej najwartościowszą rzeczą, w dłoniach posągu babci stojącego w Wielkiej Sali. Łodziki tkwił tam od tak dawna, że wszyscy myśleli, że jest elementem samego posągu.

Serafina zamknęła oczy i rzuciła *ochi*. Gdy tylko w jej głowie pojawił się obraz sali, zaczęła wykonywać *convocę*, czyli zaklęcie umożliwiające Yazowi, Luce i Franco zobaczenie tego, co sama widziała.

– Macie to? – spytała, wytężając głos.

Syreni przytaknęli, a Sera skoncentrowała się jeszcze silniej. Obraz się wyostrzył, a w jej sercu pojawił się ostry wir emocji. W Wielkiej Sali zginęła jej matka, regina Isabella, oddając życie za córkę u stóp własnego tronu. Serafina traktowała to miejsce jak święte, a Lucia zamieniła je w nocny klub.

Ponad gośćmi w rytm muzyki pulsowały meduzy z przezroczystymi dzwoneczkami i długimi, powyginanymi mackami. Z każdym nowym taktem zmieniały kolory. Stoły zdobiły jaskrawe morskie lilie. Prążkowane węże wiły się między ramionami ogromnych żyrandoli, a ściany rozświetlały świecące niczym neony ukwiały.

Lucia tańczyła z Mahdim. Syren obejmował ją w pasie, a ona z uśmiechem odrzucała głowę do tyłu. Jej czarne włosy ułożyły się w falujący w wodzie wachlarz.

Serce Serafiny zabiło mocniej na widok ukochanego. Od czasu gdy Mahdi „zaręczył” się z Lucią na oczach Sery w Kolisseo, syrena nawet na niego nie spojrzała. Yazeed zabronił, aby wymieniali między sobą *convoki*. Zaklęcia miały być stosowane tylko w ostateczności, gdyż potężni magowie byli w stanie je przechwycić i podsłuchać rozmowy. Mahdiemu czasem udało się przesłać muszlę do kwatery głównej Czarnych Płetw, ale nawet to było ryzykownym przedsięwzięciem. Tego wieczoru w całej akcji Mahdiemu i Yazowi pomagał stajenny odpowiedzialny za przekazywanie muszli z wiadomościami podczas wyprowadzania koników

morskich na wody okalające Ceruleę.

Wśród osób bawiących się tego wieczoru w pałacu byli rodzice Lucii oraz ich znajomi, ale większość tłumu stanowili jej dworzanie – młode, przepiękne syreny i syreni przystrojeni w kolorowe stroje jak ryby-papugi. Lucia nigdy nie przebywała w towarzystwie osób szarych i nijakich.

Roześmiany Mahdi, wyczerpany po tańcu, przechylił Lucię i pocałował ją.

Serce Serafiny przeszła zazdrość, ale syrena szybko ją stłumiła. Trudne lekcje, jakie dostała od życia, nauczyły ją trzymać emocje na wodzy. Życie Mahdiego zależało od tego, czy uda mu się przekonać Lucię, że naprawdę ją kocha. A także życie ich wszystkich.

Przy akompaniamencie klaszczących i wiwatujących gości Mahdi wyprostował się i szeroko uśmiechnął, po czym gestem ręki nakazał ciszę.

Sera chłonęła każdy szczegół jego wyglądu: zaczesane do tyłu, czarne jak heban włosy, biały szal z morskiego jedwabiu i szmaragdową kurtkę, lśniący, błękitny ogon i ciemne, pełne tajemniczego wyrazu oczy. Pragnęła go dotknąć, być przy nim. Usłyszeć, że nadal ją kocha. Lewą dłonią instynktownie sięgnęła do pierścionka w kształcie serduszka, który nosiła na prawej. Pierścionek ten podarował jej Mahdi, który własnoręcznie wyrzeźbił go z muszli.

– Mam dla was małą niespodziankę... – zaczął syren.

Rozległy się ochy i achy.

– Sprowadziłem najlepszych speców od fajerwerków w Matali, którzy przybyli, by olśnić was swoim kunsztem. Błyskawice i ich piękno przypominają mi światło mojego życia... Moją przyszłą żonę Lucię.

Franco przewrócił oczami, a Luca zachowywał się, jakby chciał się na kogoś rzucić. Yaz uśmiechnął się ponuro, na co próbowała się zdobyć też Sera.

Przedstawienie Mahdiego było farsą. Syren należał do niej, nie do Lucii. Kilka miesięcy wcześniej podczas potajemnej ceremonii ślubnej zostali sobie przyrzeczeni. Mahdi pragnął pokonać Valleria równie mocno jak Serafina.

Kiedy rozbrzmiał rytm matalskich bębnow, do Wielkiej Sali wkroczyli tanecznym krokiem ubrani w jedwabne szaty i lśniące klejnoty ogniomistrzowie. Ich twarze były pomalowane w kolorowe spirale. Niektórzy podrzucali pod samo sklepienie garście pereł, które wybuchały błyszczącymi różowo-żółtymi chmurami. Inni ciągnęli za sobą wstęgi srebrno-żółtego podwodnego ognia. Po wstępnym pokazie sześciu ogniomistrzów przystąpiło do głównej atrakcji.

– Światła, braciszku, światła – wyszeptał pod nosem Yaz.

Jakby słysząc jego głos, Mahdi kazał przyciemnić kandelabry. Oświetlenie sali czerpało energię z systemu kanalizacji lawy, poza kilkoma naściennymi karniszami, które, wypełnione bulgoczącą lawą, dawały stałą poświatę.

– Ruszamy – oznajmił Yaz.

Sera zakończyła *convocę* i cała czwórka wkroczyła do akcji. Yaz chwycił koło zaworu z jednej strony, a Franco z przeciwnej. Sera i Luca płynęli nad nimi, aby dwaj syreni mieli wystarczająco dużo miejsca do poruszania się w niewielkiej przestrzeni. Yaz i Franco policzyli do trzech, po czym z całej siły pchnęli koło, które jednak ani drgnęło. Mechanizm był brązowy od rdzy i obrosnięty pąklami. Spróbowali ponownie. Tym razem Luca zajął miejsce Franca, ale wszystko na próżno.

Yaz uderzył ogonem w pokrywę zaworu.

– Nie mamy na to czasu! – ryknął.

– Moglibyśmy usunąć trochę pąkli – zasugerował Franco, po czym zabrał się do tego za pomocą tylnej krawędzi kilofa. Nagle Serafina usłyszała czyjeś nerwowe krzyki i zdała sobie sprawę, że je rozumie.

Syrena nachyliła się nad pąklami i uprzejmie poprosiła, by zeszły ze śluzy. Skorupiaki, wściekłe, że ktoś każe im opuścić ich dom, sprzeciwiły się z uporem. Sera wyjaśniła im, że to rozkaz królowej, a od ich współpracy mogą zależeć losy całego państwa. Momentalnie rozległy się ciche miarowe kłaśnięcia towarzyszące odklejaniu się pąkli od metalu. Niektóre z nich przeniosły się na inną rurę, inne na ściany tunelu.

– Od kiedy mówisz ich językiem? – spytał zdziwiony Yaz.

– Odkąd połączyły nas więzi krwi – odparła Sera, dziękując w duszy swojej przyjaciółce Ling, która jako *omnivoxa* posiadała zdolność mówienia wszystkimi językami.

Wtedy w jaskiniach ieli Sera, Ling, Ava, Becca i Neela zawarły pakt krwi, skutkiem czego wszystkie syreny częściowo uzyskały specjalne moce towarzyszek. W ten sposób zostały siostrami, połączonymi na zawsze magią i przyjaźnią.

Yaz i Franco chwycili ponownie koło i po raz ostatni zebrali w sobie całą siłę, by je obrócić. Przez kilka sekund nic się nie działo, lecz po chwili rozległ się chrzęst otwieranej prastarej śluzy, a następnie głucho dudnienie lawy, która dostała się do starej rury.

– Hura! – zawołał Yaz, przybijając ogonem piątkę z Frankiem.

Sera i Luca uradowali się, ale ich radość nie trwała długo, gdyż ze starego tunelu wydostały się pęcherzyki powietrza, a następnie opary siarki. Para zawirowała wokół całej czwórki, wypełniając wodę gorącymi, duszącymi kłębamami.

– Coś tu nie gra – syknął Yaz.

– Co się dzie... – zaczęła Sera, ale po chwili chwycił ją atak kaszlu.

– Na bogów! – szepnął Franco, skacząc w kierunku śluzy.

Yaz zerknął w głąb tunelu. W jego oczach pojawił się strach.

– Fala wsteczna! – wykrzyknął. – Zamknąć śluzę! Natychmiast!

## Rozdział 3

SERA PODAŻYŁA ZA wzrokiem Yaza. Była sparaliżowana strachem. Tunel gwałtownie wypełniał się lawą. Musieli wypuścić jej zbyt dużą ilość i teraz płynęła nie w tę stronę, w którą powinna... Płynęła w ich kierunku.

– Franco! Złap koło! – zawołała syrena, rozdzierając marynarkę i zasłaniając nią sobie dolną część twarzy.

Jednak Franco już jej nie słyszał. Syren spoczywał bez ruchu w wodzie, otumaniony trującym gazem. Luca miotał z bólu ogonem. To on znajdował się najbliżej tunelu i rozgrzane do czerwoności pęcherzyki powietrza poparzyły mu grzbiet.

– Luca! Zabierz stamtąd Franca! Płyńcie na dół! – krzyczała syrena, a jej głos tłumiła maska z marynarki. Wiedziała, że niebezpieczne gazy się uniosą, a woda pod nimi będzie nieskażona.

Luca, trzęsąc się z bólu, złapał Franca i odpłynął z nim. Yaz zacisnął zęby i znalazł się z powrotem przy kole. Po chwili dołączyła do niego Sera. We dwoje próbowali je obrócić, ale bezskutecznie. Yaz w duecie z Frankiem z trudem zdołali wcześniej tego dokonać, a Sera nie była przecież aż tak silna.

Syrena jeszcze raz popatrzyła ze strachem na lawę, która była już pół metra od ujścia do głównego tunelu. Jeszcze kilka sekund, a zacznie się do niego wlewać. Gdyby tak się stało, Sera i Yaz nie byliby w stanie wydostać się tą samą drogą, którą, jak wierzyła syrena, uciekli Luca i Franco. Ich jedyną nadzieją byłoby przedostanie się do pałacu i ucieczka przez okno, oczywiście jeśli wcześniej nie zostaliby schwytani. Kolejna szansa Czarnych Płetw na wejście do skarbcza mogła się już nie nadarzyć.

Sera poczuła desperację. Bez tego skarbu nigdy nie zdoła odbić Cerulei z rąk wroga. Lucia zostałaby wtedy królową Miromary, jeźdźcy śmierci nadal łupiliby wioski i porywali mieszkańców, Vallerio i Portia uniknęliby kary za morderstwo, a tajemnicza postać, dla której próbowali odzyskać talizmany, mogłaby uwolnić Abbadona.

„To nie może się stać – pomyślała Sera. – Nie mogę do tego dopuścić”.

Z okrzykiem wojownika na ustach skupiła całą siłę na kole. Mięśnie na jej rękach i karku wyprężyły się. Wraz z Yazem, który stał po przeciwnej stronie koła, sprawili, że woda się spieniła, a ich potężne ogony posłużyły im do podważenia śluzy. Wreszcie koło pozwoliło się przesunąć, zgrzytając przy tym przeraźliwie.

– Trzymaj, Sera! – krzyknął Yaz.

Syrena posłuchała go i po kilku chwilach śluza została zamknięta. Lawa przestała płynąć.

Yazeed popatrzył w głąb starego tunelu i pokręcił głową.

– To koniec – rzekł, opuszczając barki w geście porażki.

– Koniec? – powtórzyła z niedowierzaniem Sera. – To nie może być koniec! – To mówiąc, zerwała z twarzy marynarkę i zawiązała ją sobie wokół bioder.

– Nie udało nam się, Sera – przyznał Yazeed. – Nie jestem w stanie określić, czy lawa wypaliła w ścianie dziurę czy nie. Nawet jeśli tak się stało, w tunelu jest za dużo lawy. Nie przepłyniemy tamtędy. Już po nas.

Syrena poczuła gorycz klęski.

– Powinniśmy uciekać – uznał Yaz. – Wracać do reszty i...

Przerwał mu ogłuszający ryk. Syren chwycił Serafinę i popchnął ją na ścianę głównego tunelu, osłaniając ją własnym ciałem. Z tunelu wystrzelił strumień gorącej wody, a za nim odłamki skał oraz gęsta chmura mułu.

Sera przygotowała się na ostry ból, duszące opary. Na... koniec.

Koniec jednak nie nadszedł.

Gorąca woda uniosła się spiralą w górę, a odłamki osunęły się na dno. Pęcherzyki powietrza zniknęły, podobnie jak lawa. Gdy Yaz i Sera otworzyli oczy i odgarnęli muł, ujrzeli, że w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się stary tunel, widnieje rozległa dziura, a po jej drugiej stronie bije delikatny złotawy blask.

– Wszystko w porządku? – spytał Yaz.

– Tak mi się wydaje. A u ciebie?

Yaz nie odpowiedział, gdyż był już na krawędzi otworu i spoglądał w dół. Sera dołączyła do niego i wstrzymała oddech.

Kule z lawą umieszczone na ścianach skarbcach oświetlały góry złota Miromary.

– O rany, małeńka – szepnął Yaz. – Nie tyle wypaliliśmy w ścianie dziurę, ile zupełnie ją rozbiliśmy.

Sera pokiwała głową, a jej oczy błyszczały niczym klejnoty poniżej. Zarówno stara rura, jak i tunel, w którym biegła, a także większa część ściany, a nawet sklepienia skarbcza zostały kompletnie zniszczone. Niektóre kosztowności pokrywała warstwa ciągle bulgoczącej lawy.

Musieli zachować ostrożność, aby się z nią nie zetknąć. Na szczęście większość skarbów pozostała nietknięta.

Serafina poczuła dreszcz radości na myśl, że jej wojownicy będą w stanie przemieszczać się przez otwór znacznie sprawniej, niż gdyby musieli się przeciskać przez stary tunel. To oznaczało, że mogli wynieść znacznie więcej łupów.

Yaz jakby czytał w jej myślach.

– Weźmiemy stąd dwa razy więcej niż planowaliśmy – oznajmił z podnieceniem.

– Pod warunkiem, że nie zostaniemy przyłapani – dodała Serafina, spoglądając nerwowo w górę. – To cud, że niczego nie usłyszeli.

– Nic nam nie będzie. Mahdi ma tam bębniarzy i śpiewaków. Do tego mnóstwo eksplozji fajerwerków. Cały ten hałas musi nas zagłuszyć – uznał Yaz.

Sera uśmiechnęła się i sięgnęła po worek z płótna na żagle, który trzymała za pasem. Następnie rzuciła się w głąb skarbca.

– Dalej, Yaz! – zawołała, oglądając się za siebie. – Czas obrabować rabusiów!

## Rozdział 4

**B**IANCA DI REMORA, ubrana w jasnoróżową suknię z morskiego jedwabiu, fruwała niczym motyl wokół Lucii Volnero.

Kreacja Bianki była śliczna, ale nie przesadnie. Wcześniej syrena miała na sobie złoty kostium, który lepiej podkreślał jej ponętne kształty. Lucia jednak uznała, że strój wygląda zbyt pięknie, i kazała jej się błyskawicznie przebrać. Rzecz jasna pragnęła, by jej damy dworu lśniły, ale na pewno nie bardziej niż ona sama. Były przecież zaledwie tłem dla prawdziwego klejnotu, czyli dla niej.

– To były chyba najlepsze fajerwerki świata – zachwycała się Bianca. – A Mahdi zorganizował to wszystko specjalnie dla ciebie! Ależ on cię kocha!

– Prawda? – mruknęła Lucia.

Syrena siedziała pośrodku Wielkiej Sali, przy królewskim stole. Pokaz fajerwerków właśnie dobiegł końca, a Mahdi podpłynął do ogniomistrzów, by pogratulować im przedstawienia.

– Szkoda, że nie widziałaś, jak na ciebie patrzył podczas pokazu! – ciągnęła Bianca. – Zresztą dzisiejszego wieczoru wszyscy byli w ciebie wpatrzeni.

„Oczywiście, że byli” – pomyślała Lucia.

Syrena miała na sobie olśniewającą szatę wykonaną z maleńkich, przeplatanych uchowców. Kiedy się poruszała, ozdobne muszle odbijały promienie światła tak, że rzucały tęczę poświatę. Jej długie, granatowoczarne włosy były rozpuszczone. Tuż nad jej czołem widniał przepiękny szafir osadzony w platynowej opasce. Klejnot lśnił, podobnie jak oczy syreny.

Kreacja Lucii, jej szafir oraz przepiękna twarz przyciągały spojrzenia, ale ona o to nie dbała. Pragnęła na sobie tylko jednej pary oczu – Mahdiego. Poczła to już wtedy, gdy przybyła do Miromary na Dokimi Serafiny. Ten długowłosy brunet o ostrych rysach i głębokim spojrzeniu był najprzystojniejszym syrenem, jakiego kiedykolwiek widziała. Do tego był cesarzem Matali, wielkiego i potężnego państwa. Zasługiwała na kogoś takiego.

Właśnie szukała go wzrokiem. Mahdi unosił się w wodzie obok tronu i dowcipkował z ogniomistrzami. Był świetnie ubrany i tak przystojny, że aż ją to ścisnęło od środka. Patrząc na niego, przypomniła sobie, że po upadku Cerulei, kiedy znalazła go w więziennej klatce, nie wyglądał tak dobrze.

Kapitan Markus Traho, głównodowodzący oddziałem jeźdźców śmierci oraz syren będący na usługach zarówno Valleria, jak i terragoga Rafe Mfemego, zabił rodziców Mahdiego na rozkaz ojca Lucii, a jego wziął w niewolę. Rodzice syrena byli lojalni wobec Isabelli, a sam Mahdi

posiadał reputację niesfornego imprezowicza. Vallerio chciał, by jego córka poślubiła kogoś wartościowszego, ale zadurzona Lucia błagała, by ojciec go oszczędził, i Vallerio w końcu ustąpił.

– Nie potrafię ci odmówić – rzekł wtedy. – Oszczędzę jego życie, ale zanim dojdzie do waszej ceremonii zaręczyn, Mahdi musi udowodnić swoją lojalność.

I udowodnił, najeżdżając domy rebeliantów, nękając tych, którzy się jej sprzeciwiali, w końcu odnajdując dla Traho nieocenionej wartości przedmiot w postaci naszyjnika z błękitnym diamentem w kształcie kropli, który kapitan niezwłocznie przekazał Mfememu. Lucia nie miała pojęcia, jakie było jego przeznaczenie, ani zbytnio się tym nie przejmowała. Liczyło się dla niej tylko to, żeby Mahdi przekonał jej ojca. I w końcu to zrobił.

– Myliłem się, moja droga, ale bynajmniej tego nie żałuję – przyznał przed kilkoma tygodniami Vallerio. – Zmieniłem swoją opinię na temat tego młokosa o sto osiemdziesiąt stopni.

Słowa te ucieszyły Lucię. Potrzebowała bowiem zgody ojca na zaręczyny. Mimo to, nawet z jego błogosławieństwem, stała przed nią jeszcze jedna przeszkoda. Opinia innej osoby była jeszcze ważniejsza niż ojca, matki czy kogokolwiek. Osoby, która pomogła jej usidlić Mahdiego pieśniami, eliksirami oraz zaklęciami. A ta osoba ciągle pozostawała sceptyczna.

– Bądź ostrożna, dziecko – ostrzegała. – Pamiętaj, że wyznał miłość poprzedniej principessie, a teraz wyznaje ją tobie. Wygląda na to, że jest gotów oddać serce tej, która ma więcej do zaoferowania. Możliwe, że będziesz musiała zapłacić za nie wysoką cenę.

Te słowa były dla Lucii torturą. Wmawiała sobie, że to nie może być prawda. To niemożliwe. Przecież Mahdi przysięgał jej wierność. Dawał jej drogie prezenty. Urządzał przyjęcia dla uczczenia zaręczyn. Kiedy szeptał jej do ucha, traciła oddech, a po pocałunku z trudem go odzyskiwała.

Mimo wszystko nie była do końca pewna.

„Czy on tylko udaje? – zastanawiała się teraz, a jej oczy błyskawicznie spochmurniały, odzwierciedlając to, co jej grało w duszy. – Czy rzeczywiście mnie kocha?”

– Mahdi... – zaczęła, kiedy syren wrócił do stołu i usiadł obok niej.

– O co chodzi, Lucia? Wyglądasz, jakby coś cię trapiło. Nie podobały ci się fajerwerki?

– Były cudowne. Naprawdę.

– Więc co się stało? – spytał, biorąc ją za rękę.

– Przyspieszmy datę ślubu. Nie chcę już dłużej czekać – rzuciła z niecierpliwością Lucia.

Mahdi sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Niczego bardziej nie pragnę, ale to niemożliwe.

Lucia rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Dlaczego? – spytała ostro.

Mahdi ujął w dłonie jej twarz.

– Nie chcę zaczynać naszego wspólnego życia w niepewności o przyszłość naszych państw. To



zbyt niebezpieczne. Pamiętasz inwazję na Ceruleę i cierpienie jej mieszkańców? Wszyscy to pamiętamy.

Lucia pokiwała głową. Doskonale pamiętała to wydarzenie. To przecież jej ojciec zlecił morderstwo reginy Isabelli, *principe* Bastiaana i wielu innych. Była to jednak tajemnica i tak musiało pozostać.

– Isabella zginęła, ponieważ była królową Miromary. Teraz ty jesteś reginą i umarłbym, gdyby coś ci się przydarzyło. Wiesz o tym, prawda? – spytał Mahdi, a jego piękne piwne oczy poszukiwały jej oczu.

Wrogie spojrzenie Lucii złagodniało.

„Zawsze jest taki opiekuńczy – pomyślała. – Tak właśnie wygląda prawdziwa miłość”.

– Jeszcze nadejdzie nasz dzień. Już wkrótce – obiecał Mahdi, nie przestając gładzić jej po twarzy. – Twój ojciec, Traho i ja... zbliżamy się już do Czarnych Płetw. Niedługo ich dopadniemy i raz na zawsze pozbedziemy się tych psów morskich. Wówczas się pobierzemy i tego dnia nie będzie w żadnym morzu syrena dumniejszego i szczęśliwszego ode mnie.

Wtedy ją pocałował i słowa tamtej osoby, które tak ją prześladowały, nagle ucichły w jej głowie. Mahdi należał wyłącznie do niej. Widziała to w jego oczach, słyszała w jego słowach, czuła w jego dotyku.

– Proszę wybaczyć – odezwał się niski, zachrypnięty głos.

Lucia wiedziała do kogo należy – do Traho. Syrena odwróciła się i zobaczyła, że stoi u boku jej ojca. Wpłynął do Wielkiej Sali po cichu. Ten muskularny syren z krótko ściętymi ciemnymi włosami i ostrym spojrzeniem nie był znany z odwiedzania przyjęć. Lucia uznała, że jego nagłe pojawienie się nie może oznaczać niczego dobrego.

– O co chodzi? – rzucił oschle Vallerio.

– Mieliśmy włamanie. Skarbiec został rozbity – odparł Traho, nachylając się tak, by słyszeli go tylko Vallerio, Portia, Lucia i Mahdi.

– Co takiego? – ryknął Vallerio, waląc pięścią w stół. – Jak do tego doszło?

– Ktoś otworzył starą śluzę i wypuścił lawę. Zniszczyła jedną ze ścian skarbcza. Staramy się otoczyć wrogów, ale stawiają silny opór.

– Ile ukradli? – zażądała odpowiedzi Portia.

– Znaczną część skarbu.

Vallerio zaklął.

– Czarne Płetwy? – spytał.

– Tak sądzimy, panie.

– To ta przekłeta Serafina! – syknął Vallerio.

Lucia otworzyła szeroko oczy.

– Serafina? Jak to?

– No właśnie, jak to? – powtórzyła Portia, której spokojny ton był przeciwieństwem gniewnego głosu jej męża. – Serafina nie żyje. Uciekła z pałacu po ataku na Ceruleę i od tamtej pory nikt jej nie widział. Nie ma szans, by przetrwała tyle czasu w otwartym morzu.

– Oczywiście, że nie żyje – dodał szybko Vallerio. – Poniósł mnie gniew. Traho, zaprowadź nas do skarbcza. Portia, Lucia, Mahdi... zostańcie tutaj. Uśmiechajcie się, tańczcie, udawajcie, że nic się nie stało. Nie chciałbym, aby goście dowiedzieli się o tym zajściu. Gdyby rozeszła się taka wieść, Czarne Płetwy mogłyby to jakoś wykorzystać.

Słowa ojca niemal nie docierały do Lucii. Do jej głowy zakradła się wątpliwość paraliżująca jak gęsta mgła na morzu. Rodzice zawsze powtarzali, że Serafina została zabita podczas najazdu na stolicę. Żadne z nich do tej pory nie napomknęło ani słowem, że syrena nadal może pozostawać przy życiu. Czyżby kłamali? Na tę myśl kipiała w niej wściekłość.

Gdyby to była prawda... Gdyby rzeczywiście Sera przeżyła i przewodziła ruchowi oporu, stanowiłaby ogromne zagrożenie. Lud ją kochał. Syreny były gotowe oddać za nią życie. Lucia miała teraz wszystko, na czym jej zależało, ale Serafina była w stanie jej to odebrać – Mahdiego, koronę i życie.

Powiedziała sobie w duchu, że to niemożliwe. Sera musi być martwa. Od miesiący nie było na jej temat żadnej wieści. Była słaba. Nie miała sił i umiejętności, które pozwoliłyby jej przetrwać. Była przecież jak ten gupik: pływała tylko z muszlą przy uchu, słuchając nudnych opowiadań o takiej czy innej bitwie albo traktacie.

Lucia wzięła głęboki oddech. Próbowała się uspokoić. Instynktownie spojrzała na Mahdiego, by u niego poszukać wsparcia.

Nie znalazła go jednak. Syren nie patrzył na nią, lecz powiódł wzrokiem za Valleriem i Traho, którzy właśnie znikali za kamiennym przejściem w kształcie łuku. W jego oczach było coś, czego Lucia nigdy wcześniej tam nie widziała. Czysty strach.

„O kogo się boi? – pomyślała syrena. – O mnie? A może o Serafinę?”.

## Rozdział 5

Stalowa włócznia wbiła się w ścianę zaledwie kilka centymetrów nad głową Yazeeda.

Wodę przeciął ostry szrapnel. Jedna część rozcięła Yazowi policzek, inna zraniła wojowniczkę Czarnych Płetw imieniem Sophia, zostawiając na jej ramieniu długie nacięcie.

– Czas stąd spływać, Sera! – krzyknął Yaz. – Długo tak nie wytrzymamy!

Yaz i Sophia nadal znajdowali się wewnątrz tunelu za Bramą Zdrajców. Strzelali stamtąd do jeźdźców śmierci, którzy próbowali przejść przez bramę, podczas gdy Sera przymocowywała do grzbietu potężnej płaszczki ogromny wór wykonany z żagla i wypełniony skarbami.

– Do kanionu Sargo – poleciała płaszczce w jej języku, zawiązując worek. – Szybko!

To był już ostatni ładunek. Pełen złota i klejnotów worek był ciężki, ale płaszczka okazała się młoda i silna. Sera bardzo się z tego powodu cieszyła. Wiedziała, że ryba będzie musiała szybko płynąć, aby uniknąć schwytania. Płaszczka machnęła wielkimi płetwami, nabrała prędkości i zwróciła się na północ. Płynęła nisko nad dnem, zlewając się z nim tak, że była niewidoczna dla każdego, kto znalazłby się nad nią. Na odsiecz przybywało już pięćdziesiąt kolejnych płaszczek pod dowództwem Neeli.

– Uciekajcie stąd! – zawołała Serafina do sześciu wojowników Czarnych Płetw, którzy przy niej pozostali. – Rzućcie perły i znikajcie co sił.

Perły niewidzialności, jakimi dysponowali jej ludzie, były kiepskiej jakości, ale lepsze to niż nic. Wojownicy wykonali jej polecenie, zamigotali i zniknęli. Ich zadaniem było podążanie za płaszczką do kanionu Sargo, gdzie można by wyładować skarby i schować je w jakimś bezpiecznym budynku gospodarczym. Sera modliła się do bogów, aby im się powiodło.

Akcja zakończyła się sukcesem. Czarnym Płetwom udało się zdobyć dwa razy więcej skarbów, niż się spodziewali. Zostali nakryci w chwili, gdy przenosili przez komorę lawy ostatni ładunek.

Później wywiązała się bitwa i trzech wojowników zginęło, między innymi Luca i Franco. Po stronie nieprzyjaciela poległo około dziesięciu syrenów. Yaz i Sophia zdołali zatrzymać wrogów w zakręcie tunelu, kilka metrów obok Bramy Zdrajców. Pozostali towarzysze Czarnych Płetw uciekli. Sera nie mogła sobie pozwolić na rozmyślania o wojownikach, których straciła. Czas na opłakiwanie przyjdzie później, po zakończeniu misji.

– Gotowa, Sera? – zawołał Yaz.

– Od dawna! – krzyknęła Serafina.

Po kilku sekundach syrena usłyszała huk eksplozji. To Yaz i Sophia zdetonowali bombę

atramentową – okazałą muszlę wypełnioną atramentem kałamarnicy. Miała ona sprawić, że woda w tunelu na dobre pół minuty stanie się czarna jak smoła.

– Będę was osłaniał. Ruszajcie! – zawołał do Serafiny Yazeed, zbliżając się do niej wraz z Sophią.

Gdy Yaz położył się płasko na morskim dnie, Sera chwyciła kuszę i odpłynęła szybko, a w ślad za nią Sophia. Syrena oddaliła się nieco od Bramy Zdrajców, po czym wyjęła z kieszeni perłę niewidzialności, gotowa jej użyć. Jednak w tej samej chwili jej ciało rozdarł ból, biały i oślepiający. Sera krzyknęła i zaczęła się szamotać. Upuściła broń. Perła wypadła jej z ręki.

Syrena runęła twarzą na dno. Zamroczone oparła się na łokciach. Wokół niej zawirowała krew. Gorączkowo usiłowała sprawdzić, gdzie została ugodzona.

Kiedy spostrzegła ranę, jej oczy otworzyły się szerzej.

– Nie! – krzyknęła.

Włóczyła się w jej ogonie.

## Rozdział 6

SERA POCZUŁA, JAK zalewa ją fala strachu.

Tym, co ją przeraziło, nie była jej własna krew ani ostra srebrna włócznia wbita w jej ciało, ale cienka biała lina biegnąca od broni oraz wyszczerzony w złowieszczym uśmiechu jeździec śmierci, który zaczął ciągnąć za sznur.

Ból był nie do zniesienia. Sera wrzeszczała i miotała się, przez co najeżone ostrze włóczni zagłębiało się w ogonie jeszcze bardziej.

– Sera, posłuchaj! – Rozległ się głos. – Przestań walczyć. Udawaj, że się poddajesz.

Sera obejrzała się za siebie. Był to głos Sophii, ale syreny nigdzie nie było widać. „Pewnie rzuciła perłę niewidzialności” – pomyślała Sera.

– Przybliź się do niego – syknęła Sophia. – Potrzebuję trochę luzu na linie, żeby nie poczuł, jak ją przecinam.

Serafina uniosła rękę i pozwoliła unieść się nurtowi. Jej przeciwnik przestał ciągnąć linę i zaczął się do niej zbliżać. Wzrok miał skupiony na Serafinie, więc nie dostrzegł pętli, jaka utworzyła się na linie, ani nie widział, jak ta pętla się zacieśnia.

– Mam jedną! – ryknął i dołączyło do niego dwóch kompanów.

– Pospiesz się, Sophia... na bogów, pospiesz się – jęknęła.

– Próbuję, ale lina jest gruba... Jeszcze chwila... Mam!

„Śmierć pływa wartkim nurtem” – zwykła mawiać Tavia, opiekunka Sery. Tym razem podpłynęła do żołnierzy tak szybko, że ci nawet nie zauważyli, jak nadciąga.

Z chwilą gdy dwa końce linki opadły na dno, nóż Sophii przeciął wodę i wbił się w klatkę piersiową napastnika, który postrzelił Serafinę. Sera schyliła się po upuszczoną kuszę, chwyciła ją i wystrzeliła dwukrotnie. Doskonale opanowała tę sztukę. Dwaj pozostali jeźdźcy śmierci byli martwi, zanim ich ciała opadły na denny muł.

– Ruszajmy, zanim przybędą ich koledzy – rzekła do Sophii.

– Nie możesz płynąć z włócznią w ogonie.

Sera wiedziała, co Sophia chce przez to powiedzieć.

– Zrób to – rzekła drżącym od bólu głosem.

– Zrobię to szybko, obiecuję. Chciałabym...

– Po prostu to zrób, Sophia.

Syrena przecięła ponownie sznur, tak blisko rękojeści włóczni, jak tylko było to możliwe.

Następnie chwyciła Serę za ogon jedną ręką, a w drugą ujęła włócznię. Sera zagryzła zęby, żeby nie krzyknąć, podczas gdy Sophia próbowała przepchnąć ostrze przez cały ogon, tak by grot wyszedł po drugiej stronie. Serafina zgięła się w pół z bólu. Z rany wytrysnęło jeszcze więcej krwi. Sophia chwyciła Serę za marynarkę, którą ta miała obwiązane biodra, i zrobiła z niej opatrunek na ogon.

– Żyjesz? – spytała.

– Ledwo – wychrypiała Sera.

– Musimy się stąd wynosić. Coraz więcej ich wypływa z Bramy Zdrajców. Zaraz się rozdzielią i zaczną przeczesywać teren.

Do Serafiny zaczęły już dochodzić głosy, a także blask pochodni z lawą.

– Ruszaj, Sophia. Jesteś dla nich niewidzialna. Wracaj z powrotem na wzgórze.

– Zapomnij. Nigdzie się bez ciebie nie ruszam.

– To rozk...

Wtem w mule, zaledwie kilka centymetrów od Serafiny, utkwiała kolejna włócznia.

Syrena poczuła, jak łapią ją czyjeś ręce.

– Płyńmy! – zawołała Sophia.

Zanim jeździec śmierci był w stanie wystrzelić po raz kolejny, syreny już szukały schronienia. Aby go zmylić, płynęły zygzakiem między koralami a wodorostami. Włócznie odbijały się od skał, które mijaly, albo grzęzły w podwodnej roślinności. Wkrótce do strzelca dołączyło więcej jeźdźców.

– Za mną! – poleciła Sera.

Tuż przed nimi leżała reggia, czyli starożytny pałac Moruadh. Moruadh, pierwsza władczyni syren, zbudowała go przed czterema tysiącami lat. Sera kochała te ruiny i często wybierała się tam na spacer, podczas których je zwiedzała. Teraz miała nadzieję, że uda jej się zwabić nieprzyjaciół do ruin pałacu, zgubić ich w labiryncie gruzów i opuścić to miejsce innym wyjściem.

Krzyki za ich plecami stawały się coraz głośniejsze. W kierunku syren leciały kolejne włócznie. Sera zanurkowała w dół, przepłynęła pod zawalonym kamiennym łukiem i wpłynęła do tunelu.

– Sophia? – zawołała na tyle głośno, na ile mogła sobie pozwolić.

– Jestem tuż za tobą – usłyszała w odpowiedzi.

Sophia zaczęła migotać. Działanie perły niewidzialności słabło. Sera wykonała szybką *illuminatę* i utworzyła kulę z promieni księżyca. Następnie chwyciła Sopię za rękę i pociągnęła ją za sobą wzdłuż długiego korytarza, podczas gdy jeźdźcy śmierci właśnie mijali kamienny łuk.

Dwie syreny płynęły z komnaty do komnaty, przemierzały tunele i dziedzińce. Po pięciu minutach ucieczki z pełną prędkością zgubiły pościg. Zdyszana Serafina musiała się zatrzymać, by złapać oddech.

– Gdzie jesteście? – spytała Sophia, już całkowicie widoczna.

– W prywatnej kwaterze Moruadh. Właśnie opuściliśmy jej komnaty. Są połączone ze stajniami i zamkniętym wybiegiem wychodzącym na las wodorostów.

Moruadh uwielbiała przejażdżki i niemal każdego poranka wybierała się do wspomnianego lasu na polowanie. Pielęgnowane z troską wysokie pnącza wodorostów pokrywały pokaźne połacie dna.

– Jeśli uda nam się dostać do lasu, ukryjemy się między wodorostami – ciągnęła Sera. – Kiedy z nich wypłyniemy, będziemy już daleko na północ od miasta.

– Jak twój ogon? – spytała Sophia.

Sera popatrzyła na ogon z grymasem na twarzy. Prowizoryczny opatrunek był przesiąknięty krwią.

– Boli, ale dam radę – rzekła. – Nie zatrzymujmy się.

Niezależnie, jak bardzo Sera cierpiała, wiedziała, że nie może pozwolić się złapać. Wierząc, że oddział Czarnych Płetw i grupa płaszczyk zdołają dotrzeć w bezpieczne miejsce, zapomniała o bólu i ponownie zaczęła płynąć.

Sera i Sophia poruszały się ostrożnie przez stajnie. W słabym świetle *illuminaty* puste boksy robiły przerażające wrażenie. Syrena odetchnęła z ulgą, gdy je opuściły i znalazły się na wybiegu.

Podłoże było tu podziurawione i spękane, a ściany porastały ukwiały i rurkoczułkowce. Wybieg był ogromny. Nie tylko szeroki, ale i niezmiernie wysoki, gdyż jeżdżące tu niegdyś konno syreny potrzebowały przestrzeni do jazdy w górę i w dół.

– Fuj, czujesz coś? – spytała nagle Sophia, krzywiąc się. – Coś bardzo brzydkiego?

– Bardzo martwego – poprawiła ją Sera. Syrena poczuła mrowienie w płetwach.

Wyciągnęła przed siebie wyprostowaną rękę z *illuminatą* na dłoni i powoli, ostrożnie obróciła się dokoła. Światło odbiło się od metalicznego obiektu znajdującego się pośrodku wybiegu. Było to spore i całkiem głębokie koryto wsparte na czterech krótkich metalowych nogach. Syreny dopłynęły do niego i zajrzały do środka.

– O rany! – krzyknęła Sophia, zginając się wpół. – To okropne!

Z bliska zapach był jeszcze gorszy.

Koryto było wypełnione kośćmi. Sera widziała w nim czaszki dużych ryb, a także ości i kręgosłupy mniejszych oraz kilka nóg terragogów. Na niektórych z nich były jeszcze buty. Z kośćmi wymieszane były również kawałki mięsa w różnym stadium rozkładu.

– Wygląda mi to na jakieś koryto do karmienia – rzekła Sera, gdy wróciła jej mowa. – Ale nie chciałabym się dowiedzieć, kto z niego jadł.

– Sero... na bogów... Sero... – wydukała Sophia. Syrena nie patrzyła już na koryto.

– Co się stało? – spytała, odwracając się do swej towarzyszki.

– Nie. Ruszaj. Się. – wycedziła Sophia, a jej głos załamywał się ze strachu.

– Dobrze. Nie ruszam się – odrzekła Sera.

– Popatrz w górę. Tylko bardzo, bardzo powoli.

Sera popatrzyła i wydała z siebie stłumiony okrzyk.

Pod sklepieniem, niczym demony w jakimś koszmarze, wisiały trzy potężne czarnoszpone smoki.



## Rozdział 7

S ERCE SERAFINY BIŁO tak mocno, że syrena bała się, że wyskoczy jej z piersi.

Smoki czarnoszpone, gigantyczne i arcysilne, uzbrojone w zabójcze zębiska i pazury, były jednym z najgroźniejszych gatunków smoków znanych syrenom.

– Wygląda na to, że jeźdźcy śmierci je tu trzymają – stwierdziła Sera. W miejsce strachu pojawił się teraz gniew. Syrena nie miała pojęcia, że te kruche i słabe ruiny mogą być domem tak niszczycielskich stworzeń.

Sera i Sophia obserwowały, jak jeden ze smoków, a właściwie smoczyca, zaczął obwąchiwać wodę. Głowa wędrowała z wolna to w jedną, to w drugą stronę, żółte oczy się zwężyły, kolec na końcu jej ogona się nastroszył.

– To przez moją ranę. Czuje krew. Jesteśmy dla niej smacznym kąskiem – rzekła Sera.

– Może uda nam się wrócić do drzwi – wyszeptała Sophia.

Jakby wyczuwając jej zamiar, wielki smok przebiegł po sklepieniu w kierunku wyjścia.

Sera rozglądała się desperacko w poszukiwaniu drogi ucieczki.

– Sophia, patrz! – zawołała nagle z przejęciem. – Na prawo od koryta!

– Proszę, tylko mi nie mów, że to następny smok.

– W dzień jest pęknięcie! Chyba się zmieścimy!

To mówiąc, Sera powoli przeniosła *illuminatę* nieco w prawo. Fragment podłoża był lekko uniesiony. Syrena przypuszczała, że to z powodu stąpających po dnie ciężkich ciał smoków. Połamane kawałki podłoża stykały się ze sobą niczym płyty lodu na powierzchni arktycznych mórz. Między dwiema z nich widniała niewielka szpara, lecz możliwe, że wystarczająco duża, by przecisnęły się przez nią dwie syreny.

– Nie wiemy, co jest tam na dole – rzekła Sophia.

– Za to wiemy, co jest na górze. I nie jest to nic dobrego – odparła Sera. – Zaczynij płynąć. Tylko powoli i spokojnie.

Sophia posłuchała Sery, która ruszyła tuż za nią. Kiedy były już kilka metrów od szczeliny, wielki smok głośno syknął. Bestia przygotowywała się do skoku, ale zatrzymał ją dźwięk głosów dobiegających ze stajni. Smok obrócił głowę w kierunku, z którego rozległ się hałas. Tylko na to czekały syreny.

– A teraz już nie spokojnie! – krzyknęła Sera. – Chodu, Sophia!

Syrena wskoczyła w otwór. Sera płynęła tuż za nią, a w dłoni cały czas trzymała *illuminatę*.

Zdążyła się tylko zorientować, że są w jakimś podziemnym pomieszczeniu, gdy nagle rozległ się ryk smoka.

Sera i Sophia wyrzały do góry przez szczelinę. W drzwiach prowadzących na wybieg stali z płonącymi pochodniami jeźdźcy śmierci. Smoczyca, wściekła, że nie może ich osiągnąć, wydawała z siebie ogłuszające ryki i machała gigantycznymi skrzydłami.

– Myślę, że jesteśmy bezpieczne. Przynajmniej chwilowo – uznała Sera. – Jeźdźcy śmierci nie zblizną się do nas, chyba że chcą zostać pożarci.

Syrena postanowiła odpłynąć w głąb jaskini, aby zbadać jej wnętrze, ale Sophia ją powstrzymała.

– Najpierw musimy coś zrobić z dziurą w twoim ogonie.

Sera nie protestowała. Usiadła na skale i oparła się o nią plecami. Zamknęła oczy. Sophia usunęła przesiąknięty krwią bandaż i popatrzawszy na ranę, skrzywiła się. Płynęła z niej świeża krew. Włócznia paskudnie rozerwała mięśnie.

– O rany. Na bogów, kiepsko to wygląda. Twoja twarz też. Jesteś blada jak szczeżuja.

Sera zdobyła się na uśmiech.

– Dzięki za optymistyczną diagnozę.

Sophia, kręcąc głową, poprosiła Serę o sztylet, po czym odcięła rękawy swojej marynarki i zrobiła z nich nowe opatrunki.

Po kilku minutach rzekła:

– Gotowe. Mam nadzieję, że to wystarczy do czasu, aż wrócimy do bazy.

– Dzięki. – Nadal doskwierał jej ból, ale przynajmniej krwawienie ustąpiło.

– Wiesz w ogóle, gdzie jesteśmy? – spytała Sophia, rozglądając się dokoła.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznała Sera.

Syrena podniosła się, uniosła *illuminatę* i popatrzyła wokół siebie. Pomieszczenie miało kształt sześciokąta, a cała jego powierzchnia była pokryta mozaikami. Na podłodze stały malowane urny. Z sufitu zwisały starożytne latarnie z brązu.

– Wydawało mi się, że znasz reggię jak własną kieszeń – rzuciła Sophia.

– Bo znam – odparła Sera z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. – Przesłuchałam wszystkie muszle dotyczące tego miejsca. Ale nigdy nie słyszałam od któregoś z dworzan, ministrów czy historyków o pomieszczeniu pod stajniami.

– Sera... Popatrz na te postaci – zauważyła Sophia. Syrena pokazywała palcem jedną z sześciu ścian. – To nie są ani bogowie, ani syreny.

Sera podpłynęła do ściany i przyjrzała się szczegółowej mozaice przedstawiającej mężczyznę.

– To ludzie – wyjaśniła, wodząc palcami po ubranych w sandały stopach mężczyzny.

Każda figura była opatrzona imieniem w pradawnym syrenim języku. Czytając napisy na głos, Sera poczuła, jak przyspiesza jej tętno.

– Moruadh, Nyx, Sycorax, Pyrrha, Navi, Orfeo... Sześcioro Władców. Sophia, to grobowiec, tyle że bez ciał. Założę się, że Moruadh kazała go wybudować na cześć swoich przyjaciół.

Sera wiedziała, że Moruadh jako jedyna z całej szóstki przeżyła zniszczenie Atlantydy. Ciał pozostałych magów nigdy nie odnaleziono. Przenosząc wzrok od jednej postaci do drugiej, zauważyła, że wszystkie zostały przedstawione w podobny sposób, czyli tak, by patrzyły na obserwatora. Lewe ręce trzymały przy boku, a prawe miały uniesione na wysokość klatki piersiowej, otwartą dłonią w górę. Na każdej z dłoni spoczywał inny przedmiot. Sera wstrzymała oddech, kiedy zrozumiała, czym były te przedmioty.

– Wielka Nerio, wszystko jest w tym pomieszczeniu... – wyszeptała, drżąc z podekscytowania.  
– Odpowiedzi na pytania, które dręczą mnie, odkąd znalazłam się w jaskiniach ieli, mam teraz tuż przed sobą!

Kiedy wraz z Ling Sera przebywała w ruinach Atlantydy, syrenom udało się ustalić, czym były trzy spośród sześciu talizmanów, ale zanim odkryły prawdę o pozostałych, musiały uciekać i ratować życie.

– Sera, sprawdź to – rzekła Sophia. – Moruadh trzyma...

– ... błękitny diament – dokończyła Serafina.

– Navi ma...

– ... kamień księżycowy.

– Orfeo trzyma...

– ... czarną perłę.

– Skąd to wszystko wiesz? – zdziwiła się Sophia. – Przecież nawet na nich nie patrzysz.

Sera nie odpowiedziała. Cały czas wpatrywała się w figurę przedstawiającą majestatycznego, ciemnoskórego mężczyznę z długimi czarnymi warkoczami i niewidzącymi oczami.

– Nyx ma pierścień z rubinem – powiedziała na głos, aby lepiej utrwalić w pamięci obraz.

Następnie podpłynęła do kolejnej ściany, z której spoglądała na nią wysoka, dobrze zbudowana kobieta o rudych włosach i niezwykle niebieskich oczach.

– Pyrrha trzyma złotą monetę z wizerunkiem Nerii – oznajmiła. Rosło w niej podniecenie.

Mozaika na sąsiedniej ścianie przedstawiała szczupłą kobietę o czarnych włosach i skośnych oczach. Sera przyjrzała jej się uważnie.

– Sycorax ma białą... czy to jest układanka w kształcie kuli? Wygląda, jakby była ozdobiona wizerunkiem Feniksa. Pamiętaj, Sero. Musisz to zapamiętać – rzekła do siebie.

– Sero – zawołała Sophia. – O co chodzi?

– Wiemy, gdzie są. Znalazłam miejsce ich ukrycia dzięki muszli z ostrokonu. Do tego wiemy już, czym są. I to wszystkie. My to wiemy, a Rafe Mfeme nie! – oznajmiła syrena, nie spuszczając wzroku z Sycorax.

– No dobrze. A to oznacza... – zniecierpliwiła się Sophia.

Sera zwróciła się do towarzyszki i popatrzyła na nią triumfalnie.

– To oznacza, że być może... że jest szansa, że nam się uda.

## Rozdział 8

**C**O DOKŁADNIE MASZ na myśli? – spytała Sophia, tracąc już cierpliwość do tajemniczych komentarzy Sery. – Możesz mi wszystko wyjaśnić?

Sera zastanawiała się. Jedynie garstka syren była świadoma wielkości zagrożenia toczącej się wojny. Tak było bezpieczniej. Wszędzie roiło się od szpiegów.

– Możesz mi zaufać. Wiesz o tym – rzekła Sophia, jak gdyby wyczuwając, że Sera świadomie nie mówi jej o wszystkim.

Miała rację. Sophia udowodniła przy Bramie Zdrajców, że jest godna zaufania. Serafina rozumiała również, jako regina i przywódczyni Czarnych Płetw, że teraz jest w niekomfortowej sytuacji – poważnie ranna i daleko od bezpiecznego miejsca. Nadal istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanie schwytana. Gdyby do tego doszło, jak zdołałaby przekazać informacje, które właśnie pozyskała, Neeli, Yazowi i reszcie? Musiała polegać na Sophii.

Sera wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać:

– Nasza walka... toczy się o coś więcej niż tylko o Miromarę. Jest równie ważna dla wszystkich wód świata oraz wszystkich zamieszkujących je stworzeń.

Sophia słuchała z szeroko otwartymi oczami, podczas gdy Sera wyjaśniała, w jaki sposób Orfeo stworzył potwora zwanego Abbadonem i jak z jego pomocą zniszczył Atlantyde. Następnie opowiedziała, jak wraz z pięcioma innymi syrenami: Neelą, Avą, Beccą, Astrid i Ling, została wezwana przez Babę Vřąję, przywódczynię ieli, grupy rzecznych czarownic, od której otrzymała zadanie pokonania potwora.

– Dlaczego wy? – zdziwiła się Sophia.

– Ponieważ każda z nas jest potomkinią jednego z Sześciorga Władców – wyjaśniła Sera. – Mamy w sobie ich magię, która wzmacnia się, gdy jesteśmy razem. Vřąja miała nadzieję, że to wystarczy do pokonania Abbadona.

– Ale dlaczego Orfeo w ogóle go stworzył? Dlaczego doprowadził do zniszczenia Atlantydy?

– Bo kierował nim gniew i smutek. Stracił zmysły – ciągnęła Serafina. – Kiedy zginęła jego żona Alma, nie potrafił się pogodzić z jej śmiercią. Postanowił wkroczyć do świata zmarłych i ją odzyskać, ale potrzebował do tego pomocy, więc zwrócił się do Morsy, bogini śmierci. Zaczął składać jej ofiary z ludzi.

– Co takiego? – Sophia była przerażona. – Nie uczyli o tym w szkole.

– Nie – przyznała ze smutkiem Serafina. – Moruadh nie chciała, by ktokolwiek poznał prawdę. Zatrzymała to w sekrecie. Uznała, że w ten sposób oszczędzi syrenom cierpienia. Chyba nawet

rozumieć dlaczego. Znalazłam świątynię, w której składano ofiary. Dotykałam krwi, słyszałam krzyki. To było straszne. – Syrena zadrżała na samą myśl.

– Dlaczego nikt go nie powstrzymał? – spytała Sophia.

– Zanim inni Atlantydzi się o tym dowiedzieli, było już za późno. Morsa, bogini śmierci, przekazała Orfeowi talizman w postaci czarnej perły, który dał mu wielką moc. Ling i ja dowiedziałyśmy się tego od vitryny, którą spotkałyśmy w ruinach Atlantydy. Powiedziała nam, że Orfeo ubłagał Morsę, by ta podzieliła się z nim tajemnicą nieśmiertelności, oraz że udało mu się wykorzystać tę wiedzę do stworzenia Abbadona. Bestia okazała się niesamowicie potężna. Pozostali magowie mogli tylko zabić Orfea, uwięzić Abbadona i zatopić go w Morzu Południowym.

– Uwięzić Abbadona? Nie zabić? Chcesz powiedzieć, że...

– On nadal żyje? Tak. Ale uwięziony na wieki. Tak przynajmniej wydawało się Moruadh. Więzienie można otworzyć lub zamknąć jedynie, umieszczając w zamku sześć odpowiednich talizmanów – odrzekła Sera, wskazując sylwetki. – Przedmioty, które trzymają postaci w mozaikach, są właśnie tymi talizmanami. Moruadh ukryła je w różnych miejscach całego podwodnego świata, aby mieć pewność, że nikt nigdy nie wykorzysta ich w celu uwolnienia Abbadona.

– Zaraz, zaraz... Mówisz, że macie zamiar zabić potwora, z którym nie poradzili sobie najpotężniejsi z magów? To szaleństwo!

Sera pokiwała głową ze smutkiem.

– Pewnie masz rację.

– Jak to sobie wyobrażasz?

Serafina westchnęła.

– Chciałabym to wiedzieć. Ale według ieli musimy to zrobić. Zanim uwolni go tajemniczy nieznajomy.

Sophia słuchała w ciszy ostatnich słów Serafiny. Była w szoku.

– To wielka bitwa – przyznała w końcu. – Największa. Jakby pokonanie twojego wuja i odbicie Miromary było łatwe...

Sera już miała przyznać jej rację, gdy poczuła ostry ból w ogonie. Wzdrygnęła się i zagryzła wargi, powstrzymując krzyk. Emocje, jakie udzieliły jej się po odnalezieniu sekretnych pomieszczeń Moruadh oraz mozaik, chwilowo uśmierzyły ból, ale teraz wrócił ze zdwojoną siłą.

– Coś nie tak? – spytała z troską Sophia.

– Mój ogon... – rzekła Sera.

Sophia ujęła ją pod ramię.

– Usiądź, Sero. Potrzebujesz odpoczynku.

Syrena się odwróciła.

– Nie, musimy ruszać.

Sophia zaczęła protestować, ale Sera jej przerwała. Popatrzyła przyjaciółce w oczy.

– Sophia, ciągle krwawię, a jeźdźcy śmierci nadal grasują w okolicy – rzekła. – Powiedziałam ci o talizmanach, ponieważ ci ufam, ale miałam jeszcze jeden powód. Jeśli uda ci się dotrzeć do kwatery głównej, a mnie nie, musisz opowiedzieć Neeli, co tu zobaczyłyśmy. Obiecuj mi to. Ta wiedza nie może umrzeć wraz ze mną.

Sophia pokręciła głową.

– Będziesz musiała sama z nią porozmawiać, ponieważ ci się uda. Już ja tego dopilnuję – oznajmiła.

– Sophia, posłuchaj...

– Nie, Sero, to ty posłuchaj. Nie uda im się to. Vallerio, Portia, Lucia, Mfeme nie mogą... – przerwała, gdyż załamał jej się głos. Syrena z trudem zdołała się opanować. – Nigdy ci nie mówiłam, dlaczego wstąpiłam do Czarnych Płetw. Do mojego domu wtargnęli jeźdźcy śmierci. Zabrali moich rodziców. Mnie udało się złapać młodszego braciszka i ukryć go w ogrodzie. Teraz jest bezpieczny, w towarzystwie przyjaciół, ale moi rodzice zaginęli. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś ich zobaczę.

Sera poczuła ból w sercu.

– Przykro mi, Sophia – rzekła. Doskonale znała jej ból. Sama straciła rodziców, którzy zginęli z rąk Valleria i jego jeźdźców śmierci. Jej brat Desiderio przepadł bez wieści.

– Nie wolno im krzywdzić syren i rozbijać rodzin dla pieniędzy i władzy – oburzyła się Sophia z ponurą miną. – Zostałam Czarną Płetwą, ponieważ pragnę zrobić co w mojej mocy, żeby ich powstrzymać. Na początek odeskortować cię do bazy. Musi być inna droga oprócz tej szczeliny, przez którą tu wpłynęłyśmy. W końcu Moruadh jakoś się stąd wydostała. Wiem, że była potężna, ale nawet ona nie potrafiła przepływać przez skały.

Sera ostrożnie pokiwała głową.

– Rozejrzyjmy się – rzekła.

– Nie, ja się rozejrzę. Ty zostań, zamknij oczy i nabierz sił.

Sera protestowała, ale Sophia była nieustępliwa. Ostatecznie syrena usiadła i pozwoliła, by jej pulsujący z bólu ogon odpoczął. Z drugiej strony pomieszczenia patrzyła na nią Moruadh. Sera odniosła silne wrażenie, że przodkini próbuje jej pomóc.

– Dziękuję ci – wyszeptała syrena. – Dziękuję za Czarne Płetwy i płaszczy. Dziękuję, że dostaliśmy się do skarbcza. Dziękuję za ratunek przed smokami.

Zanim Serafina zamknęła oczy, podziękowała za jeszcze jedno. Za wojowniczkę u swojego boku, która okazała się odważna, lojalna i silna.

Za sojuszniczkę i przyjaciółkę.

Za Sophię.

## Rozdział 9

**S**ILNIKI KUTRA ZATRZYMAŁY się bez ostrzeżenia. Ich niskie dudnienie nieustannie wibrowało w powietrzu przez ostatnie trzy tygodnie, więc nagła cisza robiła wyjątkowo złowrogie wrażenie.

– Dlaczego się zatrzymujemy? Co się dzieje? – zawołała jakaś syrena.

Ling, która do tej pory siedziała z wyciągniętym przed siebie ogonem, oparta o zimny, metalowy kadłub statku, natychmiast się zaniepokoiła.

„Dotarliśmy na miejsce, gdziekolwiek to jest – pomyślała ze strachem. – To moja ostatnia szansa. Teraz albo nigdy”.

Syrena, która odezwała się wcześniej, znów zaczęła mówić:

– Dokąd nas zabierają? – zapytała głosem drżącym ze strachu.

Ling zauważyła, że syrena jest bardzo blisko niej, a obok niej siedzi dwoje małych dzieci.

– Zamknij się! Tylko pogarszasz sprawę! – ryknął na nią syren.

– Nie krzycz na nią. Jest wystraszona! – wtrąciła się Ling.

– Wszyscy jesteśmy! – odszczeknął syren.

– Ale nie wszyscy zachowujemy się jak ciołki – odparła Ling.

Syren rzucił się na nią, ale powstrzymał go łańcuch.

– Mamo, jestem głodna – odezwało się jedno z dzieci syreny. – Dlaczego nie słychać już tego dźwięku? Nie podoba mi się to!

– Ciii, wszystko w porządku – uspokajała matka. – Wkrótce przyniosą jedzenie. Nic nam nie będzie.

To nie była prawda. Ling była przekonana, że niedługo sprawy się skomplikują. Musiała uciec, zanim do tego dojdzie. Musiała znaleźć sposób na poinformowanie Serafiny i reszty o tym, czego się dowiedziała na pokładzie statku.

Istniała tylko jedna droga ucieczki, prowadząca przez drzwi oddzielające sekcję z więźniami od pozostałej części ładowni. Za nimi znajdowała się śluza, przez którą jeźdźcy śmierci wchodzili na pokład oraz go opuszczali. Ling zauważyła, jak ona działa, kiedy sama została zabrana na statek. Teraz próbowała sobie przypomnieć, które guziki na panelu kontrolnym naciskali jeźdźcy. Gdyby udało jej się tam dostać, może zdołałaby się oswobodzić. Problem w tym, że była zakuta w kajdany, a strażnicy mieli do nich klucze. Nosili je na breloczkach, tuż przy pochwach na włócznie.



Już wcześniej próbowała ukraść klucze. Raz udawała, że się przewraca, uderzając przy tym strażnika. Innym razem próbowała zabrać klucze wartownikowi, którego ciągnęła za rękaw, błagając go o jedzenie. Żołnierze byli wyczuleni na sztuczki więźniów i jedyne, co zdołała otrzymać wskutek swoich prób, to uderzenie w twarz.

Jednak teraz statek się zatrzymał. Coś się działo. Czowała to. Może dzięki temu otrzyma kolejną szansę?

Ling, wraz z trzystoma innymi syrenami, była uwięziona wewnątrz ogromnego kutra o nazwie Bedrieer. Ładownia statku była wypełniona słoną wodą, ale przy takiej liczbie więźniów woda stała się mętna i w zasadzie nie dało się w niej oddychać. Wszyscy więźniowie mieli na szyjach żelazne obręcze niepozwalające na wykonywanie pieśni magii śpiewu. Ci, których jeźdźcy śmierci uznali za wyjątkowo niebezpiecznych, zostali przykuci do ścian. Ling zapłaciła już cenę za swoją niewolę. Jej lewe oko było mocno podbite, włosy miała potargane. Opatrunek na jej ręce był brudny, a niegdyś jaskrawopomarańczowe cętki na srebrzystym ogonie straciły blask.

Bedrieer należał do potwornego terragoga imieniem Rafe Iaoro Mfeme. Tak przynajmniej wydawało się Ling, gdy znalazła się pod pokładem. Jeźdźcy śmierci otoczyli ją i schwytali, kiedy płynęła przez wody Qin w drodze do domu. Mfeme najpierw przesłuchał syrenę, próbując uzyskać od niej informacje na temat talizmanów, ale nic mu nie powiedziała. Wtedy ujawnił swoją prawdziwą tożsamość.

Był to Orfeo, najpotężniejszy z magów, jaki kiedykolwiek istniał. Gdy zdjął okulary przeciwsłoneczne, okazało się, że za nimi nie ma nic. Tylko puste, czarne oczodoły. Ten widok zmroził krew w żyłach Ling. Zdała sobie sprawę, że widziała go już wcześniej – w lustrze w Atlantydzie. Próbował się przez nie przebić i pochwycić ją i Serafinę, jednak Sera stłukła zwierciadło, zanim mu się to udało.

– Nie możesz być Orfeem. To niemożliwe! – wyszeptała wtedy. – Jesteś martwy od czterech tysięcy lat!

Orfeo tylko się roześmiał.

– Kiedy czegoś bardzo pragniesz, Ling, wszystko jest możliwe.

– Nie wierzę ci! – odparła Ling.

Jednak w czasie ich rozmowy promienie zachodzącego słońca odbiły się od czarnej perły, którą miał na szyi.

„Perła!” – Ling przypomniała sobie, że talizmanem Orfea była właśnie czarna perła podarowana mu przez Morse. Czyżby to ona w jakiś sposób pomagała mu zachować życie? Wtedy Ling uwierzyła w jego słowa i poczuła ogromny lęk, lecz nie o siebie, ale o przyjaciółki. One nie miały pojęcia, kim naprawdę jest Mfeme. Syrena tak bardzo pragnęła je powiadomić, że spróbowała rzucić *convocę*, jednak Orfeo założył jej na szyję żelazny kołnierz, zanim zdołała zaśpiewać pierwsze słowa pieśni magii śpiewu.

– Nie ma potrzeby ostrzegać twoich przyjaciółek, Ling – powiedział wtedy. – Nie mam zamiaru ich zabijać. Jeszcze nie teraz. Chcę, żeby żyły i odszukały dla mnie pozostałe talizmany.

Miałem nadzieję, że znajdą je Vallerio i jego żołnierze, ale na razie zdobyli tylko jeden – błękitny diament Moruadh.

Serce Ling wypełniło się goryczą klęski. Orfeo miał już dwa talizmany: swój i Moruadh. W jaki sposób ona i pozostałe syreny mogą mu je odebrać?

Orfeo usiadł na burcie i rozejrzał się po okolicy.

– Kilka stuleci temu sam prawie zdobyłem błękitny diament. Byłem tak blisko celu, gdyby nie infantka i ten przeklęty jastrząb... – To mówiąc, machnął ręką. – Nieważne. Cierpliwość popłaca. Neela znalazła swój talizman. Ava i Becca też dadzą radę. Astrid nawet nie próbuje się za nim rozglądać, ale przecież... – na te słowa dotknął czarnej perły – wcale nie musi.

Orfeo przeniósł bezduszny wzrok z powrotem na Ling.

– A ty... Liczyłem, że zlokalizujesz swój talizman, ale nie ma powodu do zmartwień. Ja to zrobię. Bo wiesz, Ling, istnieje pewna prawidłowość. Moruadh ukryła swój klejnot u wybrzeży własnego królestwa i umieściła go w bardzo niebezpiecznym miejscu – w rękach człowieka. Kamień księżycowy Navi również znalazł się w rodzinnych stronach właścicielki – w szponach królowej smoków.

Ling nie chciała uczestniczyć w tej rozmowie, ale była tak wściekła, że Orfeo posiadał już dwa talizmany i wiedział o Neeli, że nie potrafiła się powstrzymać od zabrania głosu.

– Skąd wiesz, że Neela ma kamień księżycowy? – wydukała.

– Ponieważ Hagarla, królowa smoków, jest niepoczyszona, że skradziono jej skarb. Chce go z powrotem, dlatego temu, kto zwróci jej kamień, oferuje wielką fortunę. Usłyszał o tym jeden z jeźdźców śmierci i doniósł Traho. Ja dowiedziałem się od niego.

Orfeo zamilkł, by rozwiązać pęta, którymi Ling była przymocowana do krzesła. Mówił dalej.

– Moruadh była taka głupia. Zawsze kierowała się sercem – rzekł. – Nie dziwi fakt, że ukryła talizmany blisko miejsc, z których pochodziliśmy. Co oznacza... – to mówiąc, położył ręce na oparciu krzesła i popatrzył Ling w oczy – że talizman Sycorax, czyli starożytna układanka w kształcie kuli, znajduje się gdzieś w Qin. A które miejsce w Qin jest najniebezpieczniejsze? – Mężczyzna wyprostował się i klasnął w dłonie. – Oczywiście Wielka Głębia!

– Głębia jest nieskończona. Nigdy nie znajdziecie tak małego przedmiotu na tak wielkiej przestrzeni – rzekła Ling. Syrena widziała takie kule. Były niewielkie, starannie wyrzeźbione i zawierały w sobie kilka mniejszych kul. W każdej z nich był otwór. Aby ułożyć układankę, należało ustawić wszystkie otwory w jednej linii, tak by gracz mógł zobaczyć, jaka niespodzianka znajduje się w środku.

Orfeo się uśmiechnął.

– Masz rację. Ja sam nie znajdę tej kuli, ale tobie może się udać. Na pewno będziesz miała okazję rozejrzeć się za nią tam, dokąd zmierzasz.

„Więc to tam kierował się Bedrieer – pomyślała wtedy. – Do Wielkiej Głębi”. Tylko po co? Czego mógł tam szukać taki kuter? Nawet łodzie podwodne nie były w stanie przemierzyć tego bezkresu. Same syreny unikały tego miejsca. Ojciec Ling, który był archeologiem, zginął właśnie

tam. Wyruszył na poszukiwania, z których nigdy nie wrócił. Rodzina podejrzewała, że zapadł na chorobę głębinową.

– Ja zdobędę wszystkie talizmany, Ling – ciągnął Orfeo z coraz pewniejszym uśmiechem. – A Vallerio zapanuje nad podwodnymi królestwami. Zjednoczy je pod jednym berłem. Pomoże mi uwolnić Abbadona i razem ruszymy do krainy zmarłych. Będziemy walczyć z samymi bogami, a zwycięstwo będzie moje. Odzyskam Almę, nawet jeśli będzie to oznaczało zniszczenie całego świata.

Następnie wykonał gest w stronę dwóch stojących obok drabów. Mężczyźni podnieśli Ling z krzesła i wrzucili do ładowni. Od tamtego czasu syrena poświęciła każdą minutę na szukaniu drogi ucieczki.

Wtem z zamyślenia wyrwał ją głuchy grzmot. Bedrieer rzucał kotwicę. Wszędzie wokół więźniowie zbliżyli się do siebie, sparaliżowani strachem.

– Co się dzieje? Gdzie jesteśmy? Co oni z nami zrobią? – wołały spanikowane głosy. Jeźdźcy śmierci nie kazali im czekać długo na odpowiedź.

## Rozdział 10

**B**ECCA POPATRZYŁA z tęsknotą na kosz pełen błotnych melonów na straganie farmera. Do ust napłynęła jej ślina na samą myśl, że mogłaby rozciąć jeden z owoców i nabrać łyżkę kleistego czarnego miąższu.

Melony były drogie, a Becce zostało niewiele pieniędzy, zaledwie garstka miedzianych i srebrnych muszelek. Monety musiały jej wystarczyć na dłuższy czas. Syrena była jeszcze daleko od domu, a pływanie z pustym żołądkiem nie należało do przyjemności. Doskonale o tym wiedziała.

– Poproszę cztery jabłuszka wodne – rzekła z westchnieniem, poprawiając okulary, których oprawki zrobiono z polerowanych muszli małża, a szkła ze skalnego kryształu. Sporo ważyły i często zsuwały się jej z nosa.

Farmer wyjął kilka dorodnych owoców i przełożył je do torby Bekki. Syrena zapłaciła, po czym popłynęła szukać jaj kałamarnicy, aby urozmaicić śniadanie.

Targowisko znajdowało się w publicznym budynku pośrodku dość dużej wioski. Becca miała sporo szczęścia, że się na nie natknęła. Tego ranka zjadła ostatnią garstkę oliwek rafowych. Była już pora obiadowa, a jej żołądek skręcał się z głodu.

Pływając po ryneczku, Becca zaobserwowała kilka niepokojących rzeczy. Na jednej ze ścian budynku widniał napis JEŹDŹCY ŚMIERCI GRASUJĄ!, a kilka stoisk było pustych.

– Gdzie się podziewa dziś Pete? – zawołał jeden z farmerów do innego, kiedy Becca przepływała obok nich.

– Nie ma co sprzedawać! Przyplłynęli żołnierze i zabrali mu zbiory!

Syrenę przeszedł zimny jak lód dreszcz. Wyglądało na to, że strefa wpływów Traho objęła już Atlantykę. Becca odgarnęła kosmyk włosów za ucho i ruszyła dalej. Miała plan: dziesięć minut na kupno jedzenia, nie więcej. Później czekał ją powrót na otwartą wodę. W bocznych nurtach czuła się swobodniej. Jeźdźcy śmierci próbowali ją dopaść już od czasu pierwszej potyczki w jaskiniach ieli. Syrena wątpiła, że byliby skłonni porzucić pogoń.

Kilka minut później Becca zauważyła stertę jaj kałamarnicy.

– Ile? – spytała farmera.

– Pięć muszli za funt. Pierwszy gatunek – oznajmił, dumnie prezentując miękką kiść. Woreczki z jajkami przypominały Becce pulchne paluszki. Uwielbiała to uczucie, gdy pękały w jej ustach po rozgryzieniu. Podobnie jak melony, były dla niej za drogie, ale miała nadzieję, że jeśli się dobrze rozejrzy, znajdzie nieco mniejszą kiść.

– Wezmę dwie kiście – odezwał się czyjś ostry głos z drugiego końca stoiska.

Becca od razu go rozpoznała. Wyciągnęła szyję, starając się dostrzec coś przez tłum kupujących. Przy stoisku, uderzając niecierpliwie palcami o ladę, stała syrena z blond warkoczami i czarno-białym ubarwieniem orki.

„O rety, to Astrid” – pomyślała Becca.

Nie miała ochoty się z nią zadawać. Choć Astrid pochodziła z mroźnych wód Arktyki, płynęła w niej gorąca krew. Była nieokrzesana i bezczelna, a do tego samolubna, o czym świadczyła jej ucieczka z jaskini ieli. Pozostawiła wtedy towarzyszek same w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Gdyby Abbadon został uwolniony, potwór mógłby zniszczyć cały podwodny świat. Astrid, podobnie jak inne syreny, miała obowiązek pomóc w walce z bestią. Jak mogła zdezerterować?

Becca postanowiła zrezygnować z jaj kałamarnicy i oddalić się, zanim Astrid ją dostrzeże, ale nie było to łatwe. Budynek, w którym mieściło się targowisko, miał tylko jedno wyjście i wejście i aby się tam dostać, musiałyby przepłynąć obok Astrid.

„Może jeśli popłynę w przeciwnym kierunku, uda mi się tak wymanewrować, że mnie nie zauważy” – pomyślała.

W tej samej sekundzie Astrid obróciła głowę w jej stronę. Becca przykucnęła. Kiedy po chwili ośmieliła się podnieść wzrok, zdała sobie sprawę, że niepokorna syrena płynie wprost ku niej!

Becca wcisnęła się pod ladę jednego ze stoisk, przepaszając za to zaskoczonego sprzedawcę. Gdy się upewniła, że Astrid ją minęła, wyszła z ukrycia i ruszyła w stronę wyjścia.

Syrena nie spuszczała wzroku z wysokiej bramy, co pomagało jej nie zgubić się w labiryncie alejek. Kiedy była już prawie u celu i niemal gratulowała sobie świetnego refleksu, zastąpił jej drogę jakiś syren.

– Świeżutkie krabie jaja! Dopiero zebrane! – ryknął, podstawiając syrenie pod nos muszlę małża pełną maleńkich pomarańczowych kulek.

– Nie, dziękuję – rzuciła Becca, po czym skręciła w prawo. Syren podążył za nią, więc zrobiła unik w lewo, ale natręt znów był przed nią.

– No, rudzielcu, kup kilka jajek. Są w promocji! Dwie muszle za funt!

Becca zrozumiała, że nie uda jej się ominąć sprzedawcy, nie kupując jego towaru.

– Dobrze, wezmę pół funta – rzuciła pospiesznie. – Może je pan szybko zapakować?

– Się robi! – odrzekł syren, po czym wrócił za ladę i odważył pół funta jaj, starannie odsypując je z pojemnika na wadze, by przypadkiem nie podać syrenie za dużo.

– Oto zapłata. – Becca niecierpliwie przekazała sprzedawcy kilka monet.

– Krabie jaja doskonale pasują do wieloszczetów. Ale kiedy będziesz je gotować, rób to na wolnym ogniu i nigdy nie...

Becca nie pozwoliła mu dokończyć.

– Świetnie. Dziękuję. Muszę lecieć – pożegnała się, sięgając po zakupy. Otworzyła walizkę i schowała do niej torbę ze śniadaniem.

– Becca? Czy to ty?

„Na rzeczny muł!” – pomyślała Becca, po czym się odwróciła.

– Witaj, Astrid – rzekła z wymuszonym uśmiechem.

Astrid zmrużyła oczy, jakby nie wierzyła w to, co widzi.

– Co ty tu robisz? Wydawało mi się, że jesteś z... – to mówiąc, rozejrzała się ostrożnie – resztą.

Becca poczuła ulgę, że syrena nie powiedziała o słowo za dużo.

– I byłam – odparła. – Problem w tym, że miałyśmy pewnych... nieproszonych gości. Teraz wracam do domu.

Astrid otworzyła szeroko oczy.

– Co się stało? – spytała cicho, na co Becca uniosła brwi.

– Nagle się nami przejmujesz?

– Oczywiście, i to bardzo.

– W dziwny sposób to okazujesz. – Becca płonęła z gniewu.

– A pozostałe... Czy one... – zaczęła Astrid.

– Żyją? Zginęły? – Becca przerwała jej pytanie. – Nie mam pojęcia. Zostałyśmy zaatakowane. Nie wiem nawet, czy udało im się opuścić jaskinię.

Astrid skrzywiła się, słysząc ton Bekki.

– Przykro mi – rzekła.

– Przykro ci? – powtórzyła z niedowierzaniem Becca. – Wiesz co, Astrid? Nie masz prawa o nic pytać po tym, jak nas zostawiłaś.

Astrid, która do tej pory wbijała wzrok w ziemię, wreszcie spojrzała syrenie w oczy.

– Ale jest mi przykro i naprawdę się przejmuję – odparła.

Becca zdziwiła się, że w oczach Astrid widać szczyry smutek. Zastanowiło ją to, ale nie miała czasu na głębsze przemyślenia.

– Posłuchaj, nie mogę tu dłużej zostać. Przyplłynęłam tylko po coś do jedzenia – oznajmiła. – Mam na ogonie szalonych zabójców, wiesz?

– Na wschodzie znajduje się skalista dolina. To po drodze, przynajmniej dla mnie. Być może dla ciebie też. Mogłybyśmy znaleźć tam jakieś schronienie i zjeść wspólnie – zaproponowała Astrid. – Opowiedziałabyś mi, co się wydarzyło.

Becca nie miała ochoty spędzać więcej czasu w towarzystwie tej syreny. Miała swój plan i zamierzała się go trzymać.

– Przepraszam, spieszę się.

– Becca...

– Astrid, naprawdę nie mogę. Rozumiesz? Muszę...

– Becca, nie odzywaj się.

– Co takiego? Dlaczego? – spytała zniecierpliwiona Becca. – To nie ja...

– Becca, proszę! – syknęła Astrid. Nie patrzyła już na syrenę, ale gdzieś w dal, przez wejście do budynku, w kierunku głównego placu.

Becca podążyła za wzrokiem syreny i wstrzymała oddech.

Do targowiska zbliżało się dwudziestu żołnierzy ubranych w czarne mundury.

# Rozdział 11

**Z**ANIM BECCA ZORIENTOWAŁA się, co się dzieje, Astrid chwyciła ją za rękę i wciągnęła pod pustą ladę.

– Jeźdźcy śmierci. Dowiedzieli się, że tu jesteśmy. – Astrid mówiła teraz przyciszonym głosem.

– Ale jak...? – panikowała Becca.

– Ktoś musiał cię rozpoznać i im donieść. Nie bardzo wtapiasz się w tłum z tymi rudymi włosami.

– Ja? A ty i twój czarno-biały ogon?

– Chcesz się teraz kłócić? Czy raczej się stąd wydostać?

Jeden ze stołów pofrunął w górę. Obie syreny wzdrygnęły się, słysząc przeraźliwy trzask.

– Są już na targowisku – dodała ponuro Astrid. – Ucieczka właśnie stała się jeszcze trudniejsza.

Wtedy Becca coś sobie przypomniała.

– Mam przy sobie perły niewidzialności! – wyszeptała. – Dostałam je od Vrăi. Dzięki nim może uda nam się uciec!

Becca wyjęła jedną perłę, ale Astrid pokręciła głową.

– Na mnie nie podziałają – odrzekła.

– Pewnie, że podziałają. Tak jak na wszystkich! – upierała się Becca.

– Na mnie nie. Rzuć jedną i uciekaj. Prędko! – ponagliła Astrid.

– Nie, nie zostawię cię tutaj.

Astrid przerwała obserwację przez szparę pod stołem i popatrzyła na syrenę. W jej oczach wciąż było widać głęboki smutek.

– Powinnaś mnie zostawić – skwitowała Astrid.

– Dlaczego? Bo ty nas zostawiłaś? To, że jesteś starą flądram, nie znaczy, że muszę być taka sama! – rzuciła w złości Becca.

– Nie! Dlatego, że nie mogę ci pomóc! Nie mogłam w jaskiniach ieli ani tutaj. Jedyne, co mogę zrobić, to sprowadzić na ciebie śmierć! – odparła Astrid.

– O czym ty mówisz? Co chcesz...

Pytania Bekki przerwały kolejne trzaski, tym razem rzucanych koszy i skrzyń. Jeden z farmerów zaprotestował i został uderzony. Becca zaczęła się trząść. Jeźdźcy śmierci szli przez



targowisko i z każdą sekundą zbliżali się do syren.

– Masz coś jeszcze w tej torbie? Cokolwiek? – spytała Astrid.

Becca słyszała teraz w jej głosie strach. Ponownie przeszukała walizkę.

– Mam buteleczkę eliksiru Mojżesza – rzekła.

– Nie mam pojęcia, co to takiego – przyznała Astrid.

– Ja też nie. No właśnie... Zaraz, poczekaj. Jest jeszcze to... – to mówiąc, wyciągnęła sporą muszlę jeżowca. Była wypełniona atramentem kałamarnicy i uszczelniona pastą z wodorostów. Dostała ją od Vrăi wraz z perłami niewidzialności i eliksirem Mojżesza.

Oczy Astrid rozblęły.

– Bomba atramentowa! Super! – wyszeptowała, biorąc broń od Bekki. Po chwili jeszcze raz ostrożnie wyjrzała spod blatu. – Spróbuję odciągnąć żołnierzy od drzwi. Zostań tutaj aż do wybuchu i nie przejmuj się tym, co będę mówić. Później rzuć perłę niewidzialności i kieruj się do wyjścia. Gotowa?

Becca nie była gotowa, ale pokiwała głową.

Astrid wzięła głęboki oddech. Opuściła kryjówkę i popłynęła na koniec budynku. Następnie uniosła się ponad kramy i zawołała:

– Hej, poddaję się! Zostawcie w spokoju tamte syreny! – Astrid trzymała ręce w górze, ale schowała je za karkiem, by ukryć bombę atramentową.

Becca patrzyła spod blatu z sercem w gardle, jak jeźdźcy śmierci zbliżają się do syreny.

– Gdzie ta druga? – krzyknął sierżant.

– Jaka druga? – spytała Astrid, rzucając żołnierzowi zdziwione spojrzenie.

– Druga syrena! Wiemy, że tu jest!

Astrid przeniosła wzrok na sufit.

– Szybko, Becca! Płyn! – krzyknęła.

Na twarzy sierżanta pojawiło się zrozumienie.

– Rzuciła perłę niewidzialności! – zawołał. – Jest pod sufitem i zmierza do wyjścia! Nie pozwólcie jej uciec!

Becca ani drgnęła, pamiętając polecenie Astrid, by czekała na wybuch. Żołnierze stojący przy drzwiach popłynęli w górę z wyciągniętymi przed siebie harpunami.

Wtedy Astrid zaatakowała. Syrena z całej siły rzuciła bombą w dno. Ta eksplodowała z wielkim hukiem, wypełniając budynek gęstą chmurą dławiącego atramentu. Syrena podpłynęła bliżej dna i popędziła do wyjścia, wyprzedzając Beccę, która po chwili ją dogoniła i obie mknęły zygzakiem między kramami, skrzynkami i wystraszonymi mieszkańcami wioski.

Wokół zrobiło się ciemno jak w nocy, ale chmura atramentu nie zdążyła jeszcze opaść na dno. Becca z największym trudem mogła określić, dokąd płynie. Astrid skręcała to w lewo, to w prawo i po jakimś czasie zobaczyły przed sobą drzwi. Syrena przyspieszyła i udało jej się

przedostać na drugą stronę. Becca nie oddalała się od niej na krok. Kiedy była już prawie na zewnątrz, poczuła, że chwyta ją para silnych dłoni. Wypadła przez drzwi razem z uczepionym jej ogona jeźdźcem śmierci. W całym zamieszaniu syrena zapomniała rzucić perłę niewidzialności.

– Dokąd się wybierasz? Nikt stąd nie wypłynie! – szczechnął na nią syren. Po chwili zlustrował ją wzrokiem, który zatrzymał się na rudych włosach. – To ty! – syknął.

– Puść mnie! – odrzekła Becca, próbując się uwolnić.

Jednak żołnierz tylko zacieśnił uścisk. Już otworzył usta, by zawołać towarzyszy, kiedy... otrzymał cios.

Astrid uderzyła go tak mocno, że stracił przytomność, jeszcze zanim spadł na dno.

Zszokowana Becca przeniosła wzrok ze znokautowanego jeźdźca śmierci na Astrid, ale ta płynęła już z powrotem w kierunku drzwi budynku.

– Pomóż mi! – zawołała, zamykając od zewnątrz jedno wrota.

Becca chwyciła drugie drzwi i także je zatrzasnęła.

Oba skrzydła miały kręconą żelazną klamkę. Astrid odpięła swój pas z rekiniej skóry, oplótła nim klamki i zawiązała na mocny węzeł. Po chwili syreny usłyszały dudnienie i krzyki żołnierzy, którzy próbowali staranować drzwi.

– Ten pas nie powstrzyma ich na długo – rzekła Astrid, wycofując się. – Płynimy, Becco.

Syrena się zawahała. Nie taki miała plan. Jeszcze przed chwilą tak bardzo gniewała się na Astrid, że nie zamierzała opuścić wioski w jej towarzystwie.

„Nie ufam jej – pomyślała Becca. – Nawet jej nie lubię. Jest niemiła, trudna w obyciu...”.

„Ale i odważna – dodał inny głos w jej głowie, ten, któremu Becca niechętnie przyznawała rację. – Właśnie uratowała cię przed schwytaniem”.

– Posłuchaj, jeśli chcesz, możesz tu zostać, ale ja spływam – rzekła Astrid, spoglądając z niepokojem na drzwi. Łomot po drugiej stronie stawał się coraz silniejszy. Wokół zaczęli się gromadzić mieszkańcy wioski.

– Co się stało? – spytał jeden z nich. – O co chodzi?

Becca pokiwała do Astrid głową.

– No dobrze – skapitulowała. – Płynimy.

Syreny wyruszyły głównym nurtem w kierunku otwartego morza, zostawiając za sobą jeźdźców śmierci.

## Rozdział 12

**W** ODLEGŁOŚCI MILI MORSKIEJ od wioski płaskie dno ustąpiło miejsca wzniesieniom Skłonu Bermudzkiego. Becca i Astrid odkryły skalny nawis, pod który wpłynęły, aby go zbadać. Pod nawisem znajdowała się okazała podwodna jaskinia. Syreny wiedziały, że w środku będą niewidoczne dla wszystkich przepływających górą.

– Zaczekaj tu – poleciła Astrid. Syrena popłynęła pierwsza z mieczem w pogotowiu. – Czysto! – oznajmiła po minucie.

Becca dołączyła do niej, po czym rzuciła *illuminatę*, aby oświetlić ciemną jaskinię. Następnie położyła na dnie swoją walizkę, otworzyła ją i wyjęła koc z morskiego lnu. Pomyślała, że świetnie się nada na obrus. Syrena rozwinęła koc i już miała go rozkładać na dnie, gdy zauważyła, że podłoże jaskini jest pokryte mułem.

– Astrid, mogłabyś usunąć najpierw ten muł? – zasugerowała. – Inaczej będzie go pełno w naszym jedzeniu.

– Pewnie – odrzekła Astrid, po czym zaczęła zamiatać za pomocą płetwy ogonowej.

Becca zdziwiła się tym widokiem. Większość syren rzuciłaby proste zaklęcie *canta prax*. Metoda, którą wybrała jej towarzyszka, była czasochłonna i poskutkowała zmętnieniem wody w całej jaskini. Kiedy muł opadł na dno, Becca rozłożyła wreszcie koc.

Astrid zajrzała do torby i wyjęła z niej zakupione produkty. Oprócz jaj kałamarnicy miała dojrzałego melona błotnego, ostrygi oraz kilka mułowych czereśni. Po chwili usiadła na kocu.

Becca z zażenowaniem umieściła na kocu jabłka wodne i krabie jaja. Było jej głupio, że jej wkład w posiłek jest tak mizerny.

– O, jabłuszka wodne. Moje ulubione – ucieszyła się Astrid, po czym ugryzła jedno z nich.

Becca wiedziała, że to nieprawda. Gdyby tak było, sama kupiłaby jabłka dla siebie. Tak czy inaczej był to miły gest i do tego zaskakujący, ponieważ pochodził od Astrid.

– Poczęstuj się jajami kałamarnicy – zaproponowała Astrid, podając Becce całą kiść.

Syrena oderwała sobie jeden woreczek z jajkiem i wsunęła go do ust.

– Mmm, pycha – rzekła, siadając na wprost Astrid.

– Jedz ile możesz. Kupiłam za dużo i nie chcę tego wszystkiego dźwigać. Nie powinnam robić zakupów, kiedy jestem głodna – dodała Astrid, wgryzając się w jabłko.

Becca temu także nie dawała wiary. Odniosła wrażenie, że Astrid zauważyła, iż Becca nie ma zbyt wiele pieniędzy, ale próbowała tego nie okazywać.

Becca skrzywiła się w grymasie. Ta pełna rozwagi Astrid, z którą teraz rozmawiała i która

uratowała ją przed jeźdźcami śmierci, nie pasowała do obrazu Astrid, jaki Becca zapamiętała z jaskini ieli. Syrena zastanawiała się, czy aby nie osądziła jej wtedy zbyt pochopnie. Co do jednego nie miała wątpliwości – Astrid należały się przeprosiny.

– Słuchaj, Astrid...

– Hmm? – odparła syrena, przełykając jabłko.

– Dzięki, że wyciągnęłaś mnie z tego targowiska. Jestem ci naprawdę wdzięczna.

Astrid odpowiedziała jej skromnym uśmiechem.

– Nie powinnaś. Przeze mnie prawie cię złapali.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwiła się Becca.

– Gdyby nie ja, mogłabyś uciec od razu. Wystarczyło rzucić perłę niewidzialności.

Becca przypomniała sobie, że Astrid nie chciała od niej perły.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego ty też byś nie mogła.

Astrid odwróciła wzrok.

– Tak jak mówiłam, na mnie nie działają. – Wrócił jej oschły ton.

– Ale...

– Opowiedz mi o ielach – poprosiła Astrid, zmieniając temat. – Co się stało? Dlaczego nie jesteście razem?

Becca zrozumiała, że Astrid nie ma zamiaru jej tego wyjaśniać. Opowiedziała więc, jak Markus Traho i jego żołnierze odnaleźli jaskinie ieli i o tym, jak ona, Ling, Sera, Ava i Neela ledwie uszły z życiem, uciekając do lustra, które Vřāja trzymała w incantarium.

– To w ten sposób dostałaś się tak szybko do Północnej Atlantyki – rzekła Astrid. – Zastanawiałam się, jak to możliwe. Mnie przepłynięcie tej drogi zajęło kilka tygodni.

– Vadus to okropne miejsce. Ciągle się bałam, że natknę się na władcę luster, ale pewnie miał ważniejsze rzeczy do roboty. Kilka vitrin pokazało mi wyjście... ale dopiero po tym, jak powiedziałam im z tysiąc komplementów – dodała Becca, wzdygając się na samo wspomnienie krainy luster.

– A co z Vřają? Udało jej się uciec? – spytała Astrid.

– Chciałabym to wiedzieć – odparła Becca. – Myślę o tym, odkąd uciekłam. Modłę się do bogów o jej zdrowie i życie. Podobnie jak pozostałych. Od tak dawna nie miałam od nich żadnego sygnału. Próbowałam przywoływać je *convocą*, ale na próżno. Bardzo mnie to martwi. Moja magia jest teraz silniejsza, więc powinnam być w stanie się z nimi kontaktować.

Astrid wzięła woreczek z jajkiem i go odłożyła.

– Twoja magia jest silniejsza? Jak to? Naprawdę? – Astrid była wyraźnie zaciekawiona.

– Zanim uciekłyśmy, złożyłyśmy śluby krwi – wyjaśniła Becca. – Od tamtej pory rozumiem języki, których wcześniej nie znałam, rzucam świetne *illuminaty* i inne zaklęcia. To chyba dlatego, że płynie we mnie krew innych syren.

– Nieźle. Brzmi super – przyznała Astrid z nutą goryczy w głosie.

– Też tak uważam. Ale skoro mam wystarczająco dużo mocy, by rzucić silną *convocę*, dlaczego nie jestem w stanie porozumieć się z resztą? A jeśli to dlatego, że nie da się z nimi skontaktować? Może zostały schwytane albo... gorzej... – rzekła Becca głosem pełnym troski.

– Na rzucanie zaklęć wpływa wiele czynników. Pływy, fazy księżyca, obecność lub brak wielorybów. Wszyscy o tym wiedzą.

Becca pokiwała głową bez przekonania. Ani na chwilę nie przestawała się martwić o cztery przyjaciółki.

Astrid jakby odczytała te wątpliwości z jej twarzy, ponieważ odrzekła:

– One są mądre, Becco. A do tego twarde. Skoro udało im się dotrzeć do samej Aluty, zdołają wrócić do domów.

– Mówisz tak, jakbyś je lubiła – rzuciła Becca oskarżycielskim tonem. Syrena nadal nie rozumiała, dlaczego Astrid opuściła resztę w jaskiniach ieli, i cały czas była na nią z tego powodu zła.

– Bo je lubię – odparła Astrid. – Ciebie też.

– Więc dlaczego z nami nie zostałeś? – spytała Becca.

– Dlatego.

Becca zachnęła się.

– „Dlatego”? Co to za odpowiedź, Astrid? Jaka była prawdziwa przyczyna?

– Po prostu nie mogłam, okej? To wszystko jest naprawdę skomplikowane – odrzekła oschle Astrid.

Becca uniosła rękę.

– W porządku, nie musisz mi mówić. Wcale mi na tym nie zależy.

Jeszcze przed kilkoma minutami syrena zastanawiała się, czy nie pomyliła się co do Astrid. Teraz wiedziała, że jednak miała rację. Astrid zachowywała się równie perfidnie jak na początku.

Zapadła niezręczna cisza. Becca sięgnęła po czereśnię i wtedy zauważyła, że po melonie coś przeszło.

– Faj, kraby. Wywęszyły jedzenie – oznajmiła.

Jaskinię nawiedziła cała armia skorupiaków. Niektóre z nich atakowały jaja kałamarnicy, inne zabierały wodne jabłuszka. Becca próbowała je odpędzić, ale nic sobie z niej nie robiły. Udało jej się strącić z melona jednego z nich, ale w kierunku owoców dreptał już tuzin nowych szkodników.

– Są wszędzie! – krzyknęła Becca, podnosząc czereśnię. – Astrid, mogłabyś mi pomóc?

Syrena sięgnęła do pochwy po miecz i wyjęła go.

– Myślę, że chętnie przygarnę świeże krabie mięsko do mojego melona – rzekła głośno.

Stworzenia musiały znać język syreni, gdyż momentalnie się rozpierzchnęły.

I znowu Becca zdziwiła się, że Astrid postanowiła nie używać magii. „Dlaczego nie rzuciła zaklęcia *commoveo*?” – zastanawiała się, układając owoce z powrotem na kocu. Nie potrafiła pojąć dziwnego zachowania towarzyszk.

I nagle ją olśniło.

„O rany! – pomyślała. – To wszystko wyjaśnia! Jej niechęć do magii śpiewu... Zainteresowanie, gdy wspomniałam o tym, że moja moc rośnie... Jej reakcje obronne... to wszystko wynik tego samego problemu”.

Becca sięgnęła do walizki, udając, że czegoś szuka. Podejrzewała, że udało jej się odkryć prawdziwy powód dziwnego zachowania Astrid, ale chciała się upewnić, zanim dojdzie do konfrontacji.

– Przypomniałam sobie właśnie, że mam parę... kandyzowanych muszli. Będą pasować na deser, prawda? Mogłabyś rzucić jedną *illuminate*? – poprosiła grzecznie. – Ta, którą rzuciłam wcześniej, nie wystarczy do oświetlenia tego bałaganu.

– *Illuminate*? Hmm, chyba nie powinnam – odparła Astrid. – Jestem przeziębiona i mam kiepski głos. Mogłoby się nie udać.

Astrid wcale nie miała chrypki. Becca nie zauważyła, by pociągała nosem.

Była już pewna, że ma rację. Zamknęła walizkę i odłożyła ją na bok.

– Astrid... – rzekła łagodnie.

Syrena szybko odwróciła wzrok, ale Becca zdążyła zauważyć jej zdesperowane spojrzenie i lęk. Rozpoznawała te emocje. Dobrze je znała. Wyciągnęła rękę ku Astrid.

– O co chodzi? O co ci, na bogów, chodzi? – Syrena zacisnęła pięść.

– Nie jesteś przeziębiona, prawda?

Astrid nie odpowiedziała, ale do oczu napłynęły jej łzy.

Było źle. Bardzo źle. Najgorzej jak mogło.

– Och, Astrid. – Becca czuła, jak pęka jej serce na myśl o losie tej silnej, smutnej i nierozumianej syreny. – Ty nie potrafisz śpiewać.

## Rozdział 13

**A**STRID ZMRUŻYŁA OCZY, by powstrzymać łzy, i starała się opanować.

– Oczywiście, że potrafię – protestowała.

Becca pokręciła głową.

– Wcale nie. Dlatego nas zostawiłaś. Nie chciałaś, żeby to się wydało, i bałaś się, że odkryjemy twoją tajemnicę. Bałaś się, że cię nie zaakceptujemy.

Astrid przewróciła oczami.

– Oszczędź mi tej amatorskiej sesji psychologicznej, dobrze? – To mówiąc, wstała i zaczęła pakować resztki jedzenia do plecaka.

– Co ty robisz? – spytała Becca.

– Zbieram się. Muszę ruszać. Straciłam już wystarczająco dużo czasu.

Becca była zszokowana tą zniewagą, ale się nie poddawała.

– Czy to ja zmarnowałam twój czas? Ładnie, Astrid. To w ten sposób traktujesz innych? Odpychając ich, kiedy za bardzo się do ciebie zbliżą? Uciekając, kiedy się wystraszysz?

Astrid tylko prychnęła.

– Niewielu rzeczy się boję, Becco. A już na pewno nie ciebie.

– Boisz się prawdy.

Syrena skończyła się pakować i zapięła plecak.

– Zgadza się – rzekła, po czym zwróciła się do wyjścia. – Miłej podróży.

Becca spróbowała jeszcze raz:

– Astrid! Nie atakuję cię, wiesz? Jestem twoją przyjaciółką... a przynajmniej próbuję nią być.

Astrid się zatrzymała. Opuściła ramiona. Wyglądała jak nadymka, która nagle wypuściła powietrze.

– I rozumiem cię, naprawdę – dodała cicho Becca.

Astrid odwróciła się gwałtownie.

– Wcale nie – syknęła w przypływie emocji. – Jak możesz rozumieć? Ty jesteś normalna. Całe twoje życie jest normalne. Masz rodziców, którzy są z ciebie dumni. Chodzisz do szkoły, gdzie nikt się z ciebie nie śmieje. Nikt cię nie obgaduje. Nikt nie uważa cię za pomyłkę.

– Aha – rzuciła wesoło Becca. – Oto ja, Panna Normalińska.

– A tak w ogóle skąd to wiesz? – spytała Astrid.

– Fakt, że nigdy nie rzucasz zakłęb, dał mi wiele do myślenia. Poza tym...

– Poza tym co?

– Poza tym zawsze wiem, kiedy ktoś coś ukrywa – rzekła Becca.

– Tak? W jaki sposób? – spytała sceptycznie Astrid.

– Bo zwykle to ja jestem taką osobą.

– Ty? Co ty możesz ukrywać? Muszlę z listą zakupów? Mapę pływów? – zażartowała syrena, wytykając towarzysze jej skłonność do bycia superzorganizowaną.

Becca nie roześmiała się.

– Z tobą też nie byłam całkiem szczerą – wyznała, bawiąc się rogiem koca. – Ani z pozostałymi syrenami. Nie chodzę do szkoły. Rzuciłam ją w zeszłym roku, żeby zdobyć pracę. I wcale nie wracam do przytulnego domu i troskliwych rodziców.

– Nie rozumiem. – Astrid odłożyła plecak. – W jaskiniach powiedziałaś, że...

– Powiedziałam kłamstwo. Kłamstwo o szczęśliwym życiu, jakie chciałabym mieć – wyznała Becca i zmusiła się, by spojrzeć Astrid prosto w pytające oczy. – Jestem sierotą. Mój tata zmarł w wyniku zatrucia rtęcią, kiedy miałam cztery lata. Wody, w których dorastał, były pełne tej substancji. Zawsze narzekał na zdrowie, a im był starszy, tym jego stan się pogarszał. Rok po jego śmierci moja mama zginęła zabita przez rybaków. Na szczęście udało się przechwycić jej ciało, zanim wciągnęli ją na pokład. To zawsze coś.

– Becco, nie miałam pojęcia. Bardzo mi przykro – rzekła Astrid, siadając na dnie.

– Nie miałam żadnych krewnych, którzy mogliby mnie przygarnąć, więc trafiłam do domu zastępczego. Panował tam chaos. Starsze syreny zabierały mi jedzenie i rzeczy. Nikogo nie obchodziło, jak sobie radzę w szkole ani nawet czy w ogóle do niej chodzę – zaśmiała się przy tym smutno. – Pewnie dlatego jestem tak chorobliwie poukładana. Zawsze musiałam mieć plan. Plan, by być pierwszą przy stole, aby cokolwiek zjeść. Plan, by dostać się na czas do szkoły. Tak naprawdę pracuję w sklepie Baudel's jako zaklinaczka. Właściciele są dla mnie dobrzy i pozwalają mi mieszkać w lokalu nad sklepem. To małe mieszkanie, ale przynajmniej moje. Mam sypialnię, pokój dzienny i najmniejszą kuchnię na świecie. Ale kocham to miejsce za to, że nie ma tam... barrakud.

Astrid pokiwała głową. Barrakudy to zabójcze ryby o ostrych zębach, ale w potocznym języku syren słowo to oznaczało również łobuzów.

– Wiem, co masz na myśli – odparła Astrid. – Barrakudy nie kradną mi jedzenia... nie odważyłyby się, bo jestem przecież córką admirała... ale mają inną broń: w postaci żartów, szeptów i złośliwości.

– Ty przynajmniej masz rodzinę – rzekła ze smutkiem Becca. – Pewnie fajnie jest mieć rodziców, do których możesz się z czymś zwrócić.

Astrid pokiwała przecząco głową.

– Nie znam tego uczucia. Rodzice się mnie wstydzą – dodała ponuro. – W admirałkiej



rodzinie każdy powinien być co najmniej doskonały. Moi rodzice próbowali utrzymywać ten problem w tajemnicy. Większość mieszkańców Ondaliny niczego się nie domyśla, ale niektórzy w cytadeli wiedzą.

– W czym?

– W cytadeli – powtórzyła Astrid. – To siedziba admirałów Ondaliny, ich rodzin oraz najwyższych urzędników państwowych.

Becca przechyliła głowę na bok.

– Jak to się stało? – spytała.

Syrena niepotrafiąca śpiewać to rzadkość. Sama nigdy dotąd takiej nie spotkała.

– Nie wiem – odrzekła Astrid. – Kiedy byłam mała, miałam dobry głos do śpiewu, ale go straciłam. Stało się to zaraz po święcie Manenhonor, czyli ondalińskim festiwalu księżyca. Tak świetnie się bawiłam, śpiewałam i tańczyłam. Przesadziłam z ciastem manenkager. Robi się je ze sprasowanego kryla i posypuje startą masą perłową. Takie ciasto świeci niczym księżyc.

Becca pokiwała głową. Słyszała o manenkager i wiedziała, że tuż przed włożeniem ciasta do piekarnika z lawą piekarz wrzucał do masy srebrną monetę. Znalezienie jej w swoim kawałku oznaczało, że dana osoba miała cieszyć się szczęściem przez cały nadchodzący rok.

– Kilka dni po festiwalu zaczęłam tracić zdolność śpiewania. Po dwóch miesiącach nie było już po niej śladu. Ojciec wezwał najlepszych lekarzy w kraju. Żaden z nich nie był stanie wyjaśnić, co się dzieje, ale wszyscy powtarzali, że mam szczęście, że w ogóle mówię. – To powiedziawszy Astrid zamilkła, po czym dodała: – Ja bym tego nie nazwał szczęściem. Co znaczy syrena bez magii?

– Może wiele znaczyć – odparła z przekonaniem Becca. – Kto nas ocalił przed Abbadonem? Pozwól, że dam ci małą podpowiedź. To nie byłam ja ani Sera, ani Ling, Ava czy Neela. To ty. Sama rzuciłaś się na potwora.

Becca miała w pamięci obraz strasznego Abbadona, który ukazała syrenom i Vräji. Potwór był tak silny i wściekły, że przebił się przez zakłęcie *ochi* rzucone przez Vräję, nie zważając na podwodny ogień, i zaatakował całą grupę. Astrid natarła na niego mieczem i obcięła mu jedną z kończyn. Tym samym udało jej się spowodować, że Abbadon się wycofał.

– Dzięki. Miło, że tak mówisz. Pomogłam wam, ale też was opuściłam. Bałam się, że moja tajemnica będzie moją słabością. Tak jak dzisiaj na targowisku – dodała Astrid. – Do pokonania Abbadona potrzeba czegoś więcej niż tylko dobrego szermierza. Potrzeba szóstki magów o wielkiej mocy. Ja się do tego nie przyczynię i nie da się z tym nic zrobić.

Becca tak bardzo nienawidziła słów „nie da się z tym nic zrobić”. Wysłuchiwała ich przez całe życie.

„Jesteś teraz sierotą, Rebecca, i nie da się z tym nic zrobić”.

„Wielka szkoda, że ktoś ci ukradł lalkę, ale już po niej. Nie da się z tym nic zrobić”.

„Przykro mi, że nie masz pieniędzy na szkołę, bez nich zapomnij o nauce. Tak już jest i nie da

się z tym nic zrobić”.

Astrid siedziała ze zwieszonymi ramionami i rysowała palcem w mule. Obserwując ją, Becca zmrużyła zielone oczy. Astrid niewątpliwie miała w sobie magię, ale możliwe, że była ona uśpiona. Widziała ją w błysku jej intensywnie błękitnych oczu. Czuła ją w jej pewnych sobie, silnych ruchach. Pytanie brzmiało: jak tę magię wydobyć?

Becca natychmiast przestawiła się na tryb rozwiązywania problemów. Zawsze się tak działo, gdy miała przed sobą jakieś wyzwanie. W jej głowie zaczęła się kształtować pewna myśl. Becca była ekspertką, jeśli chodzi o opracowywanie strategii. Życie bywało często nieprzewidywalne i lubiło płatać figle, ale dobry plan mógł wszystko naprawić. Do wykonania tego konkretnego planu potrzebowała kilku rzeczy. Kawałka bambusa lub czegoś w rodzaju trzciny, a jeszcze lepiej kości wieloryba. Oprócz tego paru ładnych muszli.

Becca była nie tylko świetna w organizowaniu, ale również w usprawnianiu rzeczy. Życie w domach zastępczych nauczyło ją, żeby nie spodziewać się, że ktoś coś dla ciebie naprawi, bo możesz czekać na to bardzo długo.

– Słuchaj, powinniśmy płynąć dalej – uznała Becca. – Siedzenie tu cały dzień nic nam nie da.

Astrid uniosła brwi.

– To dość nagła decyzja – rzekła.

– Możliwe, ale właśnie sobie uświadomiłam, że nie powinniśmy zbyt długo tu siedzieć – odparła Becca. – No wiesz, jeźdźcy śmierci i takie tam.

Syrena wstała i wzięła walizkę. Astrid zarzuciła plecak na ramię. Kiedy opuszczały jaskinię, Becca spostrzegła na dnie coś śliskiego, coś, co wystawało z niego do połowy. Przykucnęła, aby podnieść ten przedmiot.

– Co to jest? – spytała Astrid.

– Kawałek szkła morskiego – odrzekła Becca, pokazując znalezisko. Szkło było kobaltowoniebieskie i wypolerowane przez prądy morskie i piasek tak bardzo, że stało się blade jak mleko. – Śliczny, prawda?

– Marzysz o nowym kolorze dla swoich brokatobombek? – droczyła się Astrid. Miała na myśli linię perłowych kosmetyków, o której opowiadała Becca w drodze do jaskiń ieli.

– Nie, po prostu lubię świecidełka – odparła bez troski Becca. – Czerpię z nich inspirację, wiesz? Nigdy nie wiadomo, gdzie się kryje źródło nowego pomysłu.

– Pomysłu na cień do powiek – dodała Astrid. – Albo na szminkę.

– Albo na coś, co może ocalić świat – skwitowała Becca, chowając do kieszeni szkło.

Astrid się roześmiała.

Becca była poważna.

## Rozdział 14

**W**STAWAĆ! – KRZYKNAŁ jeździec śmierci, uderzając podstarzałego syrena potężną płetwą ogonową.

Do ładowni Bedrieera wpłynęło dwunastu żołnierzy z wyciągniętymi harpunami. Jeźdźcy śmierci wypędzali wystraszonych więźniów z luku pod pokładem.

Ling uniosła się w wodzie, naprężając łańcuch do granic i próbując dostrzec, co się dzieje wokół. Zauważyła dużą klatkę, do której zapędzano więźniów. Kiedy była pełna, otworzył się właz i klatka została opuszczona do komory znajdującej się pod kadłubem.

Ling wiedziała, że pod spodem jest jeszcze jeden właz i że niebawem zostanie otworzony, a klatka poleci w dół... Tylko po co? Dokąd mieli trafić więźniowie?

Wiedziała również, że żołnierze prędzej czy później muszą uwolnić ją z łańcucha, jeśli i ona ma trafić do klatki. Może wtedy udałoby się jej uciec?

Gdyby tylko zdołała przedostać się przez służbę do kwatery jeźdźców śmierci albo do kuchni... gdziekolwiek, gdzie mogłaby się ukryć do czasu zniknięcia ostatnich żołnierzy, istniała szansa na zbliżenie się do włazu i wymknięcie na otwartą wodę.

Ling zdawała sobie sprawę, że jej plan jest niepewny. Tysiąc rzeczy mogło, a nawet musiało pójść nie tak, ale nie miała wyboru.

Gdy tak czekała i patrzyła, kolejne klatki wypełniły się więźniami i zostały zrzucone przez właz. Większość jeźdźców śmierci była zebrana przed drzwiami klatki, czyli tam, gdzie napotykali opór. Gdyby zdołała okrążyć drzwi, może udałoby się jej oddalić, nie będąc zauważoną.

Strażnicy sprawnie radzili sobie z więźniami i syrena wiedziała, że wkrótce ktoś odepnie jej łańcuch. Serce zabiło jej mocniej na widok wystraszonej syreny nieopodal, tej z dwójką dzieci, którą żołnierze właśnie ciągnęli do służy.

„Nie daj się lękowi. Bądź silna – pomyślała sobie. – Słabość jest dla gupików”.

– Hej, ty tam! Ręce na głowę! – krzyknął do niej jeden z jeźdźców śmierci.

Ling zrobiła, jak kazał. Strażnik otworzył kłódkę na jej kołnierzu, wyjął łańcuch z klamry i zapiął z powrotem kłódkę.

– Ruszaj się! – ryknął, popychając ją.

Ling potrzebowała czasu. Płynęła więc powoli ze spuszczoną głową. Włosy zasłaniały jej twarz, ale za nimi jej oczy poruszały się żywo, zapamiętując położenie każdego z żołnierzy.

Problem w tym, że i oni bacznie się jej przyglądali. Musiała znaleźć jakiś sposób na

odwrócenie ich uwagi, aby jej plan się powiódł.

Wtedy zauważyła strażnika, który wcześniej nakrzyczał na wystraszoną syrenę. Podpłynęła do niego, położyła mu rękę na środku pleców i pchnęła go. Było to perfidne zagranie, ale nie miała innego wyjścia.

Syren stracił równowagę i runął pod ogon innego żołnierza stojącego przed nim. Wściekli jeźdźcy śmierci szybko stracili cierpliwość. Padły ostre słowa, a po chwili ciosy. Dwaj inni syreni, którym się przypadkiem oberwało pięściami i ogonami, również przyłączyli się do walki. Po chwili wokół walczących zebrali się niemal wszyscy jeźdźcy śmierci obecni w ładowni i przy śluzie. Starcie mogło się szybko przerodzić w prawdziwą rozróbę i wszyscy doskonale o tym wiedzieli.

Ling nie marnowała ani sekundy. Przykucnęła za łkającą syreną, by po chwili rzucić się do śluzy i zniknąć w wąskim korytarzu. Po obu stronach znajdowały się drzwi, niektóre otwarte, inne zamknięte. Ling rozejrzała się i ujrzała małe pomieszczenie z dwiema pryzkami.

Wtedy usłyszała głosy.

Syrena popatrzyła w głąb korytarza, który kończył się rozwidleniem. Głosy dobiegały z prawej odnogi i stawały się coraz donośniejsze. Syrena wystraszyła się, że zaraz natknie się na kolejnych jeźdźców śmierci. Spodziewała się, że lada chwila wyjdą z za rogu.

Ling zrobiła więc jedyną rzecz, jaka wydawała się jej rozsądna, czyli wpłynęła do pokoju.

– Zamknij te cholerne drzwi, Arturo – mruknął zaspany głos. – Próbuję się zdrzemnąć.

Ling nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku i nie poruszyła się, modląc się, by rozciągnięty na pryzcy żołnierz ponownie zasnął.

Stało się jednak inaczej.

Jeździec śmierci przewrócił się na bok, otworzył oczy i wyteżył wzrok. Miejsce zmęczenia na jego twarzy zajęło zdziwienie.

– Ty nie jesteś Arturo – rzekł, siadając na łóżku.

Ling spanikowała.

– Nie wydawaj mnie, proszę – błagała.

Jednak żołnierz rzucił się na nią, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Złapał ją za zdrową rękę i wykręcił za plecami, po czym wypchnął ją z pokoju.

– Kapitanie! Ta tutaj próbowała uciekać! – zawołał, prowadząc syrenę z powrotem do ładowni.

Odwrócił się jeden z oficerów, który najpierw zaklął siarczyście, a następnie uderzył ją w twarz. Ling ujrzała gwiazdy przed oczami i poczuła, że ląduje w klatce.

Żołnierze wtrącili do tej samej klatki z innymi syrenami, że niemal została zmiażdżona przez kraty. Poczula, jak klatka obniża się do pomieszczenia pod ładownią, i po sekundzie nurkowała już przez ciemny ocean. Wokół syreny łkali i krzyczeli więźniowie. Wykończona Ling zamknęła oczy. To pewnie koniec. Poniosła klęskę. Sera i reszta nie dowiedzą się, że Orfeo żyje, do czasu

aż będzie już za późno. Za późno dla nich. Za późno dla świata pod wodą i poza wodą.

Wtem klatka z hukiem uderzyła o dno. Kiedy muł opadł, Ling otworzyła oczy.

Słyszała kiedyś, że niektórzy ludzie wierzą w istnienie miejsca wiecznego cierpienia, zwanego piekłem.

Kiedy wyjrzała przez kraty klatki i zobaczyła, gdzie wylądowali, sama w nie uwierzyła.

## Rozdział 15

**N**ADAL NIE ROZUMIEM, dlaczego kazałaś nam przedzierać się przez cmentarz.

– Idź spać, Astrid – odrzekła Becca, przeglądając stertę pąkli w poszukiwaniu najbardziej soczystego. Na jej kolanach leżała wysmukła kość wieloryba.

– Przez cmentarz!

– To nie był zwyczajny cmentarz. Dobrze o tym wiesz. To było cmentarzysko waleni, na bogów! – zachnęła się Becca.

Cmentarzysko waleni było ponurym, opustoszałym miejscem, gdzie na dnie leżały martwe wieloryby. Kiedy takie zwierzę umiera, jego ciało opada na dno i staje się pożywieniem wygłodniałych morskich stworzeń, a jego szkielet ma właściwości wzmacniające magię każdej syreny, której szczęśliwie uda się go znaleźć. Wieloryby to zwierzęta obdarzone tak silną magiczną mocą, że pozostaje ona w ich kościach nawet po śmierci.

Becca i Astrid podróżowały razem już od trzech dni. Ostatecznie Astrid miała skierować się na północ w stronę Ondaliny, a Becca miała kontynuować wędrówkę na zachód, lecz uznały, że do tego czasu bezpieczniej będzie trzymać się razem.

Poprzedniego dnia natknęły się na szczątki humbaka. Becca była pod wrażeniem. Wypuściła z ręki pnące wodorostów i przepłynęła przez wnętrze gigantycznego szkieletu walenia w poszukiwaniu upragnionego przedmiotu – gładkiej i wąskiej kości w kształcie walca o długości jej przedramienia. W tym czasie Astrid stała na czatach.

Pół godziny później Becca miała już to, czego chciała, i syreny mogły płynąć dalej. Jednak od czasu, gdy opuściły cmentarzysko wielorybów, Astrid stawała się coraz bardziej niespokojna. Płynęła, trzymając wyciągnięty przed sobą miecz, i wzdrygała się przy każdej najdrobniejszej zmianie prądu. Becca przez pewien czas tolerowała to zachowanie, ale powoli miała już dosyć.

Przed godziną rozbiły na noc obóz pod okazałą rafą koralową. Becca rzuciła *illuminate* i pracowała przy jej świetle. Astrid oznajmiła towarzyszce, że zamierza się przespać. Przygotowała sobie wygodne łoże z kilku kęp wodorostów i umościła się w nim. Nie była jednak senna i doprowadzała Beccę do szaleństwa.

– To miejsce przyprawiło mnie o dreszcze – wydukała.

– Już to mówiłaś. Przynajmniej dwadzieścia razy – rzuciła Becca, wybierając najsoczystsze pąkle ze swojej kiści.

– Gdziekolwiek spojrzysz, kości, padlinożercy, robaki... Takie miejsca przyciągają Lododuchy – dodała ponuro Astrid.

Lododuchy były to mordercze bezcielesne istoty zamieszkujące mroźne wody. Według legendy Morsa stworzyła je podczas seansu nekromancji, kiedy próbowała poznać tajemnicę nieśmiertelności. Były prześladowanymi bezdusznymi upiorami zawieszonymi między życiem a śmiercią. Morsa wtrąciła je do Morza Arktycznego w nadziei, że jego zimne wody zniszczą te stworzenia, ale Lododuchy przetrwały i przeniosły się w północne części Atlantyku.

Becca widziała raz jednego z nich i miała nadzieję, że już nigdy nie będzie miała podobnej okazji. Stwór był blady i upiorny, miał długie kończyny, łapy zakończone szponami oraz białe tęczęwki. Lododuchy żywiły się kośćmi. Oplatały swoje ofiary wykonanymi z wodorostów linami i ciągnęły za sobą ich ciała do czasu, aż te kompletnie zgniją.

– Widziałas tu Lododuchy? – spytała Becca, starając się zachować cierpliwość wobec Astrid.

– Nie – odparła syrena z niechęcią.

– Więc czym się tak przejmujesz?

– Możliwe, że one nas widziały. Że nas śledzą. Mam takie przeczucie. Wydaje mi się, że nie jesteśmy tu same. Cały czas coś słyszę.

– Co takiego?

– Dziwne dźwięki... Głosy... Sama nie wiem.

– Zamiast zamartwiać się wymaginanymi Lododuchami, powinnaś była wziąć też dla siebie kość wieloryba, kiedy byliśmy na cmentarzysku. Wiesz, że wzmacniają magię.

Astrid prychnęła.

– Jakie to ma znaczenie?

Becca westchnęła.

Zaczynała rozumieć, jak trudno jest być przyjaciółką Astrid. Wymagało to odporności na jej sarkazm oraz zdolności unikania kłótni. Syrena poznała już powód takiego zachowania Astrid, ale to wcale nie pomagało w kontaktach z nią.

Skupiła się z powrotem na pracy i ścisnęła jedną z wybranych pąkli. Kropla gęstej kleistej substancji spadła prosto na kość wieloryba. Becca błyskawicznie przycisnęła do powstałego kleju muszlę i przytrzymała ją przez kilka sekund. Klej z pąkli działał szybko i był supersilny.

Przez ostatnie kilka dni Becca wytrwale pracowała nad swoim planem pomocy Astrid. W tym celu zbierała kawałki szkła morskiego i polerowała muszle, a kiedy jej towarzyszka udawała się na spoczynek, kontynuowała rzeźbienie w wielorybiej kości.

Właśnie przykleiła do niej kolejną muszlę. Ozdobiła kość przepięknym wzorem z muszli i szkła morskiego. Jej dzieło było prawie gotowe.

Astrid przyglądała jej się uważnie i spytała:

– Co robisz? Dlaczego nadal nie śpisz? Przez ciebie nie mogę zasnąć. Co to takiego?

– Narzędzie zbrodni – wycedziła Becca przez zaciśnięte zęby. Gdyby była kimś innym, pewnie odpowiedziałaby krzykiem.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne – odparła Astrid, po czym podniosła leżący na dnie obok niej miecz

i wstała z łóżka.

– Dopiero co się położyłaś. Nie możesz się rozluźnić?

– Znowu to słyszę... Ten głos – narzekała Astrid.

Syrena podpłynęła do wyjścia jaskini i wyjrzała w ciemną wodę. W tej samej chwili Becca przykleiła ostatni kawałek szkła morskiego.

– Becca?

– Tak? – Syrena przyglądała się efektom swojej pracy.

– Becca?

– Słucham?

– „Becca!”.

– Astrid, czego chcesz? – zniecierpliwiła się Becca. – Jestem tutaj. Przestań krzyczeć!

– Wcale nie krzyczałam! – odrzekła równie głośno Astrid. – To ty wołałaś moje imię.

Becca odłożyła kość.

– Nie – rzekła, ważąc słowa, a jej płetwy się nastroszyły. – To ty do mnie krzyczałaś.

– „Proszę... Słyszysz mnie? Odpowiedz! Powiedz coś!” – zawołał jakiś głos.

Astrid uniosła miecz i była gotowa do ataku na kogoś lub coś, co znajdowało się na zewnątrz jaskini. Becca zbliżyła się do towarzyszki.

– „Astrid, to ty? Becca?”.

Becca wydała z siebie stłumiony okrzyk. Znała ten głos.

– Sera? – zawołała. – To naprawdę ty? Gdzie jesteś? Nie widzę cię. Jest zbyt ciemno!

– Jestem w twojej głowie! Śpiewałam przez kilka dni, próbując się z tobą skontaktować...

– O co chodzi? Co się dzieje? – spytała niepewnie Astrid, nie opuszczając miecza.

– To *convoca*! – uradowała się Becca. – Usiądź, Astrid. Zamknij oczy. Łatwiej się porozumiewać bez niepotrzebnych bodźców.

– Ale jak to możliwe? Nie znam magii śpiewu. – Astrid nie rozumiała, co się dzieje.

– Nie szkodzi. To zaklęcie Serafyny. Ty musisz tylko słuchać. Usiądź, zanim ją stracimy! – poleciła Becca. Chwyliła Astrid za wolną rękę i pociągnęła ją na dno jaskini.

– Nie ma mowy. Nie bawię się w to. Zostawiłam was, zapomniałaś? – rzekła Astrid, wrywając się z uścisku Bekki. – Jestem bezużyteczna.

Sera cały czas wołała, ale jej głos zaczynał słabnąć. Becca spanikowała. Nie mogła dopuścić do przerwania rozmowy.

– Astrid, czy choć raz możesz nie być taka samolubna? Muszę się przekonać, że Sera jest bezpieczna. Podobnie jak reszta. Ty też jesteś częścią tej *convoki*, czy sobie tego życzysz, czy nie. Dlatego przestań opowiadać, że jesteś bezużyteczna, i wreszcie się do czegoś przydadź. Jeśli magia zostanie przerwana przez twoje widzimisie, będę bardzo, ale to bardzo zła!

Ostatnie słowa Becca wykrzyczała z całej siły.



Astrid zmrużyła oczy i usiadła. Po chwili obie syreny zamknęły oczy.

## Rozdział 16

SERA ŚPIEWAŁA z całą swoją mocą. Była przy niej Neela.

Becca widziała syreny w swojej głowie.

– Sera! Neela! Więc nic wam nie jest! – zawołała. – Udało wam się wydostać z jaskini ieli!

Neela pokiwała głową, ale nie odezwała się, aby nie zdekoncentrować Serafyny.

Becca tak bardzo się ucieszyła na widok przyjaciółek, że nawet nie zwróciła uwagi na wygląd Sery. Dopiero teraz zauważyła zmiany i była pod wrażeniem. Sera używała kamuflażu, a jej ciało było znacznie szczuplejsze i bardziej umięśnione niż dawniej. Jednak największej ze zmian nie było widać, Becca jedynie ją wyczuwała. Była to pewność siebie. Syrena, którą poznała w rzece Alucie, ta bojaźliwa i pełna powątpiewania, zniknęła, a jej miejsce zajęła zdecydowana przywódczyni.

Becca długo siedziała z zamkniętymi oczami. Najpierw w jej głowie pojawiła się Astrid, a następnie Ava. Becca miała wrażenie, jakby wszystkie syreny znalazły się tuż przy niej i unosiły się wokół. Poczła wielką radość, której miejsce wkrótce zajęła troska, kiedy syrena zdała sobie sprawę, że jednej z nich brakuje.

– Gdzie jest Ling? – spytała.

– Nie mogę się z nią skontaktować... Próbowałam wielokrotnie – zmartwiła się Sera. – Coś jest nie tak. Odpowiedziałyby, gdyby tylko mogła, wiem o tym.

– Masz teraz całą resztę. Mów szybko, Sero, zanim zakłęcie osłabnie – ponagliła Neela.

– Becca, Ava, jesteście tu jeszcze? – spytała Sera.

– Tak!

– Jestem, *querida!* – odrzekła Ava.

– Okej, słyszę was! – zawołała Sera. – Astrid? Czy to ty? Wydawało mi się, że wyczułam cię razem z Beccą, ale nie byłam pewna.

– Zgadza się. Wiesz, Sero, spotkałam Beccę i...

– Czy to oznacza, że jesteś już z nami? – spytała z nadzieją Neela.

Astrid otworzyła szeroko oczy.

– Słucham? Nie! Ja tylko...

– Przepraszam, ale muszę ci przerwać – rzekła Sera. – Ta *convoca* nie jest zbyt silna. W każdej chwili mogę was stracić. – Syrena wzięła głęboki oddech, po czym kontynuowała. –

Mam dla was wieści. I to mnóstwo. Neela i ja znalazłyśmy swoje talizmany.

– Niemożliwe! – zawołała Becca. – To niesamowite!

– Dowiedziałam się też, gdzie są pozostałe talizmany, i co najważniejsze, jak wyglądają.

– Dobra robota! To wielki przełom! – pochwaliła przyjaciółkę Ava.

– To dopiero początek – odparła Sera. – Nie mam zamiaru świętować, dopóki nie zdobędziemy wszystkich sześciu. Talizman Bekki to należąca do Pyrrhy złota moneta z wizerunkiem Nerii. Znajduje się w okolicach przylądka Horn, a strzeże jej wietrzny duch zwany...

– Williwaw – dokończyła ponurym tonem Becca.

– Chyba sobie żartujecie – wtrąciła Astrid.

– Musisz zachować wielką ostrożność, gdy będziesz w pobliżu – ostrzegła Sera. – On potrafi w jednej sekundzie przywołać wielki sztorm.

– Albo w ogóle się tam nie zbliżaj – dodała Astrid. – Taka sugestia ode mnie.

Sera nic sobie nie robiła z tego komentarza.

– Avo, talizman Nyksa to pierścień z rubinem w złotej oprawie. Znajduje się na bagnach Missisipi i strzegą go wodne duchy zwane Okwa Naholo. To nie wróży niczego dobrego.

– Nie wróży? – zachnęła się Astrid. – Są gorsze niż Lododuchy! Dobrze o tym wiesz. A co z Ling?

– Talizman Sycorax to układanka w kształcie kuli. Znajduje się w Wielkiej Głębi.

– Czyli tylko jakiś milion kilometrów pod wodą – parsknęła Astrid.

– Naprawdę martwię się o Ling – ciągnęła Sera. – Ma kłopoty. Wiem o tym. Avo, wyczuwasz ją?

Ava przez chwilę milczała, po czym pokręciła głową.

– Nie mogę. Próbuję, ale nic się nie dzieje.

Sera westchnęła z troską.

– Być może wiem, jaki jest tego powód – dodała pośpiesznie Ava. – Możliwe, że ukrywa się w rozbitym statku z żelaznym kadłubem. Albo znajduje się w miejscu, gdzie oprócz niej jest mnóstwo syren, i nie może nam odpowiedzieć.

Astrid zakłęła, czym wystraszyła swoje towarzyszki. Becca czuła rosnący w Astrid gniew oraz napięcie, jakie powstawało między nią a Serą. Przypomniała sobie, jak kilkakrotnie spierały się w jaskiniach ieli. Wyglądało na to, że nie potrafią nawet ze sobą porozmawiać bez walki.

– Ona nie żyje. Spójrzcie prawdzie w oczy. Pewnie dopadli ją jeźdźcy śmierci – skwitowała Astrid. – Mówiłam ci, że tak to się skończy, Sero. Już w rzece Alucie. Zbyt wiele od nich wymagasz. Nawet śmierć Ling nie jest w stanie cię powstrzymać? A może masz zamiar brnąć dalej w to szaleństwo i wykończyć też Beccę, Awę i Neełę?

– Mam zamiar w to brnąć, dopóki nie zabijemy Abbadona – odparła Sera spokojnym

i zdecydowanym głosem. Następnie dodała: – Cieszę się, że uczestniczysz w tej *convoce*, Astrid, nawet jeśli już nie należysz do naszej drużyny. Jestem ci winna przeprosiny.

– Za co? Za to, że sprowadziłaś śmierć na Ling? – rzuciła Astrid. – Nie przyjmuję ich. Lubiłam ją, i to bardzo.

– Za to, że oskarżyłam Ondalinę o zaatakowanie Miromary. To nie twój ojciec, ale mój wuj Vallerio stał za inwazją, a pomogła mu w tym jedna z hrabin Miromary, Portia Volnero. Vallerio sprzedał własne królestwo i zamordował królową, swoją rodzoną siostrę, a moją matkę. Zabił też mojego ojca, a być może i brata. Nikt nie widział Desideria, odkąd wyruszył strzec naszych granic.

– O, bogowie! – zawołała Ava.

– Nie miałam o tym wszystkim pojęcia, kiedy poznałyśmy się w jaskiniach ieli, ale teraz już wiem – tłumaczyła Sera. – Oskarżanie twojego państwa było błędem. Przepraszam.

Astrid pokiwała głową. Becca odniosła wrażenie, że teoretycznie to ona ma teraz przewagę, ale w praktyce sytuacja wyglądała inaczej. Sera przyznała się do błędu i przeprosiła za swoje zachowanie, przez co jej pozycja wzmocniła się zamiast osłabić.

– Prowadzę teraz walkę z wujem przy wsparciu kilku odważnych obywateli Miromary – ciągnęła Serafina. – Nie jest łatwo, Vallerio pragnie naszej śmierci. Będziemy musieli opuścić królestwo i poszukać bezpiecznej kryjówki... – to mówiąc, zawahała się – gdzie indziej. Vallerio oprócz Miromary kontroluje też Matalę.

– Dlaczego mi to mówisz? – przerwała Astrid.

– Mój wuj także poszukuje talizmanów. To on i Rafe Mfeme stoją za napadami na wioski. Wtrącają uprowadzone syreny do obozów pracy i każą im szukać talizmanów. Jeśli Vallerio zdoła je odnaleźć, przekaze je temu, kto próbuje uwolnić Abbadona. Nadal nie wiem, kto to jest, ale zamierzam się dowiedzieć. Ta osoba ma w zamian oddać mojemu wujowi pod władanie pozostałe królestwa. Wszystkie.

Sera zamilkła i zaczekała, aż syreny przeanalizują jej słowa. Po chwili kontynuowała:

– Kiedy byłam w Cerulei, szpiegowałam Valleria i Portię i udało mi się podsłuchać, że ta tajemnicza postać ma już dwa talizmany, należące do Moruadh i Orfea.

– Wydawało mi się, że to ty masz talizman Moruadh – zauważyła Ava.

– To prawda. Vallerio sądzi, że ma w posiadaniu prawdziwy błękitny diament, ale to podróbka. Ja mam oryginał – wyjaśniła Sera. – Talizman Orfea to czarna perła, którą podarowała mu Morsa. Modłę się, aby perła, o której wspominała Portia, również okazała się podróbką, a ta prawdziwa nadal znajdowała się tam, gdzie ukryła ją Moruadh, czyli w wirze u wybrzeży Grenlandii.

Astrid roześmiała się oschle.

– Powodzenia w poszukiwaniach. Wiesz coś na temat tego wiru? Nazywa się Qanikkaaq. Pochłania kutry rybackie.

– Nie potrzebuję powodzenia, Astrid. Potrzebuję ciebie – oznajmiła Sera. – Chcę, żebyś popłynęła do tego wiru, sprawdziła, czy perła jest jeszcze w jego wnętrzu, a jeśli tak, żebyś ją z niego wydobyła.

Astrid była w potrzasku.

– Mówiłam ci już... Nie mogę. Po prostu nie mogę – rzekła.

Becca знаła przyczynę. Pragnęła podzielić się swoją wiedzą z resztą, ale wiedziała, że nie powinna. To należało do Astrid, nie do niej.

Sera pokiwała spokojnie głową, ale jej oczy wyrażały inne uczucia. Becca ujrzała w nich desperację. *Convoca* zaczęła słabnąć. Obraz stawał się niewyraźny. Głosy zaczęły się zlewać, gdyż wszystkie syreny chciały mówić jednocześnie, a po chwili całkiem zamilkły. Becca usłyszała tylko urywane prośby, ostrzeżenia i pożegnalne zwroty.

– ...cokolwiek o Ling, dajcie znać...

– ...nie płyn sama...

– ...ostrożnie! Te wody...

– ...kocham cię, syrenko...

Sera, Neela i Ava zniknęły i znów zostały tylko Becca i Astrid. Astrid podniosła się i ze złością uderzyła ogonem o ścianę jaskini, po czym opuściła kryjówkę i wbiła wzrok w ciemną otchłań.

Becca dołączyła do niej.

– Nie wracam do domu – oznajmiła. – Nie teraz. Popłynę prosto do przylądka Horn. Muszę odebrać talizman Williwawowi. – Przez chwilę się nie odzywała, po czym dodała: – Ty też chciałabyś pomóc. Wiem o tym. Widziałam to w twoim spojrzeniu.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła z rezygnacją Astrid.

– Dobrze, że ja wiem.

Becca wróciła na miejsce, gdzie wcześniej siedziały, podniosła z dna przedmiot, nad którym pracowała, a następnie wręczyła go Astrid.

Wprawne dłonie Bekki zamieniły kość wieloryba w smukły, elegancki flet. Jeden koniec był zwieńczony zwężanym ustnikiem. Instrument miał też kilka otworów.

Astrid przyjrzała mu się niepewnym wzrokiem.

– To jest piękne, Becco. Nawet więcej: to jest niesamowite. – To mówiąc, popatrzyła syrenie w oczy. – Tylko do czego mi to posłuży?

Becca się uśmiechnęła.

– Do czynienia magii.

## Rozdział 17

**A**STRID BADAŁA WZROKIEM smukłą kość wieloryba. Kilka minut wcześniej jej oczy płonęły gniewem. Teraz widać w nich było nadzieję zmieszaną ze strachem.

Becca wcale się nie zdziwiła, widząc takie połączenie uczuć. Wiedziała, że czasem nadzieja bywa najstraszniejszą z emocji.

– Czy to ma być jakiś dziwny zwyczaj rodem z Atlantydy? – spytała Astrid. – Dawanie prezentów w postaci instrumentów, na których ktoś nie potrafi grać?

Becca nie odpowiedziała. Zamiast tego zanuciła prostą melodię zaklęcia *canta prax*, której uczą się małe dzieci. Była to pieśń magii śpiewu dająca kamuflaż. Dzięki niej syreny zmieniały ubarwienie na zielone i w ten sposób wtapiały się w otoczenie alg i wodorostów.

– Nauczyłam się tego, gdy byłam mała, a ty? Wtedy jeszcze potrafiłaś śpiewać? – spytała.

Astrid pokiwała głową.

– Spróbuj – rzekła Becca. – Nie jest trudna do zagrania.

Astrid wzruszyła ramionami.

– Jeśli to cię uszczęśliwi.

To mówiąc, przyłożyła flet do ust, położyła palce na dziurkach i zagrała parę nut. Po kilku minutach przypomniała sobie prawie całą melodię. Wzięła głęboki oddech i zagrała ją, robiąc zaledwie kilka błędów.

– Okej, udało się – stwierdziła, spoglądając na Beccę. – Co ci się stało?

Becca się uśmiechnęła.

– Popatrz na swoje ręce – pisnęła.

Astrid zrobiła to, o co poprosiła ją przyjaciółka. Jej ręce stały się ciemnooliwkowe, podobnie jak reszta ciała. Zieleń nie odpowiadała jaskrawemu ubarwieniu gęstych wodorostów, ale od czegoś trzeba było zacząć.

– Na bogów! – zawołała radośnie, prawie upuszczając instrument. – Czy... ja...

– Czy czarowałaś? – dokończyła Becca. – Tak!

– Ale przecież... Ja nie potrafię...

– Jednak potrafisz. Pamiętasz, jaka byłaś nerwowa przy cmentarzysku wielorybów i później? Wydawało ci się, że słyszysz Lododuchy, ale tak naprawdę słyszałaś *convocę* Sery. Może i zapomniałaś, jak się śpiewa, ale na pewno masz w sobie magię, Astrid. Musisz tylko ją uwolnić.

Astrid popatrzyła na flet, jak gdyby w jej dłoniach spoczywał nie instrument, lecz węgorz.

„Boi się – pomyślała Becca. – Boi się, że kiedy spróbuje ponownie, nic się nie wydarzy, że to tylko łut szczęścia”.

Becca podpłynęła do towarzyszki i ujęła jej ramiona.

– Posłuchaj mnie. W incantarium wykazałaś się odwagą przewyższającą nas wszystkie razem wzięte. Ocaliłaś nas przed Abbadonem. Teraz proszę cię, żebyś była odważna dla samej siebie.

Astrid podniosła wzrok na Beccę. W jej oczach widać było zatrwającą słabość.

– Dasz radę – uznała Becca, po czym zanuciła inną łatwą pieśń *canta prax*.

Astrid uniosła flet do ust i powtórzyła melodię za drugą próbą.

– Nieźle! – pochwaliła ją Becca. – Miałaś zmienić barwę na fioletową, ale niebieski kolor też może być. Próbuje dalej!

Astrid posłuchała i przez następną godzinę zmieniała kolor skał na pomarańczowy, swoich włosów na różowy, a na łuskach miecznika umieściła wzór w grochy. Sprawiała, że twarz Bekki zaświeciła żółtym blaskiem, jej ogon stał się srebrny, a z jej głowy wyrosły macki.

– Dobrze, dobrze, już wystarczy – przerwała w końcu Becca. – Jest późno. Muszę się przespać.

– Zostanę na zewnątrz, żeby ci nie przeszkadzać – odparła Astrid. – Nie mogę spać. Możliwe, że już nigdy nie zasnę! – Mówiąc to, popatrzyła na dno i nagle poczuła coś dziwnego. – Dziękuję ci – dodała z nieśmiałym uśmiechem. – Bardzo ci dziękuję.

Becca machnęła ręką.

– To nic takiego.

– Mylisz się. Nie nic, lecz wszystko!

Astrid była w tak dobrym humorze, że Becca postanowiła zaryzykować i zwróciła się do niej:

– Dołączysz do nas? Spróbujesz odzyskać czarną perłę?

Uśmiech zniknął z twarzy syreny.

– Rozumiem – dodała pospiesznie Becca. – Boisz się, że nie dasz rady wykonać zaklęcia. Boisz się, że narazisz nas na niebezpieczeństwo. Ale my wszystkie się boimy. Ja mam niby być specjalistką od podwodnego ognia. Czasami udaje mi się wygenerować tyle światła, że mogłabym oświetlić miasto, ale czasami płomienie są tak słabe, że nie podgrzałyby imbryczka herbatki sargassowej. Cały czas się zastanawiam, czy moja magia odnajdzie się wtedy, gdy będę jej najbardziej potrzebować.

– Becco, ale ja nie potrafię nawet przywołać odpowiedniego odcienia zieleni.

– Jeszcze nie – poprawiła ją Becca.

Astrid pokręciła głową. Otworzyła usta, ale Becca weszła jej w słowo.

– Nie mów „tak”, ale nie mów też „nie”. Czy o tyle mogę cię prosić?

– Możesz. – Astrid pokiwała głową.

Następnie syrena opuściła jaskinię, aby ćwiczyć grę. Becca schowała narzędzia do walizki, po czym zakopała się w stercie wodorostów, którą wcześniej sobie przygotowała. Była wykończona.

Kiedy zamknęła oczy, jaskinię wypełniła muzyka Astrid, a na ścianach co jakiś czas pojawiały się różnokolorowe błyski. Becca słyszała chichot i wiwaty przyjaciółki, ale hałasy wcale jej nie przeszkadzały.

„Pierwszy raz w życiu słyszę śmiech Astrid – pomyślała. – Szczery i szczęśliwy śmiech. Co za cudowny dźwięk”.

Becca zmrużyła oczy. Kiedy wpadała w objęcia snu, czuła satysfakcję, że pierwsza część jej planu się powiodła. Znalazła sposób, by pomóc Astrid. Gdyby tylko udało się zrealizować drugą część. Gdyby Astrid zgodziła się im pomóc.

Zasnęła z nadzieją, że to właśnie przyjaźń, czyli najpotężniejsza magia, opanowała teraz Astrid.



## Rozdział 18

**Z**ADNA PÓŁNOCNA RZEKA ani arktyczny prąd morski, z jakimi miała styczność Serafina, nie były tak mroźne jak Morze Północne. Ponad jego wodami świszczały nieustępliwe wiatry, wzbijając gigantyczne bałwany. Sztormy przewalały się przez to morze ze zwierzęcą furią.

Nawet w Scaghaufen, stolicy jednego z goblinówskich plemion zwanych Meerteufel, doskwierało jej zimno, mimo tutejszych gorących źródeł siarki i bulgoczącej lawy.

Sera znajdowała się w pałacu wodza Meerteuflów, Guldemara. Pałac był zbudowany ze szlaki, czyli roztopionych pozostałości czystego metalu po wytopieniu jego rudy. Budynek wyrastał z dna niczym nierówna i poszarpana czarna chmura. Z jego okien rozciągał się widok na goblinówskie miasto.

Tętniącym sercem stolicy był wielki, wysoki na piętnaście metrów piec, który huczał całe dni i noce. Miał kształt głowy pierwszego władcy Meerteuflów, Kupfernicka. W jego obłąkanych oczach kipiała lawa, a z wyszczerzonych ust sączyła się rozgrzana do białości strużka szlaki. Całe miasto było upstrzone odlewniami, z których buchała para i sypały się iskry, podczas gdy w środku wykuwano ze stali Koboldów broń i zbroje. W oddali rozciągały się kopalnie oraz góry usypane ze szlaki.

Sera czekała na przyjęcie w kwaterze Guldemara. Syrena oraz jej świta w postaci dwudziestu Czarnych Płetw przywieźli ze sobą dziesięć skrzyń wypełnionych złotem, srebrem i klejnotami.

Czarne Płetwy znalazły się w niezłych tarapatach. Udało im się ukraść wielki skarb i dobrze go schować, ale tym samym rozwścieczyli Valleria, który poprzysiągł wybić ich do ostatniego osobnika. Jego wojska nieustannie zbliżały się do ich kryjówki, tak że opuszczanie jej graniczyło z cudem. Dwaj żołnierze zostali pojmani podczas poszukiwania jedzenia. Była przy tym najmłodsza z członków ruchu oporu, syrena imieniem Coco, po czym popłynęła pospiesznie do kwatery głównej, by powiadomić Serę, ale w żaden sposób nie można już było pomóc żołnierzom. Kiedy więźniowie mimo tortur nie godzili się na współpracę, Vallerio po prostu ich zabijał. Było kwestią czasu, kiedy kryjówka Czarnych Płetw zostanie odkryta, a do tej pory partyzanci powinni się z niej wynieść.

Sera pragnęła zwrócić się po pomoc do nowego doży Wenecji, ale wiedziała, że jego pałac został opuszczony, a po nim samym zaginął wszelki ślad. Syrena wysłała emisariuszy z prośbą o zapewnienie schronienia do starszyny Qin, prezydenta Atlantyki oraz królowej Słodkowody, czyli przywódców wszystkich krain poza Ondaliną. Biorąc pod uwagę napięcia na linii Kolfinn-Vallerio, uznała, że to zbyt ryzykowne.

Emisariusze wrócili z pustymi rękami. Przywódcy, zszokowani atakiem Valleria na cesarstwo

Matali, woleli grać w otwarte karty. Posłańcy donieśli, że wszędzie, gdzie się udawali, wierzono, że Sera zginęła. Wiedziała zatem, że będzie musiała udowodnić swoją tożsamość. Do tego były potrzebne spotkania, które wymagały czasu, a czasu syrena nie miała. W akcie desperacji postanowiła więc zasięgnąć pomocy u zręczliwych goblinów.

Teraz podpłynął do niej Yazeed.

– Denerwujesz się? – spytał.

– Bardzo – przyznała Serafina.

– Kogo Koboldowie nienawidzą? – dodał.

Sera uśmiechnęła się ponuro.

– Każdego.

– Kogo nienawidzą najbardziej?

– Siebie nawzajem – odparła.

– Właśnie. A wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem. Pamiętaj o tym, Sero.

Syrena pokiwała głową, jak zwykle wdzięczna za wsparcie Yazeeda.

Koboldowie byli niegdyś jednym ludem, ale przed tysiącami lat podzielili się na kilka plemion i przez cały ten czas walczyli między sobą o źródła lawy i pokłady rud. Wielu goblinów z plemienia Feuerkumpel mieszkało w Cerulei i pracowało jako najemnicy w armii Valleria. Feuerkumpelowie i Meerteuflowie szczerze się nienawidzili. Sera zamierzała teraz wykorzystać ten fakt.

Usłyszała odgłos kroków, dźwięk tak przedziwny dla syrenich uszu. Następnie otworzyły się drzwi. W przejściu stanął niski, dobrze zbudowany goblin. Jak inne morskie goblino, miał przezroczyste oczy, dziury zamiast nozdrzy i skrzela na szyi, ale Meerteuflów od innych plemion odróżniały dwie szczególne cechy: czarne wargi oraz rogi. Jedna para rogów wyrastała im ze skroni, druga wystawała spod zuchwy. Sera rozpoznała strażnika. Nazywał się Stickstoff i był dowódcą sił zbrojnych Meerteuflów.

– *Hovdinged tar emot nu!* – syknął.

Sera zrozumiała go. Powiedział, że wódz może ją teraz przyjąć.

Jej dłoń bezwiednie powędrowała do pierścionka, tego, który otrzymała od Mahdiego. Kiedy go dotykała, miała wrażenie, że jej ukochany jest blisko, a to dodawało jej sił. Wzięła głęboki oddech i wprowadziła swoich wojowników do kwatery wodza. Plecy miała wyprostowane, a głowę trzymała uniesioną. Teraz nie miała na sobie kamuflażu i wystąpiła przed Meerteuflami jako prawdziwa królowa, ubrana w błyszczącą błękitną szatę z morskiego jedwabiu oraz czarną pelerynę z wysokim kołnierzem. Jej szyję ozdobił naszyjnik z pereł i szafirów, a na głowie spoczywała korona ze szczerzego złota.

Goblino nie musiały wiedzieć, że to Neela uszyła suknię oraz pelerynę z draperii, które znalazła w opuszczonej posiadłości, albo że klejnoty zostały skradzione podczas napadu Czarnych Płetw na królewski skarbiec Miromary.

Nie musiały także wiedzieć, że Sera i jej oddział żyją w nieustannym strachu o własne życie. Nie wiedziały też, że są słabi, przemęczeni i zdesperowani, i że te negocjacje są ich ostatnią nadzieją.

Sera robiła teraz to samo co reginy z dawnych pokoleń w czasach zagrożenia – blefowała.

Syrena nie miała luksusu prowadzenia rządów w czasach pokoju. Trwała wojna i musiała szybko się uczyć, mimo głodu, zniszczenia i strachu. Matka często jej powtarzała, że rządzenie jest jak gra w szachy i że należy grać szachownicą, nie jedną figurą. Ostatnie miesiące pozwoliły Serafinie poznać prawdziwe znaczenie tych słów. Rządy to rozgrywka składająca się z ruchów i odpowiedzi, uników i ripost. Gracz powinien przewidywać zagrania przeciwnika i wyprzedzać go o kilka ruchów. Sera rozgrywała właśnie partię, której stawką było życie lub śmierć. A grała tak, aby wygrać.

– Nadchodzi... regina – syknął jakiś goblin w syrenim języku.

Był to Guldemar. Wódz siedział na tronie w kształcie gigantycznego węża morskiego, którego zwinięte ciało stanowiło siedzisko, a para płetw była oparciami na ramiona. Straszliwa, gruba szyja górowała nad Guldemarem, a wypełniona ostrymi kłami głowa wisiała nad nim niczym baldachim. Sera wiedziała, że to Hafgufa, wielki kraken. Prastare legendy z Morza Północnego głosiły, że wodzowie Meerteuflów posiadali zdolność przywoływania tego stworzenia z morskich głębin w czasach wielkiego niebezpieczeństwa.

Po obu stronach Guldemara stali wysocy dostojnicy państwowi: jego żona Nok, skarbnik Pelf oraz Norgler, minister spraw zagranicznych. Towarzyszył im także Stickstoff. Gobliny obserwowały wojowników Czarnych Płetw z nieufnością i pogardą.

Sera podpłynęła do tronu i ukloniła się nisko przed budzącym respekt wodzem.

– Witaj, o najstraszliwszy z wodzów – zaczęła. – Przyjmij podziękowania za przyjęcie mnie, prawowitej reginy Miromary, oraz mojego dworu w swoim pałacu.

Guldemar zachichotał lekceważąco.

– Piękne szaty i kwiecista mowa nie czynią królowej – odparł. – Na tronie Miromary zasiada teraz ktoś inny i według protokołu dyplomatycznego wszystkie suwerenne państwa to ją uznają za władczynię. Niektórzy twierdzą, że ma do tego wszelkie prawa. Jest księżniczką krwi. Pochodzi z Merovingii i jest twoją kuzynką. Od twojego wuja dowiedziałem się, że regina Isabella i jej córka niestety nie żyją.

W żyłach Serafiny zagotowała się krew. Jak on mógł sugerować, że Lucia ma prawo do tronu?

– Lucia Volnero jest córką syna, Guldemarze. Władczyni Miromary musi być nie tylko księżniczką krwi, ale córką z córki.

– Jak twierdzi prawo, takowa nie istnieje – wtrącił Stickstoff.

Sera zwróciła się do niego z błyskiem w oku.

– Takowa istnieje – rzekła. – Stoi właśnie przed tobą i planuje odzyskać tron.

Guldemar machnął lekceważąco ręką.

– Według moich źródeł Czarne Płetwy tracą siły. Macie niewiele zapasów i pieniędzy. Żołnierze twojego wuja polują na was dniami i nocami. Dzielnie walczyście, ale jak długo zdołacie stawiać opór?

– Niedługo – przyznała Sera. – Dlatego tu jesteśmy. Chcemy zaproponować wam sojusz.

Guldemar roześmiał się rehotliwie, a dworzanie poszli za jego przykładem.

– Dlaczego Meerteuflowie mieliby zawiązywać z wami sojusz? Nie masz ani pałacu, ani tronu. Jesteście biedni, a Koboldowie nie pracują za darmo.

Serafina się uśmiechnęła. Właśnie na to czekała.

– Ten, kto jest śmiały, nigdy nie będzie biedny – oznajmiła, po czym skinęła na Czarne Płetwy. Wojownicy podpłynęli do niej, postawili na podłodze skrzynie i na znak Sery otworzyli je.

Scaghaufen było miastem bogatym w żelazo, miedź i nikiel, ale brakowało mu metali szlachetnych. Meerteuflowie uwielbiali srebro i złoto, a najbardziej kochali klejnoty.

Oczy Guldemara rozblęskły chciwie, przebiegając po skrzyniach. Po chwili na jego twarzy zaczęła się malować chytróść.

– Oferujesz mi coś, co sam mogę sobie wziąć – rzekł, kiwając głową do żołnierzy stojących na baczność w pomieszczeniu. – Co mnie powstrzyma przed zabiciem ciebie i twoich Czarnych Płetw i zabraniem tych skarbów?

– Nic – przyznała Sera. – Ale jeśli tak postąpisz, nie otrzymasz pozostałej części zapłaty, czyli kolejnych dwudziestu skrzyń pełnych takich samych skarbów jak te tutaj. Przekażę ci je w dniu, w którym wkroczymy do Cerulei. – Przerwała na chwilę, aby jej słowa zrobiły odpowiednie wrażenie, po czym kontynuowała. – To dobra oferta, Guldemarze.

Wódz wyciągnął przed siebie dłoń i zaczął oglądać brudne paznokcie.

– Może dla ciebie – zachnął się.

– Nie, dobra dla ciebie – odparła Sera, zniecierpliwiona jego niechęcią. – Kiedy ty urządzasz sobie gierki, wasi wrogowie, Feuerkumplowie, z pomocą nienawiści i złota mojego wuja poważnie rozważają atak na wasze terytorium po powrocie do Morza Północnego. Chcą waszych źródeł lawy, waszych pieców i waszych odlewni.

Guldemar pochylił głowę. Oczy jego i Sery się spotkały. Próbował to ukryć, ale syrena ujrzała w jego spojrzeniu cień troski.

– Pomóż mi teraz – rzekła – a kiedy odzyskam tron, nie tylko oddam ci resztę obiecanych skarbów, ale Neria mi świadkiem, że wypowiem wojnę zdrajcom z plemienia Feuerkumpel. Niech świat zobaczy, jak kończą ci, którzy odwracają się od Miromary.

– A jeśli twój wuj cię zniszczy, co jest znacznie bardziej prawdopodobnym scenariuszem... Co wtedy? – wtrącił Stickstoff.

– Meerteuflowie nadal dostaną dwadzieścia skrzyń skarbów.

Guldemar podniósł się, podszedł do jednej ze skrzyń, podniósł garść złotych monet, po czym pozwolił im przesypać się między palcami. Następnie wziął do ręki srebrny puchar wysadzany

klejnotami i zaczął go podziwiać.

– Damy wam wojsko – rzekł wreszcie, odkładając puchar.

Serce Sery zabiło mocniej, ale nie dała tego po sobie poznać. Jej twarz nawet nie drgnęła.

– Ile? – spytała.

– Dziesięć tysięcy.

– Trzydzieści.

– Dwadzieścia. To moje ostatnie słowo – rzekł Guldemar. – Każdy będzie uzbrojony w kuszę i topór bitewny.

Sera nie zamierzała na tym poprzestawać.

– Potrzebuję też miejsca do zakwaterowania żołnierzy. Bezpiecznej przystani.

– Możesz zająć Kargjord – zgodził się Guldemar.

– Proszę bardzo – zarechotał Stickstoff, a pozostali dworzanie mu zawtórowali. Sera się skrzywiła. Kargjord to górzyste pustkowie na północnym krańcu królestwa Meerteuflów. Otaczające je skały były bogate w rudę żelaza, które całkowicie niszczyło magię. Panowało tam zimno. Nie było też roślinności, co oznaczało problemy ze zdobywaniem pożywienia. Należałoby więc zaopatrywać się u goblinów, a Sera była pewna, że zażądamy za nie sowitej zapłaty. Wiedziała też, że poza Kargjordem nie dostanie innej oferty.

Skłoniła się i powiedziała:

– Dziękuję, Guldemarze, za twoją hojność oraz lojalność wobec Miromary.

Wódz goblinów klasnął głośno. Na ten sygnał do pomieszczenia weszli służący z dzbanami i półmiskami. Zgodnie z gobliniskim zwyczajem negocjacje należało zakończyć wypiciem napoju raka – gęstego, pieniącego się płynu powstałego ze sfermentowanego śluzu ślimaka, a także dzieleniem się lokalnymi smakołykami, takimi jak: *sej* – peklowane oczy kałamarnicy, *smagfuld* – wędzone języki dorsza oraz *sprode* – palce stóp utopionych terragogów.

Guldemar urozmaicił ucztę, rzucając na podłogę kilka klejnotów, tak by jego dworzanie o nie walczyli. Uważał za świetną rozrywkę stawianie przeciwko sobie żołnierzy, ministrów, a nawet dam dworu, wliczając własną żonę.

Sera nie była miłośniczką sportów walki. Opuściła więc pomieszczenie i nakazała gestem, by jej towarzysze podążyli za nią. Guldemar ledwie to zauważył. Za bardzo był pochłonięty dopingowaniem Nok, która właśnie pokonała w walce o pierścień ze szmaragdem żonę Pelfa.

Kiedy drzwi komnaty zamknęły się za nimi, Sera mogła się wreszcie rozluźnić. Udało jej się zapewnić wojsko i broń, których tak bardzo potrzebowała. Poza tym zdobyła również schronienie. Miała zamiar niezwłocznie wysłać wiadomość do swoich wojowników stacjonujących w Miromarze, by udali się do Kargjordu.

Dzisiejszy sukces oznaczał nowy etap rozwoju dla ruchu oporu. Przy wsparciu gobliniskich sojuszników nie będą już partyzantami skupiającymi się na sabotowaniu koszarów jeźdźców śmierci i napadaniu pod osłoną nocy na skarbcę. Będą pełnoprawną jednostką wojskową.

– Dobra robota – wyszeptał Yazeed, gdy płynęli korytarzem w kierunku swoich pokojów. – Masz to, czego chciałaś.

Sera roześmiała się radośnie.

– Naprawdę? Mamy dwudziestotysięczną armię, a ja nie wiem, jak ją wykarmić ani zakwaterować na pustkowiu Kargjord. – Mówiąc to, pokręciła głową, zastanawiając się, dlaczego po pokonaniu jednego wyzwania czeka na nią kolejne, jeszcze trudniejsze. – Nie wiem, jak to zrobić, Yaz.

Yazeed poklepał ją po plecach.

– Nie martw się, Sero, poradzisz sobie. Jak zawsze.

– Mam nadzieję – odrzekła zmęczonym głosem Sera i ponownie pokręciła głową. – Dostałam odpowiednią liczbę żołnierzy? Wystarczająco dużo broni? – wyliczyła na głos. – Moja matka zażądałaby więcej. Lepiej by sobie poradziła z Guldemarem. Moja matka...

– Byłaby z ciebie bardzo dumna – dokończył Yazeed.

Sera pokiwała głową i poczuła ścisk w gardle.

– Dzięki, Yaz – rzekła, kiedy znów mogła mówić.

– Dalej, syrenko. Nie czas na łzy. Musisz zmienić tę suknię na coś innego. Powinniśmy się już wynosić z tego ponurego miejsca. Czas udać się do Kargjordu. Mamy wojnę do wygrania.

## Rozdział 19

**L**UCIA VOLNERO PRZEGLĄDAŁA SIĘ w lustrze w pokoju gościnnym swojej matki. Ze srebrnej głębi zwierciadła wynurzyła się vitrina, a Lucia gestem ręki kazała jej się oddalić.

– Jutro wyruszam do Ondaliny – oznajmiła Portia, pakując do torby plik pergaminu z wodorostów. – Znaki są pomyślne. Bogowie nam sprzyjają. Moi szpiedzy donoszą, że Kolfinn i jego doradcy są źli i zmartwieni z powodu oskarżeń Valleria, że to Ondalina zaatakowała Miromarę. Obawiają się, że odpowiemy agresją. A my chcemy, żeby dokładnie tak się czuli.

Lucia prawie jej nie słyszała. Sprawy zagraniczne, szpiegowanie i strategie wojskowe zupełnie jej nie obchodziły. To były problemy jej rodziców. Ona toczyła inną walkę, walkę o serce Mahdiego, a jej bronią była uroda.

Poruszyła głową, obserwując z satysfakcją, jak długie, jedwabiste włosy opadają na jej ramiona. Brwi syreny miały idealną linię, a błyszczący popielaty cień do powiek, który wybrała, świetnie podkreślał głębię jej oczu w kolorze indygo. Jej usta swój srebrny blask zawdzięczały warstwie startej masy perłowej. Suknia, którą nosiła, również w kolorze popielatym, eksponowała jej zgrabną figurę. Głowę syreny zdobiła diamentowa korona. Diamenty lśniły także na jej uszach i szyi.

Lucia wiedziała, że tego wieczoru będzie się za nią oglądać każda para oczu obecna w pałacu. Zawsze tak było. Dlaczego więc się denerwowała? Dlaczego się martwiła? Dlaczego zawsze nękały ją te same okropne wątpliwości?

– Lucia? Słuchasz mnie? To ważne – ofuknęła ją matka. – Oczywiście nasze oskarżenia są wyssane z palca, ale Kolfinn nawet tego nie podejrzewa – ciągnęła. – Zepchnęliśmy go do defensywy i zachęciliśmy do sojuszu. Jego prawa ręka, Rylka, osobiście tego dopilnowała. Proszę, podaj mi tę bransoletkę. Lucia? Lucia! – zniecierpliwiała się Portia. – Czy słyszałaś, co mówiłam?

Lucia oderwała wzrok od swojego odbicia i podała matce bransoletkę z rubinem.

Portia wzięła ją z grymasem na twarzy.

– Przestań się zamartwiać. Zrobią ci się od tego zmarszczki na czole. Co cię tak niepokoi?

– To, że nie widziałam martwego ciała Serafiny – odparła Lucia.

– Nie potrzebujesz tego – zapewniła Portia. – Była tak rozpieszczona, że ledwo przetrwała w pałacu. Jestem pewna, że poza nim zbyt długo nie wytrzymała.

– Udało jej się uciec od Traho – nie poddawała się syrena. – Dostała się do jaskiń ieli. Przynajmniej on tak twierdzi.

Na samą myśl o terragogu Rafe Mfeme, którego miała na myśli, mówiąc „on”, przeszedł ją dreszcz. Spotkała go kilka miesięcy wcześniej. Ujął wtedy jej rękę i pocałował. Jego usta były chłodne jak lód, a zimno rozpląnęło się po całym jej ciele niczym mgła, sącząc się w głąb kości.

Uśmiechnął się do niej i rzekł tak cicho, że tylko ona słyszała jego głos:

– Piękno i bezwzględność w doskonałych proporcjach. Daleko zajdziesz, moja droga. Bardzo daleko.

W jakiś sposób Mfeme dowiedział się, dokąd udała się Sera i jej towarzyszki. Wśród nich znalazła się Neela, zdradziecka kuzynka Mahdiego, a także córka admirała Kolfinna Astrid. Oprócz tego były trzy inne syreny pochodzące z obcych krain, ale nie miały żadnych tytułów ani pozycji. Lucia nie wiedziała, dlaczego ta szóstka musiała się udać do jaskiń ieli, ale jakikolwiek był tego powód, nie wróżył on niczego dobrego. Mfeme zdradził Valleriowi miejsce pobytu syren, a ten wysłał za nimi Traho. Mało brakowało, a udałoby się je schwytać.

– Tak, Serafina zdołała uciec z jaskiń ieli – przyznała Portia – ale od tamtego czasu jej nie widziano. Przestań się już zadręczać, Lucio. Ona nie żyje, a wkrótce dołączy do niej reszta Czarnych Płetw. Podałabyś mi naszyjnik pasujący do tej bransoletki? Jest w mojej sypialni.

Lucia popłynęła we wskazane miejsce. Miała nadzieję, że matka się nie myli. Nienawidziła Serafiny, podobnie jak nienawidziła jej matki, Isabelli, a także matki Isabelli, Artemesii.

To z powodu tej ostatniej Lucia wychowywała się bez ojca i prawdziwej rodziny. To Artemesia sprawiła, że Lucia i Portia były wyśmiewane i okryte hańbą.

Kiedy jej syn Vallerio poprosił o pozwolenie na poślubienie Portii, Artemesia powiedziała, że w rodzinie Volnero płynie krew zdrajców. Powiedziała, że to zatruta linia.

Zgodnie z jej rozporządzeniem związek pomiędzy członkiem rodziny królewskiej a kimś z rodziny Volnero był niedopuszczalny. Vallerio nie mógł być ojcem dla nikogo o tym nazwisku.

Artemesia nie wiedziała jednak, że takie dziecko jest już w drodze. Była to Lucia.

Złamanie dekretu reginy oznaczało zdradę i było karane śmiercią, o czym doskonale wiedzieli Vallerio i Portia. Syrena szybko poślubiła innego syrena, podobnego do Valleria, aby w ten sposób utrzymać tajemnicę. Kiedy ten syren popełnił samobójstwo, wypijając truciznę, zaczęto plotkować o intrydze, ale nigdy niczego nie udowodniono.

Po śmierci męża Portia opuściła Ceruleę i zamieszkała w swojej posiadłości na wsi dwadzieścia kilometrów od bram miasta. Vallerio odwiedzał ją tam, kiedy tylko mógł. Początkowo Lucia nie wiedziała, kim on jest. Sądziła, że to jakiś znajomy jej mamy.

Kiedy skończyła trzynaście lat, Lucia została wezwana przez Isabellę, aby zamieszkała z principesą i jak przystało na przyszłą damę dworu, nauczyła się odpowiednich manier. Zanim Lucia udała się do pałacu, Vallerio przeprowadził z nią rozmowę i wyznał jej prawdę. Zabronił jednak komukolwiek ją wyjawiać.

– Pewnego dnia będziemy rodziną – obiecał wtedy. – Pewnego dnia wszystkie wody i wszyscy ich mieszkańcy będą wiedzieć, że jesteś moją córką. Do tego czasu musisz dochować tajemnicy. Nikt nie może się domyślić. Od tego zależy nasze życie.



Zgodnie z planem Lucia zamieszkała w pałacu. Została jedną z dworek Serafiny. Okazywała szacunek reginie i traktowała swojego ojca z takim samym dystansem jak inni. Kłaniała mu się i uśmiechała, ale przez cały czas kipiała w niej nienawiść.

Spółeczność syren jej współczuła. Mówiono, że jest biedna, bo nie ma ojca.

Z trudem się powstrzymywała, by nie wykrzyknąć, że to nieprawda. Jej ojcem jest Vallerio, dowódca sił zbrojnych i najpotężniejszy syren w całym królestwie!

Gryzła się jednak w język aż do krwi, a następnie się uśmiechała. Z takim samym uśmiechem obserwowała Serafinę jeżdżącą na konikach morskich z własnym ojcem, principe Bastiaanem. Uśmiechała się, patrząc na wszystkie klejnoty i suknie, jakie Sera dostawała od Bastiaana, a także na to, jak razem tańczyli w sali balowej podczas oficjalnych kolacji.

Kiedy Lucia dorosła, docierały do niej szeptu z za malowanego wachlarza albo z za ozdobionej klejnotami dłoni. Albo z nad filiżanki herbatki sargassowej.

„Oto i owdowiała hrabina. Szkoda, że nie wyszła ponownie za mąż. Jej pierwszy mąż był nikim. Z drugiej strony, dobrze, że w ogóle kogoś miała. No wiecie, zatruta linia krwi. Lucia też będzie musiała uważać. O takich rzeczach się nie zapomina”.

Była to prawda. Wypowiedzi różniły się słowami, ale ich treść była zawsze jednakowa: krew jej matki, krew rodziny Volnero, ta sama, która płynęła w żyłach Lucii, była niewystarczająco dobra dla rodziny królewskiej czy innego szanującego się rodu.

Teraz, dzięki jej ojcu i jego armii, ci, którzy ją niegdyś wyśmiewali i odrzucili, byli już martwi. Teraz jej zatruta krew była już godna. Wystarczająco dobra, by to ona mogła zasiąść na tronie Miromary, a nawet by została cesarzową.

Pewnego dnia ona i Mahdi będą mieli dzieci, które będą władać nie tylko Miromarą i Matalą, ale wodami całego świata.

Ojciec podarował jej już Miromarę i Matalę. Następna miała być Ondalina. Pozostałe królestwa: Atlantyka, Qin i Słodkowoda, musiały poczekać. Nikt nie mógł powstrzymać Valleria przed ich zdobyciem, a jej przed zdobyciem Mahdiego... pod warunkiem, że Serafina była martwa.

Ale czy tak było?

Po obrabowaniu skarbcza Lucia zaczęła się martwić, że syrena mogła jednak przeżyć. Podczas starcia, tuż po włamaniu zabito trzech wojowników Czarnych Płetw. Jednej z syren udało się uciec. Jeźdźcy śmierci, którzy rzucili się za nią w pogoń, opowiadali, że miała krótkie czarne włosy i była świetną wojowniczką. Ten opis na pewno nie pasował do Serafiny.

Mimo to Lucia nie przestawała się zdręzczać. Chciała zobaczyć zwłoki. Nic bardziej by jej nie uszczęśliwiło.

Syrena wyjęła z sejfu rubinowy naszyjnik i wróciła do pokoju gościnnego. Kiedy podała ozdobę matce, obie usłyszały stukot za kominkiem z lawą.

Dźwięk ten wystraszył Lucię, ale Portia się nie przejęła. Podpłynęła do pięknie zdobionego symbolami nimf wodnych i ryb kominka zbudowanego z lapis-lazuli i nacisnęła kamień

w kształcie delfina. Po chwili pokryty miąką panel na lewo od kominka powoli się odchylił. Lucia była zaintrygowana. Nie wiedziała o sekretnym wejściu do komnaty mamy i zastanowiła się w duchu, czy w całym pałacu jest więcej takich tajemnic.

Zanim zdążyła zapytać, do środka wpłynął syren o wyglądzie węgorza. Był ubrany w czarną kurtkę z rekiniej skóry. Na barkach nosił wielką murenę, przerzuconą niczym szal, której straszliwa paszcza spoczywała na uniesionym przedramieniu.

– Wasza miłość – rzekł, kłaniając się Lucii, a następnie Portii.

– Przynosisz wieści? – spytała pośpiesznie Portia.

Syren uśmiechnął się przymilnie.

– O tak.

– Wejdz – zaprosiła go niecierpliwie Portia, po czym oficjalnym tonem zwróciła się do Lucii: – Wasza wysokość, przedstawiam ci lojalnego sługę, Baco Gogę. Kapitan Traho nie zdołał jeszcze przejąć żadnego z członków ruchu oporu – wyjaśniła. – Bez szpiega w ich szeregach nie mamy szans na sukces. Dlatego zatrudniłam Baco w nadziei, że poradzi sobie z tym, co nie udało się Traho. – Mówiąc to, posłała syrenowi uśmiech barrakudy. – Mam nadzieję, że mnie nie zawiódł.

– Baco Goga nigdy nie zawodzi – odparł nieznajomy dziwnie śpiewnym głosem. – Przejąłem jednego z wysoko postawionych członków Czarnych Płetw.

– W jaki sposób? – dociekała Portia.

Baco lekceważąco machnął ręką.

– Mam swoje sposoby.

– Co powiedział? – spytała Lucia.

– Skąd wiesz, że to on? – Baco uniósł brwi.

Lucii nie podobało się, że syren sobie z nią pogrywa. On sam też jej się nie podobał.

– W takim razie ona – rzekła Lucia, marząc o tym, by syren przekazał im informacje i się wyniósł. Jak najszybciej.

Baco się roześmiał.

– Ta... syrena twierdzi, że Czarne Płetwy do niedawna stacjonowały w Azzuros – oznajmił.

Portia spochmurniała.

– Nie obchodzi mnie, gdzie stacjonowali, ale gdzie przebywają teraz! – syknęła. – Za co ja ci płacę?

Słyszając ton jej głosu, długa płetwa ogonowa mureny się nastroszyła. Ryba uniosła głowę z ramienia Baco.

– Spokojnie, Tyberiuszu – uspokoił stworzenie Baco. – Jesteśmy teraz w pałacu. Musimy pamiętać o manierach.

Węgorz opuścił głowę, ale nie spuszczał swych pustych oczu z Lucii. Podobnie jak Baco.

– Baco chętnie pomoże – ciągnął. – Baco zawsze jest skory do pomocy pięknej reginie.

Lucia zmusiła się, by nie odwrócić wzroku od jego przerażającego spojrzenia.

– Wasza Miłość, Czarne Płetwy przebywają w Morzu Północnym. W Kargjordzie.

Portia nagle zeszywniała.

– W wodach Koboldów?

Baco pokiwał głową.

– Zawarli sojusz z Guldemarem, wodzem Meerteuflów. Przekazał im swoje wojsko, broń i dał bezpieczne schronienie w zamian za skarb. Dziesięć skrzyń i dwadzieścia w przyszłym czasie.

Policzki Portii zapłonęły furią. Syrena zaczęła pływać w tam i z powrotem po pomieszczeniu z zaciśniętymi pięściami. Po chwili obróciła się i ogonem roztrzaskała stół.

– Skarb wykradzony ze skarbcza reginy! – syknęła. – Wyślę tam wojska. Zniszczę Czarne Płetwy razem z goblinami!

– Tylko ostrożnie, Wasza Miłość – ostrzegł ją Baco. – Wody Guldemara są pilnie strzeżone, łącznie z Kargjordem, a on niczego nie kocha bardziej niż walki. Dobrze się zastanów, zanim wyślesz tam swoje wojska.

Portia zmrużyła oczy.

– Płacę ci za informacje, nie za rady – rzekła. – Wynocha!

Murena opuściła ramiona Baco i otoczyła go, broniąc swego pana.

– Jak sobie życzysz, Wasza Miłość – odparł chytrze Baco. – Ale jaka byłaby to szkoda, gdybym opuścił tę komnatę, nie przekazawszy wszystkich informacji.

– Mów. Natychmiast – rozkazała Lucia.

Baco się uśmiechnął.

– Poznałem tożsamość przywódcy Czarnych Płetw – rzekł, przeciągając słowa.

Syrena zastanawiała się, dlaczego tak go to cieszy, ale po chwili знаła już odpowiedź. Doskonale wiedziała, co za chwilę usłyszy.

– To prin... Ojej ! Proszę o wybaczenie, regino. Była principessa. Serafina. Myślałaś pewnie, że zginęła? Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ona żyje i ma się dobrze.

## Rozdział 20

**A**STRID UNIOSŁA WZROK w stronę nieba i uśmiechnęła się, kiedy poczuła na policzkach śnieżny pocałunek.

Oczy syreny rozkoszowały się kolorami domu: jasną szarością skrzydła arktycznej mewy, błękitem lodowej kry, krystaliczną bielą miliona płatków śniegu. Dla Astrid te blade odcienie były najpiękniejszymi barwami świata.

Wyłoniła się na powierzchnię przed kilkoma chwilami w nadziei, że usłyszy śpiew alk, szczekanie fok i szelest płatków opadających na tafle wody. Następnie zanurkowała do cytadeli.

W oddali widziała dryfujące góry lodowe, tajemnicze i nieme. Dla terragogów były to miejsca bez życia, a właśnie tego życzyli sobie mieszkańcy Ondaliny. Pod wodą było jednak mnóstwo ruchu, koloru i dźwięków. Potężne góry ważące miliony ton kryły w sobie pływające miasta syren.

Ondalina była krainą najbardziej wysuniętą na północ i większość syren uważała to miejsce za nienadające się do mieszkania, ale Astrid je kochała. Chłód sprawiał, że jej serce biło szybciej. Dzięki niemu myślała trzeźwiej. Pośród lodowców oraz ogromu lodu i śniegu potrafiła lepiej się skupić.

A miała o czym myśleć. Rozstała się z Beccą przed tygodniem, kiedy dotarły do prądu, którym Becca udała się w kierunku przylądka Horn.

– Becco, nie wiem, jak... – rzekła wtedy Astrid. Chciała podziękować przyjaciółce za flet z kości wieloryba, ale ta przerwała jej, nie rozumiejąc intencji Astrid.

– Miałaś nie mówić „nie”, zapomniałaś? – skarciła ją, po czym mocno przytuliła. – Będę za tobą tęsknić – dodała. – I zastanów się nad tym wszystkim. Proszę. Potrzebujemy cię.

„Becca chce mnie w drużynie, mimo że wie, że nie potrafię śpiewać” – przypomniała sobie teraz, nie potrafiąc tego zrozumieć. Becca naprawdę wierzyła, że Astrid może sprawić, że grupa będzie silniejsza. Tutaj, w Ondalinie, ktoś taki jak ona zostałby uznany za najsłabsze ogniwo.

„Sera też chciałaby, żebym do nich dołączyła, ale ona nie zna prawdy o mnie. Gdyby знаła, mogłaby zmienić zdanie”.

Przez całą drogę do domu Astrid zadawała sobie jedno pytanie:

– Czego ty sama chcesz?

Nadal na nie nie odpowiedziała.

Coś nakazywało jej przyłączyć się do syren i wspólnie pokonać Abbadona, ale był w niej także lęk. Gdyby postanowiła je wspomóc, musiałyby wyznać prawdę, a to by przeczyło

wszystkiemu, co syrena wiedziała o życiu.

Otwartość nie była domeną mieszkańców Ondaliny. Życie w Arktyce było ciężkie. Syreny nieustannie cierpiały z powodu przenikliwego zimna. Brakowało im jedzenia, a wokół było pełno drapieżników. Ondalińczycy cenili hart ducha, zdolności myśliwskie oraz znajomość sztuki kamuflażu – ukrywania siebie, domu, a przede wszystkim swoich słabości.

Tutejsze zaklęcia dające kamuflaż były uznawane za najlepsze w świecie syren. Dzieci uczyły się ich jeszcze w kołysce. Kiedy rodziło się nowe dziecko, syreny nie mówiły: „Gratulacje!”, ale: „Ukryj je!”.

Becca poprosiła Astrid, by ta zastanowiła się nad propozycją, i ona to właśnie robiła. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała zakończyć rozmyślenia i podjąć decyzję.

Była jeszcze jedna rzecz, o której powinna pomyśleć – ojciec. Jej matka, Eyvor zawsze powtarzała, że należy słuchać instynktu. Teraz instynkt Astrid mówił jej głośno i wyraźnie, że wydarzenia, które zaszły podczas jej podróży do jaskiń ieli i z powrotem, w jakiś sposób łączą się z całym złem, które dotknęło jej ojca. Nie wiedziała tylko, w jaki.

Zanim wybrała się do Aluty, ktoś umieścił rzep pod siodłem admirała Kolfinna, przez co jego wierzchowiec stanął dęba i zrzucił jeźdźca z grzbietu tak, że ten uderzył o ścianę i złamał kilka żeber. Następnie ktoś zatrzał jego posiłek toksyną z parzącego ukwiału, przez co ojciec poważnie się rozchorował.

Zarówno rzepy, jak i ten gatunek ukwiałów występowały wyłącznie w wodach Miromary. W jaskiniach ieli Serafina przysięgała, że jej matka nie ma nic wspólnego z zamachami na życie Kolfinna. Astrid wtedy jej nie wierzyła, ale teraz zmieniła zdanie. Mogła oskarżać Serę o różne rzeczy, ale na pewno nie o to, że kłamie. A jednak ktoś próbował zamordować jej ojca.

Czyżby stał za tym Vallerio? Astrid zastanawiała się teraz nad tym. Według Serafiny to on zlecił zabójstwo Isabelli i podbił stolicę, aby jego córka zasiadła na tronie Miromary. Skoro był zdolny do zamordowania własnej siostry w celu zdobycia władzy, pewnie nie miałby żadnych skrupułów, by otruć syrena, którego ledwie znał.

Ale jeśli Vallerio dopuścił się tych prób, jak tego dokonał? Ochrona ojca była niezwykle szczelna, a strażnicy nie odstępowali go na krok. W jaki sposób zabójca mógł się między nimi prześlizgnąć?

Astrid nie mogła znaleźć odpowiedzi na te pytania. Wiedziała, że najlepszą rzeczą, jaką mogła zrobić, było odwiedzenie Kolfinna i opowiedzenie mu wszystkiego, co przeżyła i czego się dowiedziała. On wiedziałby, jak to połączyć w całość. Zanim jednak mogło dojść do takiego spotkania, musiała go znaleźć. Admirał mógł przebywać w kwaterze rady w pałacu lub w którymś z licznych budynków ministerstw. Za to matkę można było spotkać zawsze w tym samym miejscu – w stajniach. Ta zapalona dżokejka i wyborowa myśliwa spędzała większą część każdego dnia w towarzystwie swoich wierzchowców. Astrid postanowiła udać się najpierw do niej. Eyvor na pewno będzie wiedziała, gdzie jest Kolfinn.

Poczuła wielką ulgę, gdy pomyślała, że jej ojciec jest w pełni zdrowia i znów objął

dowodzenie. Wody stawały się coraz niebezpieczniejsze, a równowaga sił między poszczególnymi królestwami mocno się zachwiała. Z każdą chwilą było coraz gorzej. Ondalina jeszcze bardziej niż dotychczas potrzebowała na czele kogoś o silnej ręce.

Astrid rzuciła ostatnie spojrzenie na niebo i śnieg, po czym zanurkowała w kierunku domu.

„Dzięki bogom – pomyślała, mknąc ku cytadeli. – Dzięki bogom, że Ondalina ma admirała Kolfinna”.

## Rozdział 21

CYTADELA ZOSTAŁA WYBUDOWANA przed tysiącami lat metodą, którą stosowano do dziś. Rzeźbiarze wybrali gigantyczną górę lodową, wyznaczyli środek jej podwodnej części, a następnie wydrążyli w niej tunel. Ze środka usunęli ogromne masy lodu, tworząc w ten sposób wielki publiczny plac, na którym powstał pałac admirała. Tam przemawiał do swych poddanych oraz urządzał parady wojskowe.

Następnie wycięli wokół góry koncentryczne kręgi, kierując się w stronę przeciwną do jej centrum. Między poszczególnymi pierścieniami utworzono przejścia, dzięki którym mieszkańcy mogli się swobodnie poruszać wewnątrz góry lodowej. W pozostałym lodzie wykuto mieszkania, domy i pałace, zdobione równie bogato jak te, które można było spotkać w wielkich ludzkich miastach, takich jak Petersburg, Praga czy Paryż.

Choć znaczna część cytadeli kryła się w bryle lodu, stajnie, domy gospodarcze i rozwijająca się dzielnica handlowa znajdowały się tuż nad poszarpanym dnem góry lodowej, co pozwalało myśliwym na wjeżdżanie i wyjeżdżanie na łowy, zwierzętom hodowlanym na wypas, a kupcom na wjazd na rynek wozami pełnymi towarów.

Astrid płynęła właśnie w kierunku admiralskich stajni. Odkąd zostały wykute u podnóża góry, ich dachy były połączone z bryłą lodu, natomiast niższe piętra, wykończone dekoracyjnymi zdobieniami, zwisały w kierunku dna.

Zanurkowała w stronę głównego budynku. Minęła boksy z wierzchowcami, a następnie siodlarnię. Stajnie były oświetlone zawieszonymi pod sufitem kulami z lawą. Lawa nie mogła płynąć rurami wewnątrz góry lodowej, więc mieszkańcy Ondaliny musieli importować lampiony.

– Astrid Kolfinnsdottir? Czy to ty? Gdzie się podziewałaś tyle czasu? – zapytał jakiś głos.

Należał do Sanni, głównej stajennej. Syrena wypłynęła właśnie z siodlarni, trzymając srebrny przedmiot, który polerowała.

Astrid zatrzymała się i odwróciła.

– Hej, Sanni. Polowałam. – Uniknęła odpowiedzi. Taką wymówkę wymyśliła sobie jako wyjaśnienie swojej nieobecności. – Gdzie Eyvor?

Ondalińskie dzieci zwracały się do rodziców po imieniu. Bez względu na wiek mieszkańcy tej krainy wzdrygali się na dźwięk słów „mamusia” i „tatuś”. Według nich brzmiały one w ustach syren śmiesznie.

– Na wybiegu z księciem Ludovikiem – odparła Sani.

– Nie ma z nimi Kolfinna, prawda? – spytała Astrid.

Sanni przerwała swą pracę.

– Kolfinna? – zdziwiła się. – Astrid, czy ty... Nic nie wiesz? – Syrena otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Nie wiem o czym?

– Admirala... tu nie ma – rzekła Sanni, wyraźnie zmieszana.

– A gdzie jest?

Sanni nie odpowiedziała i wróciła do polerowania ze zdwojoną siłą.

– Sanni? – naciskała Astrid, rozdrażniona milczeniem stajennej. – Czy coś się stało?

– Popłyn do swojej matki – odrzekła Sanni, po czym się odwróciła, jednak Astrid zdążyła zauważyć w jej oku łzę. Mieszkańcy Ondaliny nigdy publicznie nie ronili łez.

Astrid poczuła strach.

– O co chodzi? Co się dzieje?

Sanni pokręciła głową i wróciła do siodlarni.

Lęk Astrid się wzmagał. Syrena popędziła przez stajnie w kierunku wewnętrznego wybiegu. Desperacko pragnęła się dowiedzieć, co się stało z jej ojcem.

Eyvor stała na środku wybiegu z rękami na biodrach, marszcząc brwi. Ta wysoka, dobrze zbudowana blondynka miała na sobie płaszcz z futra morsa i naszyjnik z pazurów niedźwiedzia polarnego, który był dość nierozważny, że odważył się ją zaatakować. Obok niej stajenny prowadził po okręgu wierzchowca. Astrid rozpoznała zwierzę. Był to Blixt, ulubieniec Eyvor.

Matka Astrid rozmawiała z syrenem o charakterystycznym wyglądzie. Miał czarne włosy z białym pasemkiem i błękitne oczy. Był to principe Ludovico di Merrovingia, młodszy brat Valleria i świętej pamięci reginy Isabelli. Astrid dobrze go znała.

Ondalina i Miromara walczyły niegdyś między sobą w wojnie o Grzbiet Śródatlantycki. Jednym z warunków traktatu pokojowego był *permutavi*, pakt mówiący o tym, że rodziny królewskie są zobowiązane wymienić się dziećmi, gdy te osiągną pełnoletniość. Zakładano, że w ten sposób państwa będą mniej skłonne do konfliktu.

Ludovico został wymieniony z Sigurlin, siostrą Kolfinna, która mieszkała wraz z rodziną w jednej ze wsi Miromary. Astrid miała zająć miejsce brata Serafiny Desideria, ale Koflinn postanowił jej nie wysłać. Wiedział, że po przeprowadzce do Miromary jej słabość wyszłaby na jaw, a tego sobie nie życzył.

Ludo, jak był popularnie nazywany, zajmował się hodowlą koników morskich, a także szkoleniem orek służących w ondalińskiej armii. Ludo i Eyvor byli bliskimi przyjaciółmi, ale teraz prowadzili zażartą kłótnię.

– Rylka pełni obecnie funkcję admirala. Z nią porozmawiaj – rzekła Eyvor.

Astrid chciała się zbliżyć, ale była tak oszołomiona, że nie mogła się ruszyć. Rylka była dowódczynią sił zbrojnych i drugą najpotężniejszą osobą w Ondalinie. Astrid nie znosiła ani jej, ani jej syna, Tauno. Oboje znali jej sekret i z tego powodu traktowali ją lekceważąco. Dlaczego



to Rylka miała pełnić funkcję admirała?

– Próbowałem – odparł ze złością Ludo. – Ale nie mogę się do niej dostać. Nawet gdyby mi się udało, nie dałoby mi to wiele. To całe szaleństwo to jej wina. Dlaczego on jest w więzieniu, Eyvor? Dlaczego nie mogę się z nim zobaczyć?

Astrid przypomniała sobie reakcję Sanni i jej milczenie na temat Kolfinna. Połączyła ten fakt z komentarzem Eyvor na temat Rylki i jej dowodzenia i wyciągnęła przerażający wniosek.

– Eyvor, Ludo... Co się dzieje? – wydukała. – Kolfinn jest w więzieniu?

Blixt przestraszył się, słysząc jej głos, podobnie jak Eyvor.

– Astrid, wróciłaś. Cieszę się – rzekła matka syreny obojętnym głosem. – Polowanie się udało?

– Eyvor... Kto by się przejmował polowaniem? – Astrid była zniecierpliwiona, ale nie chciała tego pokazać. – Dlaczego Rylka pełni funkcję admirała? Dlaczego Kolfinn siedzi w więzieniu?

– Nie bądź śmieszna. Kolfinn nie siedzi w żadnym więzieniu – odparła Eyvor, pocierając lewą skroń, po czym zwróciła się do stajennej: – Nie przestawaj prowadzić Blixta.

Astrid odetchnęła z ulgą, ale w dalszym ciągu czuła, że coś jest nie tak. Eyvor wyglądała na wykończoną, a Ludo sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał eksplodować.

– Słyszałam, że ktoś trafił do więzienia – rzekła Astrid. – Chciałabym, żebyście mi powiedzieli, kto to taki.

– Mój siostrzeniec Desiderio – oznajmił Ludo. – Został wtrącony do lochu i zabroniono mi się z nim widywać.

– Desiderio? – powtórzyła Astrid. – Myślałam, że...

„...że umarł. Tak przeczuwała Sera. Mówiła, że został wysłany do strzeżenia zachodnich granic Miromary i nigdy nie wrócił”.

Już miała dokończyć, ale się powstrzymała. Powiedziała przecież Eyvor, że wybrała się na polowanie. Gdyby matka dowiedziała się, dokąd naprawdę popłynęła Astrid, zażądałaby wyjaśnień, na co syrena nie miała ochoty. Przynajmniej do czasu, aż dowie się czegoś więcej.

– To znaczy... Jak to się stało, że Desiderio trafił aż tutaj?

– Został oskarżony o przygotowanie planu zabójstwa Kolfinna – odrzekła Eyvor.

Astrid nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Przed chwilą sama zachodziła w głowę, kto mógł stać za zamachami na jej ojca, a teraz Eyvor twierdzi, że to sprawka Desideria?

– Ale to nie on – upierał się Ludo. – Znam go. Tak samo jak znam... znałem... moją siostrę. Żadne z nich nigdy by się czegoś takiego nie dopuściło.

– To dlaczego siedzi w więzieniu? – spytała Astrid.

– Na rozkaz Rylki – odrzekł Eyvor. – Ona i jej żołnierze znaleźli go kilometr na południe od cytadeli, kiedy jechał w pośpiechu z tysięczną armią. Rylka twierdzi, że rozbił potajemnie obóz w Ondalinie, skąd wysyłał do cytadeli zabójców z rozkazu Isabelli. Kiedy nie udało im się uśmiercić Kolfinna, Desiderio podjął się tego zadania osobiście.

– A co na to Desiderio? – zawołał rozgorączkowany Ludo. – Nic! Bo przecież nikt nie pozwolił mu się odezwać! I nikomu nie wolno z nim rozmawiać!

– Według Rylki to dla jego dobra, Ludo. Twierdzi, że padały wobec niego groźby i jedynym sposobem, by go ochronić, jest zamknięcie go – tłumaczyła Eyvor. Astrid widziała, że jej matka z trudem próbuje kontrolować emocje.

– Nie obchodzi mnie, co mówi Rylka! – krzyknął Ludo. – Chłopakowi grozi egzekucja. Potrzebuje adwokata. Ma prawo do obrony!

W tej samej chwili Blixt się potknął. Następnie uniósł przednie kopyta i podkulił jedną z nóg. Jego długi, węzowaty ogon zaczął się miotać na lewo i prawo.

Ludo zaklął.

– Hej! – ryknął do stajennej. – Trzymaj go mocno. – Mówiąc to, zbliżył się szybko, by obejrzeć zranione kopyto, po czym orzekł: – To ochwat. Natychmiast obłóż kopyto lodem.

– Powiedz Sanni, aby zerwała też dla niego trochę morskiej słomy – poleciła Eyvor, odprowadzając stajenną i konia wzrokiem.

Astrid słyszała w głosie matki troskę, ale także coś jeszcze, coś znacznie głębszego. Co to było? Ochwat to poważny problem, ale Eyvor wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Zwykle ani bolączki zwierząt, ani kłótnie nie były w stanie wytrącić jej z równowagi.

Podczas gdy Astrid zastanawiała się nad zachowaniem swojej matki, Ludo przemówił ponownie:

– Ten syren to mój siostrzeniec, Eyvor! Moja krew.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparła syrena.

– Co w twojej mocy? To nie wystarczy! Rylka ma zamiar go stracić bez procesu, a ty wcale się nie przejmujesz!

Eyvor odwróciła się do niego z płomiennym spojrzeniem. Już się nie kontrolowała.

– Przejmuję się, do licha! – krzyknęła. – Ale tak się składa, że mam teraz większe troski! Mój mąż umiera!

– Co... – Astrid chciała mówić, ale nie potrafiła. Zacisnęła dłonie w pięści i spróbowała jeszcze raz. – Eyvor, co powiedziałaś? – Nie zdobyła się na nic więcej niż słaby szept.

Ludo przeniósł wzrok z matki na córkę z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Jeszcze jej nie powiedziałaś? O niczym nie wie? – zdziwił się.

Eyvor wbiła wzrok w dno.

– Wy, Ondalińczycy... Nigdy was nie zrozumieję. – Ludo poznał już zasady panujące w swojej nowej ojczyźnie, ale w głębi duszy pozostał obywatelem Miromary i okazywał uczucia, zamiast je ukrywać.

– Zostawię was – dodał. – Przykro mi, Astrid.

Syrena nawet go nie słyszała. Jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się w matkę.

- Kolfinn jest bardzo chory, Astrid – rzekła Eyvor, kiedy Ludo odpłynął.
- Nadal nie rozumiem – odparła Astrid w całkowitym oszołomieniu. – Kiedy opuszczałam Ondalinę, czułam się już lepiej.
- To było na pokaz. Chciał, aby wszyscy, zwłaszcza jego wrogowie, myśleli, że zdrowieje. Lekarze trzymali prawdziwy stan jego zdrowia w tajemnicy, aby w ten sposób zyskać na czasie.
- Astrid wyglądała, jakby miała się rozpaść na kawałki. Wewnątrz niej szalała burza emocji, a wir bólu, jaki tworzyła, stawał się nie do opanowania. Podobnie jak gniew. Ta wiadomość nie powinna być sekretem. Na pewno nie dla niej.
- Ile czasu mu zostało? – spytała.
- Trucizna uszkodziła mu serce. Nied... – Eyvor skrzywiła się, ale szybko opanowała emocje.
- Niedużo.
- Muszę się z nim zobaczyć – zażądała Astrid. – Natychmiast.
- To nie jest najlepszy pomysł. Przebywa w szpitalu. Jest bardzo słaby.
- Eyvor, to mój ojciec! – krzyknęła Astrid. – Nie mogę się nawet przywitać?
- Eyvor ze smutkiem pokręciła głową.
- Moja Astrid – mówiła rwącym się głosem. – Nie przywitać... ale pożegnać.

## Rozdział 22

**Z**ŁOTO ZA TWOJE myśli – rzekła Sophia.

Sera, która wpatrywała się w bladą tarczę księżyca przez błękitną wodę Miromary, zwróciła się do niej z zawadiackim uśmiechem.

– Myślałam o pewnej księżniczce – odrzekła.

– O którejś przyjaciółce?

Sera się roześmiała.

– Nie. O duchu z rozbitego statku. O hiszpańskiej infantce. Miała na imię Maria Teresa. To ona posiadała talizman Moruadh i mi go oddała. Omal mnie przy tym nie zabijając.

– Dlaczego?

– Bo chciała wrócić do domu – wyjaśniła Sera. – Straszyla w tym zatopionym wraku przez czterysta lat. Można by pomyśleć, że zdążyła zapomnieć, gdzie się urodziła, ale tak się nie stało.

– Pewnie tęskniła za pałacem i dawnym życiem – stwierdziła Sophia.

Sera pokręciła przecząco głową.

– Brakowało jej ciepłych wiatrów swojej ojczyzny, jaśminu i pomarańczy. Błękitnego nieba. Wtedy jej nie rozumiałam, ale teraz już tak. Ja też nie tęsknię za pałacem, sukniami i klejnotami. Za to będzie mi brakować blasku księżyca nad Miromarą, widoku tuńczyków przecinających wodę oraz zapachu wodnych jabłuszek w nurcie. I to bardzo.

– Wrócisz tu, Sero. Wiem o tym – rzekła Sophia głosem pełnym determinacji. – O to przecież walczymy. O przywrócenie reginy na tron. O odzyskanie naszej stolicy i królestwa.

Sera pokiwała twierdząco głową, wzruszona lojalnością przyjaciółki.

– Jak się miewają? – spytała, wskazując skinieniem głowy opuszczony budynek gospodarczy oddalony o kilka metrów.

– Ładują ostatnią partię. Yazeed zaczął z pierwszą grupą płaszczyk. Neela i Silvio prowadzą drugą. Ja jestem odpowiedzialna za trzecią.

– Żadnych śladów jeźdźców śmierci?

– Nie.

– To dobrze. – Sera odetchnęła z ulgą.

Sera, Sophia i pozostali wojownicy Czarnych Płetw znajdowali się w kanionie Sargo. Z pomocą tych samych płaszczyk, które pomogły im przetransportować łup z pałacu, przynosili teraz skarby z ich kryjówek do nowej kwatery głównej w Kargjordzie.

Czekała ich długa podróż. Po drodze płaszczyki potrzebowały przerw na odpoczynek, ale Sera zdawała sobie sprawę, że i tak tempo będzie mordercze. Wiedziała też, że przeniesienie wszystkich z Miromary w bezpieczniejsze miejsce jest konieczne, co nie oznaczało, że łatwo było jej pożegnać swoje ukochane tereny.

W ciemności rozległ się dźwięk gwizdka.

– To mój sygnał – oznajmiła Sophia. – Muszę ruszać.

Syreny się uściskały i Sophia odpłynęła. Sera poinformowała resztę, że dołączy do nich później. Musiała się pożegnać z jeszcze jedną osobą.

„Ciekawe, czy przybędzie?” – zastanawiała się.

Farmę w kanonie Sargo opuszczono przed dziesiątkami lat. Gałęzie zaniedbanych jabłoni powyginały się i poskręcały. Dzięki temu zapewniały doskonałą kryjówkę.

Sera właśnie pod nimi przepływała i kierowała się w stronę zarośniętego kamiennego pawilonu stojącego w środku sadu, wbrew nadziei wierząc, że tajemniczy ktoś będzie na nią czekał. Spotkanie pomógł zorganizować stajenny, przekazując między nimi muszle z wiadomościami. Umówili się, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, zrezygnują ze swojego planu. Choć Sera nieustannie za nim tęskniła, najbardziej liczyło się dla niej jego bezpieczeństwo.

Odśpiewała kilka nut z ceremonialnej pieśni *Przyrzeczenia*. Był to ich umówiony kod. Nie doczekała się jednak odpowiedzi.

„Może się spóźni – pomyślała, próbując ożywić nadzieję. – A może nie dał rady opuścić pałacu”.

Zaczekała kilka minut, po czym zaśpiewała ponownie. Nadal nic. Serafina była zdruzgotana. Minęło tak wiele czasu, odkąd go ostatnio widziała, słyszała jego głos i czuła dotyk. Pragnęła spędzić z nim trochę czasu, choćby kilka cennych minut. Ale chyba nie dziś. Nie pojawiał się. Syrena zawróciła.

I wtedy usłyszała w ciemności jego głos, śpiewający łagodnie.

– Mahdi! – zawołała, odwracając się.

Popłynęła co tchu do pawilonu. On już tam był. Czekał na nią. Spojrzała na twarz, której tak bardzo jej brakowało. Wydała jej się nieco starsza, zmęczona i zatroskana. Ale w jego pięknych ciemnych oczach nadal błyszczała miłość.

– Sera? Czy to ty? – spytał, posyłając jej uśmiech.

Sera pokiwała głową, po czym rzuciła mu się w ramiona. Zakochani utonęli w uścisku, wirując przy tym w wodzie.

– Chcę na ciebie popatrzeć – rzekł Mahdi, gdy się zatrzymali. – Jesteś taka piękna, Sero. Na bogów, tak bardzo za tobą tęskniłem.

Syren wziął jej twarz w dłonie i pocałował z taką namiętnością i tęsknotą, aż zdrętwiał jej ogon. Następnie przycisnął ją do siebie tak, że dotknęli się czołami.

– Nie mogę tu długo zostać – wyszeptał. – Trwa przyjęcie i udało mi się z niego wymknąć, ale

muszę wrócić, zanim moja nieobecność zostanie zauważona.

– Jak zdołałeś uciec z pałacu?

– Perła niewidzialności plus okno. Mam przy sobie jeszcze jedną perłę na powrót. Posłuchaj, Sero. Zanim odpłynę, muszę ci powiedzieć kilka rzeczy – rzekł. – Coś się szykuje. Coś dużego.

– Co to może być? – spytała Sera, przerywając uścisk.

– Chciałbym wiedzieć. Vallerio i Traho spędzają długie godziny za zamkniętymi drzwiami w towarzystwie syrena imieniem Baco Goga. Coś knują, jestem pewien.

Płetwy Sery się nastroszyły.

– Baco nie wróży niczego dobrego. To on sprzedał mnie i Neelę w niewolę Traho.

– Myślę, że jest szpiegiem, ale nie wiem, kogo szpieguje.

– Nie nas. Widzielibyśmy go.

Mahdi nie był przekonany.

– Uważaj na niego i poproś innych o czujność.

– Dobrze.

– Jest coś jeszcze. Portia Volnero wybiera się wkrótce do Ondaliny. To kolejny cel Valleria. No i Lucia. Opłacam jedną z jej dworek, aby ją dla mnie obserwowała. Dowiedziałem się, że ostatnio wymyka się nocami z pałacu, ale nie wiadomo dokąd.

– To też nie może wróżyć niczego dobrego – uznała ponuro Sera.

– Przekażę ci nowe wieści, jeśli tylko czegoś się dowiem – obiecał Mahdi.

– W jaki sposób? – spytała syrena. – Twój stajenny nie będzie już w stanie się z nami kontaktować. Będziemy od siebie za daleko.

– Jest pewna mieszkanka farmy, Allegra. Zaopatruje pałacowe kuchnie w produkty. Posiada siatkę rodzinnych kontaktów od Miromary aż po Morze Północne. Pomogą nam przekazywać sobie muszle.

Sera uścisnęła mocno jego rękę.

– To dobre wieści – rzekła, zadowolona, że będzie mogła utrzymać kontakt z ukochanym. Bolało ją, że nie mają czasu na rozmowy o rzeczach, o których powinna rozmawiać zakochana para, ale teraz najważniejsza była wymiana informacji potrzebnych ruchowi oporu, a nie odbijający się w niesamowitych oczach Mahdiego księżyc czy to, jakie wrażenie w ciemnych wodach robił jego ogon. Może pewnego dnia, kiedy to wszystko minie, znajdą czas na tego rodzaju rzeczy.

Gdy Mahdi ujął jej drugą dłoń, Sera pomyślała o jeszcze jednej istotnej sprawie.

– Słyszałeś coś o synu doży Armanda? – spytała. – Jego pałac jest pusty i nikt nie potrafi go znaleźć.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest. Praedatori się rozpierzchli. Vallerio ogłosił ich zdrajcami i wyznaczył nagrody za ich głowy.

– Postaraj się, żeby wuj nie uznał za zdrajcę także ciebie, Mahdi. Tak bardzo się o ciebie martwię. Bądź ostrożny. Obiecuj mi to.

– Nie przejmuj się. Nic mi nie jest. Tobie grozi o wiele większe niebezpieczeństwo.

Sera pokręciła głową.

– Przebywam wśród przyjaciół i sojuszników – rzekła. – Ty znajdujesz się pomiędzy bezlitosnymi mordercami. Jeśli się zorientują, z kim naprawdę sympatyzujesz...

– Nie zorientują się – odparł Mahdi. – Są już moi.

– Ty i ten twój czar, któremu nie można się oprzeć. – Sera uśmiechnęła się prowokacyjnie.

Syren przyciągnął ją do siebie i pocałował jeszcze raz.

– Muszę już płynąć – wyszeptał.

Sera pokiwała głową i puściła go.

– Do zobaczenia, Mahdi.

Nie widziała wyraźnie z powodu łez, które pospiesznie otarła. Królowe nie płaczą, nawet na osobności.

– Do zobaczenia, Sero. Uważaj na siebie, proszę. Masz moje serce i duszę. Ty jesteś moim sercem i duszą. Nie zapominaj o tym.

Sera popatrzyła, jak syren znika za drzewami w sadzie.

– Czy go jeszcze kiedyś zobaczę? – wyszeptała do prastarych jabłoni. – Czy kiedykolwiek powrócę do Miromary?

Serafina wzięła głęboki oddech, wciągając rodzinne wody w płuca, starając się zatrzymać w sercu zapach wodnych jabłuszek, księżycową poświatę i ciepło dotyku Mahdiego. Chciała je tam zachować na zawsze. Niezależnie od tego, co ją czeka.

Następnie odwróciła się i rozpoczęła długą podróż na północ.

## Rozdział 23

**P**RZEJŚCIA PROWADZĄCEGO DO wnętrza cytadeli chroniła potężna żelazna brama wysoka na sześć metrów.

Astrid podpłynęła szybko do wejścia. W poświacie wiszących nad nim dwóch dużych kul z lawą widziała dwa stworzenia niemal równie wysokie jak brama. Wyglądały jak bryły lodu, w które ktoś tchnął życie. Ich ciała i kończyny były twarde jak lodowiec, a długie włosy oraz brody porastające szerokie twarze przypominały sople lodu zamarznętego wodospadu. W ich oczach świeciło bladobłękitne światło.

Byli to członkowie klanu Fryst, grupy olbrzymich lodowych trolli. Stworzenia te strzegły cytadeli od czasu jej powstania.

Kiedy Astrid zbliżyła się do nich, Frystowie ruszyli groźnie w jej kierunku. Jeden z nich uniósł maczugę wykonaną z głazu przymocowanego do desek pokładowych jakiegoś okrętu. Po chwili rozpoznał syrenę i przywitał ją. Język trolli składał się z jęków i trzasków podobnych do tych, jakie wydają lodowe kry, poruszając się po morzu. Astrid odpowiedziała na powitanie i Frystowie wprowadzili ją do środka.

Syrena płynęła krętymi jak ścieżki labiryntu korytarzami, mijając skromne budynki mieszkalne biedniejszych lokatorów cytadeli, zacne posiadłości bogatszej klasy oraz pałace należące do wojskowych elit. W końcu zatrzymała się przed ogromnym pałacem admirała.

Żołnierze kiwali z pokorą głowami przed syreną, gdy ta wpłynęła do środka i skierowała się do zachodniego skrzydła, w którym na najwyższym piętrze mieściły się gabinety, w a podziemiach lochy oraz prywatny szpital. Kiedy znalazła się w przestronnym holu szpitala, dostrzegła osobistego lekarza Kolfinna. Wspólnie z nim udała się do pomieszczenia, w której leżał admirał.

– Twój ojciec nie jest już tym samym syrenem co dawniej – ostrzegł, prowadząc ją szpitalnym korytarzem. – Trucizna stopniowo wyniszcza jego organizm.

– Dlaczego tego nie powstrzymaliście? – zdenerwowała się Astrid.

– Próbowaliśmy. Dostał każde znane nam antidotum, ale nic nie zadziało. Możliwe, że to jakaś nowa toksyna. Albo że jest na nią wyjątkowo wrażliwy.

Lekarz zatrzymał się przed komnatą chronioną przez strażników i położył dłoń na kłamce.

– Przygotuj się, Astrid – rzekł, otwierając drzwi.

Syrena sądziła, że jest gotowa, ale chyba nie dało się przygotować na widok, jaki ją przywitał. Ciało Kolfinna było wymizernowane, a jego twarz przypominała cienką skórę rozciągniętą na



czaszce. Włosy miał sztywne i poszarzałe.

Gdzie się podział jej ojciec ze swoim silnym czarno-białym ogonem, przeniklywymi błękitnymi oczami i długimi, gęstymi lokami koloru zimowego słońca? Gdzie zniknął siejący postrach władca Ondaliny z czarnymi tatuażami wokół umięśnionych ramion, symbolizującymi jego rangę w armii?

Umierał. Eyvor ją uprzedzała, ale przecież to niemożliwe. Był admirałem i bronił bezpieczeństwa kraju od dwudziestu lat. Chronił również Astrid. Życie syreny, która nie potrafi śpiewać, było wystarczająco trudne nawet z potężnym ojcem u boku. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co będzie bez niego.

Kolfinn leżał na swoim łóżku w pozycji półsiedzącej. Miał zamknięte oczy. Kiedy Astrid go ujrzała, jej wzrok powędrował ku trzem szarpanym ranom na piersi. Blizny te były wynikiem starcia z niedźwiedzicą polarną.

Astrid doskonale pamiętała, jak do tego doszło. Gdy była małą dziewczynką, pewnego razu zapuściła się zbyt blisko pary niedźwiadków na lodowej krze. Do dziś miała w pamięci ryk ich matki i widok jej kłów, kiedy zwierzę skoczyło na nią. Bez magii syrena była całkowicie bezsilna. Nie potrafiła rzucić nawet zaklęcia dającego jej kamuflaż.

Wtem w wodzie zawirowało czernią i bielą i na powierzchnię wyłonił się Kolfinn dzierżący włócznię. Następnie syren wkroczył między córkę a niedźwiedzicę i wtedy bestia wycięła mu pazurami na klatce piersiowej owe rany. Kolfinn jej nie zabił, chociaż mógł to zrobić. Była matką broniącą swoich młodych. On także. Dlatego tylko odciągnął ją na bok i zajął się łkającą Astrid.

Później także był dla niej tarczą. Chronił ją swoimi słowami, spojrzeniami, uśmiechem, ale i ostrymi uwagami. W ten sposób okazywał uczucia. Astrid również go kochała, choć czasami się go bała i często sprawiała mu zawód.

Lekarz oddalił się, aby mieli trochę prywatności. Zamknął za sobą drzwi. Astrid oparła się o nie, trzymając ręce za plecami. Bała się poruszyć lub odezwać. Nie chciała, by duch, którego miała przed sobą, stał się rzeczywistością.

Kolfinn otworzył oczy.

– Astrid? – rzekł z trudem. – Podpłyn bliżej – powiedział, wskazując dłonią krawędź łóżka. Syrena odłożyła plecak i miecz, po czym zbliżyła się. – Cieszę się, że wróciłaś. Musimy porozmawiać. Zostało mi niewiele czasu.

Serce Astrid przeszły ból, ostry i zabójczy jak włócznia.

– Kolfinn, nie. Jeszcze wyzdrowiejesz – odparła łamiącym się głosem.

W oczach jej ojca pojawił się blask niesmaku niczym ogon orki tnący taflę morza.

– Spodziewałem się po tobie czegoś więcej – skarcił ją. – Zostaw takie słabostki naszym południowym sąsiadom. My, mieszkańcy północnych wód, nie zaprzatamy sobie głów głupstwami.

Astrid pokiwała głową, tłumiąc łzy.

– Jak ci wiadomo, po mojej śmierci admirałem zostanie Ragnar. Rylka, której obecnie powierzyłem funkcję zastępczyni, dopilnuje, by przejęcie władzy przebiegło prawidłowo.

Ragnar był bratem Astrid. Miał dwadzieścia lat i był od niej trzy lata starszy. Rylka, głównodowodząca siłami zbrojnymi Ondaliny, według nieoficjalnych źródeł była mistrzynią szpiegostwa. W całym królestwie nic nie mogło się wydarzyć bez jej wiedzy.

– Dlaczego Ragnar jej potrzebuje? Przecież jest silny – stwierdziła Astrid. – Będzie dobrym admirałem.

– Jest silny, ale brakuje mu doświadczenia. Rylka nim pokieruje – stwierdził Kolfinn. – Obawiam się zarówno o sukcesję Ragnara, jak i bezpieczeństwo królestwa. Jesteśmy w przededniu wojny z Miromarą.

Astrid poczuła ścisk w żołądku.

– Wojny? A to dlaczego?

– Mieszkańcy Miromary próbowali mnie zabić. Niedługo dopną swego – dodał gorzko. – Ponadto Vallerio oskarżył nas o atak na Ceruleę i morderstwo Isabelli, Bastiaana i Serafiny. Oczywiście się myli, ale nie potrafimy go przekonać. Przejął cesarstwo Matali i jeśli nas zaatakuje, będzie miał za sobą całą siłę ich wojska. Nic nie zdziałamy wobec takiej armii.

„Czas zdradzić, gdzie byłem i czego się dowiedziałam” – uznała Astrid, przygotowując się do rozmowy. Syrena wzięła głęboki oddech, po czym zaczęła opowiadać.

– Kolfinnie, nigdy nie przekonasz Valleria. On się nie myli, lecz kłamie. Serafina nie zginęła, ale Isabella i Bastiaan tak. To Vallerio jest odpowiedzialny za ich śmierć.

Kolfinn pobladł. Ta wiadomość wyraźnie go przeraziła.

– Skąd o tym wiesz?

– Od Serafiny.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Byłaś z Serafiną? Myślałem, że polowałaś?

Astrid pokiwała głową z poczuciem winy.

– W pewnym sensie tak. Ale nie na zwierzęta, tylko na odpowiedzi.

Następnie syrena powiedziała ojcu wszystko, co zaszło: od wezwania przez Vřąję, przez potyczkę z Abbadonem w jaskiniach ieli po podróż do Atlantyki w towarzystwie Bekki.

Kiedy skończyła, Kolfinn, który cały czas słuchał jej w pozycji siedzącej, zszokowany opadł na poduszkę.

– Astrid, trudno w to wszystko uwierzyć – rzekł.

– Nie dziwię ci się, że tak uważasz – odparła, po czym przyłożyła palce do piersi, ponad sercem, i wyciągnęła pieśń krwi. Ukazała ona Astrid oraz pięć pozostałych syren walczących z Abbadonem. Następnie pokazała ojcu Serafinę podczas *convoki*, gdy ta opowiadała przyjaciółkom o zdradzie Valleria.

Gdy krew rozmyła się w wodzie, rysy Kolfinna stały się ostrzejsze.

– Vallerio zamordował własną siostrę – rzekł. – A więc niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźliśmy, jest większe, niż sądziłem. Syren zdolny do czegoś podobnego nie cofnie się przed niczym.

– Kolfinnie, iele wezwały mnie, abym pomogła pokonać Abbadona – odparła Astrid. – Sera i reszta poprosiły, bym do nich dołączyła. – Zawahała się nieco, próbując zebrać się na odwagę. – I chcę to zrobić – dodała w końcu.

Kolfinn pokręcił głową.

– Absolutnie nie. To zbyt niebezpieczne. Zabraniam ci.

– Ale one mnie potrzebują! Beze mnie sobie nie poradzą!

– Jakaś bestia w klatce na drugim końcu świata obchodzi mnie mniej niż potwór z Miromary – stwierdził Kolfinn. – Poza tym do czego im się możesz przydać? Nie potrafisz używać magii.

Syrenę dotknęła bezpośrednio ojca, ale się nie poddawała.

– Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Wyobraź sobie, że... nauczyłam się znowu magii.

Kolfinn otworzył szerzej oczy.

– Naprawdę? W jaki sposób? Kiedy to się stało?

Astrid nie odpowiedziała. Wyjęła z torby flet z kości wieloryba, wzięła głęboki oddech i zagrała melodię *canta prax*, zabarwiając pomieszczenie purpurą.

– Widzisz? – zawołała z podekscytowaniem, spodziewając się, że zrobiła na ojcu wrażenie.

Było jednak inaczej. Dokładnie odwrotnie. Syren zacisnął usta ze złości.

– Fujarka? – syknął. – To dobre dla dzieci. Córka admirała nie będzie odgrywać pieśni magii śpiewu na fujarce.

Astrid skurczyła się, słysząc jego krytyczny ton. Próbowwała się bronić, ale Kolfinn ją przekrzyczał.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak wysoka jest stawka? Przetwanie naszego królestwa. Kiedy tu rozmawiamy, z Miromary płynie do nas emisariusz wraz z Portią Volnero. Miromara oskarża nas o agresję i nakazuje poddanie się. Portia ma nam przedstawić swoje żądania. Jeśli odmówimy, będzie to oznaczać wojnę. Naszą jedyną kartą przetargową jest Desiderio i jego armia. Zostali pojmani...

– Eyvor mi mówiła – odrzekła Astrid, aby oszczędzić mu wyjaśnień.

– Rylka chciała go stracić, ale ją powstrzymałem – ciągnął. – Ma dla nas wartość tylko żywy.

Syren próbował ponownie usiąść prosto. Astrid zauważyła, że ojcu dokucza silny ból.

„Jak do tego doszło? – zastanawiała się po raz setny. – Jak to możliwe, by zabójca znalazł się tak blisko niego, by zatruć jego posiłek?”

– Leż spokojnie, Kolfinnie – rzekła z troską. – Tracisz siły.

– Nie mogę leżeć spokojnie – ryknął Kolfinn.

Astrid słyszała w głosie ojca desperację umierającego, co przeszło ją trwogą.

– Muszę wszystko poukładać – rzekł. – Muszę chronić ciebie i Ragnara. Wątpię, bym jeszcze żył, kiedy przybędzie Portia. Moje obowiązki przejmie Ragnar. Muszę dopilnować, by mu się udało. Ty też musisz wypełnić swój obowiązek. Z zewnątrz rozlegną się głosy sprzeciwu wobec sukcesji twojego brata. Nie możemy dopuścić, by podobne wątpliwości zaistniały w samym królestwie.

Astrid rozumiała słowa Kolfinna.

– To znaczy, że moja tajemnica nie może wyjść na jaw – skwitowała z goryczą.

– Gdyby nasi wrogowie dowiedzieli się, że nie znasz magii, mogliby wysnuć wniosek, że twoja niepełnosprawność jest dziedziczna, co kwestionowałoby kompetencje Ragnara. Poleciałem Rylce, by ukarała każdą osobę, która wypowie się w tej sprawie. Żałuję, że powiedziałas o tym tej syrenie – Becce. Może zdradzić twoją tajemnicę pozostałym.

– Tak bardzo się mnie wstydzisz? – spytała Astrid półszepem, pochylając głowę.

Kolfin się wzdrygnął. W jego oczach widać było ból.

– Tak bardzo się o ciebie boję, Astrid – odparł. – Twoja niedoskonałość jest oznaką słabości, a słabości nie można tolerować, nie u członka rodziny królewskiej. Wiesz, że jesteśmy zagrożeni. Teraz, w obliczu ataku z Miromary, jest jeszcze gorzej. Liczy się tylko przetrwanie. A w Ondalinie mogą przetrwać tylko najsilniejsi.

Zapadła niezręczna cisza. Astrid wstała z łóżka z zaciśniętymi szczękami i podpłynęła do okna. Była urażona i zdenerwowana, ale zaczynało się w niej rodzić jeszcze jedno uczucie: bunt.

„Widzi we mnie tylko to, czego mi brakuje, nie to, co mam – pomyślała. – Nie jestem słaba, lecz silna. Silniejsza, niż mu się wydaje. Możliwe, że przyszłość tego królestwa zależy ode mnie bardziej, niż potrafi to sobie wyobrazić”.

Kolfinn odezwał się pojednawczo.

– Będziesz bezpieczniejsza po mojej śmierci. Dopilnowałem tego. Głównodowodząca Rylka, zawsze mi wierna, zaproponowała małżeństwo ze swoim synem Tauno.

Zamyślona Astrid nie zrozumiała słów ojca. Odwróciła się do niego i zapytała:

– Po co? Żeby zawiązać sojusz z innym państwem? Kto miałby poślubić tego cwaniaka? Jakaś biedna idiotka z Atlantyki?

Spojrzenie Kolfinna spochmurniało.

– Nie, Astrid. Ty.

## Rozdział 24

**A**STRID ODJĘŁO MOWĘ. Próbowwała się odezwać, ale nie potrafiła. Czuła się, jakby woda ją dusiła.

Kolfinn uznał jej milczenie za zgodę.

– Jutro odbędzie się oficjalna ceremonia Przyrzeczenia, a potem podpiszemy kontrakt małżeński. Chcę wszystkiego dopilnować, zanim odejdę.

Astrid zdołała wreszcie złapać oddech.

– Nie! – krzyknęła. – Nie zrobię tego!

– Astrid...

– Mam tylko siedemnaście lat! Nie chcę za nikogo wychodzić, zwłaszcza za Tauna!

– Dlaczego nie? Jest dobrym wodzem, silnym syrenem. Zapewni ci bezpieczeństwo.

– On jest barrakudą! Biję swoje wierzchowce. Widziałam! I... i...

Kolfin uniósł brew.

– I co?

– Jest głupi! W szkole nigdy nie uważał na lekcjach. Siedział z tyłu klasy ze swoimi durnymi koleżkami i rzucał we wszystkich kulkami lodu – odparła Astrid.

– To było lata temu – rzucił lekceważąco Kolfinn. – Jestem pewien, że od tego czasu wydorósł.

– Nie zrobię tego! – zadeklarowała Astrid. – Bardziej od Tauna wolałabym już jakiegoś udstodta.

Udstodt to nazwa ondalińskich wyrzutków, czyli przestępców i dziwaków. Mieszkali w południowej części królestwa, kryjąc się w bryłach oderwanych od gór lodowych.

– Małżeństwo jest twoim obowiązkiem i dobrze o tym wiesz – nie ustępował Kolfinn. – Gdyby coś się przytrafiło twojemu bratu albo jego synom, których może mieć w przyszłości, to twoi przyszli synowie zostaną władcami Ondaliny. – Mówiąc to, pokręcił głową. – Spędziłaś zbyt wiele czasu na południu. To by wyjaśniało twoje nedorzeczne zachowanie. *Varme gor oss dumma* – dodał po staroondalińsku.

Astrid знаła znaczenie tego przysłowia, podobnie jak wszyscy mieszkańcy jej państwa. Ojciec powiedział: „Ciepło jest źródłem głupoty”.

– Nie zamierzam poślubić Tauna – oświadczyła syrena. – Nie możesz...

Kolfinn wszedł jej w słowo.

– Na bogów, dziecko! Naprawdę będę musiał to powiedzieć? – zagrział.

– Co takiego? – odparła równie głośno Astrid.

– Nie masz wyboru! Tylko Tauno cię chce!

Astrid poczuła się, jakby wymierzono jej policzek. Wisiała w wodzie bez ruchu, całkowicie upokorzona.

– Kto by chciał syrenę nieznającą magii? – nie przerywał Kolfinn. – Kto w tych wodach zgodziłby się na dzieci bez magicznych zdolności? Jak miałyby się one bronić? Co by dawały społeczności?

– Mylisz się, Kolfinn – odparła butnie Astrid, myśląc o Becce i Serafinie. – Moje przyjaciółki mnie chcą.

– Przyjaciółki? – powtórzył z wyrzutem w głosie admirał. – Władcy nie mają przyjaciół. Władcy mają królestwa. – Po chwili dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Każę moim doradcom przynieść stosowne dokumenty, by były gotowe na jutro w południe przy moim łozu. Będą tu Tauno i Rylka. Postaraj się być i ty.

Jutro w południe. Teraz była siódma wieczór. Za siedemnaście godzin miała tu wrócić i podpisać się na kontrakcie małżeńskim. Miała zostać żoną Tauna, syrena, którego szczerze nienawidziła. Sam pomysł przyprawiał ją o mdłości.

– Wszystko to robimy dla Ondaliny – rzekł Kolfinn, jakby czytał w jej myślach.

Astrid pokiwała głową i posłusznie pocałowała ojca w policzek, po czym zarzuciła torbę i miecz na plecy i opuściła pomieszczenie.

Wydostała się ze szpitala, a potem popłynęła Holem Starszych – łukowatym korytarzem prowadzącym do prywatnych kwater członków jej rodziny. Korytarz był pusty. Po obu jego stronach stały naturalnej wielkości posągi poprzednich admirałów Ondaliny. Astrid płynęła obok nich z uniesioną głową i chłodnym spojrzeniem, ale w środku gotowała się od emocji niczym podwodny ogień.

Jakaś jej część pragnęła odpłynąć stamtąd jak najszybciej. Już, teraz, zanim będzie za późno. Jednak coś nie pozwalało jej opuścić rodziny i królestwa. Powiedziała sobie, że następnego dnia stawi czoło sytuacji i Ceremonii Przymierzenia, podobnie jak stawiała czoło innym wyzwaniom w swoim życiu – uciszając własne serce. Nie miała innego wyboru. To było jedyne wyjście. Zarówno dla niej samej, jak i dla Ondaliny. Kolfinn tak postanowił.

Astrid stanęła jak wryta, a jej pełne bólu spojrzenie wędrowało po twarzach milczących kamiennych posągów.

– Czy to prawda? – spytała, ale nie doczekała się odpowiedzi. Posągi gapiły się kamiennymi oczami, podczas gdy Astrid walczyła ze sprzecznymi uczuciami.

Miała tu zostać i spędzić przyszłość z Taunem, patrząc, jak jej państwo kapituluje na życzenie Miromary i mając przy tym świadomość, że Abbadon nieustannie rośnie w siłę? Jak niby to miało pomóc Ondalinie?

Kiedy tak patrzyła na przodków, z których niektórzy żyli setki, a inni tysiące lat wcześniej, Astrid zrozumiała, że ich zasady, podobnie jak zasady jej ojca, należą do przeszłości. Źródłem ich siły było ukrycie. Kamuflaż. Strzeżenie tajemnic i niedopuszczanie do siebie obcych.

Taką samą taktykę przyjęła Moruadh. Według Vrăi Moruadh ukrywała wiele prawd, takich jak ta o zniszczeniu Atlantydy czy o Abbadonie, a wszystko to w celu ochrony swoich poddanych. Niestety, w ten sposób naraziła ich na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Zasady Kolfinna i Moruadh... nie są moimi zasadami – wyszeptała Astrid.

Już kiedy wyruszyła w kierunku jaskiń ieli, syrena obrała inną drogę. Spotkanie z rzecznyymi czarownicami, znajomość z Serą i pozostałymi syrenami poprowadziły ją dalej tą nową ścieżką. Czy miała z niej teraz zawrócić?

– Musi istnieć inna droga i inne zasady – uznała. Na ich odkrycie został jej niecały dzień.

## Rozdział 25

**M**ACAPA! NARESZNIE, MALEŃSTWO! – zawołała zmęczonym głosem Ava do swojej piranii. – *Meu deus*, już myślałam, że nigdy nie wrócę do domu.

Ava nie widziała jeszcze domu, ale słyszała go i czuła jego zapach.

Rozlegały się głosy bawiących się dzieci. Ktoś śpiewał kołysankę. Gdzieś brzęczały naczynia, krzyczały matki. Wokół roznosił się ostry zapach błotnych papryczek, a także kwaśna woń bagiennych owoców. Syrena poczuła ciepło wód Macapy oraz jej mieszkańców.

Straciła wzrok, kiedy miała sześć lat. Była młoda, ale wystarczająco duża, by pamiętać, jak wyglądała jej wioska.

Budynki mieszkalne zbudowano z pustych muszli ogromnych rzecznych małży, przymocowanych do dna za pomocą sznurów z korzeni drzew. W ściankach muszli wycinano okrągłe otwory, aby utworzyć okna i drzwi, a okna ozdabiano pomalowanymi na jaskrawe kolory okiennicami. Zamykano je na noc, a otwierano za dnia. Szkło było drogie, a Macapa była biedną wioską. W drzwiach wisiały maleńkie muszelki ślimaków nawleczone na morskie pnącza, odstraszać irytujące barwne pielęgnice. Na powierzchni rzeki unosiły się kajmany, których brzuchy od spodu wyglądały jak pływające po niebie chmury. Po błotnistym dnie rzeki wiły się anakondy.

Ava nie mogła się doczekać, aż znajdzie się w domu. Tęskniła za śpiewem matki, smakiem przyrządzanego przez ojca gulaszu z salamandry oraz za swoim wygodnym łóżkiem. Kiedy syrena wraz z Maleństwem przepływała wąskim, zatłoczonym prądem Macapy, pirania nieustannie kłapała paszczą, drażniąc wszystkich wokół.

– Przestań, *louco*, albo znowu wezmę cię na smycz! – skarciła rybę Ava.

Była wykończona. Podróż z rzeki Aluty trwała długo, a dodatkowo przedłużyła ją konieczność unikania głównych nurtów w obawie przed Traho i jego jeźdźcami śmierci. Zarówno Ava, jak i jej pirania były wychudzone. Potrzebowały odpoczynku oraz domowego jedzenia. Ava nie miała wątpliwości, że będą mogły liczyć na jedno i drugie. Gdy tylko wrócą jej siły, miała zamiar wyruszyć w kierunku Missisipi na poszukiwania pierścienia z rubinem Nyksa.

Kiedy usiadła z rodzicami przy kuchennym stole i oznajmiła, że ma zamiar przemierzyć pół świata i dostać się do zimnej, ciemnej rzeki w odległych Karpatach, byli niepokieszeni. Jednak gdy wyjaśniła im, jaki jest tego cel, zrozumieli.

„Bogowie mieli swoje powody, by odebrać ci wzrok” – zwykł mawiać ojciec.

– Może teraz dowiesz się dlaczego – uznała matka.



Podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy Macapy Ava mocno wierzyła w bogów. Nie byli oni dla niej bezdusznymi posągami, które należy raz w tygodniu czcić w chłodnej świątyni, ale żywymi istotami, które szczerze kochała, przywoływała, a czasem nawet krytykowała. Żadna przysła panna młoda nie odważyłaby się tu wyjść za mąż, nie prosząc wcześniej o błogosławieństwo morskiej bogini Nerii. Każde nowe przedsięwzięcie biznesowe wymagało ofiary dla Ploutosa, boga pieniędzy. A gdyby się okazało, że gulasz ojca Avy jest zbyt gorzki, pierwszą winną istotą byłaby Estia, bogini kuchni.

Ava przez większość życia wyczekiwała na moment, kiedy się dowie, dlaczego straciła wzrok. Podczas podróży do Aluty i z powrotem miała nadzieję, że bogowie jej wysłuchają i pozna prawdę, ale ci milczeli. Usłyszała o Orfeo, o talizmanach i zabójczym potworze zwanym Abbadonem, do którego śmierci miała się przyczynić, choć nadal nie wiedziała jak. Czy jej ślepotą mogłaby się okazać pomocna w pokonaniu bestii zdolnej zniszczyć całą wyspę?

Nie było go w stanie zabić pięcioro magów Atlantydy obdarzonych pełnią wiedzy. Jakie były zatem jej szanse?

Przez całą drogę powrotną Ava schlebiała bogom i błagała o odpowiedzi.

Kiedy na Wyspach Kanaryjskich opuściła krainę luster, wypłynęła na powierzchnię i przemówiła do boga nieba.

– Dlaczego odebrałeś mi wzrok, Cassio? Czy mogę liczyć na cień odpowiedzi? Cokolwiek? Nie chcę się naprzykrzać, ale podobno mam ocalić świat, a na razie nawet go nie widzę.

Przemierzając Basen Zielonego Przylądka, skarciła boga uzdrawiania.

– Myślisz, że to jest zabawne, Eveksion? Kiedy Abbadon odkryje, że go nie widzę, podobnie jak wszystkiego innego, po prostu urwie mi głowę. Nawet ty mnie wtedy nie uzdrowisz.

Na terenie Równiny Gambijskiej próbowała nakłonić do rozmowy bliźniaczych bogów pływów.

– Hej, Trykel i Spume, mam dla was zagadkę: jak się nazywa niewidoma syrena walcząca z potworem o dwunastu mackach? Odpowiedź brzmi: papka.

Innym razem, w równikowej strefie ciszy, ukrywając się przed jeźdźcami śmierci, głodna, samotna i wystraszona, zwróciła się bezpośrednio do samej bogini morza.

– Nerio, proszę, zdradź mi ten powód. To sprawa życia i śmierci, rozumiesz? Może komuś nieśmiertelnemu to nie robi różnicy, ale ja nie chcę, by moje przyjaciółki zginęły.

Jednak bogowie milczeli jak zakłęci.

Syrena była już blisko domu. Poczwała, jak nurt skręca w lewo, a następnie w dół, i wiedziała, że jej dom stoi zaledwie kilkanaście metrów dalej. Już słyszała stęskniony głos matki i czuła uścisk silnych ramion ojca.

Tak bardzo się ucieszy jej widokiem. Wiedziała, co powie: że tęsknił, że się martwił, że bardzo ją kocha, że strasznie schudła.

Mógłby też powiedzieć coś takiego: „Te papryki są takie pikantne, jakby posadził je sam

Helios! Płynę je oddać do warzywniaka. Niech je sobie wsadzą w ucho!”.

– Zaraz... O co chodzi? – zdziwiła się głośno Ava.

Głos jej ojca był tak donośny, tak wyraźny, jakby nie rozbrzmiewał w jej wyobraźni, ale tuż obok niej!

Ava zatrzymała się nagle w alejce. Położyła dłonie na głowie. Miała wizję. Tak intensywną, że poczuła zawroty. Od czasu wydarzeń w jaskiniach ieli i poznania pięciu pozostałych syren jej zdolność widzenia umysłem cały czas się wzmacniała.

Ujrzała rodziców siedzących przy kuchennym stole. Ojciec siekał paprykę, a mama robiła na drutach. Zwykle podczas pracy śpiewali albo rozmawiali, ale teraz na ich twarzach malował się smutek.

„Dziwne – pomyślała Ava. – Coś jest nie tak”.

– Ech, mamuśka, papryki pieką mnie w ręce – rzekł ojciec syreny. Po chwili podniósł wzrok znad deski do krojenia i spojrzał prosto w oczy córki. – Są tak ostre, że aż niebezpieczne. Trzeba się ich pozbyć. – Mówiąc to, wstał i zwrócił się w kierunku kosza na śmieci stojącego w pobliżu kuchennych drzwi. Ava dostrzegła, że po obu stronach drzwi wejściowych stoi po jednym jeźdźcu śmierci. Jeden z nich trzymał kuszę wycelowaną w matkę syreny. Drugi był uzbrojony w sieć.

Ava jęknęła. Małeństwo, słysząc w jej głosie strach, warknęło cicho i zaczęło krążyć wokół niej. Jeźdźcy śmierci czekali, by zwabić ją w pułapkę. Kusza miała na celu powstrzymać rodziców Avey przed wykonaniem *convoki* i ostrzeżeniem córki. Pomyślała, że ojciec musiał wyczuć jej obecność. Wiedział, że Ava ma zdolność przewidywania i widzenia za pomocą umysłu.

Wizja się skończyła i Ava musiała się oprzeć o ścianę jednego z domów w alejce. Serce waliło jej jak oszalałe. A jeśli w nurcie na zewnątrz domu ukrywa się więcej żołnierzy? A może są na dachu? Albo na balkonie sąsiadów? Musiała uciekać, i to szybko.

Była tak wycieńczona, że drętwiały jej kończyny. Miała niewiele jedzenia i jeszcze mniej pieniędzy. Okropnie tęskniła za rodzicami. Potrzebowała ich rad, opieki, dobrego słowa. Tyle że teraz to oni potrzebowali ochrony.

Nie pozostawało jej nic innego, jak się oddalić. Uznała, że w końcu jeźdźcy śmierci stwierdzą, że syrena nie wróci do domu, i zostawią jej rodziców w spokoju.

Do oczu napłynęły jej gorzkie łzy.

– Mamo, tato... Kocham was – wyszeptała.

Mogła się teraz udać tylko w jedno miejsce: na bagna Missisipi, gdzie duchy Okwa Naholo pilnowały talizmanu Nyksa. Nie powinna wracać do domu. Jeszcze przez długi czas, dopóki to wszystko nie dobiegnie końca.

Ava zakryła twarz szalem, który miała owinięty wokół szyi, po czym odwróciła się i odpłynęła pospiesznie, wtapiając się w tłum syren przemierzających ruchliwy nurt Macapy.

## Rozdział 26

**P**LYNĄC PRZEZ HOL Starszych z głową zwróconą w dół, Astrid omal nie natknęła się na Rylkę i Tauna. Właśnie wyłonili się zza zakrętu korytarza i zbliżali się do niej. Oni również patrzyli w dół. Byli pogrążeni w rozmowie.

Astrid spanikowała. Tauno był ostatnią osobą, którą miała ochotę teraz oglądać, a Rylka zajmowała chyba drugie miejsce w tym rankingu. Aby ich uniknąć, schowała się za posągami i skuliła. Jej włosy rozplynęły się we wszystkie strony i musiała je wetknąć za kołnierz kamizelki. Kiedy Rylka i Tauno się zbliżyli, starała się skurczyć do granic możliwości w nadziei, że ją miną i popłyną dalej.

Stało się jednak inaczej. Rylka zatrzymała Tauna tuż przed figurą, za którą skryła się Astrid. Syrena widziała ich wyraźnie. Rylka nosiła czarny mundur głównodowodzącej siłami zbrojnymi, ze skrzyżowanymi na wysokości kołnierza pazurami niedźwiedzia polarnego. Jej ciemnoblonde włosy były ścięte tuż przy głowie – typowa fryzura ondalińskich żołnierzy. Bursztynowe oczy patrzyły z przenikliwością. Barwy Tauna były takie same jak jego matki. Trzy pionowe zęby orki przy kołnierzu oznaczały rangę majora. Syren był wysoki i barczysty, miał szeroką, przystojną twarz. To znaczy, mogłaby być przystojna, gdyby nie ten nieznikający z niej drwiący uśmiešek.

Astrid się z nim wychowywała. Był typem urwisa, który chowa przed babcią okulary, przywiązuje muszelki do rybich ogonów, naśmiewa się z syren, które się jąkają. Nie taką osobę chciała poślubić.

Rylka poprawiła kołnierz syna i otrzepała jego marynarkę.

– Cuchniesz jak konik morski. Cały jesteś w mule – skarciła go.

– Czego się spodziewałaś? Właśnie wróciłem z misji – odparł pośepnie syren.

– Wzywa cię do siebie sam admirał. Przynajmniej zapnij marynarkę – ofuknęła go Rylka, wsuwając w dziurkę guzik z kości wieloryba.

– Dlaczego mnie wzywa? Posłaniec mi tego nie powiedział.

Rylka rozejrzała się po korytarzu, aby się upewnić, że są sami, po czym odparła:

– Ponieważ chce, żebyś poślubił jej córkę.

Tauno roześmiał się z niedowierzaniem.

– Astrid?

– Ma jakąś inną córkę, o której istnieniu nic nie wiem?

– Na krabie szczypcy... Mówisz poważnie? – Tauno uniósł ręce do góry i cofnął się o metr. – Zapomnij o tym, Rylka. Nie zamierzam jej poślubić. To zwariowana wariatka!

„Prawdziwy z siebie mistrz słowotwórstwa, Tauno. Nie zapominając o twoich pozostałych talentach” – mruknęła w duchu Astrid.

– A jednak ożenisz się z nią – oznajmiła Rylka.

– Mowy nie ma. Spadam stąd – powiedział Tauno i odwrócił się, chcąc popłynąć z powrotem.

„Wygląda na to, że mój ojciec się mylił – pomyślała z goryczą Astrid. – Nikt mnie nie chce, nawet Tauno”.

– Jeszcze jeden ruch, a każę cię zamknąć w kadłubie zatopionego statku – syknęła Rylka cichym, spokojnym głosem, który w ten sposób brzmiał jeszcze okrutniej.

Tauno spojrzał jej w oczy.

– Zrobiłabyś to, prawda? Zamknęłabyś własnego syna.

– Każdego żołnierza oddałabym pod sąd wojskowy za niewykonanie rozkazu – odparła Rylka.

– Czyli tak mam to rozumieć? Jako rozkaz poślubienia Astrid? Rozkaz Kolfinna?

– Kolfinn będzie cię prosił. Rozkazuję ja.

Tauno zaklął i pokręcił ze złością głową.

– Choć na pięć sekund przestań się spierać i posłuchaj, Tauno. Szykują się zmiany. Zmiany dotyczące Ondaliny i nas wszystkich – ciągnęła Rylka.

Tauno zmrużył oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Do cytadeli zmierza Portia Volnero. Do tego czasu Kolfinn zdąży już umrzeć. Portia proponuje Ragnarowi układ.

– Skąd wiesz, co robi Portia? – zdziwił się Tauno.

– Utrzymuję z nią kontakt. Kilka miesięcy temu odezwała się do mnie i zdradziła warunki porozumienia. Ma zamiar powiedzieć Ragnarowi, że agresja Ondaliny wobec Miromary była aktem wojny i dlatego teraz musi się poddać. Albo uzna Lucię Volnero za prawowitą władczynię Ondaliny, albo Miromara obróci całe nasze królestwo w pył. Doradzę Ragnarowi, by przyjął jej żądania.

Astrid powstrzymała okrzyk zaskoczenia. Kolfinn wierzył w lojalność Rylki, a ona potajemnie zawiązała sojusz z Portią Volnero!

– Też mi układ – prychnął Tauno.

– Nie dla Ragnara – przyznała Rylka. – Ale dla ciebie to może być układ doskonały.

– Jak to?

– Ragnar nigdy nie przyjmie oferty Portii. Będzie utrzymywał, że Ondalina nie dopuściła się ataku na Miromarę, i będzie o to walczył, ponieważ jest synem Kolfinna. W tej bitwie zginie.

– Tego nie możesz wiedzieć – wtrącił Tauno.

– Oczywiście, że mogę. Sama tego dopilnuję. W ogniu walki tak trudno rozróżnić, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem.

Astrid zadrżała. Oparła się o posąg, aby utrzymać równowagę. Nie mogła uwierzyć w to, co przed sekundą usłyszała. Rylka knuła spisek mający na celu zamordowanie Ragnara, rodzzonego brata Astrid!

– Ragnar nie ma więcej synów, więc po jego śmierci admirałem zostanie Astrid – ciągnęła Rylka. – Jednak tuż po objęciu tej funkcji będzie miała wypadek podczas polowania. Tragiczny w skutkach. Wszyscy wiedzą, jak niebezpieczne mogą być polowania, a ty, jej wierny mąż, tak często ją ostrzegałeś, że powinna uważać...

W oczach Tauna pojawił się błysk.

– I wtedy ja zostanę admirałem – stwierdził z podekscytowaniem.

– Dokładnie – zamruczała Rylka.

Astrid poczuła, że wzbiera w niej nagła furia. Rylka planowała zabić ją i Ragnara i oddać Ondalinę pod władanie Portii Volnero, a wszystko po to, by jej syn został admirałem! Z trudem powstrzymała się przed opuszczeniem kryjówki i podjęciem walki ze zdrajcami. Uznała jednak, że rozmowa jeszcze się nie skończyła, a chciała usłyszeć wszystko.

– Astrid nie zostawi po sobie potomstwa, ponieważ zginie niedługo po ślubie – kontynuowała Rylka. – A jeśli admirał nie ma spadkobierców, jego funkcję według prawa Ondaliny dziedziczy współmałżonek. Wtedy będziesz mógł wziąć za żonę, kogokolwiek sobie wybierzesz, i będziesz rządził Ondaliną jako wasal Miromary. – W głosie Rylki było słycać zadowolenie.

„Aleś ty sprytna – myślała Astrid. – Wszystko już ułożyłaś, co?”

Tauno nieco spochmurniał.

– Nie podoba mi się ten fragment o wasalu – stwierdził. – Ondalina nie będzie niczym wasalem.

– Ondalina nie ma wyboru – odparła Rylka. – Jeśli się sprzeciwimy, nasi poddani zostaną zamordowani, a miasta i wsie zniszczone. A po co nam to? Ostatecznie to Miromara zwycięży. Będziemy głupcami, jeśli nie przyjmujemy oferty Portii.

„Jesteście głupcami, że wierzycie w choć jedno jej słowo” – pomyślała Astrid.

Syrena widziała napadnięte wioski. Słyszała od Serafiny, dokąd trafili uprowadzeni mieszkańcy i w jakim celu. Wiedziała, że gdy tylko Ondalina skapituluje, jej obywatele również trafią do obozów pracy, gdzie będą szukać talizmanów.

– Chodźmy, Tauno – rzekła Rylka, klepiąc go po klatce piersiowej. – Czas spełnić ostatnie życzenie Kolfinna.

– Zaczekaj, Rylka...

Syrena uniosła brew w kształcie idealnego łuku.

– Skąd pewność, że Kolfinn umrze? – spytał Tauno. – Już raz pokonał chorobę. Może tym razem będzie podobnie? Zwłaszcza teraz, po schwytaniu Desideria. Przecież to on wysłał zabójców, aby otruli Kolfinna.

Rylka sięgnęła do kieszonki na piersi i wyjęła z niej małą szklaną fiolkę. Płyn, który się

w niej znajdował, miał barwę atramentu.

– Coś mi mówi, że tym razem jej nie pokona – oznajmiła.

– Co to takiego? – zapytał Tauno.

– Trucizna z parzydełek meduzy. Kolfinn od początku podejrzewał, że to Miromara maczała palce w próbie jego otrucia. Miał rację... w połowie. Portia dostarczyła truciznę, ale zabójca – tu zrobiła pauzę i się uśmiechnęła – zabójca był już miejscowy.

W tej chwili Astrid wypadła z kryjówki. Kierowała nią niepokonana złość. W dłoni dzierżyła miecz.

Przez cały ten czas, gdy Rylka utrzymywała uparcie, że to Miromara stoi za zamachami na Kolfinna, winna była właśnie ona, prawa ręka admirała, syrena, która przysięgała go chronić.

– Zdrajczyń! – krzyknęła Astrid. – Mój ojciec ci ufał! – Uderzyła płaską częścią miecza tak mocno w rękę Rylki, jak tylko potrafiła, wytrącając jej z dłoni naczynko, po czym skoczyła po truciznę. Po chwili trzymała szklaną fiolkę w palcach.

– Jak mogłaś? Właśnie z nim rozmawiałam. Powiedział mi, że jesteś wobec niego lojalna! – to mówiąc, splunęła. Jedną ręką trzymała truciznę, a drugą miecz, którym groziła Rylce i Taunowi.

– Uważaj, Astrid! – ostrzegła syrena, nie spuszczać wzroku z fiolki.

Astrid podążyła za jej wzrokiem i spostrzegła, że to, co wcześniej brała za fiolkę, okazało się jadowitym wężem. Gad wił się w jej zamkniętej dłoni, odsłaniając zęby. Astrid instynktownie wypuściła zwierzę, zanim została ukąszona.

Zbyt późno spostrzegła, że był to czar *illusio*. Rylka rzuciła na fiolkę zaklęcie, które powodowało, że jeśli ktoś jej ją odebrał, ta przybierała postać węża. Astrid skoczyła po fiolkę jeszcze raz i na ułamek sekundy straciła z pola widzenia Tauna. To mu wystarczyło.

Jak na zaprawionego w bojach wojownika przystało, syren skrzył swój potężny ogon i uderzył nim Astrid w plecy, wytrącając jej z ręki miecz. Zanim zdążyła się podnieść, już ścisnął jej rękę. Próbowwała się oswobodzić, ale Tauno tak mocno nią potrząsnął, że została ogłuszona.

– Dobra robota, Tauno! – pochwaliła syna Rylka. – Trzymaj ją tak. Sprowadzę strażnika.

– Ale ona powtórzy, co usłyszała! – zaprotestował Tauno. – Powie strażnikowi, że to ty otrułaś Kolfinna.

– Nie będzie miała okazji. Mówiła przecież, że właśnie z nim rozmawiała. Powiem, że przyłapaliśmy ją, jak wychodziła z jego sali z czymś podejrzanym w dłoni. Podążyliśmy za nią i zapytaliśmy, co to takiego. Nie chciała nam pokazać i próbowała schować to do sakwy, ale wtedy upuściła ten przedmiot. Kiedy złapałam fiolkę, od razu wiedziałam, że to trucizna.

– Nie! – krzyknęła Astrid, próbując strącić z siebie Tauna.

Rylka posłała jej chłodny uśmiech.

– Muszę przyznać, że się myliłam, a nie lubię tego przyznawać – rzekła. – To nie zabójca z Miromary otruł Kolfinna, ale jego własna córka. Kilka tygodni wcześniej podała mu jad meduzy, ale za mało, by go zabić. Więc dziś wieczorem próbowała dokończyć dzieło.

Rylka podniosła fioletową. Ruszyła korytarzem i zaczęła wzywać strażników, a Astrid jeszcze raz spróbowała się oswobodzić.

– Przestań albo połamię ci ręce – zagroził Tauno.

Astrid wiedziała, że musi uciekać. Musiała wrócić do ojca. Gdyby Rylce udało się wszystkich oszukać, strażnicy zamknęliby syrenę w lochu. Wtedy to Rylka mogłaby podać mu ostatnią, śmiertelną dawkę. Jednak uchwyt Tauna był bezlitosny. Astrid czuła się tak, jakby złapał ją szczękami niedźwiedź polarny.

Niedźwiedź polarny.

Astrid usłyszała w głowie głos ojca. Znowu była dzieckiem, a on próbował ją uspokoić po tym, jak uratował ją przed niedźwiedzicą.

„Kiedy dopadnie cię niedźwiedź, Astrid, nie walcz z nim. Stań się bezwładna. Spraw, by pomyślał, że nie żyjesz. Przestanie tobą szarpać i rozluźni uścisk. Kiedy tak się stanie, użyj własnej broni, czyli zaskoczenia. Użyj jej”.

„Jeśli zaskoczenie działa na niedźwiedzia, zadziała również na Tauna – pomyślała. – Jest dziesięć razy głupszy”.

Astrid rozluźniła mięśnie. Zwiesiła głowę i udawała, że płacze. Tauno wcześniej używał przemocy wobec syren i po tej reakcji sądził, że się poddała. On też rozluźnił uścisk.

Ułamek sekundy później, wykorzystując ręce napastnika jako dźwignię, Astrid odbiła się od dna, zrobiła salto w wodzie, po czym wymierzyła cios ogonem w głowę Tauna.

Syren jęknął z bólu i z zaskoczenia. Puścił ją. Astrid pognęła w dół korytarza.

Tauno zawołał Rylkę. Po kilku sekundach dołączyła do niego i oboje rzucili się w pogoń za Astrid. Dogonili ją bardzo szybko.

– Zatrzymaj ją, Tauno, i nie pozwól, żeby znowu ci się wyrwała! – ryknęła Rylka.

Astrid przyspieszyła najbardziej jak mogła. Kilka metrów przed nią korytarz rozwidłał się na trzy drogi. Środkowa wiodła do kwatery jej rodziny. Lewy tunel prowadził do Sali Sprawiedliwości, a prawy do lochów. Przy rozwidleniu stało dwóch żołnierzy.

– Straże! Pojmać ją! – zawołała Rylka. – Próbowała zabić admirała. Zatrzymać ją!

Strażnicy wkroczyli do akcji. Zablokowali środkowe przejście, zakładając, że właśnie tam skieruje się Astrid. Syrena wiedziała, że ma tylko jedną szansę, jeśli chce uniknąć schwytania. Udała, że skręca w lewo, a kiedy strażnicy poruszyli się, by ją zatrzymać, nagle skręciła w prawo i ruszyła w kierunku lochów, zostawiając w wodzie tylko czarno-biały ślad swojego ogona. Doświadczona po podróży do Aluty, swobodnie wirowała wąskimi korytarzami z zawrotną prędkością, zostawiając pościg w oddali. Serce waliło jej jak młot. Mięśnie napinały się do granic. Płuca pracowały intensywnie, wciągając i wyrzucając wodę, dając jej w ten sposób niezbędny tlen.

Nie wiedziała, co powinna zrobić po dotarciu do lochów. Wiedziała tylko, że płynie.

Ratując życie.

Swoje i ojca.



## Rozdział 27

**P**RZEJŚCIE DO LOCHÓW w Ondalinie prowadziło głęboko pod fundamentami cytadeli.

Wody stały się chłodniejsze. Lód był tu ciemny i nieprzezroczysty. Kule z lawą oświetlające drogę rozmieszczono rzadko. Były zbyt drogie, aby marnować je na więźniów.

Astrid miała nadzieję, że uda jej się zgubić prześladowców w labiryncie tuneli. W dzieciństwie zapuszczała się tutaj z Ragnarem. Lubili takie wyzwania, choć nigdy nie przekraczali bramy, przez którą nie przepuściliby ich strażnicy. Słyszała, że od głównego korytarza odchodzą tysiące węższych, wzdłuż których mieściły się cele. Podobno na drugim końcu znajdowało się jedyne wyjście. Jeśli jej się poszczęści, może zdoła się tam dostać, zanim dogonią ją Rylka i Tauno.

Jednak najpierw musiała ominąć strażnika.

Właśnie go ujrzała, wypływając zza zakrętu. Siedział w małym pomieszczeniu po lewej stronie bramy i słuchał muszli. Kiedy Astrid się zbliżyła, podniósł się i wypłynął jej na spotkanie.

Syrena wypowiedziała pierwsze słowa, jakie przyszły jej do głowy.

– Przybyłam zbadać lochy z polecenia mojego ojca, admirała Kolfinna. Płynę prosto ze szpitala. W cytadeli mówi się o ucieczce. Podobno jeden z więźniów nastawał na życie admirała.

Przejęcie w jej głosie było prawdziwe, mimo że kłamała. Strażnik jednak nie był przekonany do jej żądania. Widziała to w jego spojrzeniu.

– Nie słyszałem żadnych plotek – odparł.

– Musisz otworzyć bramę i mnie przepuścić – rzekła spokojnym tonem Astrid. – Natychmiast.

W korytarzu rozległo się echo kilku głosów. Serce Astrid ścisnął paniczny strach, ale nie dała tego po sobie poznać.

– To głównodowodząca – oznajmiła. – Jest tuż za mną. Może wyjaśnisz jej, dlaczego odmawiasz wykonania polecenia admirała?

Strażnik pobladł i wyraźnie nie miał ochoty na konfrontację z Rylką. Sięgnął po duży żelazny pęk wiszący u pasa, po czym wsunął w zamek bramy długi zdobiony klucz.

Serce Astrid biło teraz tak szybko, że z trudem łapała oddech. Słyszała w wodzie uderzenia płetw. Po chwili zza zakrętu wyłonił się Tauno, a za nim Rylka.

– Hej, ty! Zatrzymaj ją! To rozkaz! – krzyknęła Rylka.

Zbliżyli się już na kilka metrów. Astrid miała tylko ułamek sekundy na podjęcie decyzji.

Kiedy strażnik wyciągnął klucz z zamka, przeszła do kontrataku. Zamachnęła się ogonem i zaatakowała go z pełną siłą. Syren poleciał prosto na ścianę, uderzył w nią i opadł na dno z jękiem, upuszczając klucze.

Astrid podniosła je i w mgnieniu oka znalazła się przy bramie.

– Przepraszam – rzekła, zamykając ją za sobą. Następnie umieściła klucz w zamku i starała się go przekręcić, ale ten ani drgnął. Wyrwał jej się przy tym cichy jęk. – No dalej... Dalej... – błagała.

Poruszała kluczem w zamku i spróbowała jeszcze raz. Tym razem się udało. W momencie gdy brama została zamknięta, uderzył w nią Tauno, po czym włożył rękę między kraty.

„Nie może dostać kluczy!” – pomyślała Astrid, wyciągając prawą ręką klucz z zamka i rzucając go za plecy. Tauno zaklął i chwycił jej lewą rękę, wbijając palce w skórę.

– Trzymam ją, Rylka! Poszukaj innego klucza! – ryknął.

Rylka wpłynęła do stróżówki i zaczęła przeszukiwać jej wnętrze.

Tauno wcisnął przez kraty drugą rękę, starając się lepiej chwycić syrenę. Jego ciało było przyciśnięte do krat z twarzą między dwoma prętami.

Astrid dostrzegła dla siebie szansę i zaczęła działać. Zgięła rękę, a następnie włożyła dłoń przez przerwę między kratami i uderzyła Tauna prosto w nos. Syren puścił ją, upadł do tyłu, a z jego nozdrzy wystrzeliła strużka krwi.

Astrid podniosła pęk kluczy i ruszyła przed siebie co sił. Widziała rozwidlenie tunelu na trzy korytarze, podobnie jak wcześniej w Holu Starszych. Pędząc środkowym korytarzem, ledwo zauważyła, że po obu stronach znajdują się drzwi do cel, w których trzymano więźniów. Syrenie zależało tylko na jednym – na ucieczce.

Tunel się zwęził. Skręcił ostro w lewo, a następnie w prawo. Astrid płynęła, trzymając ręce nad głową, złączone dłońmi. W ten sposób zmniejszała opór wody. Mijała zakręt za zakrętem, za każdym razem z nadzieją, że ujrzy przed sobą wyjście, ale tak się nie stało. Oddychała coraz ciężiej i zaczynała się męczyć. Tuż przed nią wyłonił się kolejny ostry zakręt. Kiedy go pokonała, zatrzymała się nagle.

Kilka metrów przed sobą zobaczyła podstarzałego, zgarbionego strażnika, pchającego wózek z dużym czarnym garnkiem oraz dwoma stosami misek. Na szczęście był odwrócony do niej plecami. Kilkanaście metrów za nim znajdowała się kolejna brama, bardzo podobna do tej stanowiącej wejście do lochów. Była pewna, że to wyjście. Jeden z jej kluczy mógł służyć do jego otwarcia. Gdyby tylko zdołała się tam dostać! Obawiała się jednak, że w ciasnym tunelu nie będzie wystarczająco dużo miejsca, by ominąć strażnika. Musiała zaczekać, aż ten wejdzie do którejś z cel, i wtedy błyskawicznie ruszyć.

Strażnik otworzył właśnie drzwi i pchnął je.

– Więzień, wstać! – warknął.

Astrid usłyszała brzęk łańcucha. Strażnik powolnym ruchem nalał łyżkę brei do miski.

„No już, pospiesz się!” – przynagliła go w duchu syrena, nerwowo oglądając się za siebie. Nie odważyła się wycofać. Co by było, gdyby natknęła się na Rylkę i Tauna? Przykleiła się więc do sufitu, gotowa prześlizgnąć się obok strażnika. Dlaczego to tak długo trwało?

W końcu staruszek odłożył łyżkę.

– Ręce na... – zaczął, ale dalsza część jego komendy została zagłuszona przez czyjś krzyk. Była to Rylka.

– Wychodź, Astrid Kolfinnisdottir! Moi strażnicy przeczesują każdy tunel!

Astrid przesuwiała się pod sufitem w kierunku bramy tak szybko, jak tylko potrafiła.

Strażnik się odwrócił, wyęzając wzrok.

– Co się tu, na bogów, wyprawia? – zawołał zrzędlawie, po czym uderzył miską o wózek i przepłynął tuż pod Astrid, mijając ją o grubość łuski.

Astrid już miała się rzucić do bramy, kiedy krzyk Rylki rozległ się ponownie, tym razem znacznie bliżej. Dochodził zaraz zza ostatniego zakrętu. Astrid miała nadzieję, że jeden z jej kluczy otworzy zamek, tylko który? I jak dużo czasu potrzebowałyby, aby wypróbować je wszystkie?

Na pewno aż tyle nie miała. Jeśli da się schwytać, jej ojciec zginie. Poruszając się zwinnie, oderwała od swojej kamizelki guzik z kła morsa, rzuciła go w głąb korytarza, po czym wskoczyła do otwartej celi. Z ciężkim oddechem podpłynęła pod sufit za jej drzwiami i przyłgnęła do ściany.

Na środku celi unosił się w wodzie więzień z rękami na głowie i żelaznym kołnierzem wokół szyi. Popatrzył na Astrid ze zdumieniem. Syrena przyłożyła palec do ust i bezgłośnie wypowiedziała jedno słowo: „Proszę”.

Więzień opuścił wzrok i patrzył teraz przed siebie.

– Hej, ty tam! – Astrid usłyszała głos Rylki. – Widziałeś córkę admirała?

– Córkę admirała? – powtórzył strażnik takim tonem, jakby sugerował, że Rylka zwariowała. – Tutaj, w lochach? Jestem tu tylko ja i więźniowie!

– Jest poszukiwana za otrucie swojego ojca – rzekła syrena, wpływając do celi. – Jeśli ją zobaczysz, masz ją natychmiast aresztować.

„Na bogów, niech nie patrzy w górę...” – modliła się w duszy Astrid, zamykając oczy.

– O, to ty – rzekła Rylka.

Astrid ogarnęła rozpacz. Otworzyła oczy. To koniec. Jej ojciec wkrótce zapłaci za wszystko.

Jednak kiedy spojrzała w dół, zauważyła, że syrena mówi nie do niej, lecz do więźnia.

– Nie możesz mnie tu trzymać – powiedział. – Nie zrobiłem nic złego. Mam prawo do adwokata. Do procesu. Mam...

Rylka mu przerwała.

– Nie będzie żadnego procesu. Nie za twojego życia.

To mówiąc, popatrzyła na wózek z jedzeniem.

– Nie marnujcie tego – rzekła do starszego strażnika. – Już go nie potrzebujemy, a Miromara nie chce go z powrotem. Nie ma potrzeby trzymać go tu żywego.

W drzwiach zatrzymał się inny strażnik.

– Głównodowodząca! – zawołał, pokazując jej coś. – Znaleźliśmy to na dnie kilka metrów dalej.

Guzik z kła morsa.

Rylka syknęła.

– To jej! Musiało jej się udać uciec. Tauno, wracaj do szpitala na wypadek, gdyby zechciała popłynąć do ojca. Ja wypłynę przez bramę i spróbuję ją dogonić. Z drogi, stary głupcze! – dodała, odpychając strażnika.

Drzwi celi się zatrzasnęły, a w zamku przekręcił się klucz. Strażnik oddalił się ze swoim wózkiem.

Całe ciało Astrid drżało. Syrena opadła w mętnej wodzie na dno celi, cały czas ściskając mocno pęk kluczy. Więzień pozostał na swoim miejscu.

Dwoje nieznajomych mierzyło się wzrokiem. Astrid patrzyła na miedziane włosy i szmaragdowe oczy więźnia. Nigdy dotąd nie widziała tej twarzy, chociaż ją znała. Wyglądała jak doskonała kopia jego siostry, tyle że wychudzona i posiniaczona.

Ani Astrid, ani nieznajomy nie wypowiedzieli jednego słowa, do czasu aż strażnik skończył obchód i odjechał z wózcikiem krętym korytarzem. Kiedy już nie słyszeli jego narzekania, więzień odezwał się pierwszy.

– Co za miejsce z tej Ondaliny! – rzekł. – Ty musisz być Astrid. Ja jestem Desiderio. Miło cię poznać.

## Rozdział 28

**L**UCIA ROZEJRZAŁA SIĘ po sali dla VIP-ów Czaru Głębiny, nocnego klubu w samym sercu Laguny, nieopodal ludzkiego miasta zwanego Wenecją. W środku nie było nikogo prócz niej i Mahdiego. Właśnie tego sobie życzyła.

W sąsiednim pomieszczeniu dudniła muzyka. W całym klubie ciemność rozświetlały hipnotyzującym błękitnym światłem stworzenia o zdolnościach bioluminescencyjnych, takie jak małe krewetki, kałamarnice i strzępiaste meduzy. Między świecącymi żyłkami przemykały żabnice, których łuski mieniły się żółto, różowo, zielono i pomarańczowo.

Lucia, ubrana w obcisłą purpurową suknię z głębokim dekoltem, siedziała na długiej kanapie zrobionej z trzech ogromnych ostryg. Zamieszkujące je mięczaki, ubarwione w niebieskie i żółte cętki, były wyjątkowo miękkie. Siedzenie na nich było przyjemnością. Spanie także. To właśnie robił teraz Mahdi.

Syren leżał na kanapie z głową na kolanach Lucii, a jego ogon zwisał po drugiej stronie. Lucia głaskała go po lśniących czarnych włosach.

Większość młodych syren opuściła już klub. Zostali tylko dworzanie Lucii oraz jej osobiści strażnicy. Wkrótce i oni będą musieli wyjść, zanim wody się rozjaśnią. Opuszczanie pałacu i powrót do niego były teraz znacznie łatwiejsze, ponieważ Portia udała się do Ondaliny, a jej ojciec i Traho cały czas prowadzili jakieś rozmowy za zamkniętymi drzwiami. Mimo to Lucia nie chciała być przyłapaną przez jakiegoś ministra-plotkarza czy szlachcica-gadułę.

Laguna była zakazanym miejscem ze względu na obecność szpiegów, informatorów i przestępców, ale te niebezpieczeństwa nie byli dla Lucii problemem. Miała przecież ochronę. Bardziej przejmowała się prywatnością. Gwarantowała ją sala dla VIP-ów w Czarze Głębiny, w odróżnieniu od pałacowych komnat. Tej nocy syrena chciała trzymać się z dala od ciekawskich oczu.

Lucia popatrzyła na śpiącego Mahdiego, wiodąc po jego twarzy palcem zakończonym karmazynowym paznokciem. Owładnęła nią wielka zaborczość. Pragnęła, by syren kochał ją równie mocno jak ona jego. Potrzebowała go. Nie miała zamiaru pójść w ślady matki, by nie móc poślubić tego, którego kocha, i stać się obiektem żalu i drwin.

Przez większość czasu Lucia wierzyła, że Mahdi ją kocha, ale czasami przyłapywała go na tym, że wpatruje się w dal, nieświadomy, że jest obserwowany. W takich momentach na jego twarzy pojawiała się tak głęboka tęsknota, że Lucia aż traciła oddech.

Musiała się dowiedzieć, czy jej ukochany nadal czuje coś do Serafiny, a istniał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Ostrożnie uniosła jego głowę i wysunęła się spod niego. Syren

poruszył się i przewrócił na plecy, ale się nie obudził. Lucia podniosła się i właśnie miała podpłynąć do drzwi, aby je zamknąć na klucz, gdy te się otworzyły.

– Hej, Lucia, zatańczymy? – spytała głośno Bianca, wpływając do środka otoczona wirem pomarańczowego morskiego jedwabiu. Dostrzegła śpiącego na kanapie Mahdiego.

– Oj, przepraszam! – wyszeptała. – O rany, jak to możliwe, że zasnął? Tu jest tak głośno. Rola cesarza musi naprawdę męczyć!

– Nie bądź głupia – skarciła ją Lucia. – Nikt by tutaj nie zasnął. Dałam mu narkotyk. Wlałam mu do drinka eliksir nasenny.

Bianca zrobiła wielkie oczy.

– Skąd go wzięłaś?

Lucia tylko się uśmiechnęła.

– Od niej? – Bianca była w szoku. Po chwili dodała jeszcze ciszej: – Lucia, mówiłaś, że już z tym skończyłaś. To *canta malus*. Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że używasz czarnopieśni...

– Nikt się nie dowie. Chyba że się wygadasz...

Bianca bez wahania odparła:

– Oczywiście, że tego nie zrobię. Ale dlaczego chciałaś Mahdiego uspić? Nie wybieramy się wkrótce z powrotem do pałacu?

– Zamknij drzwi – nakazała Lucia.

Bianca wykonała jej polecenie, a Lucia podpłynęła do kanapy i usiadła przy Mahdim. Bianca rzuciła pełne żalu spojrzenie na drzwi, jakby wolała pozostać po ich drugiej stronie. Po chwili dołączyła do przyjaciółki. Lucia zaczęła wykonywać pieśń magii śpiwu.

– Złodziejska pieśń? – Bianca zaśmiała się nerwowo. – Co zamierzasz zrobić? Ukraść mu portfel?

*Boże złodziei, usłysz mnie,  
Fach rabusia osiąść chcę.  
Twój kamuflaż i ukrycie  
Spożytkuję należycie.  
Nie chcę złota czy skarbnicy,  
Lecz poznania tajemnicy,  
Którą serce jego kryje.  
Pieśń krwi pragnę z niego wynieść.  
Szczera miłość móc odstłonić  
W jego duszy ciemnej toni.*

Dziecinny chichot Bianki ustał nagle, gdy syrena zauważyła, jak Lucia przyciska dłoń do klatki piersiowej Mahdiego, a następnie gwałtownie ją szarpie. Między jej palcami pojawiła się

stróżka krwi. Syren jęknął z bólu, a jego oczy się otworzyły.

Lucia spanikowała. Przestraszyła się, że jeśli Mahdi się obudzi i odkryje jej intencje... Tak się jednak nie stało. Jego powieki ponownie się zamknęły, a Lucia poczuła ulgę. Elixir usypiający był silny.

– Na bogów, Lucia... Nie rób tego! – zawołała przerażona Bianca. – To jest niezgodne z prawem! Gorsze niż *canta malus*! To *canta sangua*, magia krwi!

Lucia zignorowała ją. Wiedziała, że wyciąganie pieśni krwi innej osoby jest złe i stanowi potworne naruszenie zarówno ciała, jak i duszy, ale nie przejmowała się tym. Zamieszała dłonią krew i z przejściem obserwowała tworzące się w niej obrazy. Ujrzała Mahdiego jadącego na swoim wierzchowcu. Rozmawiającego z Traho. Rozkazującego jeźdźcom śmierci. Nie na takich wspomnieniach jej zależało. Zniecierpliwiona rozproszyła krew w wodzie i wyrwała nową nitkę.

– Lucia, bądź ostrożna – ostrzegła ją Bianca. – Zrobisz mu krzywdę.

Lucia nie zważała na przyjaciółkę. Zamiast tego wydobyła kolejną stróżkę krwi, a po niej jeszcze jedną. Twarz Mahdiego pobladła i przybrała chorobliwy odcień, ale syrena nie przestawała wyciągać z niego wspomnień do czasu, aż znalazła to, czego szukała.

Ujrzała pocałunek Mahdiego i Sery w kryjówce partyzantów.

Ujrzała, jak jej ukochany bierze Serę za rękę w budynku gospodarczym.

Ujrzała, jak się jej oświadcza w czasie oficjalnej ceremonii w ogrodzie.

Więcej nie była w stanie znieść.

Podniosła się. Zacisnęła pięści, a jej oczy stały się czarne z wściekłości. Mahdi był zdrajcą. Zdradził Miromarę i Matalę, ale najgorsze, że zdradził ją. Lucia podniosła pusty kieliszek i cisnęła nim w ścianę, aż rozbił się w drobny mak. Przewróciła stół, a po chwili następny. Wtedy przypomniała sobie o sztylcie, który miała ukryty w kieszeni sukni. Wyjęła go i trzęsąc się z wściekłości, zbliżyła się do bezbronnego Mahdiego.

Bianca podpłynęła do niej, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

– Lucia, nie! Zaczekaj! – błagała rozpaczliwie.

Lucia obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

– Niby na co? – spytała zjadliwie.

– A jeśli to pomyłka? Jeśli to wcale nie Mahdi? To znaczy, nie prawdziwy Mahdi.

Lucia zmrużyła oczy.

– Co masz na myśli?

– Sera musiała go w jakiś sposób zczarować. Po to, żeby go wykorzystać dla potrzeb Czarnych Płetw.

Lucia zastanowiła się nad słowami Bianki, po czym powoli pokiwała głową.

– Masz rację. Musiało się stać dokładnie coś takiego. To by wszystko wyjaśniało. Mahdi nigdy by nie wybrał Sery zamiast mnie.

– Pewnie, że nie. To niemożliwe – odrzekła uspokajającym tonem Bianca.

– Użyła czarnopieśni, aby uwierzył, że ją kocha. Aby został jej szpiegiem. Przed niczym się nie cofnie, żeby odebrać mi tron – syknęła Lucia.

Bianca patrzyła nerwowo na ostrze, które Lucia ciągle ścisnęła w dłoni.

– Odłóż to – poprosiła. – Nie chcesz się chyba skaleczyć.

Lucia spojrzała na swój sztylet, jakby nie zdawała sobie sprawy, w jaki sposób się u niej znalazł. Umieściła go z powrotem w kieszeni, po czym odwróciła się do Mahdiego.

– Muszę przerwać zaklęcie – rzekła. – Muszę go uwolnić.

– Ale jak? – spytała Bianca. – Przerwanie pieśni magii śpiewu innej osoby jest niezwykle trudne. Trzeba dokładnie odgadnąć, jaki czar został rzucony, później opracować melodię antidotum i...

– Jest inny sposób – przerwała jej niecierpliwie Lucia. – Znacznie szybszy.

– To znaczy?

Lucia przypomniała sobie sprawozdanie Baco Gogi na temat miejsca stacjonowania Czarnych Płetw oraz ich przywódczyni. Ojciec syreny obiecał, że zaatakuje ich obóz. Zbierał informacje i opracowywał plan.

To trwało za długo.

– Lucia, jaki jest ten inny sposób? – ponowiła pytanie Bianca.

– Zabić czarownicę – odparła z uśmiechem Lucia.



## Rozdział 29

**A**STRID WBIŁA WZROK W Desideria i położyła się na podłodze.  
Jego oblicze spochmurniało.

– No tak, zapomniałem. Jestem zabójcą. Nie obawiaj się, ciebie nie zamorduję – rzucił oschle. – Nie mogę, widzisz?

Kiedy syren ruszył w jej kierunku, łańcuch przymocowany do jego kołnierza napiął się i zatrzymał go. Na jego nagą pierś spadło kilka kropli krwi. To żelazny kołnierz wpijał się w jego skórę, a jego zadaniem było powstrzymanie Desideria przed ucieczką oraz czarowaniem.

Myśli Astrid wirowały. Rodzice powiedzieli jej, że Desiderio jest szpiegiem, który próbował zabić Kolfinna, oraz że został aresztowany wraz ze swoim wojskiem w pobliżu Ondaliny. Teraz wiedziała już, kto tak naprawdę stał za zamachami na jej ojca, ale nie oznaczało to, że Desiderio nie mógł być szpiegiem albo że nie działał na rozkaz Valleria. Musiała więc zachować wobec niego ostrożność.

– Jesteś oskarżony o morderstwo – rzekła.

– Z tego, co mi wiadomo, ty również – odciął się Desiderio. – Mam przeczucie, że i to oskarżenie jest wyssane z palca.

Syren podpłynął chwiejnym ruchem do wąskiej pryczy stojącej przy przeciwległej ścianie. Usiadł, oparł się o ścianę i zamknął oczy. Po jego piersi spłynęła kolejna kropla krwi.

„Umiera z głodu – pomyślała Astrid. – Prawdopodobnie doskwiera mu ogromny ból. Tortury? Głodzenie? Nie tak traktuje się więźniów w Ondalinie”.

Syrena odłożyła pęk kluczy, zdjęła z pleców torbę i zaczęła w niej czegoś szukać.

– Co się stało z tobą i twoją armią przy cytadeli? – spytała.

– A jakie to ma znaczenie?

– Dla mnie duże.

Wreszcie znalazła paczkę owiniętą liśćmi krasnorostów. Jedzenie było trochę pokruszone, ale syrena wątpiła, by Desiderio się tym przejmował. Już miała mu podać jedzenie, gdy usłyszała dźwięk stukania żelaza o lód.

Desiderio otworzył szybko oczy.

– Strażnicy – wyszeptał. – Co godzinę aż do północy robią obchód i wówczas uderzają pałkami o drzwi celi. Trzeba się im wtedy pokazać. Wracaj nad drzwi. Szybko!

Astrid zrobiła, co kazał. Znalazła się pod sufitem w chwili, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

Desiderio podniósł się na komendę. Strażnik zajrzał przez zakratowaną okiennicę, po czym popłynął dalej.

Astrid opadła na podłogę. Gdyby Des chciał, mógł ją wydać. Podobnie jak wtedy, gdy do celi zajrzała Rylka. Wielu więźniów by tak postąpiło, aby jej się przypodobać.

– Proszę – rzekła, rzucając mu posiłek.

Desiderio złapał pakunek i popatrzył na nią.

– Jaja kałamarnicy. – Syrena kupiła je kilka kilometrów przed Ondaliną.

– Dziękuję – rzekł Desiderio, rozdzierając liście.

Jedzenie zniknęło w mgnieniu oka. Kiedy syren skończył posiłek, zwinął opakowanie z liści krasnorostów i schował je pod materacem.

„Żołnierska sztuczka” – pomyślała Astrid z podziwem. Liście nie należały do przysmaków. Przeważnie wykorzystywano je jako papier lub materiał do pakowania, ale w ostateczności były jadalne.

Desiderio miał teraz nieco więcej energii.

– Chciałaś usłyszeć moją wersję – odezwał się. – Oto i ona: zostałem wysłany wraz z czterema regimentami do obrony zachodniej granicy Miromary. Było to wiele miesięcy temu. Moja matka i wuj obawiali się ataku. Okazało się, że słusznie. Zostaliśmy napadnięci po tygodniu od przybycia.

– Przez kogo?

– Przez Ondalińczyków.

W Astrid znów urósł gniew na myśl, że Rylka wykorzystywała żołnierzy jej ojca do bezpodstawnej agresji.

– Przyłączyli nocą – ciągnął Desiderio. – Rozpoczęła się masowa rzeź. Straciłem dwie trzecie wojska, a tych, którzy ocalili, uwięziono. Nasze wierzchowce i broń zostały nam odebrane, a nas zmuszono do wędrówki na północ. Po drodze padali z wycieńczenia kolejni żołnierze. Kiedy zbliżyliśmy się do cytadeli, wypłynęła nam na spotkanie Rylka. Oskarżyła mnie o konspirowanie i atak na cytadelę oraz o próbę zabójstwa Kolfinna. Powiedziałem, że nie mam z tym nic wspólnego oraz że moi żołnierze i ja zostaliśmy napadnięci. Wtedy zbliżył się do mnie syren z trzema zębami orki na mundurze...

– Tauno – rzekła Astrid.

– Uderzył mnie w twarz kuszą. Straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, byłem już tutaj.

Astrid przyjrzała się badawczo jego twarzy, czekając na nerwowe drgnięcie czy nutę fałszu w głosie. Cokolwiek, co mogłoby zdradzić, że kłamie. Niczego takiego nie dostrzegła.

Desiderio także się jej przyglądał.

– Mówię prawdę – rzekł. – Mogę to udowodnić.

To mówiąc, podniósł się z pryczy, dotknął miejsca tuż nad sercem i wyciągnął pieśń krwi. Krew jest niewrażliwa na magię i nie da się jej zmienić. Des mógł więc wyciągnąć pieśń, mimo

że miał na sobie żelazny kołnierz.

Syren skrzywił się z bólu, gdy w wodzie rozpląnęły się ciemnoczerwone stróżki krwi. Najłatwiej wyciągało się stare wspomnienia, podobnie jak dojrzałe owoce, które dużo łatwiej jest zerwać z drzewa. Świeże wspomnienia były znacznie bardziej odporne, a ich krawędzie ostre i nierówne.

Astrid obserwowała, jak obrazy i dźwięki zaczynają tworzyć pieśń krwi. Ujrzała przygraniczne obozowisko Desideria, namioty i ogniska z lawą świecące w ciemnościach. Następnie usłyszała szarżujące wierzchowce. Rozległy się krzyki i wycia. Później, kiedy w wodzie zaczęły się przebijać promienie porannego światła, zobaczyła ciała. Tak wiele ciał. Resztę pieśni krwi oglądała z poczuciem smutku i złości. Było dokładnie tak, jak to opisał Desiderio.

– Przykro mi – rzekła Astrid, kiedy krew się rozpląnęła. – Przykro mi, że tak się stało. I przepraszam, że ci nie ufałam.

– Dlaczego ona to zrobiła? – spytał drżącym głosem Des. Wyciągnięcie pieśni krwi osłabiło go jeszcze bardziej. – Dlaczego oskarżyła mnie o knucie intrygi przeciw Ondalinie, skoro to właśnie żołnierze Ondaliny zaatakowali mnie?

– Próbuje wzbudzić strach przed Miromarą w moim ojcu i bracie. Chce ich przekonać do zawarcia porozumienia na warunkach Portii Volnero.

– Portii Volnero? – powtórzył zaskoczony syren. – Dlaczego Portia chce się układać z Ondaliną?

– Bo ona i Vallerio zaplanowali, że podbiją świat – odrzekła uszczypliwie Astrid. – Teraz, gdy reginą została Lucia...

Desiderio przerwał jej.

– Zaraz... Co powiedziałaś? Reginą Miromary nie jest Lucia, tylko moja matka.

– A jednak Lucia. Od czasu ataku na Ceruleę i...

Astrid przerwała, widząc głębokie niezrozumienie Desideria. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę z pewnej kwestii.

– Na bogów, ty o niczym nie wiesz! – zawołała. – Nikt ci nie powiedział. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

– Astrid, opowiedz mi wszystko, proszę. – Oczy Desideria były szeroko otwarte. Syren mówił ledwo słyszalnym szeptem.

– Dobrze – odparła Astrid. Pękało jej serce na myśl o całym bólu, jaki mu za chwilę sprawi. – Ale najpierw powinienes usiąść.

## Rozdział 30

**P**RZESTAŃ, DESIDERIO. PRZESTAŃ! – błagała Astrid.

Syren szarpał za łańcuch, którym był przykuty, próbując się uwolnić. Wił się i miotał całym ciałem ze wszystkich sił.

– Proszę, przestań.

Nawet jeśli ją słyszał, nie dał tego po sobie poznać.

Astrid wszystko mu opowiedziała. Kiedy dowiedział się o śmierci rodziców, okropnie posmutniał, ale jego rozpacz zmieniła się w niepohamowany gniew, gdy usłyszał, w jaki sposób zginęli. Jego wściekłość sięgnęła zenitu, kiedy Astrid powiedziała mu, co przeżyła Sera oraz jak objęła przywództwo w ruchu oporu.

Gdy skończyła, Desiderio zaczął desperacko szarpać łańcuch, jakby chciał wyrwać go ze ściany. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, z kim rozmawia, ani nawet kim sam jest.

Astrid obserwowała jego ruchy, czekając na właściwy moment. Raz na kilka sekund przestawał się miotać i stawał bez ruchu, jedynie jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, aby syren mógł złapać oddech. Syrena przygotowała się. Podczas kolejnej przerwy między jego szamotaninami przeszła do działania.

– Spójrz na mnie, Desiderio... Spójrz na mnie! – syknęła, łapiąc go za rękę i mocno przytrzymując.

Desiderio miał w oczach szaleństwo. Czują, jak się naprężył, by wyrwać się z jej uścisku.

– Desiderio... – Astrid wzięła jego twarz w dłonie. – Powiedziałam. Spójrz. Na. Mnie.

Ich twarze znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od siebie. Syren podniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Cierpienie w jego oczach było okropnym widokiem.

– Nie powiem ci, że wszystko będzie dobrze, bo to nieprawda – rzekła Astrid. – Jeszcze przez długi czas nie będzie. Może kiedyś coś się zmieni. A może nigdy. Ale uduszenie się w tym lochu nie przywróci życia twoim rodzicom ani nie pomoże Serafinie. Nie powstrzyma Valleria ani Rylki. Rozumiesz mnie?

Desiderio powoli pokiwał głową. Obłąd w jego oczach ustąpił.

– To dobrze. – Astrid rozluźniła uścisk. – Teraz naszym celem powinna być ucieczka i dostanie się do mojego ojca. Muszę go ochronić przed Rylką. A on musi ochronić przed nią ciebie.

Desiderio pokręcił głową, jakby prosił o powtórzenie.

– Ucieczka stąd? – powtórzył. – Nie zauważyłaś przypadkiem, że jestem przykuty łańcuchem do ściany w więziennej celi w środku lochu?

Astrid podniosła żelazny pęk kluczy, który wcześniej położyła na podłodze.

– Założę się, że jeden z nich otwiera zamek twojego kołnierza – rzekła, podpływając do niego. Próbowala klucz za kluczem i za piątym razem się udało. Odpiąwszy kołnierz, odrzuciła go na bok, krzywiąc się w grymasie, gdy się przekonała, że kołnierz zdarł skórę syrena do żywego mięsa.

– Któryś z pozostałych kluczy powinien pasować do zamka bramy na końcu korytarza, jestem o tym przekonana. Jeśli tylko uda nam się tam dostać, będziemy wolni. Myślę też, że jeden z kluczy otwiera drzwi tej celi.

– Być może – odparł Desiderio. – Ale to nam nic nie daje. Zamek jest po drugiej stronie.

Astrid popatrzyła na drzwi i skrzywiła się rozczarowana. Oczywiście, że takie drzwi nigdy nie powinny posiadać zamka od wewnątrz.

– Możesz udawać, że jesteś chory – zasugerowała. – Powiedzieć strażnikowi, że potrzebujesz lekarza.

Desiderio pokręcił głową.

– To też nie zadziała. Rylka kazała strażnikom, by zagłodzili mnie na śmierć. Nie otworzą tej celi, chyba tylko po to, by wynieść moje zwłoki.

Astrid wiedziała, że ma rację.

– W takim razie muszę się ujawnić – stwierdziła. – Strażnik na pewno otworzyłby drzwi, gdyby odkrył, że jestem w środku. Zgaduję, że Rylka wyznaczyła wysoką nagrodę dla tego, kto mnie schwyta. Zwabię go do środka...

– A ja go zaatakuję – dokończył Desiderio, któremu zaczęła wracać energia. – Będę udawał, że ciągle jestem skuty...

– I rzucisz się na niego, gdy się odwróci tyłem – dokończyła Astrid.

Pospiesznie naszkicowali schemat działania na pokrytej mułem podłodze celi. Oboje byli wojownikami wyszkolonymi tak, by patrzeć krytycznie na swoją strategię i wyszukiwać w niej słabe punkty.

– Wiele rzeczy może pójść nie tak. To ryzykowny plan – stwierdził Desiderio, kiedy skończyli.

– Masz lepszy? – spytała Astrid.

Zanim zdołał odpowiedzieć, syrena usłyszała hałas. Minęła godzina. Strażnik rozpoczął kolejny obchód.

– Gotowy? – wyszeptała.

Desiderio pokiwał głową, podniósł żelazny kołnierz i zapiął go na szyi, krzywiąc się z bólu. Potem przełożył przez kłamrę kołnierz, tak by strażnik niczego się nie domyślił, ale nie zamknął go do końca. Następnie położył się na podłodze twarzą do ziemi i znieruchomiał.

Astrid wzięła głęboki oddech. Postarała się, by jej twarz przybrała wyraz przerażenia. Nie było to trudne. Słyszając stukot tuż przy drzwiach celi, omal nie wyskoczyła ze skóry.

– Więzień pięćset dziewięćdziesiąt dwa, pokaż się – ryknął strażnik, zagładając przez małe

okienko.

Wtedy pojawiła się Astrid.

– Więzień nie żyje. Zabiłam go – rzekła. – Jestem Astrid Kolfinnsdottir. Musisz mi pomóc.

## Rozdział 31

**S**TRAŻNIK SIĘ ZAWAHAŁ. Astrid widziała niezdecydowanie w jego niewielkich, mało inteligentnych oczach. Popatrzył w stronę korytarza.

„Jeśli popłynie po posiłki, będzie po nas” – pomyślała. Razem z Desideriem byli w stanie obezwładnić jednego strażnika, ale nie kilku.

– Mam przy sobie pieniądze – desperacko próbowała go przekonać. Sięgnęła do plecaka i wyjęła sakiewkę z rekiniej skóry. – Sto trochejów. Będą twoje.

Było to kłamstwo. W sakiewce znajdowało się zaledwie kilka monet, ale sztuczka zadziałała. Astrid mogła wyczytać zamiary strażnika z jego twarzy. Planował zabrać jej pieniądze, a następnie wydać ją Rylce, aby zainkasować dodatkową kwotę od niej.

Syren pokiwał głową, widząc Desideria.

– Jak go zabiłaś? – spytał z rezerwą.

Astrid spodziewała się tego pytania. Odpowiedziała więc po chwili: – Wbiłam mu sztylet w serce.

– Podaj mi go.

Astrid wyjęła z pochwy sztylet z rękojeścią wykonaną z kości i wyrzuciła go przez kraty otworu w drzwiach. Strażnik przechwycił go.

– A teraz pieniądze.

Tego nie przewidziała. Syren nie miał zamiaru jej pomagać. Zamierzał zabrać pieniądze, zostawić ją w celi, a samemu popłynąć po Rylkę.

– Nie – odparła. – Najpierw otworzysz drzwi i mnie stąd wypuścisz. Wtedy otrzymasz zapłatę.

– Nie każ mi tam wchodzić, bo będziesz tego żałować – zagroził strażnik.

– Mieliśmy umowę – przypomniała Astrid.

– Umowa jest taka, że masz mi oddać pieniądze, bo inaczej... – rzekł syren, wyciągając maczugę.

Astrid udała, że się boi. Wycofała się od drzwi w kierunku pryczy Desideria.

„No chodź, chodź” – prowokowała go w duchu. Wszystko zależało od tego, czy uda się go zwabić do celi.

Strażnik włożył klucz do zamka.

Puls Astrid przyspieszył.

– O to chodzi – rzekła pod nosem. – Bliżej, szczeżujo...

Odebrał jej sztylet, uwierzył, że Desiderio nie żyje, a w dodatku był chciwy. Jeszcze trochę szczęścia i nie zauważy, że klatka piersiowa Desideria nieznacznie się porusza.

– Oddawaj pieniądze, natychmiast – zażądał syren, zbliżając się do niej.

Zanim się zorientował, co się dzieje, Des owinął swój łańcuch wokół jego szyi i zacisnął mocno pętlę. Strażnik szamotał się, a jego twarz zrobiła się czerwona z braku tlenu.

– Przestań walczyć albo stracisz życie – rzekł Desiderio.

Strażnik się nie poddawał. Był większy od swego przeciwnika, ale to Des miał przewagę. Pociągnął łańcuch mocniej, a twarz strażnika posiniała.

– Przestań – nakazał Des i w końcu syren się poddał. – Ręce za plecy.

Desiderio szybko uwolnił jego szyję z łańcucha, zacisnął na szyi strażnika żelazny kołnierz, po czym go zapiął. Za pomocą sznurków z kamizelki Astrid związał mu ręce za plecami, a z pasa strażnika wykonał knebel.

– Ruszajmy! – zawołał do Astrid, kiedy skończył.

Oboje wypłynęli pośpiesznie z celi. Des zatrzasnął za nimi drzwi i zamknął je na klucz, po czym uciekinierzy dopłynęli do bramy na końcu korytarza. Musieli wypróbować kilka kluczy, ale w końcu znaleźli właściwy. Przepłynęli przez bramę, zamknęli ją za sobą i popędzili dalej tunelem.

– Dokąd prowadzi ta droga? – zapytał Des.

– Nie jestem pewna. Mam nadzieję, że do szpitala – odrzekła Astrid. Tunel kończył się podwójnymi żelaznymi drzwiami. I do tego zamka posiadali klucz. Astrid pchnęła jedne drzwi i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

Od razu wiedziała, gdzie się znaleźli. Poznała antyczną broń i zbroje zdobiące ścianę oraz wyryty nad drzwiami cytat z konstytucji Ondaliny.

– Sala Sprawiedliwości – rzekła.

– To dobrze?

– Nie jesteśmy daleko od szpitala, ale musimy zachować ostrożność.

Po chwili Desiderio również wypłynął z tunelu i dołączył do Astrid.

– Mamy szczęście, że jest noc. Zwykle to miejsce jest pełne syren – wyjaśniła Astrid. – Musimy tylko znaleźć przejście prowadzące do...

Jej rozważania przerwało nagłe dudnienie. Były to dźwięki śpiewających chórem syren i Frystów, tak niskie i przejmujące, jakby dobiegały z samego środka ziemi.

– To żałobny rapsod – stwierdził Desiderio. – Ktoś umarł. Sądząc po liczbie lamentujących, ktoś wysoki rangą.

Astrid wiedziała, że takie rapsody na cześć głów państwa wykonywane były na setki głosów. Przez jej ciało przeszedł dreszcz. Z ogromną trwogą nasłuchiwała, by poznać imię oplakiwanego.



*Szczerą miłość móc odstąpić*

*W jego duszy ciemnej toni.*

– Nie! – wykrzyknęła Astrid. – Na bogów... nie!

Spóźniła się. Rylka zdołała dopaść jej ojca przed nią. Podała mu zabójczą dawkę trucizny.

Astrid próbowała płynąć wzdłuż korytarza, oddalić się od rozrywającego bólu, ale opadła z sił i oparła się o ścianę. Po chwili podniosła ją do góry para silnych rąk.

– Oprzyj się o mnie – powiedział Desiderio.

Syrena odepchnęła go i zgięła się wpół. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała ciężko. Musiała znaleźć sposób na zmniejszenie bólu, inaczej mógł ją całkowicie sparaliżować. Naprawdę musiała. Od tego zależało życie jej samej i Desideria. Syrena zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak wpływa w nią błękitna, arktyczna woda Ondaliny, wiruje wokół jej serca, po czym zamienia się w lód. W ten sposób zawsze powstrzymywała ból.

Tym razem jej sposób nie zadziałał.

Wyprostowała się. Targały nią zbyt silne emocje. Żal i wściekłość przetaczały się przez jej duszę niczym huragan.

– Muszę dopaść Rylkę – rzekła. – Zabiła mojego ojca i zapłaci za to.

– Astrid, nie. To samobójstwo.

Astrid nie słuchała. Podpłynęła do dwóch skrzyżowanych szabli wiszących na ścianie i zerwała jedną z nich.

Des podpłynął bliżej z wyciągniętymi rękami.

– Astrid, odłóż broń – poprosił.

– Zejdź mi z drogi, Desiderio – rzekła złowrogo.

Syren był niewzruszony.

– Dzisiejszego wieczoru Rylka zarzuciła ci otrucie ojca. A on właśnie umarł. Jeśli cię nakryją, zostaniesz oskarżona o morderstwo.

Te słowa powstrzymały szalejący w jej wnętrzu huragan. Zdała sobie sprawę, że jeśli tak się stanie, nie pomoże jej nawet Ragnar. Prawo to prawo.

– Zamknij cię w lochu, tak jak mnie – ciągnął Des. – Obróci każdego przeciwko tobie. Nie możemy tu zostać. Ani ja, ani ty.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że mam podkulić ogon i uciec? Porzucić Ondalinę? Nie zareagować na śmierć ojca? – pytała drżącym głosem.

Powoli, ostrożnie Des pchnął w dół koniec szabli Astrid, po czym odebrał jej broń. Jej dłonie opadły bezładnie.

– Chcę powiedzieć tyle: twój ojciec był wojownikiem. Podobnie jak twój brat i ty. A dobry wojownik wie, kiedy należy poddać bitwę, aby przetrwać i wygrać wojnę.

Astrid zacisnęła pięści. Zaczęła myśleć trzeźwiej. Przypomniała sobie, jak okropnie cierpiał

zaledwie kilka godzin wcześniej Desiderio, gdy się dowiedział, jaki los spotkał jego rodziców. Udało mu się to przewyciężyć, a ona powinna wziąć z niego przykład.

– Teraz stąd uciekniemy, dobrze? – rzekł. – Udamy się do Kargjordu.

– Dlaczego tam? – Astrid poczuła się nieswojo. Wszystko działo się zbyt szybko. Jakaś część jej duszy chciała dołączyć do syren, ale druga część nadal się lękała.

– Bo tam jest Sera. Muszę się z nią spotkać. Pomóc jej w walce. Ty też. Czy nie mówiłaś mi, że ta czarownica, Vråja, chciała, żebyście walczyły wspólnie? Czy nie twierdziła, że wtedy jesteście silniejsze?

– Tak, ale...

– Ale co?

Astrid nie mogła mu wyznać prawdy. On nie był Beccą. Nie zrozumiałby.

– No dobrze – rzekła łagodnym tonem.

– Świetnie. Płyniemy. Tylko musisz się skupić. Ja nie orientuję się w układzie cytadeli, ale ty tak.

– Pewnie. Skupić się – powtórzyła syrena. – Musimy się stąd wydostać. Jak najszybciej.

Desiderio pokręcił głową.

– Nie rozpraszaaj się, skup się! Nie możemy po prostu wypłynąć. Nie mamy pożywienia, zwierząt ani broni... Poza tą starą szablą. Żołnierze Rylki schwytają nas, nim się obejrzymy.

Astrid pokiwała głową. Des miał rację. Nie mieli niczego. Syrena straciła nawet swój miecz, który wytrącił jej Tauno. Na domiar złego zapomniała odebrać strażnikowi w lochach sztylet.

– Potrzebujemy wierzchowców – rzekła. – To teraz najważniejsza rzecz. I wydaje mi się, że wiem, jak je zdobyć.

– Jak?

– Twój wujek Ludo – odparła syrena. – Rozmawiałam z nim dzisiaj. Bardzo pragnął się z tobą zobaczyć. Wiem, że nam pomoże.

– Znasz drogę do jego domu?

– Znam, ale to daleko stąd.

– Będzie bezpieczniej, jeśli będziemy mieć kamuflaż – uznał Des. – Musimy zmienić barwy na białe, niebieskie i szare. Jak lód.

– Kamuflaż? – powtórzyła z paniką w głosie Astrid. – Ja nie mogę... Ja...

– Wiem, nie jesteś w formie do rzucania zaklęć. Pewnie przybrałabyś kolor pomarańczy – zażartował. – Ja to zrobię.

Następnie zdjął ze ściany drugą szablę i wręczył ją syrenie.

– Lepsze to niż nic – stwierdził, po czym odśpiewał proste zaklęcie *canta prax* i już po chwili oboje mieli barwy idealne ze ścianami.

– Gotowa? – spytał.

Astrid pokiwała głową. Ruszyła siecią tuneli prowadzącą z Sali Sprawiedliwości do domu Luda. Des podążył za nią.

Podczas gdy płynęli, prześladowały ją obrazy ojca. Przypomniała sobie, jaki był wyczerpany w szpitalu, pamiętała też jego ostatnie słowa.

„Wszystko to robimy dla Ondaliny”.

Wiele ją różniło od Kolfinna, ale łączyła ich miłość do ojczyzny. Ojciec walczył dla jej dobra przez całe swoje życie. Nigdy nie przestał. Teraz nadszedł jej czas.

Kolfinn umarł. Jego sposoby działania, te przestarzałe, odeszły w zapomnienie.

Astrid miała zacząć nowy bieg wydarzeń, zgodnie z życzeniem Vräi.

Wiedziała, że będzie ciężko.

Wiedziała, że będzie strasznie.

I tylko bogowie wiedzieli, jakie będą tego konsekwencje.

## Rozdział 32

**B**ACZNOŚĆ! – RYKNAŁ ktoś ostrym głosem.

Ling zerwała się z pryczy, jeszcze zanim otworzyła oczy. Przebywała w obozie zaledwie od tygodnia, ale wiedziała już, że w czasie selekcji należy się sprawnie poruszać. Maruderzy za karę nie otrzymywali przez cały dzień racji żywieniowych.

Zajęła swoje miejsce obok innych więźniów z koszarów numer 5. Wychudzeni i mizerni więźniowie unosili się w jednej linii przed swoimi pryczami, trzymając ręce przy biodrach i patrząc prosto przed siebie. Ling znajdowała się prawie na samym końcu szeregu.

Dwóch jeźdźców śmierci gwałtownie otworzyło drzwi budynku. Do środka wpłynął ich dowódca, sierżant Feng, trzymając w ręku szpicrutę. Ten wysoki i energiczny syren przepłynął wzdłuż szeregu więźniów, obserwując ich przenikliwym wzrokiem, jakby oceniał osobniki w stadzie morskich krów.

Pchnął jednego z więźniów szpicrutą, po czym uniósł podbródek innego.

– Ty – rzekł w końcu do trzeciego.

Oczy każdego z więźniów, do którego zbliżał się Feng, wypełniał strach. Jeśli popłynął dalej, strach zmieniał się w ulgę, jeśli nie – w przerażenie. Przez cały ten czas wszyscy milczeli, poza jedną z syren, która po tym, jak Feng ją wybrał, odważyła się przemówić.

– Proszę... Mam tu córeczkę. Jej ojciec nie żyje. Nie ma niko...

Sierżant wymierzył raz szpicrutą tak szybko, że syrena nawet nie widziała ciosu. Ból ją uciszył. Ze łzami w oczach i czerwoną pręgą na policzku zajęła miejsce wśród pozostałych wybranych, którzy byli już na zewnątrz.

Wybrano jeszcze trzy syreny i pięciu syrenów. Sierżant już prawie zakończył selekcję, gdy przystanął przed Ling. Zmierzył wzrokiem jej brudny gips, po czym ruszył dalej.

Ling złamała rękę w nadgarstku, kiedy została schwytana w sieć spuszczoną przez jeden z kutrów Rafe Mfemego. Gips był jedynym powodem, dla którego jeszcze żyła. Bez niego już dawno zostałaby wybrana.

Sierżant wyznaczył dwóch kolejnych syrenów, po czym odwrócił się i przemówił do pozostałych więźniów.

– Cała reszta, proszę ciężko pracować albo wkrótce i wy zostaniecie wybrani! – zagroził. Następnie wraz z żołnierzami wypłynął na zewnątrz.

Ling usłyszała, jak wokół niej syreny wzdychają jedna po drugiej. Niektóre płakały z powodu straty przyjaciela czy współwięźnia. Jeźdźcy śmierci powtarzali, że bycie wybranym powinno

być traktowane jako wielki zaszczyt, zarezerwowany wyłącznie dla najsilniejszych i najodważniejszych. Jednak Ling i pozostali więźniowie im nie wierzyli.

– Wygląda na to, że przyjdzie nam spędzić jeszcze jeden dzień w tym radosnym miejscu – wyszeptała towarzyszka niedoli Ling imieniem Tung-Mei. Syrena trafiła do obozu przed trzema dniami.

Ling zaśmiała się gorzko ze słów koleżanki. Więźniowie wymyślali różne żartobliwe określenia obozu pracy leżącego w płytkiej dolinie nieopodal Wielkiej Głębi.

– Zobaczmy się później, Ling... jeżeli któraś z nas nie zostanie zakatowana na śmierć. Czas na mnie, bo zaraz stracę śniadanie – skwitowała Tung-Mei.

Syrena wypłynęła pospiesznie przez drzwi i zniknęła w tłumie więźniów zmierzających na stanowiska pracy. W wodzie nie było jeszcze widno, ale niewolnicy musieli pracować już dwie godziny przed pierwszą racją żywieniową. Nikt nie chciał się spóźnić. I tak nie mogli liczyć na obfity posiłek, ale brak śniadania oznaczał głodowanie aż do południa.

Ling trzymała się w bliskiej odległości za koleżanką. Wypłynęła na zewnątrz i również dołączyła do tłumu. Wszyscy mieli na sobie takie same stroje składające się z workowatej szarej tuniki i żelaznego kołnierza. Tak ubrani pracowali i sypiali.

Ling zobaczyła, że wybranych zapędzano na skraj głębiny. Niektórzy mieli mętny wzrok, a w ich ruchach widać było rezygnację. Inni wołali co sił do przyjaciół, prosząc o przekazanie wyrazów miłości dla mężów, żon, rodziców czy dzieci. Jeszcze inni opierali się i byli bici.

Serce Ling pękłoby, gdyby nie było już roztrzaskane po tym, jak była świadkiem tych samych scen każdego kolejnego poranka.

Zmusiła się, by oderwać wzrok od tego orszaku, i udała się do magazynu z amunicją. Nie była dobrym materiałem na wybrańca ze względu na uszkodzony nadgarstek, ale zdrową ręką mogła odliczać strzały i włócznie, a następnie ładować je do skrzyń. Taką otrzymała pracę. Skrzynie wysyłano codziennie. Ling nie wiedziała, dokąd później trafiają ani w jakim celu, ale była pewna, że nie mogą oznaczać niczego dobrego. Podśluchiwała rozmowę dwóch strażników i dowiedziała się, że jeden ze starszych, władca Qin, tak był zajęty problemem plastiku, który gogowie wyrzucali do jego wód, oraz związanym z tym cierpieniem morskich stworzeń, że nie zauważył transportowanych przez jego królestwo drewnianych skrzyń.

Tung-Mei pracowała w szpitalu więziennym. Widziała wybranych, którzy wracali z powrotem. Czasami potrafili jeszcze mówić. Kilkoro z nich opowiedziało syrenie, co przeżyli, a ona powtórzyła to Ling.

Zabierano ich na skraj Wielkiej Głębi. Kołnierz każdego z więźniów przywiązywano do łańcucha, na którego drugim końcu znajdowała się kula lawy, a także giętka linka z metalowych włókien. Linki te były bardzo długie i nawleczone na ogromne kołowrotki. Po zapięciu wybranej syreny na taką smycz kazano jej zanurkować do wnętrza Głębi aż na całą długość linki, a następnie wykonać trzy szarpnięcia żelaznego łańcucha. Aby uniemożliwić niewolnikom zwijanie linki za pomocą dłoni na niewielkiej głębokości, końce metalowych włókien były

połączone z elektrycznymi węgorzami, które zasilają linkę napięciem i poraziłyby każdego, kto by jej dotknął. Szklana kula lawy pełniła dwie funkcje: źródła światła, a także izolacji uniemożliwiającej porażenie prądem połączonego z kulą więźnia.

Po upływie dwunastu godzin usuwano węgorze, a żołnierze pełniący służbę na skraju Głębi nakręcali linki na kołowrotki, wyciągając więźniów.

Połowa z nich do tego czasu była już martwa z powodu choroby głębokościowej, a ci, którzy przeżyli, żalowali, że nie zginęli. Ocalali wracali zdezorientowani i roztrzęsieni. Cierpieli na potworne bóle głowy. Ich dłonie i twarze były sine, z ust często sączyła się krew. Ekstremalne głębokości i związane z nimi wysokie ciśnienie oraz niski poziom tlenu niszczyły płuca i prowadziły do opuchlizny mózgu. Żywych odtransportowywano do szpitala, gdzie męczyli się jeszcze przez godzinę lub dwie.

Tung-Mei spytała raz jednego z chorych, dlaczego wysyłano ich w odmęty Głębi. Odpowiedział jej, że mieli szukać białej kuli.

– Tyle cierpienia, tyle ofiar... dla białej kuli? – dziwiła się.

Ale Ling wiedziała, że to nie jest zwykła kula. Chodziło o talizman Sycorax w postaci kulistej układanki. Dowiedziała się o tym od samego Orfea, który pragnął zdobyć talizman bez względu na to, ile ofiar pociągnie za sobą jego szalone przedsięwzięcie.

Ling wiedziała również, że w niedługim czasie i ona zostanie poświęcona. Przyjdzie jej tam umrzeć. Jej ciało pewnie znajdzie się w tym samym wozie, który każdego wieczoru przybywał do obozu po zwłoki. Następnie miało trafić do zbiorowej mogiły.

Ling była silna i nie obawiała się śmierci. Zdawała sobie sprawę, że śmierć w wyniku choroby głębokościowej nie należy do najłżejszych, ale postanowiła, że będzie dzielna. Nie mogła ścierpieć tylko jednego – świadomości, że umrze, nie podzieliwszy się z Serą informacjami, jakie posiadała na statku Rafe Mfemego.

Ling była *omnivoxą*, czyli syreną obdarzoną zdolnością mówienia językami wszelkich stworzeń. Najgorszym aspektem jej obecnej sytuacji, znacznie gorszym niż głód i strach, była niemożność komunikowania się. Jej przyjaciółki nie miały pojęcia, z kim mają do czynienia, ani w jakim niebezpieczeństwie się znalazły.

Kiedy trafiła do obozu, miała nadzieję, że uda jej się uciec, ale odkryła, że obóz jest otoczony żywym murem morskich os – ogromnych bioluminescencyjnych meduz uzbrojonych w zabójcze parzydełka. Rozwierały swój krąg tylko na chwilę, aby wpuścić do środka skrzynie wypełnione nowymi więźniami lub jedzeniem czy transporty amunicji, a także wozy na zwłoki.

W drugim dniu pobytu w obozie Ling była świadkiem próby ucieczki jednego z syrenów. Właśnie został wybrany i w akcie desperacji próbował przepłynąć pomiędzy dwiema jadowitymi meduzami. W mgnieniu oka jedna z nich owinęła jego ciało grubą, lepłą macką. Zginął po upływie kilku sekund.

Kiedy Ling zrozumiała, że nie ma dla niej ratunku, zaczęła się rozglądać za kurierem w postaci niewielkiej ryby, małej ośmiornicy czy nawet młodego żółwia szylkretowego, którego mogłaby

wysłać do Serafiny z wiadomością. Problem w tym, że morskie osy równie skutecznie uniemożliwiały innym stworzeniom wejście do obozu, jak więźniom opuszczenie go.

Gdy zbliżała się do magazynu z bronią, jakaś syrena pływająca przed nią stanęła w bezruchu i opadła na dno. Strażnik pchnął wychudzoną syrenę włócznią. Ta się wzdrygnęła i próbowała oprzeć się na rękach, ale ponownie upadła.

Ling poczuła na plecach dotyk czyjejś dłoni, która popchnęła ją do przodu.

– Hej, ty! – warknął za nią jeździec śmierci. – Zabierz ją do szpitala!

Ling pochyliła się, by pomóc osłabionej syrenie.

– Możesz płynąć? – wyszeptwała.

Syrena pokręciła przecząco głową.

– Musisz. Pomogę ci.

– Zostaw mnie. Pozwól mi umrzeć. Nie mam już siły.

– Nie – odparła stanowczo Ling. – Złap mnie za szyję. Mam wystarczająco siły za nas dwie.

Syrena usłuchała i Ling ją podniosła.

– Już dobrze... No, dalej, pomalutku... Już niedaleko – zachęcała ją Ling.

Do szpitala zostało jeszcze kilkanaście metrów. Gdyby Ling udało się ją tam zanieść, i przekazać któremuś z pracowników, może zdołałaby jeszcze zdążyć do magazynu po poranną rację pożywienia. Była tak głodna, że aż czuła ból.

Marny i lichy szpital prowadzili więźniowie z obozu, którzy byli niegdyś lekarzami lub pielęgniarkami. Wiedza medyczna miała dużą wartość. Więźniowie, którzy ją posiadali, byli czasami całkowicie zwolnieni od selekcji. Ling miała nadzieję, że tak właśnie będzie w przypadku Tung-Mei. Syrena ta studiowała medycynę na Uniwersytecie Qin i została porwana ze swojej wioski podczas wakacji, kiedy odwiedzała rodziców. Przez otwarte podwójne drzwi szpitala Ling zauważyła teraz koleżankę uwijającą się między pacjentami.

Właśnie dostarczono jej tych, którzy ocaleli podczas ostatniej nocnej zmiany. Ling widziała syreny i syrenów, którzy krwawili i miotali ogonami, z trudem łapiąc tlen w płuca. Wiedziała, że nie zostało im wiele czasu. Tung-Mei mogła jedynie ulżyć ich cierpieniom, ale nie była w stanie ich zatrzymać.

– Co się stało? – zawołała na widok Ling w towarzystwie osłabionej syreny.

– Przewróciła się.

– Jakieś złamanie czy krwawienie? – spytała Tung-Mei.

Ling pokręciła głową.

– Zabierz ją na tył sali. Znajdź jej jakieś łóżko. Ta część jest przeznaczona tylko dla pacjentów w stanie krytycznym – poleciła Tung-Mei.

Ling pokiwała głową, a następnie popłynęła we wskazane miejsce. Głowa syreny opadła teraz bezwładnie na bok. Była półprzytomna. Niestety, nie było już wolnych łóżek.

Nad inną pacjentką pochylał się syren, który mierzył jej puls. Ling zaczęła, aż skończy, i dopiero wtedy się odezwała.

– Mam tu chorą syrenę i nie mogę znaleźć dla niej łóżka. Gdzie ją położyć?

– Będzie musiała leżeć na podłodze – odparł syren.

Kiedy się wyprostował i do niej odwrócił, Ling oniemiała. Przez kilka sekund myślała, że sama się przewróci.

Patrzyła na twarz, którą dobrze знаła, ale nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek ją ujrzy. Twarz zmarłego. Ducha.

Twarz Shana Lu Chi.

Jej ojca.



## Rozdział 33

**S**YREN ZBLADŁ i zrobił wielkie oczy.  
– Ling? – wyszeptał.

Ling pokiwała głową bez słowa.

Ojciec uściskał ją mocno. Przez moment, w jego ramionach, syrena przeniosła się z piekielnego obozu pracy w miejsce pełne światła i miłości. Do domu.

Shan Lu Chi wypuścił ją jednak z objęć bardzo szybko, a miłość, która rozbłysła w jego oczach, została błyskawicznie wyparta przez inne uczucia: strach i smutek. Ling to rozumiała. Ona również niezwykle się ucieszyła na jego widok i nie mogła uwierzyć, że jej ojciec żyje, ale z drugiej strony zdawała sobie sprawę, w jak okropnym miejscu się znalazł.

– Od jak dawna tu jesteś? – zapytał. – Twój bracia... i matka... Czy oni...?

Ling pokręciła głową.

– Nie ma ich tutaj. Nie zostałam uprowadzona z wioski. Porwali mnie we wschodnich wodach Matali, kiedy wracałam do domu. Trzy tygodnie temu.

– W Matali? Co tam robiłaś?

– To długa historia, tato. Powiedz, co ty robisz tutaj – zmieniła temat syrena. – Myśleliśmy, że zginąłeś!

– Hej, wy tam! – krzyknął jakiś głos. – Dlaczego gadacie zamiast pracować? – Strażnik obrzucił ich groźnym spojrzeniem. – A ty. – Wskazał Ling. – Ty nie jesteś stąd.

Strażnik dopiero co wpłynął do szpitala, a Ling i jej ojciec stanęli na baczność, patrząc prosto przed siebie. Tak należało się zachowywać, gdy jeździec śmierci zwracał się do więźnia.

– Przyproceedziła pacjenta – wyjaśnił Shan. – Poprosiłem, żeby została i mi pomogła. Sami nie dajemy rady. Wielu więźniów zmarło na purpurową gorączkę. Po śmierci ciała stają się źródłem zakażenia. Musimy przenieść je do wozu na zwłoki i usunąć z terenu obozu tak szybko jak to możliwe.

Strażnik wzdrygnął się na dźwięk słowa „zakażenie”. Zakrył usta i nos dłonią.

– Uwijajcie się! – rozkazał, po czym pospiesznie opuścił szpital.

Ling popatrzyła na ojca ze strachem. Odkąd ostatnio go widziała, znacznie się postarzał. Między czarnymi włosami widać było siwe pasma, a jego silne niegdyś ramiona były opadnięte. Czyżby dotknęła go śmiertelna choroba? A może ją?

– Nie ma czegoś takiego jak purpurowa gorączka. Zmyśliłem to – rzekł półszepem. – Jeźdźcy

śmierci są równie głupi jak okrutni.

– Dlaczego pracujesz w tym szpitalu? – spytała Ling. Ojciec był archeologiem, nie lekarzem medycyny. Badał pradawne cywilizacje syren.

– Kiedy pojмали mnie jeźdźcy śmierci, przeszukali moje rzeczy. Zobaczyli na dowodzie tożsamości tytuł „doktor” i pomyśleli, że jestem lekarzem. Żyję tylko dzięki tej pomyłce. – Mówiąc to, spojrział nerwowo na drzwi szpitala. – Nie przeszkadzają ci martwe ciała? Nie te zakażone. Chodzi mi o ofiary choroby głębokościowej. Muszę się zająć co najmniej dziesięcioma. Pewnie przed południem dotrą nowe. Możemy rozmawiać, ładując je na wóz.

– Dam radę – odparła Ling. Jej głos był silny i odważny, ale w środku czuła się inaczej. Nigdy dotąd nie dotykała zwłok.

– Jesteś pewna? – spytał ojciec, wskazując głową gips na jej przedramieniu.

– Nadgarstek prawie się już zrosł – oznajmiła. – Ale nikt nie musi o tym wiedzieć.

Shan posłał jej słaby uśmiech.

– Wygląda na to, że oboje odkryliśmy strategię przetrwania – skwitował. – Przynajmniej chwilowo.

Syren poprowadził córkę do łóżka zajmowanego przez młodego osobnika o szarej skórze. Miał otwarte oczy, ale pusty wzrok. Shan Lu Chi sięgnął do kieszeni tuniki i wyjął z niej gładki, okrągły kamyk. Następnie delikatnie otworzył usta nieboszczyka i ponownie je zamknął.

– Nie mam pereł, ale jeśli jakąś znajdę, od razu podnoszę – wyjaśnił. – Mam nadzieję, że Horok to zrozumie.

Perła umieszczona w ustach kogoś zmarłego miała za zadanie zatrzymać duszę syreny do czasu, aż wielki celakant Horok bezpiecznie zabierze perłę z drogocenną duszą do świata zmarłych.

– Ja złapię górę, ty weź dół – polecił Shan.

Ling złapała syrena za ogon, wsuwając pod niego zdrową rękę, a za pomocą ręki w gipsie przytrzymała ciało w stabilnej pozycji. Skóra nieboszczyka była chłodna w dotyku i zaczynała już sztywnieć. Ling bała się wcześniej, że będzie czuła strach podczas tej czynności, ale na razie odczuwała tylko smutek.

Wspólnie z ojcem wynieśli ciało na zewnątrz przez tylne drzwi szpitala, gdzie już czekał na nie wóz. Nigdzie nie było widać woźnicy, starszego syrena, którego gospodarstwo znajdowało się nieopodal. Dwa podstarzałe koniki morskie, które ciągnęły wóz, żuły w ciszy jedzenie i nie wystawiały nosów z worków.

– Strażnicy nigdy się tu nie pojawiają. Unikają wozu ze zwłokami – wyjaśnił Shan, kiedy umieszczali ciało na wozie. – Woźnica pewnie siedzi w biurze sierżanta. Mamy poniedziałek, więc dostaje wypłatę. Lepszej okazji na rozmowę nie będzie.

Syren złapał Ling za ramiona.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że to ty. Marzyłem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę, ale nie tutaj. – Jego oczy wypełniły się łzami, a głos się załamał.

Ling otoczyła palcami nadgarstek ojca.

– Już dobrze, tato.

Syren pokręcił głową.

– Wcale nie. Widok dziecka w takim miejscu nie jest niczym dobrym. Twoi bracia... Co z nimi?

– Yun i Ryu czują się dobrze. Przynajmniej tak było, kiedy opuszczałam dom.

– A mama?

Ling wbiła wzrok w dno. Na samą myśl o swojej cichej, smutnej matce czuła ból.

– Ling? Coś nie tak?

– Nie odezwała się do mnie od czasu twojego zniknięcia. Ani razu – wyjaśniła Ling. – Próbowałam coś z niej wyciągnąć, podobnie jak babcie i wszystkie dziesięć ciotek. Nikt nie może do niej dotrzeć. Większość straciła już nadzieję. Ciotka Xia jeszcze się nie poddała, ale i jej cierpliwość zaczyna się wyczerpywać. Babcia Wen twierdzi, że jesteśmy dla niej zbyt mili, a takie obchodzenie się jak z jajkiem tylko pogarsza sprawę. Według niej trzeba zmienić metody na ostrzejsze. To smutne, ale ja też się denerwuję. Przed moim wyjazdem pokłóciłyśmy się. To znaczy, ja się pokłóciłam. Mama nie powiedziała ani słowa.

– Dlaczego nie chce mówić?

– Ma złamane serce. Myśli, że nie żyjesz. Wszyscy tak myśleliśmy. Jak się tutaj dostałeś?

– Wybrałem się na eksplorację Wielkiej Głębi – zaczął Shan.

Ling pokiwała głową. Przypomniała sobie tamten dzień. To był ostatni raz, gdy widziano jej ojca. Kiedy zapadł wieczór, a on nie wracał, trzech bracia Ling wyruszyli na poszukiwania. Znaleźli tylko jego sakwę na starożytne znaleziska. Gdy wrócili, Ling odczytała z ich twarzy, że stało się najgorsze. Ból, który ją ogarnął, był przeszywający.

– Tego dnia zanurkowałem głęboko i na dole trafiłem na zwyczajne znaleziska, takie jak kości i skamieliny – ciągnął Shan. – Nagle zobaczyłem coś wyjątkowego: starożytną układankę w kształcie kuli wykonaną z białego koralowca.

Tętno Ling przyspieszyło. Jej ojciec odkrył talizman Sycorax.

– Właśnie tej białej kuli szukają jeźdźcy śmierci – powiedziała.

Shan pokiwał głową.

– Zdobiał ją symbol Feniksa i jakiś napis – kontynuował syren. – Litery pochodziły ze starożytnego języka terragogów zamieszkujących Chiny. Zdołałem przetłumaczyć niewiele, ale odszukałem w tekście słowo „Atlantyda”.

– Tato, gdzie ona teraz jest? – spytała Ling. „Błagam, niech będzie w bezpiecznym miejscu” – modliła się.

Shan już miał jej odpowiedzieć, ale nagle rozległ się ostry dźwięk. Dobiegał ze szpitala, ale i tak ojciec Ling się zaniepokoił.

– Musimy dopilnować, żeby wszyscy myśleli, że pracujemy. Chodźmy. – Mówiąc to, pociągnął

ją za rękaw.

Wpłynęli z powrotem do szpitala. Shan wsunął kolejną perłę w usta następnego martwego więźnia, po czym razem wrzucili ciało na wóz. Przez cały ten czas syren ciągnął swoją opowieść, ale tak cicho, by słyszała go tylko Ling.

– Kiedy wypłynąłem z Głębi, czekali na mnie – opowiadał. – Ich dowódca chciał się dowiedzieć, czy coś znalazłem. Powiedziałem, że nie, ale mi nie uwierzyli. Kazał mnie przeszukać. Coś w środku mówiło mi, że nie mogę oddać im kuli, więc wyjąłem ją z torby i zrzuciłem w dół.

W pierwszej chwili Ling się przeraziła. Ojciec miał już talizman, a teraz on znowu spoczywa na dnie Głębi. Z drugiej strony, lepiej, że tak się stało, niż gdyby wszedł w jego posiadanie Orfeo.

– Wtedy o tym nie wiedziałem – ciągnął Shan – ale syreni, którzy mnie zatrzymali, byli jeźdźcami śmierci. Dotkliwie mnie pobili za to, co zrobiłem z kulą, i zabrali tutaj. Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak bardzo jej pragną.

– Ponieważ to niezwykle potężny magiczny talizman, który należał do Sycorax, jednej z Sześciorga Władców Atlantydy – wyjaśniła Ling.

Shan oniemiał.

– Skąd o tym wiesz? – spytał.

Ling rozejrzała się dokoła, by się upewnić, że w pobliżu nie ma strażników.

– Zostałam wezwana przez iele do rzeki Aluty. Popłynęłam tam. Odkryłam, że wszystko, co wiemy na temat Atlantydy, to tylko historyjki stworzone przez Moruadh. – Popatrzyła na ojca. – Tato? Zamknij usta, dobrze? Ktoś może cię zobaczyć.

Następnie syrena opowiedziała mu wszystko, co jej się przydarzyło od czasu, gdy opuściła rodzinną wioskę, aż po przybycie do obozu.

Kiedy skończyła, Shan stał w osłupieniu.

– To, co zrobiłaś, było czystym szaleństwem – rzekł w końcu. – Ale i aktem wielkiej odwagi. Czyli Rafe Mfeme to Orfeo? Chodzi o tego terragoga? Jesteś pewna?

– Na sto procent – odparła Ling, wzdrygając się na wspomnienie pustych, bezdusznych oczu Orfea. – A Vallerio jest z nim sprzymierzony. Orfeo pomaga mu przejąć wszystkie królestwa syren, jedno po drugim. Kiedy już im się to uda, połączą swoje armie, uwolnią Abbadona i wspólnie zaatakują świat zmarłych. Jeśli do tego dojdzie, przeciwko Orfeowi staną do walki sami bogowie. Ale on nie przejmuje się tym, że może zniszczyć świat syren i terragogów, a skutkiem tego całą planetę. Zależy mu tylko na odzyskaniu żony. Jeśli nie zdobędziemy talizmanów przed nim, przepadniemy.

Shan pokiwał głową. Wyraz oszołomienia na jego twarzy ustąpił determinacji.

– Nie możemy do tego dopuścić – stwierdził. – Musisz uciec. Musisz odnaleźć kulistą łamigłówkę i wrócić do swoich towarzyszek.

– Świetny pomysł, tato – odparła Ling. – Jest tylko mały problem... Stąd nie da się uciec.

Syren zmierzył wzrokiem ciała, które właśnie wynieśli. Leżąc na wozie jedno na drugim, tworzyły wysoki stos.

Następnie popatrzył na córkę.

– Owszem, da się.

## Rozdział 34

**A**STRID PRZYLGNĘŁA DO ściany lodu i wyjrzała za róg.

Na górnym piętrze domu Ludovica di Merrovingia i jego rodziny paliły się światła. Wielki dom z okrągłym dziedzińcem i bogato zdobioną fasadą oraz rozległymi stajniami znajdował się na obrzeżach cytadeli pod górą lodową.

Słabo oświetlone przejście biegnące w tej sekcji cytadeli było puste, ale Astrid zachowywała ostrożność. Gdy tylko ucieczka Desideria z lochów zostanie odkryta, Rylka na pewno złoży Ludowi wizytę w towarzystwie swoich żołnierzy. Być może już tam są i na nich czekają.

– Żadnych śladów życia? – wyszeptał Desiderio.

– Ktoś jest w domu. Miejmy nadzieję, że to tylko twój wujek – rzekła Astrid, chwytając mocniej starą szablę.

Wraz z Desideriem przepłynęła szybko alejką, następnie przez dziedziniec Luda, aż pod drzwi wejściowe. Des uniósł ciężką kołatkę i uderzył nią dwa razy. Astrid skrzywiła się, słysząc jej hałas.

Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Astrid spodziewała się ujrzeć służącego, ale to był sam Ludo.

– Dzięki bogom! – zawołał na widok siostrzeńca, po czym zaprosił Desideria i Astrid do środka i zamknął drzwi na klucz. Następnie mocno uściskał syrena.

– Nie wiedziałem, kogo się spodziewać: ciebie czy Rylki – przyznał.

– Już słyszałeś? – zdziwił się Des.

– Tak. Cała cytadela tym żyje. A ty – skinął na Astrid – zostałeś oskarżona przez Rylkę o zamordowanie własnego ojca. Gdyby tylko udało nam się dostać do pałacu i porozmawiać z Ragnarem, moglibyśmy uciąć te bezpodstawne oskarżenia i...

Astrid nie pozwoliła mu dokończyć.

– Rylka na to nie pozwoli. Vallerio pragnie przejąć władzę w Ondalinie, a ona mu w tym pomoże. W zamian za to Tauno będzie tu rządził.

– Co takiego? – nie dowierzał Ludo.

Astrid wyjaśniła mu, na czym polegał spisek Rylki.

– Ale Des i ja właśnie pokrzyżowaliśmy jej plan A – skwitowała. – Więc zapewne opracowuje teraz plan B, polegający na skazaniu nas na śmierć. Nigdy nie pozwoli nam się zbliżyć do Ragnara. Jestem przekonana, że jej żołnierze mają rozkaz zabicia nas bez zadawania pytań.

– Dlatego tu jesteśmy, wujku – rzekł Desiderio. – Potrzebujemy pieniędzy i zapasów. Wybieramy się do Kargjordu. Tam jest Serafina. Zbiera armię przeciw Valleriowi.

– Sera żyje? – W oczach Luda pojawiły się łzy radości. – Myślałem, że zginęła, a ty wkrótce podzielisz jej los. A tu nagle dostaję was oboje z powrotem. – Mówiąc to, ponownie przytulił siostrzeńca.

– Zrozum, to nie czas ani miejsce na zjazd rodzinny – ucięła Astrid, nie chcąc tracić ani chwili. – Musimy ruszać. Ale wcześniej chciałabym cię o coś poprosić.

Syrena rozejrzała się po salonie w poszukiwaniu tego, co było jej potrzebne. Wiodła wzrokiem po meblach, portretach, zawieszonych na ścianach mieczach, w końcu zatrzymała się na szklanej urnie wypełnionej muszlami. Następnie zerwała z niej wieczko i wysypała zawartość.

– Co robisz? – spytał Ludo.

Astrid nie odpowiedziała. Przez kilka sekund stała nieruchomo, przygotowując się na ból, po czym przyłożyła palce do piersi i wyciągnęła kilka pieśni krwi naraz. Każde ze wspomnień było dość świeże i wyrywanie ich sprawiało jej ogromny ból.

Syrena związała wszystkie czerwone włókna ze sobą, zanim zdążyły rozplątać się w wodzie, i wcisnęła je do urny. Oddychając ciężko, zamknęła wieczko, po czym spojrzała na urnę pod światło, by sprawdzić jej zawartość. Zakłęła pod nosem. To jeszcze nie wszystkie.

Ponownie dotknęła klatki piersiowej i wyciągnęła kolejne pieśni krwi. Jedna z nich pochodziła z Aluty, a druga przedstawiała *convocę* Serafiny. Ból był okropny. Kiedy dołożyła nowe wspomnienia do tych ukrytych w urnie, jej twarz pobladła.

Ludo również zbladł.

Widział pieśni krwi, widział, jak Serafina opowiada Astrid i pozostałym syrenom, że to Vallerio zlecił morderstwo Isabelli.

– Mój brat... Nasz brat – odezwał się drżącym głosem. – Jak mógł to zrobić? Jak mógł zabić naszą siostrę? – Ludo opadł z sił i musiał się oprzeć o ścianę.

Des wziął go pod rękę i zaprowadził do najbliższego krzesła.

– Spokojnie, wujku. Oddychaj głęboko.

Astrid położyła urnę na stole.

– Przykro mi, że w taki sposób poznałeś prawdę – rzekła, pochylając się nad nim.

Ludo próbował wziąć się w garść. Po chwili poklepał dłoń syreny.

– Jestem ci winien przeprosiny, Astrid. Ocaliłaś życie mojemu siostrzeńcowi.

– Możesz przekazać urnę Eyvor? – poprosiła Astrid. – Niech pośle po Ragnara. Pieśń krwi pokaże im prawdę.

Ludo pokiwał głową. Na jego policzki wróciło nieco koloru. Syren wstał i pociągnął Astrid za sobą.

– Przekażę Eyvor urnę – obiecał, ostrożnie umieszczając naczynie w gablocie. – Policzę się

też z tym gadem Valleriem. Ale najpierw muszę was stąd wyprowadzić.

Obok salonu mieściła się mała garderoba. Ludo otworzył jej drzwi i oznajmił:

– Poszukajcie ciepłych ubrań na podróż. Możecie wziąć, co chcecie. Ja zaraz wrócę.

Następnie popędził na koniec korytarza i zniknął za podwójnymi drzwiami. Kilka minut później, gdy Astrid i Des zapinali kurtki z foczej skóry, syren powrócił z dwoma pełnymi kuframi.

– Wypakowałem je wszystkim, co znalazłem w kuchni. Powinno wam to wystarczyć na dwa tygodnie. Macie też pieniądze, kompas, mapę i dwa sztylety. – Podał Astrid kufry, a sam podpłynął do ściany i zdjął z niej dwa miecze w pochwach.

– To też się wam przyda. – Dał miecze Desideriowi. – Tym moglibyście powalczyć co najwyżej z gupikami – dodał, wskazując stare szable, w które byli uzbrojeni.

– Dzięki, wujku Ludo. A czy możemy liczyć na dwa wierzchowce? – poprosił Des. – Musimy oddalić się na bezpieczną odległość od Rylki.

Ludo pokręcił głową.

– Mam tylko młode i stare kłacze i jednego lichego wałacha.

Astrid poczuła zawód. Bez silnych wierzchowców nie mieli nawet cienia szansy na wyprzedzenie żołnierzy Rylki.

– Mam za to Elskan. Miałem ją jutro dostarczyć do pałacu. Jest szybka jak błyskawica. – Ludo uśmiechnął się ponuro. – Ale i równie niebezpieczna.

– Elskan? – powtórzyła Astrid, której oczy otworzyły się szerzej z niepokoju. – Masz na myśli...

Ludo pokiwał głową.

– Tę samą Elskan, którą twój ojciec kupił matce, zanim zachorował. – Syren położył ręce na biodrach i zlustrował Astrid od ogona po czubek głowy. – Nieźle sobie radzisz z konikami morskimi – przyznał. – Myślisz, że poradzisz sobie z orką?



## Rozdział 35

**M**ŁODA ORKA WILA się wściekle, uderzając potężnym ogonem o ścianę zagrody.

– Nikt na nich nie jeździ, Ludo. – Astrid nerwowo obserwowała zwierzę. – Nikt poza szaleńcami. I moją matką.

– Jesteś dobrym jeźdźcem, Astrid. Widziałem cię w akcji. Niewiele ustępujesz Eyvor.

– Ale ustępuję. I nie chcę, żeby to oznaczało moją śmierć – rzuciła syrena.

– Najważniejsze to dać jej do zrozumienia, kto tu rządzi – doradził Ludo.

– Myślę, że ona wie, kto rządzi, i na pewno nie jestem to ja.

– Ciii, dobra dziewczynka, Elskan. Dobra dziewczynka – powtarzał kojąco Ludo. Następnie wydał z siebie kilka cmoknięć, aby uspokoić orkę.

Elskan przyglądała mu się. Odpowiedziała mu podobnym cmoknięciem, kilkakrotnie machając przy tym głową w górę i w dół. Po chwili obróciła się i znów uderzyła ogonem w ścianę, wybijając w niej dziurę.

Ludo pokręcił głową.

– Ma piętnaście lat – rzekł. – I zachowuje się stosownie do wieku.

Po drodze do stajni Ludo powiedział Astrid i Desideriowi, że Elskan ma cztery metry długości i waży dwie i pół tony.

– Proszę – rzekł teraz do Astrid, podając jej metalowe wiadro. – Daj jej kawałek foki. To odwróci jej uwagę, gdy będę ją siodłał.

Syren zdjął z wieszaka uprząż ze srebrnym wędzidłem i narzucił je na ramię. Następnie wziął z półki podwójne siodło, derkę oraz popręg.

– Gotowa? – zapytał.

Astrid pokiwała głową. Zaszło jej w ustach.

Ludo otworzył drzwi zagrody i wpłynął do środka. Astrid wzięła głęboki oddech i podążyła za nim.

– Okej, miło było was poznać – zazartował Des, zamykając za nimi drzwi.

Ani Ludowi, ani Astrid nie było do śmiechu. Oboje skupili się na orce.

Zwietrzywszy jedzenie, Elskan odwróciła się do nich i otworzyła wielką paszczę. Jej ostre stożkowate zęby błyszcząły w świetle lawy. Każdy z nich miał dziesięć centymetrów długości. Astrid rzuciła orce krwisty kawałek mięsa. Elskan połknęła go jednym kęsem, po czym poprosiła o więcej.

Przez chwilę Astrid nie pamiętała o strachu. Była pod ogromnym wrażeniem piękna tego stworzenia.

– Jest cudowna, Ludo – rzekła. – Nic dziwnego, że Eyvor musiała ją mieć.

Elskan podpłynęła do Astrid, obwąchała ją, po czym trąciła nosem wiadro. Syrena rzuciła orce jeszcze jeden kawał mięsa.

Astrid uwielbiała stawiać czoło źle usposobionym wierzchowcom swojej matki. Nie potrafiła czarować, ale w polowaniu nie liczyła się magia, lecz siła i odwaga, a tych jej nie brakowało. Przemierzając wody na grzbiecie Blixta, czuła moc i kontrolę. Ciekawe, jak będzie z Elskan?

– Pływa się na niej doskonale gładko, jeśli odpowiednio się nią steruje – tłumaczył Ludo, po czym położył na grzbiecie orki siodło, tuż przed jej płetwą grzbietową. Następnie zapiął popręg.

– A jeśli nie będę umiała nią sterować?

– Zabijesz się – odparł beztrąsko Ludo. – Dobrze pracuj ogonem i nie szarp jej za pysk. Popuść nieco cugle i pozwól jej ruszać głową.

– Żeby mogła odgryźć moją? – wymamrotała Astrid.

– Nie zapomnij, że powinna łykać dużo powietrza – instruował Ludo. – Nocami zdejmuj jej uprzęż i pozwól popływać wolno. Kiedy dotrzecie do granicy, zdejmij z niej siodło i wędzidło, klepnij ją w ogon i każ wracać do domu. Będzie wiedziała, co robić.

Syren przerzucił wodze przez głowę orki, wsadził jej w pysk wędzidło, a następnie zapiął uzdę. Na koniec zamocował do siodła kufry. Gdy uznał, że wszystko jest odpowiednio przygotowane i zabezpieczone, pociągnął za wodze i podał je Astrid.

– Oto twoja orka – rzekł.

Astrid wzięła głęboki oddech, a następnie wyprowadziła Elskan ze stajni w kierunku dużych żelaznych drzwi. Wiedziała, że kiedy przez nie przejdą, znajdą się już na otwartej wodzie.

– Gdy tylko się otworzą, błyskawicznie zniknie mi z oczu – ostrzegł Ludo. – Więc wsiadajcie i przygotujcie się.

– Wujku Ludo... – zaczął Des.

Ludo zwrócił się ku niemu.

– Co zrobisz, kiedy Rylka się dowie, że uciekliśmy, a do tego zniknęła gdzieś Elskan? Unikaj lochów. Musisz dostarczyć Ragnarowi pieśń krwi.

– Powiem jej, że przystawiliście mi harpun do skroni.

– Jesteś pewien, że sobie poradzisz? – zaniepokoiła się Astrid, wiedząc doskonale, jak Rylka traktuje tych, którzy zajądą jej za skórę.

– Nie martwcie się o mnie – odparł Ludo. – Płyńcie do Kargjordu. Pomóżcie Serafinie.

– Wujku...

– Tak, Desiderio?

– Dziękujemy.

Ludo pokiwał głową.

– No chodź, Des! – zawołała Astrid. Syrena siedziała już w siodle i trzymała w rękach wodze.

Wyczuwszy otwartą wodę, orka zaczęła stawać dęba.

– Ruszajmy – rzekła Astrid, starając się przejąć nad nią kontrolę.

Desiderio podpłynął do nich i usadowił się za Astrid.

– Czego mam się trzymać? – zapytał.

– Mnie. Gotowy?

– Nie – odrzekł syren, obejmując jej biodra.

Było to dla Astrid nowe, niepokojące uczucie. Ale nie mogła się teraz przejmować takimi błażostkami, nie kiedy trzyma wodze dwuipółtonowej orki.

Wtem nagłe dudnienie, głośne i natarczywe, odpędziło wszystkie myśli Desideria.

– Ludovico di Merrovingia! Otwieraj!

Astrid obróciła szybko głowę. Po drugiej stronie drzwi wejściowych do stajni stał Tauno. Na szczęście Ludo je zamknął, po tym jak całą trójką wpłynęli do środka.

Elskan, spłoszona hałasem, zaczęła się obracać dookoła.

– Wypuść nas, Ludo! Natychmiast! – krzyknęła Astrid.

– Astrid Kolfinnsdottir, wiemy, że tam jesteś! Jesteś aresztowana! – krzyczał Tauno.

Ludo pchnął drzwi, które się otworzyły. Elskan zarżała i wystrzeliła na zewnątrz.

– Trzymaj się, Des! – zawołała Astrid.

Po chwili świat zmienił się w niewyraźną plamę, Astrid zaś poznała, jakie to uczucie, gdy się ujeżdża błyskawicę.

## Rozdział 36

LING ZAKASZLAŁA. WZIĘŁA głęboki oddech i zakaszła jeszcze raz, starając się, by zaświszczało jej w płucach. Następnie wróciła do pracy – liczenia strzał i układania ich w pudełkach.

Przekazała pełne pudełko stojącemu naprzeciw więźniowi imieniem Bai, którego zadaniem było mocowanie do strzał mewich piór.

Sięgając po kolejne pudełko, Ling głośno zacharczała. Następnie pokręciła głową i otarła czoło dłonią.

– Taki ciepły mamy nurt tej nocy – wyszeptała, mimo że nie była to prawda.

Wzrok Baia przeniósł się ze strzały, którą trzymał w rękach, na twarz Ling. Syren zmarszczył czoło ze zmartwienia.

Ling odliczyła kolejne strzały, po czym zakaszła raz jeszcze, tym razem krzywiąc się z bólu. Oprócz tego udawała, że musi się oprzeć o blat.

– Bai... Pomóż mi – wyszeptała. – Wszystko wiruje!

Zanim syren zareagował, Ling upadła na podłogę i zaczęła rozpaczliwie łapać oddech. Następnie przestała oddychać, w nadziei że jej twarz przybierze sinoniebieski kolor. Tak właśnie się stało.

– Purpurowa gorączka! – zawołał Bai, odsuwając się od Ling.

– Purpurowa gorączka! Purpurowa gorączka! – Przez magazyn przetoczyła się fala szeptów. Więźniowie siedzący w pobliżu Ling uciekli w popłochu i zgromadzili się jak najdalej.

Nagle wpadł między nich strażnik.

– Co tu się dzieje? – warknął.

Jeden z więźniów wskazał Ling, która wiła się teraz na podłodze.

Strażnik podpłynął do niej i uderzył ją mocno ogonem. Ling jęknęła z bólu. Teraz już nie udawała, cios był naprawdę silny. Jej następny ruch był natomiast aktorstwem. Syrena oparła się na rękach, jakby próbowała się podnieść, ale znowu upadła, przy czym zmusiła się do kolejnego ataku kaszlu.

– To purpurowa gorączka – rzekł któryś z więźniów z trwogą w głosie.

– Zabrać ją do szpitala! – rozkazał strażnik, a kiedy nikt się nie poruszył, by wykonać jego rozkaz, złapał dwóch syrenów za kark i pchnął ich w kierunku Ling. – Zabierzcie ją stąd!

Dwaj więźniowie wzięli Ling pod ręce i wyprowadzili ją z magazynu. Syrena rozluźniła

wszystkie mięśnie i pozwoliła swojej głowie opaść bezwładnie. Zamknęła oczy. Dzięki temu nikt nie mógł zobaczyć jej triumfalnego spojrzenia.

Na razie plan działał. Jej ojciec powiedział, że sam rozpuści plotkę o epidemii purpurowej gorączki. Postanowił diagnozować taką chorobę u każdego pacjenta z osłabieniem i gorączką. Sądząc po reakcji, jaką wywołało jej przedstawienie, plotka zdążyła się już roznieść. Zarówno więźniowie, jak i strażnicy panicznie się bali, że też mogą zostać zarażeni.

Dwaj syreni doprowadzili Ling do drzwi szpitala. Tam ją rzucili i popędzili z powrotem do magazynu.

Link jęczała głośno. Po kilku sekundach była już przy niej Tung-Mei.

– Och, Ling, tylko nie ty! – zawołała syrena z przejęciem.

Ling pokiwała głową.

– Czuję się, jakbym płonęła. Proszę, pomóż mi, Tung-Mei – wycharczała. Chciałaby powiedzieć koleżance prawdę, ale dla jej dobra im mniej syren wiedziało, tym lepiej.

– Shan! – zawołała Tung-Mei. – Chodź tu szybko. Mamy następną pacjentkę z gorączką!

Ling w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że go zna, a jej twarz nie zmieniła swojego pustego wyrazu, gdy lekarz owinał jej ramię wokół własnej szyi i pomógł syrenie wejść do szpitala.

– Przykro mi, ale wszystkie łóżka są zajęte. Będę musiał położyć cię tutaj – rzekł do niej, opierając ją plecami o ścianę na końcu pomieszczenia, z dala od pozostałych chorych. To także było częścią planu. Dzięki temu mogli rozmawiać spokojnie bez obawy, że ktoś ich podsłucha.

– Wóz już jest – wyszeptał zwięźle jej ojciec i zaczął udawać, że przystępuje do badania. – Załaduję teraz kilka ciał, a później wrócę po ciebie. Połóż się i zamknij oczy. Nie ruszaj się.

Ling pokiwała głową. Syren podpłynął do innego pacjenta, a ona powoli położyła się na dnie. W szpitalu panował taki zgiełk, że żaden strażnik ani pacjent nie zauważyłby, jak kolejny z więźniów umiera po cichu z powodu gorączki. To była łatwa część planu. Leżąc tam, Ling przypomniawsza sobie kolejne punkty działania opracowanego wspólnie z ojcem.

– Woźnica przyjeżdża po zwłoki o siódmej rano, a drugi raz wieczorem. Jeźdźcy śmierci pełniący wartę przy bramie powinni przeszukać każdy wóz, co czasami robią, ale przeważnie tylko rzucają na niego okiem – mówił wcześniej Shan. – Gdyby komuś udało się upozorować śmierć...

– Chcesz mnie stąd wywieźć wozem ze zwłokami? – przerwała mu wtedy. – Ukrytą pod ciałami? – Zadrżała na tę myśl, ale szybko zapomniawsza o strachu. Musiała stamtąd uciec.

Shan pokiwał głową.

– Pierwszego dnia następnego tygodnia, tuż przed wydaniem wieczornego posiłku, udaj, że dopadła cię purpurowa gorączka. Sprawimy, że umrzesz zaraz po przyjeździe wozu. Woźnica pójdzie do biura po zapłatę. Zanim skończymy załadunek, będzie już pewnie około ósmej. Ciemność da ci osłonę. Zaczekasz, aż wóz wyjedzie za bramę. Po jakichś piętnastu minutach

powinniście już być daleko w górach. Wtedy możesz wyjść z wozu i odpłynąć niezauważona. To ryzykowne, ale nie ma innego wyjścia.

– Nie mogę odpłynąć. – Ling pokręciła głową. – Muszę się dostać do Sery i reszty, ale najpierw, skoro tu jestem, muszę odszukać układankę. Nie mogę pozwolić, by zdobył ją Orfeo. Tylko jak to zrobić? Jeźdźcy śmierci czatują na skraju Głębi dniami i nocami. Jeden z wybranych powiedział Tung-Mei, że wszystko jest tam oświetlone. Zobaczą mnie.

Shan się uśmiechnął.

– Wcale nie. Jeźdźcy śmierci przeszukują miejsce, w którym wyrzuciłem talizman. Nie biorą pod uwagę, że w Głębi działa lekki nurt. Z moich obliczeń wynika, że do tej pory talizman odpłynął jakieś dwa kilometry na wschód. Ponadto żołnierze nie wiedzą, jak rozmawiać z morskimi stworzeniami. Za to ty wiesz. Popytaj ich, Ling. Ktoś mógł widzieć kulę. Mogła wylądować na półce skalnej albo w jakiejś jaskini.

– Tak by było najlepiej – odrzekła Ling. – Ale równie dobrze mogła zanurkować na dno Głębi. Może nadal opada? Odszukanie jej będzie tak trudne jak znalezienie minoga w lesie krasnorostów.

– Musisz spróbować – odparł Shan.

– Nie, tato – rzekła ponuro Ling. – Musi mi się udać.

Spędziła cały tydzień, czekając na ten piątek, modląc się każdego dnia podczas selekcji, by sierżant Feng nagle nie uznał, że gips nie jest już jej potrzebny, oraz mając nadzieję, że jej ojcu nic nie grozi.

– Udawaj martwą – polecił teraz Shan. Ling zamknęła oczy i rozluźniła mięśnie. Poczwała, jak ojciec otwiera żelazny kołnierz na jej szyi, po czym usłyszała brzęk, kiedy spadł na rosnącą stertę metalu. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, szybko rozciął jej gips za pomocą niewielkiej piły chirurgicznej. Kiedy obmyślali plan, Ling poprosiła go, by zrobił to, zanim zanieśie ją do wozu ze zwłokami. Wiedziała, że gips będzie ją tylko spowalniał. Pierwsze rozprostowanie palców było bolesne, ale nie bardzo. Miała nadzieję, że kości się zrosły. W końcu Shan ją podniósł.

– Kolejna? – zawołał jakiś głos, gdy syren opuszczał szpital.

Ling poczuła, że ojciec zamarł w bezruchu. W pobliżu wozu nie powinno być nikogo innego. Gdyby ta osoba, czy to strażnik, czy więzień, dotknęła jej, szybko by spostrzegła, że syrena jest ciepła i żywa.

– Niestety. Purpurowa gorączka. Nie zbliżaj się, Zhen – ostrzegł ojciec Ling.

Zhen był woźnicą. Ling poczuła wielką ulgę.

– Nie musisz mi tego mówić, doktoru – odrzekł Zhen. – Jeszcze mi życie miłe.

Ling nie mogła mieć pewności, ale sądząc po dystansie, z którego dobiegał głos Zhena, oraz po rzeniu koników pociągowych, woźnica stał przed swoim wozem.

– Jeszcze nie odjeżdżasz, prawda? Mam więcej ciał do wywiezienia – skłamał Shan. Mówił spokojnym głosem, choć Ling, która dobrze go знаła, słyszała w nim napięcie.

– Jeszcze nie. Muszę pomówić z sierżantem. Masz mnóstwo czasu na załadunek.

Zhen odpłynął, a Shan głośno odetchnął. Ling zaryzykowała i otworzyła oko. Twarz jej ojca pobiadła.

– Ling, może to nie... – zaczął mówić.

Syrena nie pozwoliła mu dokończyć.

– Dam radę, tato – zapewniła. Była zdecydowana na ucieczkę. To od niej zależał los jej przyjaciółek, ich misji oraz całego podwodnego świata.

Ojciec popatrzył na jej twarz, po czym przyznał:

– Tak, wierzę, że dasz radę.

Shan zostawił z tyłu wozu miejsce dla córki. Instynktownie zacisnęła powieki, gdy ostrożnie ułożył ją między dwoma zimnymi ciałami. Pomyślała, że to może być ostatni raz, gdy widzi ojca, dlatego otworzyła oczy. Zobaczyła, że ten rozpruwa szwy swojej tuniki i wyciąga jakiś mały złoty przedmiot. Była to jego obrączka ślubna. Następnie Shan wyjął z kieszeni szpulę nici chirurgicznej i nitkę. Później podwinął rąbek tuniki córki, przycisnął obrączkę do materiału i szybko zaszył.

– Oddaj ją matce – rzekł, pracując. – Powiedz, że kocham ją jeszcze bardziej niż tego dnia, gdy zakładała mi tę obrączkę na palec. Powiedz, że wyczekuję dnia, w którym to wszystko się skończy, i wtedy będzie mogła nałożyć ją ponownie.

Ling nie była w stanie się odezwać. Gardło miała ściśnięte.

– Powiedz swoim braciom, żeby byli grzeczni... I jeszcze jedno...

– Tak, tato?

– Jesteś bardzo silna. To dobrze. Ale nigdy nie bierz uprzejmości za słabość, niezależnie od tego, co będzie mówiła babcia Wen.

Ling pokiwała głową. Teraz nie czuła się silna i nienawidziła się za to. Próbowwała uśmiechnąć się dzielnie, ale zamiast tego jej twarz się wykrzywiła. Rzuciła się ojcu w ramiona i mocno go uściskała. Załkała raz, a po chwili ponownie.

– Ciii, bao bei, ciii. Martwi nie płaczą – wyszeptał.

– Chodź ze mną, tato – poprosiła Ling.

– To zbyt niebezpieczne. Zhen zawsze do mnie zagląda, zanim sprawdzi, czy ma wszystkie ciała. Uznałby za dziwne, gdyby nagle mnie nie było. – Mówiąc to, Shan pocałował córkę w policzek i puścił ją. – Gotowa?

– Tak. – Ling otarła oczy.

– Dobrze, teraz muszę... – przełknął ślinę – przykryć cię ciałami, zanim wróci woźnica.

Ze strachu Ling zaschło w ustach. Próbowwała sobie wyobrazić, że jest gdzieś indziej. Gdziekolwiek. Tylko nie tu. Nie w tym miejscu.

Ojciec układał po kolei ciała, najpierw wokół niej. Kiedy zaczął poprawiać zwłoki leżące bezpośrednio nad nią, puściły mu nerwy.

– Zrób to wreszcie – syknęła Ling, która znowu poczuła w sobie siłę.

Syren pokiwał głową i opuścił zwłoki. Ling została całkowicie zakryta. Jej plecy przylegały do sztywnej i zimnej klatki piersiowej jakiegoś syrena. Ręce zostały przygniecione kolejnymi ciałami. Na twarzy miała tył głowy innego trupa. Omal nie wpadła w histerię. Chciała krzyczeć i wydostać się spod ciała. Zamiast tego wbiła sobie paznokcie w skórę dłoni i ból przywrócił jej zmysły.

– Leż bez ruchu – wyszeptał Shan.

– Dobrze, tato. Idź już.

Syren odpłynął od wozu i zamknął drzwi szpitala.

– To już ostatni, doktorku? – spytał jakiś głos.

– Zgadza się.

– Biedacy – rzekł Zhen. – Przynajmniej uwolnili się od tego miejsca. Dobranoc, Shan.

– Dobranoc...

Gdy wóz ruszył naprzód, Shan dodał coś jeszcze, ale głosem tak cichym i delikatnym, że usłyszała go tylko Ling.

– ...i bezpiecznej podróży.



## Rozdział 37

LING POCZUŁA, że wóz zaczyna zwalniać.

– Stój, Zhen – odezwał się czyjś leniwy głos.

– Dlaczego? Przeszukujecie dziś w nocy wóz? – spytał woźnica.

– Ja nie. Mamy rozkazy, by nie dotykać ciał zakażonych gorączką.

Ling, wcześniej sparaliżowana strachem, teraz się rozluźniła. Strażnicy nie przeszukiwali już wozów. Dzięki bogom. Jeszcze sekunda, a Zhen trzaśnie z biczem i opuszczą teren obozu.

– Więc mogę jechać? – zniecierpliwił się Zhen. – Chcę już pozbyć się tych sztywniaków i wracać do domu. Żona czeka z ciepłym gulaszem.

– Zaczekaj minutkę, dobrze? Mamy nowy system – oznajmił jeździec śmierci.

– Jaki znowu system? Będziecie ich nadziewać na włócznie?

– Nie – odparł żołnierz. – Wykorzystamy morskie osy.

– Ha! W ten sposób będziecie mieli gwarancję, że nikt nie pozostał przy życiu.

Ling zastygła krew w żyłach. Jad morskich os był jedną z najbardziej zabójczych substancji znanych syrenom. Gdyby została dotknięta taką macką, nie przeżyłaby więcej niż kilka sekund.

– Zatrzymaj się tutaj, Zhen. Tuż przy bramie – polecił strażnik.

Wóz drgnął.

To koniec. Naprawdę umrze. Nigdy nie znajdzie kuli ani nie pomoże Serafinie i reszcie pokonać Abbadona. Nigdy nie odda matce obrączki ojca. Zamiast tego skończy w zbiorowej mogile. Nikt się nie dowie, jaki spotkał ją los.

– Przepraszam, Sero – wyszeptała. – Przepraszam, mamó. Przepraszam, tato.

Syrena tkwiła bez ruchu z zaciśniętymi pięściami, czekając na ból. Na niej leżało ciało, w dodatku było ciemno, ale morskie osy dawały tyle światła, że Ling wyraźnie widziała twarze trupów po obu stronach. Nagle jej uwagę przykuł jakiś ruch po prawej. Wstrzymała oddech. Zbliżyła się do niej błękitna, ruchliwa macka. Otoczyła szyję syrena leżącego obok niej, zatańczyła na jego twarzy i zatrzymała się kilka centymetrów od niej.

Inna macka pokazała się ponad głową syrena leżącego bezpośrednio na Ling. Trzecia owinęła szyję syrena po lewej.

Wtem zabrzmiał dźwięk gwizdka i macki zniknęły.

– Jedź, Zhen. Wszystko w porządku – krzyknął strażnik. – Jeśli było tam jeszcze trochę życia, na pewno teraz już go nie ma!

Ling odetchnęła. Już po wszystkim. Jakimś cudem wszystkie macki ją ominęły. Ocalała.

Nagle wszystko stało się białe.

Uderzyła ją fala bólu, gdy jedna z macek wsunęła się pod spód jej ogona. Ling poczuła się, jakby ugryzła węgorza elektrycznego. Stłumiła krzyk, zaciskając zęby tak mocno, że na karku wyszły jej żyły.

– Hej, Bella! Wracaj do szeregu! – zawołał strażnik. – Na bogów, Zhen, te potwory są tak bezduszne, że mają ochotę poparzyć co popadnie, od martwej syreny, przez skały, na sobie samych kończąc. A wszystko to dla zabawy.

Macka zniknęła równie szybko jak się pojawiła. Ale ból już nie.

Serce Ling biło w szalonym staccato. Przed oczami migotały jej światła. Ledwie słyszała, jak strażnik żegna woźnicę. Wóz ruszył i zaczął nabierać prędkości. Próbowwała sobie przypomnieć, jak długo miała czekać. Piętnaście minut? Piętnaście sekund? Nie umiała logicznie myśleć. Czuła się tak, jakby ból doprowadził do spięć we wszystkich obwodach jej mózgu. Jej ciałem wstrząsały drgawki. Światła w jej oczach zmieniły się w wizje. Syren z jednej strony zaczął się śmiać. Z włosów syrena leżącego nad nią wypełzły węże. Przerazona Ling odepchnęła je od siebie tak mocno, że przewróciła ciało na bok.

„Muszę się wydostać!” – krzyczał głos w jej głowie. Syrena podniosła się z trudem, po czym oswobodziła ogon. Pełzając między ciałami, zdołała się dostać na skraj wozu i zsunąć na bok. Uderzyła o dno z głuchym hukiem i położyła się na plecach. Jej pierś podnosiła się i opadała ciężko, a ręce drapały o podłogę.

W jej głowie mieszały się wizje i dźwięki. W końcu ucichły.

Ling jęknęła z bólu, po czym straciła przytomność. Zdążyła oddalić się od obozu na piętnaście metrów.

## Rozdział 38

**N**IE PODOBA MI SIĘ TO, Lucia – rzekła Bianca di Remora, spoglądając na zbutwiały kadłub wiszącego nad nimi statku.

Na dziobie okrętu widniał napis HMS BRITANNIA. Niektóre litery zżarła rdza.

– W takim razie możesz wracać – rzuciła lekceważąco Lucia.

– I pozwolić ci wejść samej na pokład statku widma? Nigdy w życiu. Obie powinnyśmy zawrócić. Przyplnięcie tutaj było błędem. Gdyby ktokolwiek się dowiedział...

Lucia jej nie słuchała i była już w drodze na górny pokład. Miała zamiar spotkać się z Kharis i nic nie mogło jej powstrzymać. Bianca, która marudziła, odkąd opuściły pałac, podążyła teraz za nią, ściskając nerwowo dłonie.

Vallerio nadal nie atakował Czarnych Płetw. Kiedy Lucia spytała go o powód, powiedział tylko: „Wkrótce”. Stwierdził, że nie może teraz wysłać wojsk do Kargjordu, ponieważ ma dla nich inne zadania. Nie chciał jej powiedzieć, o jakie zadania chodzi, więc Lucia opracowała własny plan zgładzenia Serafiny. A Kharis, służka bogini śmierci Morsy, miała dla niej coś specjalnego. Coś, czego Lucia koniecznie potrzebowała, aby zrealizować swój plan.

Wnętrze statku ozdobiły posągi. Lucia przyglądała się im, przepływając obok iluminatorów od strony rufy. Słyszała śmiech i brzęk kieliszków. Dźwięki fortepianu.

Britannia była luksusowym transatlantykiem, który zatonął w Morzu Adriatyckim latem 1926 roku. W katastrofie zginęło prawie tysiąc osób, wliczając załogę i pasażerów.

Ludzie, którzy umarli pod wodą, zamienili się w duchy. Ich ciała uległy rozpadowi, ale niespokojne i wiecznie głodne dusze przetrwały pod falami. Britannia tętniła tęsknotą dusz swoich pasażerów. Lucia słyszała to uczucie w żałobnym jęczeniu kadłuba oraz trzeszczeniu pokładu. Transatlantyk nie złamał się po zatonięciu, lecz osiadł na dnie w jednym kawałku i przechylił się nieznacznie na jedną burtę. Kominy pozostały nietknięte, podobnie jak mostek kapitański.

Na górnym pokładzie kraby przemykały po wywróconych leżakach. Małe rybki wpływały do damskiego buta i wypływały z niego. Ukwiały pouczepiały się kapeluszy, książek i okularów.

Na pokładzie zdomowały się też inne stworzenia. Tubalny ryk wydobywał się z ich gnijących gardeł, potykały się na obszarpanych nogach i kręciły głowami bez oczu.

Były to gnilce.

Bianca chwyciła Lucię za rękę.

– Co to takiego?! – zawołała z przerażeniem. – Wyglądają jak martwe terragogi.

– Bo nimi są – odrzekła Lucia. – One również zginęły we wraku Britannii. Kapłanka wykorzystuje je do ochrony. Mają za zadanie zabić każdego, nieważne: syrenę czy człowieka, kto spróbuje wejść na statek.

W odróżnieniu od duchów, gnilce nie posiadały duszy. Były tylko rozkładającymi się ciałami ludzi, którzy zginęli na powierzchni wody. W czasie śmierci ich dusze zostały uwolnione, a ciała opadły na dno. Adeptci czarnopieśni wiedzieli, jak ożywić te ciała i sprawić, by wykonywały ich rozkazy.

Gnilce kierowały się z wolna ku Lucii i Biance, machając rękami. Bianca wrzasnęła. Próbowwała odciągnąć Lucię na bok, ale syrena ją odepchnęła.

– Jestem Lucia, regina Miromary. Zaprowadźcie mnie do Kharis – poleciła.

Gnilce przestały atakować, a ich jęki ucichły. Odwróciły się, po czym zaczęły płynąć w kierunku łukowatych drzwi.

– Duchy unikają gnilców. Uważają je za odrażające – oznajmiła Lucia, podążając za potworami.

– Nie mam pojęcia dlaczego – rzuciła ironicznie Bianca drżącym głosem.

– Musimy trzymać się blisko nich. Tak będzie bezpieczniej.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – zdziwiła się Bianca, starając się za nią nadążyć.

– Już tu byłam – odparła Lucia. – Wiele razy.

– Sama? – Bianca popatrzyła na nią wzrokiem pełnym niedowierzania i jednocześnie podziwu.

Lucia pokiwała głową. Świątynie Morsy, padlinożernej bogini śmierci, były zakazane, ale kilka jeszcze istniało. Wystarczyło wiedzieć, gdzie ich szukać. Kapłanka Kharis wybrała na świątynię nawiedzony statek, wiedząc, że strach przed jego lokatorami sprawi, iż będzie mogła czynić swoje mroczne dzieła bez obawy o ingerencję władz.

Lucia знаła drogę do ołtarza Kharis, ale pozwoliła gnilcom się poprowadzić. Te prowadziły ją po imponujących schodach w dół do gigantycznej sali balowej. Po obu stronach zdobionych figurami nimf stopni biegły błyszczące mahoniowe balustrady. Wysoko ponad nimi ze złoczonego sufitu zwisały elektryczne żyrandole.

Na drugim końcu sali balowej grała orkiestra złożona z duchów. Pasażerowie tańczyli i się śmiali. Kobiety z włosami upiętymi w koki były ubrane w lśniące suknie bez rękawów. Ich policzki były upudrowane i blade, a usta pomalowane cynobrem.

Mężczyźni nosili smokingi, a ich krótkie włosy były zaczesane do tyłu. Wszyscy wyglądali dokładnie tak, jak w chwili katastrofy, gdy rozbijane sztormem morze pochłonęło ich statek ogromną falą.

Bianca zatrzymała się na szczycie schodów, podczas gdy gnilce schodziły na dół.

– Popatrz na nich wszystkich – wyszeptała, wodząc bojaźliwym wzrokiem po duchach z wraku. – Nigdy się między nimi nie przeciśniemy.

– Jeśli chcesz, możesz tu zostać – odparła Lucia, a sama, dla bezpieczeństwa, weszła w środek

grupy gnilców. Bianca nie miała wyboru, więc zrobiła to samo.

Duchy natychmiast wyczuły obecność syren. Muzyka ucichła. Goście przestali tańczyć. Lucia wiedziała, że transatlantyk utrzymuje się przy życiu dzięki energii duchów. Bez nich sala balowa nie wyglądałaby tak imponująco.

Gdy syreny znalazły się na parkiecie, duchy usiłowały się do nich zbliżyć, ale jęczące i machające rękami gnilce im na to nie pozwalały. Lucia czuła głód duchów. Były żądne życia, które tętniło w jej żyłach.

Syreny opuściły salę balową, po czym popłynęły w kierunku pokrytych panelami korytarzy, widząc po drodze przestrzenie ozdobione jedwabnymi draperiami i elektrycznymi lampami. Następnie minęły wielką kuchnię, gdzie kucharze siekali mięso ogromnymi tasakami, a wokół chodzili kelnerzy z tacami. Tutaj przyglądał im się wygłodniałym wzrokiem szef kelnerów z cienkim wąsikiem pod nosem.

– Daleko jeszcze? – spytała słabym głosem Bianca, kiedy opuściły kuchnię i wpłynęły do kolejnego długiego korytarza.

– To ostatnia prosta – odrzekła Lucia, wskazując przed siebie.

Gnilce pchnęły wysokie drewniane drzwi i syreny znalazły się w teatrze. Tutaj odbywały się koncerty, przedstawienia i projekcje niemych filmów.

Za podwyższoną sceną wisiały czerwone aksamitne kurtyny ze złotymi wykończeniami. Na jednej z nich widniał namalowany wizerunek Morsy. Przedstawiona na nim bogini zamiast twarzy miała czaszkę. Od pasa w górę była kobietą, a od pasa w dół – wężem. Jej głowę zdobiła czarna korona ze skorpionów trzymających uniesione do ataku ogony. W wykonanych z brązu kotłach ustawionych po obu stronach bogini płonęły podwodne ognie. Przed malowidłem stała syrena ubrana w karmazynowe szaty z morskiego jedwabiu i śpiewała pieśń. Kiedy skończyła, odwróciła się, jakby wiedziała, że do teatru wpłynęły Lucia i Bianca.

Lucia pochyliła głowę.

– Witaj, kapłanko – rzekła.

Kharis miała oczy podkreślone kajalem, a jej włosy wiły się jak dziesiątki czarnych morskich węży. Kapłanka odwzajemniła ukłon Lucii.

– Wasza miłość – rzekła. – Jestem zaszczycona tą wizytą. Przybyłaś podziwiać moje dzieło?

– Tak. A także je rozwinąć – odrzekła Lucia.

To mówiąc, otworzyła przyniesioną torbę i wyjmowała z niej po kolei przedmioty.

– Kosmyk włosów Mahdiego – oznajmiła, wręczając Kharis lśniący czarny pukiel, który ścięła tuż przed opuszczeniem Czarnej Głębiny. Następnie podała kapłance małą kryształową karafkę wypełnioną karmazynowym płynem.

– Fiolka jego krwi – rzekła. W klubie nocnym Lucia pamiętała, by zachować wyciągniętą z piersi Mahdiego pieśń krwi. Doskonale wiedziała, jakich składników potrzebuje do zaklęcia Kharis. – I na koniec jedna rzecz Serafiny – jej marynarka.

– Dobra robota! – ucieszyła się Kharis, odbierając przedmioty. – Chciałybyście obejrzeć moje dzieło?

Lucia pokiwała głową.

Kharis odśpiewała przedziwną pieśń magii śpiewu w tonacji minorowej, której Lucia nigdy wcześniej nie słyszała. Chwilę później czerwone zasłony rozsunęły się i na środek sceny wpłynął syren.

Lucia z trudem złapała oddech.

Bianca pokręciła głową. Popatrzyła na syrena tak, jakby się bała, że ma omamy wzrokowe.

– Mahdi? – spytała niepewnie. – Skąd się tu wziąłeś?

## Rozdział 39

**L**UCIA OPŁYNEŁA DZIEŁO Kharis dookoła.

– Jest doskonały – zamruczała z błyskiem ciemnych oczu. – Absolutnie doskonały!

– Pewnie, że jest – zachnęła się Kharis. – Ja go stworzyłam, a bogini dała mu błogosławieństwo.

– Mahdi? Mahdi! – zawołała Bianca, podpływając pod scenę.

– To nie jest prawdziwy Mahdi. To maligno, moja droga – wyjaśniła Kharis.

Bianca popatrzyła na kapłankę ze zdziwieniem.

– Co takiego?

– Syren z gliny ożywiony magią krwi. Będzie wykonywał wszystkie rozkazy Lucii.

Syrena otworzyła szeroko oczy i oddaliła się od dziwnej istoty.

– Rozkazy? Jakie rozkazy? – zwróciła się do przyjaciółki. – Co ty zamierzasz zrobić, Lucia?

– Zabić Serafinę – odparła Lucia, nie odrywając wzroku od maligna. Po chwili popatrzyła na Kharis. – Dlaczego jeszcze tu jest? Dlaczego jeszcze nie wyruszył, by ją odnaleźć?

– Wasza miłość – odpowiedziała Kharis jedwabistym, cichym głosem. – Najczarniejsza z pieśni ma wyjątkowo wysoką cenę.

Lucia się odwróciła, a jej spojrzenie stało się ostrzejsze.

– Dałam ci już sporo złota, Kharis – odrzekła chłodno. – Ile jeszcze żądasz?

– Nie chodzi o to, czego żądam ja, tylko o to, czego chce bogini – wyjaśniła Kharis, wskazując gestem wizerunek Morsy. – Ceną za śmierć jest śmierć.

Lucia odwiedzała Kharis wielokrotnie, ale nigdy wcześniej się nie bała. Aż do teraz. Wiedziała, czego oczekuje Kharis, ale jak mogła jej to dać? Od tego byli inni, na przykład Traho i jego żołnierze, Baco Goga oraz zabójcy jej ojca.

Bianca też pojęła intencje kapłanki. Na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Pospiesznie zbliżyła się do Lucii.

– Lucia, nie! – zawołała głosem pełnym desperacji. – Nie wolno ci. To morderstwo. Bogini odbierze życie swojej ofiary, a następnie twoją duszę. Musimy się stąd wydostać. Proszę!

Bianca chwyciła syrenę za rękę, a Lucia, oszołomiona żądaniem Kharis, pozwoliła się odciągnąć.

– Śmierć za śmierć, wasza miłość, inaczej będę zmuszona oddelegować twojego pięknego Mahdiego na gliniane łożo, z którego powstał.

„twojego pięknego Mahdiego...”.

Te słowa nie przestawały dźwięczeć w głowie Lucii. Rzecz w tym, że Mahdi nie był jej, niezależnie od tego, jak bardzo się starała. Wszystko przez to, że Sera za pomocą jakiejś sztuczki zmusiła Mahdiego, by się jej oświadczył. Takie przysięgi są wiążące. Gdyby ktokolwiek przyrzeczony jednej syrenie próbował poślubić inną, pieśń ślubna by nie zadziałała.

Lucia wiedziała, że dopóki żyje Sera, Mahdi nigdy nie będzie należał w pełni do niej.

– Wasza miłość... – rzekła Kharis, ale Lucia nie dała jej dokończyć.

– Nie – odparła.

Bianca odetchnęła z ulgą.

– Dzięki bogom, że poszłaś po rozum do głowy. Płynimy już – rzekła, chwytając towarzyszkę za rękę. – Wracajmy do pałacu.

Syrena nie zrozumiała intencji Lucii, która zatrzymała się, po czym przechyliła głowę i rzuciła Biance wyzywające spojrzenie.

„Do tego służą małe rybki – odezwał się w jej głowie głos. – Do karmienia dużych”.

– Przynieś mi ofiarę dla bogini, wasza miłość – zażądała Kharis. – Wróć, zanim zajdzie księżyc.

Lucia uśmiechnęła się i zacisnęła palce na dłoni Bianki.

– Nie martw się, Kharis – rzekła z błyskiem w oku. – Już ją mam.



## Rozdział 40

**Ś** WIADOMOŚĆ WRACAŁA do Ling powoli. I boleśnie.

Syrena czuła się, jakby właśnie wypęzła z głębokiej, ciemnej jamy. Bolała ją każda kość i każdy mięsień. Wiedziała, że to reakcja jej ciała na jad morskiej osy.

Oczy miała spuchnięte. Do tego oddychanie przychodziło jej z trudem. Wydawało jej się, że coś leży na jej klatce piersiowej.

Próbowała unieść rękę, zaciskając z bólu zęby, ale nie potrafiła. Jej ramiona były jak przykute do dna.

Wtedy zdała sobie sprawę, że coś naprawdę na niej siedzi. Coś gładkiego, ciepłego i żywego. To coś uciskało ją, wypychając z jej płuc wodę.

– Nie... mogę... oddychać... Zejdz... – jęczała, próbując walczyć.

– „Zejdz”? To ma być podziękowanie? – spytał zniecierpliwiony głos w języku płaszczyk.

Ling przestała się opierać i zmusiła się do otwarcia oczu. Patrzyła na nią para szeroko rozstawionych znudzonych oczu. Pod nimi otwierały się i zamykały dwa rzędy skrzel. Ling zdała sobie sprawę, że leży pod olbrzymią mantą.

– Uratowałam ci życie, niewdzięczna syreno. Mogłabyś przynajmniej podziękować.

– Dz... dziękuję – wycharczała Ling. – Gdzie jestem?

– Zdecydowanie zbyt blisko obozu, z którego uciekłaś – odrzekła płaszczyka.

– Ale jak... – Słowa Ling przerwał nagły atak kaszlu, po którym trudno jej było złapać oddech.

– Zamknij usta, syreno, i posłuchaj. Słuchanie jest ważniejsze niż mówienie.

Ling usłuchała, a płaszczyka opowiadała dalej.

– Zeszłej nocy twój ojciec zawołał mnie przez ogrodzenie z morskich os. Błagał, abym podążyła za wozem i upewniła się, że jesteś bezpieczna. On, w odróżnieniu od ciebie, jest miły i dobrze wychowany. Kiedyś pomógł mojej córce, uwalniając ją od wędkarskiej żyłki, dlatego zgodziłam się spełnić jego prośbę. Widziałam, jak wypęzasz z wozu i upadasz na dno. Na szczęście nie widział tego strażnik. Ukrywałam cię przez noc, ale teraz musimy płynąć. Już prawie świta i niedługo wody będą jasne. Popłynę wzduż nurtu prosto w góry. Ty płyn tuż przede mną, aby nikt cię nie zauważył.

Płaszczyka uniosła się nieco, pozwalając Ling zrobić ruch. Syrena próbowała płynąć, ale nie była w stanie. Trzon jej ogona, czyli miejsce, w które ukąsiła ją morska osa, był teraz dwa razy grubszy niż zwykle. Syrena całkiem straciła czucie w płetwie ogonowej.

– Nie mogę poruszać ogonem – rzekła Ling, czując, jak narasta w niej panika. Gdyby płaszczka teraz odpłynęła, ona pozostałaby na widoku.

Poirytowana manta wystrzeliła strumieniem wody ze skrzeli.

– W takim razie chwyć się mnie – rzekła. – Zabiorę cię tak daleko, jak tylko zdołam.

Ling z największym trudem przytrzymała się skrzydeł płaszczki, która zaczęła płynąć z uwieszoną pod brzuchem Ling. Jedyne stworzenie o wzroku jastrzębia potrafiłoby dostrzec dłonie Ling, a pełniący służbę strażnik raczej się do takich nie zaliczał.

Płaszczka płynęła tak długo, że Ling wydawało się, iż podróż trwa wieczność. Zatrzymała się dopiero, gdy dotarły do pasma wyszczerbionych, pokrytych koralami gór.

– Tutaj cię zostawię – oznajmiła. – Jesteśmy już daleko od obozu, a pod nami znajduje się stara jaskinia węgorzy. Możesz się w niej schronić do czasu, aż ci się polepszy. Albo do czasu, aż umrzesz.

Ling wiedziała, że płaszczki nie słyną z subtelności. Syrena puściła skrzydła silnej, dostojnej ryby.

– Dziękuję – rzekła. – Uratowałaś mi życie.

Płaszczka popatrzyła na nią ze współczuciem, po czym odpłynęła.

– Bez jedzenia, pieniędzy, broni i z poważnym zatruciem jadem – odparła, oddalając się – nie wiem, czy na twoim miejscu bym dziękowała. Powodzenia, syreno. Będziesz go potrzebować.

## Rozdział 41

SERA MASOWAŁA SKRONIE, opierając łokcie na prowizorycznym stole stojącym w jaskini Czarnych Płetw. Przysadzisty syren imieniem Antonio, obozowy kucharz, unosił się w wodzie przed jej obliczem. Był wściekły.

– Gobliny wszczynają problemy. Znowu – skarżył się. – Nie smakuje im gulasz z płazińców. Podaję go trzeci dzień z rzędu. Nie mam wyboru. To wszystko, co mamy. Przy śniadaniu jeden z nich powiedział, że obetnie mi głowę i ją zje, jeśli jeszcze raz zaserwuję gulasz. Musisz coś z tym zrobić.

Sera przeklinała dzień, w którym zgodziła się na interesy z Meerteuflami. Dostawy ze Scaghaufen zawsze przychodziły opóźnione i były kiepskiej jakości.

– Wyślę zespoły myśliwych, Antonio – postanowiła syrena. – To zapewni goblinom rozrywkę, a jestem pewna, że uda im się upolować czasami jakiegoś kongera. Wtedy będziesz mógł ugotować inny obiad.

Antonio pokiwał głową i podziękował Serafinie. Kiedy się oddalił, Sera wysłuchiwała skomplikowanych problemów Yazeeda związanych ze szpitalem polowym, który postanowił wybudować. Następnie Neela poinformowała, że tego ranka przybyła nowa grupa cywili, uchodźców z Miromary, ale nie ma gdzie ich ulokować. Jakiś goblin przyszedł się poskarżyć, że w stołówce brakuje stołów.

Czarne Płetwy wylądowały w Kargjordzie przed dwoma tygodniami. Goblince wojownicy, których obiecał Guldemar, także. Wkrótce miało się rozpocząć ich szkolenie, które musiała nadzorować Sera. Dzieci, takie jak syrenka Coco oraz te nowe, które przyływały każdego dnia, potrzebowały szkoły. Wiele syren wymagało pomocy lekarskiej. Kolejnym problemem było nieustanne zapewnianie obozowiczom dachu nad głową oraz pożywienia.

Kierowanie tak dużym obozem okazało się karkołomne. Zanim Sera zdołała rozwiązać jeden problem, na jego miejsce pojawiało się dziesięć nowych. Syrena niewiele jadła i jeszcze mniej spała, za to często modliła się do bogów pływów, Trykla i Spume'a, prosząc ich o sprzymierzenie się z nią i o pomyślne prądy. Teraz się zastanawiała, czy jej prośby zostaną wysłuchane.

Kiedy próbowała wytłumaczyć goblinowi imieniem Garstig, że on i jego kompani mają ręce i mogliby sami zbudować kilka stołów, w wejściu jaskini pojawiła się nieznamiona syrena w towarzystwie jednego z wojowników Czarnych Płetw. Wyglądała na wycieńczoną. Jej ubranie było pokryte mułem. Przez ramię miała przerzuconą torbę posłańca. Jej włosy były krótkie i brązowe, a szare oczy rozbiegane i nieufne. Dłonie syreny, w których mocno trzymała pasek

torby, sprawiały wrażenie silnych i szorstkich.

– Skąd się tu wzięła? – zapytał żołnierza Yaz, a jego wzrok spoczął na torbie syreny. – Została przeszukana?

– Sprawdziłem jej torbę i przeszukałem ją samą. Nie ma broni. Mówi, że musi się zobaczyć z Serą i że to sprawa życia i śmierci – odparł syren.

– Mam coś dla niej – wtrąciła nieznajoma. – Z Miromary. Jestem Daniella, kuzynka Allegrey. To farmerka z okolic Cerulei.

– Opuścić jaskinię – poleciła Sera.

Yaz uniósł brew.

– Róbcie, co mówię.

Po minucie jedynymi osobami, które pozostały w jaskini, były Sera, Yazeed, Neela, Sophia i Daniella.

– Przysłał ją Mahdi – wyjaśniła Serafina pozostałym. – Jej kuzynka Allegra ma siatkę kontaktów w wodach pomiędzy Miromarą i Morzem Północnym. Każda z osób ma do przebycia z muszlą określony odcinek. Daniella jest kurierką na ostatnim etapie.

Daniella pokiwała głową.

– Moje gospodarstwo leży na południe od Scaghaufen – rzekła, wyciągając z torby muszlę, którą następnie podała Serafinie.

– Dziękuję. Wiele ryzykowałeś, płynąc tu, i jestem ci za to ogromnie wdzięczna. Proszę, odpocznij i posil się, zanim wrócisz do domu.

Daniella pokiwała głową i wypłynęła z jaskini.

Sera położyła muszlę na stole, po czym wykonała zakłęcie *amplo* umożliwiające wszystkim wysłuchanie zawartej w niej wiadomości.

Rozległ się głos syrena. Nie mówił do nikogo konkretnego, sam również się nie przedstawił. Imiona mogły być niebezpieczne. Ktoś mógłby przez nie zginąć. Słyszając ten głos, Serafina poczuła wielką ulgę. Oznaczało to, że Mahdi żyje, a przynajmniej żył w momencie nagrywania wiadomości. Jednak po chwili poczuła strach, ponieważ w jego głosie słychać było niepokój, a sama wiadomość nie była dobra.

– Moje podejrzenia się potwierdziły – oznajmił. – Vallerio planuje coś poważnego. Wysłał swoich jeźdźców śmierci po dwa talizmany: pierścień z rubinem Nyksa i złotą monetę Pyrrhy.

Żołnierze wyruszyli dzisiaj w kierunku Missisipi, a następny oddział wybiera się jutro na przylądek Horn. Mfeme będzie ich przewoził dwoma statkami. Natychmiast wyślij tam swoich informatorów. Przekażę ci kolejną wiadomość, gdy tylko dowiem się czegoś więcej. Trzymajcie się tam wszyscy.

Wiadomość skończyła się i słuchacze zamilkli. Wściekła Serafina podniosła się i zaczęła pływać po całej jaskini.

– Skąd mój wuj zawsze wie rzeczy, o których nie ma prawa wiedzieć? – spytała. – Nikt nie

zna miejsc, w których ukryto talizmany. Nikt prócz nas.

– Błąd: nikt prócz nas nie znał tych miejsc – poprawił Yaz.

– Dlaczego Vallerio zmierza do Missisipi i przylądka Horn? – spytała Neela. – Dlaczego nie do Wielkiej Głębi, gdzie znajduje się układanka Sycorax?

Dopiero Sophia wypowiedziała na głos okropną myśl, która gnębiła wszystkich.

– Może już ją ma.

Sera poczuła rezygnację, zastanawiając się nad tą możliwością. Jak mieli pokonać Abbadona bez wszystkich talizmanów? Do tego wyglądało na to, że Vallerio zbliża się do przechwycenia kolejnych dwóch. Według Mahdiego jego jeźdźcy śmierci wyruszyli przed czterema dniami.

– Musimy wykonać *convocę*. Natychmiast. Ava i Becca są w poważnym niebezpieczeństwie – rzekła, siadając.

– To zbyt ryzykowne – uznał Yaz. – Księżyc zachodzi. To miejsce nie sprzyja magii. Zaklęcia nie niosą się dobrze z powodu żelaza i skał. Ktoś mógłby nas podsłuchać.

– Nie mam wyboru, Yaz – odparła Sera. – Ava i Becca mogą płynąć prosto w zasadzkę.

Yaz odgarnął dłonią włosy

– No dobrze – skapitulował wreszcie. – Daj z siebie wszystko.

Sera, Yaz, Neela i Sophia chwycili się za ręce. Serafina odkryła, że jej *convoki* są silniejsze i pewniejsze, gdy wykonuje je w zamkniętym okręgu. Odśpiewała słowa pieśni.

*Wysyłam głos swój,  
Niech zmierzy wody,  
Córki Moruadh  
Przyzwie do zgody.  
Myśli i serca  
Nasze związane,  
Nerio, niech będą  
Wnet usłyszane.*

Nie wydarzyło się jednak nic.

– No dalej, Ava – wyszeptła Sera. – Becca, gdzie jesteś?

Wykonała pieśń ponownie, ale nadal nie była w stanie dotrzeć do przyjaciółek. Dopiero za trzecią próbą uzyskała urywany obraz.

– Becca! – zawołała.

– Sera, Neela? Czy to wy? – spytała jak przez mgłę Becca. Została obudzona ze snu.

– Tak! – ucieszyła się Sera. – Zaczekaj... Próbuję złapać Avę...

Za piątą próbą odniosła sukces. Sera niezwykle się uradowała, słysząc głos Avy, jednak jej

radość szybko zmieniła się w smutek, gdy zauważyła, jak mizernie wygląda przyjaciółka.

– Ava, gdzie jesteś? Jest przy tobie Maleństwo?

– Jest tutaj, *querida* – odparła Ava.

– To dobrze. – Sera poczuła ulgę. Złośliwa pirania zawsze zaciekle broniła swojej pani.

– Jestem... przy... – Głos zaczął zanikać. Po chwili nieobecności Ava powróciła.

– Posłuchajcie, mam mało czasu. Właśnie otrzymałam złe wieści. Vallerio dowiedział się, gdzie jest pierścień Nyksa i moneta Pyrrhy. Wysłał tam swoje wojska.

– Jak to? W jaki sposób się dowiedział? – zdziwiła się Becca.

– Nie mam pojęcia – odrzekła Sera. – Wiem natomiast, że jeźdźcy śmierci kilka dni temu opuścili Ceruleę. Są na pokładach statków Rafe Mfemego, co oznacza, że poruszają się szybko.

– Jak długo zajmie im podróż do przylądka Horn? – spytała Becca.

Sera popatrzyła na Yaza.

– Nie więcej niż pięć dni – obliczył.

– Mogę być szybsza – uznała Becca.

– Becca, a jeśli się mylisz? Jeśli cię złapią?

– Dam radę, Sera. Ja...

Becca na chwilę zniknęła, po czym ponownie wróciła do rozmowy.

– Uważaj na siebie, proszę – prosiła Sera.

– Będę... niedługo... dobrze? Wyłączam się.

Wtedy zniknęła na dobre. Podobnie jak obraz Avy.

– Ava, gdzie jesteś? – powtórzyła pytanie Sera.

– Przy ujściu Missisipi. Został mi jeszcze kawał drogi do bagna Okwa Naholo.

– Niedobrze – rzekł Yaz. – Według moich obliczeń jeźdźcy śmierci powinni być na miejscu za jakieś sześć dni, może pięć, jeśli się pospieszą. Zabierz ją stamtąd, Sero.

– Ava, słyszałaś Yazeeda? – zawołała Sera. Obraz Avy zaczął zanikać.

– Nie! Co powiedział?

– Powiedział, że musisz się stamtąd wynosić! – krzyknęła Serafina.

Ava prychnęła.

– I pozwolić, by Traho zdobył pierścień z rubinem? Nie ma mowy, *gatinha*. Na moim palcu będzie się prezentował znacznie lepiej!

– Ava, to zbyt ryzykowne!

– Ile dni mi zostało?

– Sześć, ale potrzebujesz też trochę czasu na powrót z bagien.

Ava pokręciła głową.

– Szesnaście? Więc dlaczego się martwicie? To mnóstwo czasu!

– Nie szesnaście, tylko sześć! – wrzeszczała gorączkowo Sera.

– Tracę cię, mina... Nie martw się... dam radę...

*Convoca* się skończyła. Ava zniknęła.

– Na bogów – rzekła Sera łamiącym się głosem. – Już po niej.

Syrena milczała dłuższą chwilę, próbując opanować emocje. Zastanawiała się w myślach nad pytaniem, które zadała wcześniej.

– Jak Vallerio mógł się o tym wszystkim dowiedzieć? No jak? Ze wszystkich osób przebywających w tym obozie tylko my znamy miejsce położenia talizmanów. Celowo tak to zorganizowałam.

– Może ktoś rzucił na nas zaklęcie *ochi*? – zasugerował Yaz.

Sera pokręciła głową.

– Niemożliwe. Codziennie przeszukujemy jaskinie w poszukiwaniu gandaca.

– Według Mahdiego w okolicach pałacu widziano Baco Gogę – przypomniał Yaz. – Sama mówiłaś.

– Tak, ale nie widziano go tutaj.

– Mógł przekabacić kogoś z obozowiska. Ten ktoś mógł nas podsłuchać i przekazać informacje Baco.

Na samą myśl o szpiegu w ich szeregach Sera dostała dreszczy.

Yaz to zauważył.

– Gdzie twoja marynarka? – spytał.

– Nie mam pojęcia. Szukałam jej przez kilka dni – odpowiedziała Sera nieobecnym głosem.

Syreny otrzymały nowe marynarki, po tym jak ich stare posłużyły za bandaż na ogon Serafiny, ale dziwnym trafem Sera zdążyła już swoją zgubić. Teraz Sophia rozpięła własną marynarkę i wręczyła ją Serze.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Weź – nie ustępowała Sophia. – Nie trzeba, żebyś nam się rozchorowała.

– Dzięki – odparła Sera, zakładając ubranie przyjaciółki. – Nie wiem, skąd Vallerio czerpie informacje, ale nie możemy mu pozwolić, by dopadł Avę i Beccę.

– Jak mamy go powstrzymać? – wtrąciła Neela.

Sera wpadła na pewien pomysł.

– Mamy teraz wojsko, więc może je wykorzystamy – zaproponowała. – Nie mamy wprawdzie wielkiego kutra, ale zawsze możemy sobie pomóc zaklęciami *velo*. Poza tym możemy poprosić o pomoc wieloryby. W każdej bitwie między goblinami a jeźdźcami śmierci chętnie wspomogę tych pierwszych.

– To naprawdę ryzykowne, zdajesz sobie z tego sprawę? – stwierdził Yaz.

Sera roześmiała się niepewnie.

– A co tu nie jest ryzykowne? I ja, i ty, i cały ten obóz to jedno wielkie ryzyko. Już się przyzwyczaiałam, że jest ono nieustannym elementem każdego działania. Musimy chronić Awę i Beccę – skwitowała.

Podczas gdy Neela i Sophia zastanawiały się, ilu goblinów należałoby wysłać do Missisipi oraz na przylądek Horn, Yaz studiował mapy, szukając najszybszych tras.

Sera udała się do jaskini z bronią. Żołnierze potrzebowali kusz i strzał, więc chciała sprawdzić, jaką ilość posiadają.

Płynąc, martwiła się losem przyjaciółek, ale otuchy dodawały jej własne plany. Wtedy spojrzała prawdzie w oczy. Nie było sensu czekać, aż Trykel i Spume jej pomogą. Jeśli naprawdę chciała odmienić niepomyślny bieg wydarzeń, musiała dokonać tego osobiście.



## Rozdział 42

**K**OCHASZ JĄ, PRAWDA? – zapytał Des Astrid, mrużąc oczy ze śmiechu.

Astrid roześmiała się, spoglądając na Elskan, która uganiała się za ławicą śledzi.

– Chyba tak. Jeżeli da się kochać upartą, zadziorną i nieposłuszną bestię.

– Myślę, że właśnie za to ją kochasz. Jest silna, ma mocny charakter i robi to, na co sama ma ochotę. – Mówiąc to, posłał syrenie wymowne spojrzenie. – I kogoś mi w tym przypomina.

Astrid przewróciła oczami. Podróżowała wraz z Desem już od trzech dni i nawiązała się między nimi swobodna relacja, pełna żartobliwych, uszczypliwych uwag.

A mieli o czym żartować. Omal nie spadli z grzbietu Elskan, kiedy orka wystrzeliła ze stajni Luda. Od tamtego czasu kilkakrotnie lądowali na ogonie. Poza tym Elskan ugryzła oboje mnóstwo razy. Za sprawą orki Des stracił też kilka łusek na grzbiecie.

Desiderio nie był tylko żartownisiem. Kiedy zaszła potrzeba, wykazywał się trzeźwym umysłem i powagą. Poza tym był też zdolnym żołnierzem. Wiedział, jak znaleźć pożywienie albo zastawić pułapkę, jak zatrzeć ślady obozowiska czy jak błyskawicznie rzucić zakłęcie *camo*. Wiedział, kiedy zbliżała się ławica dorszy i wąłuszy i zawsze pilnował, by w takim wypadku zejść z orki i pozwolić jej samej upolować obiad.

Syren był również wrażliwy. Miał tyle wycucia, że wiedział, kiedy powinien dać syrenie trochę intymności do opłakiwania ojca. Podobne zrozumienie okazywała mu Astrid. Kiedy przestawał być rozmowny, pozwalała mu na chwilę prywatności, zakładając, że przypomina sobie rodziców.

Najtrudniejsze były noce. Wtedy wspomnienia i emocje atakowały ze zdwojoną siłą. Syrena i syren uwalniali Elskan z upręży i pozwalali jej polować, a po powrocie masowali ją. Następnie rozbijali obóz, jedli posiłek i szli spać.

Tyle że Astrid przeważnie nie mogła spać. Siadała i obserwowała ryby podpływające do powierzchni morza na żer, pozwalała małemu błękitnemu krabowi pospacerować po ręce lub podziwiała parzydełka dryfującej nieopodal gigantycznej meduzy, ale cały czas rozmyślała o Kolfinnie i o tym, jak został zamordowany przez Rylkę. Wtedy jej serce pękało ze smutku i płonęło gniewem.

Podziwiała Desa, do którego przestała się już zwracać pełnym imieniem. Szanowała go i modliła się do bogów, by mogła zdradzić mu swój sekret. Nie było jej łatwo nieustannie go ukrywać. Ciągle musiała wymyślać jakieś wymówki, dlaczego nie może rzucić *illuminaty* czy *camo*, kiedy zaszła taka potrzeba.

Bała się jednak odkryć przed nim prawdę. Wiedziała, że prędzej czy później nadejdzie dzień, w którym będzie musiała wyznać tę tajemnicę przed nim, Serą, Neelą i całą resztą. Drżała na samą myśl o tym. A jeśli Kolfinn się nie mylił? A jeśli nikt nie potrzebuje syreny nieznającej magii?

– Elskan jest dzisiejszej nocy głodna – rzekł Des, wrywając Astrid z zamyślenia.

– Ja też – przyznała Astrid. – Zostało nam tylko kilka kłoci jaj kałamarnicy. Mam nadzieję, że znajdziemy tu coś smacznego.

Jakieś pół godziny wcześniej trafili na duży złamany na pół metalowy kontener leżący na dnie morza. Ze środka wysypała się kolorowa, ale niestety niejadalna zawartość. Postanowili, że spędzą w kontenerze noc. Takie zatopione kontenery nie były rzadkością. Wzburzone morze czasami strącało je z pokładów statków towarowych.

Następnego dnia rano mieli kontynuować podróż do Kargjordu, z jednym przystankiem po drodze, u Qanikkaaq. Sera poprosiła Astrid, by ta zdobyła dla niej czarną perłę, pod warunkiem, że Vallerio i Mfeme jej w tym nie uprzedzą. Astrid wtedy odmówiła. Jednak stało się to przed morderstwem Kolfinna. Zanim Astrid stała się wyrzutkiem. Zanim poznała Desa. Zanim postanowiła płynąć ścieżką wyznaczoną jej przez Vråję.

Bez czarnej perły nie dałoby się pokonać Abbadona. Astrid już wiedziała, że jedynym sposobem na ocalenie Ondaliny było zabicie potwora i pokonanie tych, którzy próbują go uwolnić. Kiedy powiedziała Desowi, co zamierza, ten błyskawicznie zaoferował swoją pomoc.

– Wydaje mi się, że jakiś czas temu widziałem coś, co przypomina sad z wodnymi jabłkami. Tuż przed tym, jak zatrzymaliśmy się, by rozkulbaczyć Elskan – rzekł teraz. – Masz ochotę sprawdzić, czy się nie pomyliłem?

Astrid pokiwała głową. Ruszyła za syrenem, ale po chwili zatrzymała się i skrzywiła w grymasie.

– Co się stało?

– Nie wiem. Słyszysz coś?

Des nasłuchiwał, w końcu pokręcił głową.

– A ty?

– Brzmi jak jakiś głos.

Dłoń Desa powędrowała do rękojeści miecza. Syren obrócił się ostrożnie wokół własnej osi.

– Nikogo nie widzę – rzekł.

– Ja też nie – powiedziała Astrid, ale znów usłyszała głos. – Wydaje mi się, że to w mojej głowie.

– Może *convoca*?

– Tak sądzę. Już raz mi się to przydarzyło, kiedy byłem z Beccą. Bałam się, że tracę zmysły, ale okazało się, że wołała mnie twoja siostra. Możliwe, że właśnie ją teraz słyszę.

– Gdzie byłaś, kiedy to się stało po raz ostatni?

– W Atlantyce.

– Nie, mam na myśli jakieś miejsce, które wzmacnia magię. Powierzchnia morza? Światło księżyca? Cmentarzysko wielorybów?

Astrid pstryknęła palcami.

– Tak jest! Byłam na cmentarzu wielorybów!

– Może w pobliżu jakiś znajdziemy – rzekł Des, rozglądając się. – Na razie zapomnij o sadzie z jabłkami. – Po chwili syren wskazał wzgórze przed nimi. – Sprawdźmy, co jest po drugiej stronie.

– Zaczekaj sekundę – poprosiła Astrid. – Skoro mowa o wielorybach... A gdzie się podziała Elskan?

Des wskazał palcem w górę. Orka wynurzała się z morza. Kiedy wpadła do wody i zanurkowała ponownie, Astrid przyłożyła dłonie do ust i zawołała:

– Elskan! ELSKAN!

Orka zatoczyła się niczym wielka czarno-biała beczka. Płynąc z brzuchem zwróconym do powierzchni, popatrzyła w dół na syrenę.

– Nie. Odpływaj. Daleko!

Elskan prychnęła, wyprostowała się, machnęła ogonem i odpłynęła szybko jak błyskawica.

– Niewiarygodne – rzekła Astrid, kręcąc głową.

– Wróci – rzekł Des.

Następnie popłynęli w kierunku nierównej podwodnej góry, wspięli się na sam szczyt i zanurkowali na drugą stronę.

– Popatrz. – Des wskazał palcem na prawo. – Tam!

– Dobre masz oko – przyznała Astrid. Około pięćdziesięciu metrów od nich leżało ciało wielkiego humbaka, które obgryzali padlinożercy w postaci ryb, krabów i robaków.

Astrid i Des popędzili w kierunku cmentarzyska, ale gdy się zbliżyli, Astrid zdała sobie sprawę, że przy trupie czai się coś jeszcze. Coś bladego i upiornego.

Poczuła ukłucie w sercu. Chwyciła Desa za rękę i zatrzymała go.

– Dlaczego się... – zaczął pytanie.

Astrid tylko pokręciła głową. Przyłożyła palec do ust i spróbowała wycofać się po cichu, ciągnąc syrena za sobą. Było jednak za późno.

Stworzenie podniosło wzrok. Jego białe oczy skupiły się na nich. Za pomocą długich, zakończonych pazurami łap wspięło się na gnijącego humbaka i zbliżyło ku nim. Za potworem ciągnęły się zniszczone liny z wodorostów splątane z ciałami martwych syren i terragów.

– Co, u licha... – jęknął Des.

– To Lododuch – oznajmiła Astrid, wyciągając z pochwy miecz. – Przygotuj się do walki.

## Rozdział 43

**Z**JAWA PRZYSUNĘŁA SIĘ bliżej. Jej siwe włosy unosiły się bezładnie wokół głowy. Białe usta zmarszczyły się w dzikim uśmiechu, ukazując nierówne zęby, ostre jak odłamki szkła.

– Nie pozwól, żeby się do ciebie zbliżył, Des!

– Nie ma obawy! – zawołał Des, machając przed sobą mieczem.

– Dusi swoje ofiary, a później ciągnie je za sobą, dopóki nie zgniją. Żywi się ich kośćmi.

– Astrid, naprawdę mnie to nie obchodzi! Powiedz tylko, jak mam to coś zabić! – krzyczał Des. Oczy miał wielkie jak spodki.

– Nie da się go zabić. Jest duchem – odpowiedziała krzykiem Astrid.

– Świetnie! To co mam robić?

– Odwróć jego uwagę, a ty odetniesz wodorosty. Udawaj, że chcesz ukraść jego łup.

Des spojrział na martwego terragoga ubranego w strój płetwonurka.

– Fuj! Naprawdę?

– Będzie próbował poprawić węzły. Wtedy uciekniemy.

Astrid zbliżyła się do Lododucha, który przyczał się, gotów na nią skoczyć.

„Astrid...”.

To nie był Des, to głos kogoś innego. Głos w głowie Astrid. Był teraz silniejszy dzięki obecności kości wieloryba.

– Chyba sobie żartujesz – rzekła syrena.

„Astrid, to ja...”.

– Tak, wiem. Nie teraz, Sero. Jestem zajęta!

– Co mówiłaś? – krzyknął Des, który właśnie zbliżał się do Lododucha.

– Nic! Przecinaj liny!

Szybka i inteligentna zjawa obróciła się i zaatakowała Desa. Celowo pozwoliła mu podejść tak blisko siebie, aby uniemożliwić mu ucieczkę.

– Hej! HEJ! – krzyczała Astrid. Syrena rzuciła się na stwora i zaczęła uderzać go mieczem. Ostrze przeszło przez niego, ale duch musiał coś poczuć, gdyż odwrócił się i zaatakował ją, stękając.

– Liny, Des! Przetnij liny! – poleciała.

– Nie mogę! Chyba są zaczarowane!

„Astrid... Jesteś tam?”.

– Nie teraz, Sero – wycedziła przez zaciśnięte zęby syrena.

Lododuch znów się odwrócił i ponownie ruszył w kierunku Desa. Astrid dojrzała szansę i przeszła do ataku, ale i tym razem stworzyciel tylko udawał dezorientację. Odwrócił się nagle, chwycił rękojeść jej miecza i wyrwał jej go. Następnie cisnął w nią ostrzem, chybiając o włos.

Astrid próbowała odpłynąć, ale zjawa przyparła ją do skały. Syrena nie miała dokąd uciekać.

Lododuch uniósł miecz ponad głowę, szykując się do ostatecznego ciosu, ale zanim zdołał go wykonać, w wodzie zawiroowało coś czarno-białego. Po chwili w ducha uderzyła Elskan, wytrącając mu miecz z dłoni.

Duch zaskrzeczał i się obrócił. Tym razem zaatakował orkę. Długimi szponami rozciął jej skórę. Elskan zawyła z bólu, wykonała piruet i przystąpiła do kontrataku.

– Elskan, liny! – zawołała Astrid.

W ostatniej chwili orka zrobiła unik i zajęła się wodorostami. Otworzyła szeroko paszczę i ugryzła grube liny, przecinając je na pół. Zakłęcie Lododucha nie miało szans w starciu z siłą orki i jej zabójczo ostrych zębów.

Des płynął tuż za Elskan. Chwycił końce lin przywiązanych do skarbu potwora, skreślił je razem i zagwizdał na orkę. Ta odwróciła się i przyspieszyła.

Lododuch, nieświadomy, że został odcięty od swojego łupu, znów próbował zbliżyć się do Astrid.

– Ruszaj, Elskan! Tak szybko, jak tylko potrafisz! Wyrzuć to i wracaj! – wydał komendę Des.

Duch rzucił się na Astrid, gotów skoczyć jej do gardła, ale Elskan pociągnęła za liny, grzechocząc wplątany w nie kośćmi. Następnie odpłynęła jak błyskawica.

Lododuch, wrzeszcząc z wściekłości, ruszył za nią w pogoń. Był szybki, ale nie mógł się równać z orką.

– Już go nie ma? – zwróciła się do Desa Astrid, głośno dysząc.

„ASTRID!”.

Astrid się wykrzywiła i zasłoniła uszy dłońmi.

– Czy ty zawsze musisz być taki głośny?

Desiderio zamrugał powiekami.

– Ja nic nie mówiłem.

– Nie ty..

„Co się dzieje? Nic ci nie jest?” – spytała nerwowo Sera.

– Właśnie stoczyliśmy walkę z Lododuchem – odparła Astrid.

– Tak, wiem, sam tam byłem – odrzekł Des.

„Nic ci nie jest? Jesteś sama?”.

– Hmm, nie za bardzo się znam na *convocach* – rzekła Astrid w nadziei, że Sera nie poprosi

jej o wykonanie pieśni. – Da się w jakiś sposób włączyć do rozmowy kogoś w pobliżu? – Mówiąc to, popatrzyła na Desa.

„Weź ją za rękę. Czasem to działa” – poradziła Sera.

– To nie ona, to on.

Syrena podała rękę Desowi. Rzucił jej pytające spojrzenie, ale nie protestował. Kiedy jej dotknął, poczuła wypełniające ją ciepło.

Uznała, że to efekt *convoki*, i zamknęła oczy. Des zrobił to samo i natychmiast zobaczyli siebie w zakłęciu. Siebie... oraz Serafinę.

– Des! – zawołała Sera i zakryła dłońmi usta. Neela i Yaz zamigotali i zniknęli, więc syrena błyskawicznie chwyciła ich ponownie.

– Cześć, siostrzyczko! To naprawdę ty? – przywitał się Des. Próbował zachować spokój, ale Astrid słyszała w jego głosie silne emocje.

Sera próbowała odpowiedzieć, ale nie potrafiła powstrzymać łez. Kiedy już się opanowała, rzekła:

– Tak bardzo się martwiłam.

– Astrid pomogła mi uciec z lochów pod cytadelą. Uratowała mi życie.

– Dziękuję, Astrid – wydukała Sera. – Bardzo ci dziękuję.

– Teraz jej życie jest w niebezpieczeństwie – dodał Desiderio. – Nie może wrócić do domu. Rylka chce ją zabić.

– To cudownie! – odrzekła Sera.

– Jak to? – skrzywiła się Astrid.

– Skoro nie możesz zostać w Ondalinie, musicie przyplłynąć tutaj. Dołącz do nas, Astrid – poprosiła Sera.

– Tak się składa, że jesteśmy już w drodze. – Astrid ucieszyła się, że Serafinie nadal na niej zależy. – Razem z Desem.

– Miło to słyszeć! – uradowała się Sera. – Gdzie jesteście? Kiedy przybędziecie?

– Jesteśmy w Morzu Grenlandzkim. Powinniśmy dotrzeć do was w ciągu czterech dni. Najpierw płyniemy do Qanikkaaq.

Uśmiech Serafiny zniknął.

– Nie! Nie róbcie tego! Płynicie prosto do Karg – namawiała.

Astrid zmrużyła oczy.

– Czy ja dobrze słyszę? – spytała. – Tydzień temu podczas rozmowy prosiłaś mnie, żebym udała się do Qanikkaaq!

– A teraz proszę cię, żebyś tego nie robiła. Vallerio posłał swoich ludzi do Missisipi i przylądka Horn. Właśnie dlatego cię przyzwałam. Na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie co do tej misji. Obawiam się, że do Qanikkaaq też zostali wysłani jeźdźcy. Ty i Des moglibyście zostać

schwytni.

– Też mi nowość – prychnęła Astrid.

– Nic nam nie będzie – zapewnił siostrę Des. – Będziemy unikać żołnierzy Valleria. Astrid opowiedziała mi o talizmanach i reszcie. Zbliżamy się do Qanikkaaq. Druga taka szansa może się już nie powtórzyć.

Sera niechętnie pokiwała głową.

– Uważajcie na siebie, proszę. Astrid, wiem, jak świetnie władasz mieczem, ale wykorzystaj także magię, dobrze? Będziecie potrzebować wszystkiego, co macie w zanadru.

Astrid popatrzyła w bok. Wewnętrzny głos kazał jej wyznać tajemnicę. Wyznać ją teraz, zanim da się zabić. Siebie i Desa.

Jednak syrena nie zdołała się do tego zmusić. Za bardzo się bała. Nawet gdyby zdołała, było już za późno. *Convoca* dobiegła końca. Sera zniknęła. Astrid puściła rękę Desa.

– Sera ma rację – rzekł w zamyśleniu syren. – W Qanikkaaq będziemy potrzebowali całej magii, jaką zdołamy z siebie wykrzesać. To największy i najgorszy wir we wszystkich wodach świata. Jak u ciebie z zaklęciami *stilo*? Potrafisz je rzucać?

– Muszę odnaleźć Elskan – zmieniła temat Astrid.

– Popłynę z tobą.

– Nie trzeba. Poradzę sobie.

Des zdziwił się jej nagłą oschłością.

– Astrid, o co chodzi?

– O nic. Wszystko gra.

– Tak, pewnie. Gra i buczy. – Des obrzucił ją niepewnym spojrzeniem, ale po chwili złagodniał. – Martwisz się wirem? O to chodzi? Nie pozwolę ci zająć się tym samej. Pomogę ci. To nasz wspólny obowiązek.

Astrid nie mogła spojrzeć mu w oczy.

– Pewnie, Des – rzekła. – Dzięki.

Des pokiwał głową, po czym wyruszył na poszukiwania Elskan.

Nie dostrzegł smutku w oczach Astrid ani nie usłyszał, jak mruknęła pod nosem:

– Tak, Des, wspólny. Dopóki nie poznasz prawdy.

## Rozdział 44

**A**STRID KOLFINNSDOTTIR...

– Mmmpff... – chrapnęła Astrid, przekręcając się we śnie.

– Pobudka.

– Zostaw mnie... zmęczona...

– Czas ucieka.

Astrid podniosła się nagle, zbudzona kolejną *convocą*.

– Wrrr! Nie znasz granic, Sero? Jest chyba trzecia nad ranem! Czego chcesz?

Sera jej nie odpowiedziała.

Astrid rozejrzała się niepewnie po metalowym kontenerze. Był pełen ludzkich mebli, ubrań i świecidełek. Astrid i Des znaleźli też w środku materace. Desiderio spał twardo na swoim, a na zewnątrz Elskan z zadowoleniem przeżuwała mięso foki.

Za plecami Astrid coś się poruszyło. Ujrzała ruch kątem oka. W ułamku sekundy wyskoczyła z łóżka i wyjęła zatknięty za pas sztylet.

– Nie ma powodu do obaw – odezwał się głos. – Nie mam złych zamiarów.

Na samym końcu kontenera świeciło srebrzyste światło. Kiedy Astrid i Des kładli się spać, jeszcze go tam nie było.

Teraz syrena podpłynęła do źródła światła ze sztylitem w dłoni. Zbliżając się, zdała sobie sprawę, że światło pochodzi z długiego i szerokiego lustra, częściowo ukrytego za sofą.

W zwierciadle stał mężczyzna. Był ubrany w czarny strój i ciemne okulary. Ten człowiek już raz do niej przemówił – w opuszczonym domu w napadniętej wiosce.

– Czego chcesz? – spytała syrena.

– Ciebie.

– Kim jesteś?

Mężczyzna odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Dokąd się wybierasz, Astrid? Do przyjaciółek? – mówił drwiącym tonem. – Naprawdę sądzisz, że z nimi będzie inaczej? Co masz im do zaoferowania? I, co ważniejsze, co one mogą zaoferować tobie? Ja natomiast mogę dać ci bardzo wiele, dziecko. Gdybyś tylko mnie wpuściła...

Mężczyzna zbliżył się do szkła i przycisnął do niego dłoń.

Astrid wycofała się w obawie, że nieznajomy ma zamiar wyjść do niej z Vadus, krainy luster.



Jednak ten został po drugiej stronie w całkowitym bezruchu, uśmiechając się delikatnie.

Astrid powoli ruszyła w jego stronę. Sama nie wiedziała dlaczego.

– Krew ma wielką siłę, dziecko. Większą niż morskie pływy. Głębszą niż ocean.

Astrid uniosła rękę i dotknęła szkła, tak że ich dłonie się spotkały. W tej chwili poczuła uderzenie, jakby przeszedł przez nią prąd. Ujrzała zmienioną siebie. Nie zmęczoną i pobrudzoną mułem, ale ubraną w czarną szatę z morskiego jedwabiu, z błyszczącą perłową koroną. Jej bujne blond włosy opadały na ramiona.

Wykonywała pieśń magii śpiewu.

Śpiewała.

Palce mężczyzny splotły się z jej palcami. Jego uścisk był silny i chłodny.

– Czekałem na ciebie. Od stuleci.

– Nie – odparła Astrid. – Nie.

Odruchowo odsunęła rękę, jakby się oparzyła. Bała się samej siebie. Ten obraz podczas wykonywania pieśni... Tak bardzo tego pragnęła, że omal nie zanurkowała do królestwa luster w towarzystwie mężczyzny, którego nawet nie знаła.

– Kim jesteś? – ponowiła pytanie.

– Krew zna odpowiedź. Krew woła.

Nieznajomy uśmiechnął się i kłaniając się lekko, odwrócił się i wszedł w głąb srebrnego świata, krocząc długim korytarzem pełnym luster.

Astrid odprowadziła go wzrokiem, aż zniknął.

– To nie może być prawda – rzekła na głos. – To tylko sen.

Syrena wpatrywała się w lustro, aż Vadus zniknęło. Widziała już tylko swoje odbicie, lodowato błękitne oczy, blond warkocze, ostre rysy nosa i ust.

– To był tylko sen – powtórzyła.

Następnie położyła się na materacu, wbiła wzrok w ciemność i z całych sił próbowała w to uwierzyć.

## Rozdział 45

*Żegnajcie, o piękne hiszpańskie damy,  
Żegnajcie damy Hiszpanii.  
Mamy rozkazy,  
By podnieść żagle i wrócić do starej Anglii...*

Becca ukrywała się w gęstwinie wodorostów i przyglądała się martwym żeglarzom zebranych wokół wraku Achillesa. Odłożyła swoją podróżną walizkę, a srebrzysty dorsz o smutnej twarzy zaczął krążyć wokół niej.

– Muszą ich tu być setki – wyszeptała. Duchy miały na sobie stroje odpowiednie do epoki, z której pochodziły, i śpiewały starą żeglarską balladę. Oświetlały je miedziane lampiony pełne księżycowych meduz.

Niektórzy marynarze nosili skórzane kamizelki wiązane z przodu, inni białe tuniki o prostych kołnierzach. Były też marynarki, żółte płaszcze przeciwdeszczowe i gumowce. Wielu miało złoty kolczyk w lewym uchu, stanowiący order upamiętniający fakt, że ich właściciel opłynął Horn od strony zachodniej.

Wszyscy żeglarze byli duchami z rozbitych statków. Na śmierć zesłał ich Williwaw, wietrzny duch zamieszkujący jaskinię w pobliżu przylądka. To on powodował gwałtowne sztormy, które niszczyły ich statki. Jednak duchy nie miały nic do zarzucenia tej zjawie, a nawet służyły jej, strzegąc podwodnego wejścia do jej domu. Dobrze znały zagrożenia związane z żeglarskim fachem i nie bardzo podobała im się alternatywa ich wodnego grobu w postaci trumny zakopanej w zimnej, ciemnej ziemi.

Po śmierci żeglarze robili mniej więcej to samo co za życia. Opowiadali sobie historie o przepłyniętych morzach i statkach, do których pałali miłością. Grali w karty i w kości. Bili się i śmiali. Grali na akordeonach i skrzypcach. Tańczyli tradycyjny irlandzki hornpipe. Duchy były wesołe, głośne i śmiertelnie niebezpieczne dla każdej syreny, która się do nich zbliżyła.

Becca słyszała w okolicznej wiosce wiele ostrzeżeń z ust właściciela pijalni bąbelkowej herbaty, by trzymać się od nich oraz od Williwawa z daleka.

– Williwaw jest śmiertelnie niebezpieczny – rzekł syren, po tym jak Becca zapytała o drogę do jego jaskini. – Jest niczym ogromny drapieżny ptak. Wściekle broni swojego terytorium. Większość czasu spędza na budowaniu gniazda. Dlatego zatapia statki, a ich takielunek i deski gromadzi w swojej jaskini. Niewielu udało się do niego zbliżyć. Jeśli nie zginiesz z jego ręki, zabiją cię jego duchy z rozbitych okrętów. Najlepiej w ogóle porzuć ten nierozważny pomysł.

– Rozumiem – odparła Becca. – Ale kapitulacja nie wchodzi w grę. Williwaw ma coś, czego potrzebuję.

Kiedy syren uznał, że w żaden sposób nie zdoła jej odwieść od planu, zamilkł.

– Stwór zamieszkuje jaskinię w skale nieopodal przylądka. Połowa jaskini znajduje się pod powierzchnią, a górna część jest sucha. Wejść i wyjść można przez otwór ponad linią wody. Gniazdo potwora mieści się na szerokiej półce skalnej.

Becca poczuła wielki zawód.

– Nie potrafię latać – rzekła. – Nie ma innej drogi do wnętrza jaskini?

– Jest, ale tylko dla najdzielniejszych z syren. Prowadzi przez Achillesa.

– Co to takiego i jak mogę się tam dostać? – dopytywała się rozentuzjasmowana syrena.

– To brygantyna zatopiona w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Kapitan statku nazywał się Maffeo Aermore – ciągnął syren. – Historie na jego temat opowiada się do dziś. Syreny, które widziały, jak jego statek tonął, mówiły, że postradał zmysły, ponieważ kierował statek wprost na skałę, na której znajdowała się jaskinia Williwawa. Zjawa ujrzała nadciągający statek i zatopiła go. Załoga zginęła, choć niektórzy twierdzą, że kapitan uszedł z życiem. Moim zdaniem to wątpliwe.

– Dlaczego kapitan miałby obierać kurs na skały? – spytała zciekawiona Becca.

– Zapytaj jego załogę. Będziesz obok niej przepływać – zażartował syren.

– Co mam zrobić, kiedy dotrę do Achillesa?

– Musisz przepłynąć przez cały wrak, a później wpłynąć w szczelinę u podnóża skały. Ona doprowadzi cię do jaskini – wyjaśnił nieznajomy. – Bardzo niewielu tego dokonało. Wszyscy rzucali perły niewidzialności, aby ominąć duchy. To jedyny sposób. Ale i tak nie gwarantuje powodzenia. Nawet gdy jesteś niewidzialna, wzbudzasz w wodzie drgania, które duchy potrafią wyczuć. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Powodzenia.

Sprzedawca herbaty wskazał Becce drogę, a syrena bez trudu odnalazła wrak Achillesa.

Teraz wychyliła się z gęstwiny wodorostów i ujrzała wejście do wraku, które prowadziło przez dziurę w kadłubie o nierównych krawędziach.

– Pierwsze, co muszę zrobić, to przemknąć obok duchów – wyszeptwała.

Wzdrygnęła się na samą myśl, co będzie, jeśli jej się to nie uda. Duchy były w stosunku do siebie przyjazne, ale gdy wyczuły w pobliżu duszę człowieka lub syreny, momentalnie dziczały. Brakowało im pulsującej w żyłach krwi i bicia dzielnych serc. Becca wiedziała, że gdyby ją dopadły, wyssałyby z niej życie w ciągu paru chwil.

Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Jak zwykle Becca ułożyła plan.

## Rozdział 46

**W**SZYSTKIE KAŁAMARNICE. TERAZ – rzekł stanowczo dorsz.

– Nie. Już ci tłumaczyłam, na czym polega układ – nie ustępowała Becca. – Połowa teraz, połowa po wyjściu.

Dorsz z uporem pokręcił głową.

– No dobrze, w takim razie nie będzie kałamarnic. W ogóle. To ci się podoba? – rzuciła prowokacyjnie syrena.

Ryba się rozzłościła i wystawiła dolną szczękę.

Becca otworzyła walizkę i wyjęła z niej dwie torby świeżych kałamarnic, które zakupiła w wiosce. Wrzuciła jedną do ust i połknęła.

– Mmm, pyszne – rzekła, rozkoszując się smakiem. – Słodkie i chrupkie.

– Dobrze, syreno – poddał się dorsz. – Połowa teraz, połowa po wszystkim. Przestań wyjadać moje kałamarnice.

Becca spotkała tę dużą rybę po opuszczeniu wioski i wtedy wpadła na pewien pomysł. Sprzedawca herbaty powiedział, że powinna stać się niewidzialna, choć nawet wtedy duchy wyczują drgania w wodzie. Wielki dorsz mógł te drgania zagłuszyć. Gdyby wpłynęli do wraku razem, duchy mogłyby uznać, że źródłem ruchu jest tylko ryba.

Becca знаła upodobanie dorszy do kałamarnic, więc szybko wróciła do wioski i kupiła większą ilość przysmaku. Następnie udało jej się przekonać rybę do swojej oferty i wspólnie udali się na pokład wraku.

Nie spuszczać wzroku z brygantyny, Becca podała dorszowi pierwszy worek kałamarnic.

– Tak, wezmę go sobie w rękę, której nie mam! – syknął dorsz. – Mało śmieszne, syrenko.

Becca zaraz go przeprosiła. Jej zachowanie było nie na miejscu. Syrena otworzyła torbę i wyrzuciła z niej kałamarnice.

– Nie chciałam być nieuprzejma – rzekła. – Kilkaset duchów z zatopionych statków może trochę niepokoić.

Dorsz prychnął.

– Wy, syrenki, uważacie się za takie zręczne dzięki swoim przeciwstawnym kciukom, co? Jeśli pojawi się jakiś rekin, może posłużecie się na kciuki? Chętnie popatrzę.

Becca wiedziała, jak wrażliwe są dorsze na punkcie swojego miejsca w łańcuchu pokarmowym. Nie miała mu tego za złe. Tuńczyki i mieczniki były takie same. Trzeba zrozumieć

podobne zachowanie u stworzeń, którym zagraża wyginięcie.

Kiedy ryba skończyła posiłek, Becca zapytała:

– Gotowy?

Dorsz pokiwał głową.

– Dobrze – powiedziała Becca i wsunęła do swojej kieszeni drugą paczkę kałamarnic. – Ruszajmy. Ja płynę pierwsza, ty za mną. Trzymaj się blisko.

Syrena zamknęła walizkę i schowała ją za skałą. Tam była bezpieczna. Następnie sięgnęła do drugiej kieszeni i wyjęła z niej perłę niewidzialności, którą otrzymała od Vraï. Rzuciła ją i momentalnie stała się niewidzialna.

Zebrawszy w sobie całą odwagę, wypłynęła z ukrycia i skierowała się w stronę Achillesa. Duchy cały czas śpiewały i tańczyły. Becca wpłynęła pomiędzy dwóch angielskich żeglarzy, którzy, sądząc po strojach, zginęli wieki temu. Teraz grali w szachy.

– Czujesz coś? – zapytał jeden z nich, kiedy ich mijała.

– Tak, Jackie! Uważaj, to twoja żonka! Czeka na ciebie z wałkiem! – zażartował drugi.

Jackie podskoczył, odwrócił się ze strachem, po czym roześmiał się na widok dorsza.

– Nie, to nie moja żonka! Ta ryba jest dziesięć razy ładniejsza!

Becca się ucieszyła. Jej plan się sprawdził.

Przepełnęła obok hiszpańskiego żeglarza w mundurze z czasów Ferdynanda V. Toczył pojedynek szermierczy z mężczyzną w niebieskiej marynarce. Walczyli o jego jacht, który wyglądał, jakby zatonął przed tygodniem. Hiszpan również się obrócił, kiedy Becca przepływała obok niego, i uniósł szablę, ale uspokoił się, ujrawszy dorsza.

W ten sposób minęła kolejne duchy, uważając, by pozostawać poza ich zasięgiem. W końcu dotarła do kadłuba statku. Dziura znajdowała się w pobliżu sterburty. Syrena ostrożnie wpłynęła do środka i przepłynęła przez ładownię.

Woda wewnątrz statku była mętna i pełno w niej było innych duchów. Kiedy Becca dotarła do steru, dostrzegła to, czego szukała. Był tam drugi otwór, znacznie większy niż pierwszy, a nad nim unosiła się skalna podstawa jaskini Williawawa. Becca dostrzegła szeroką szczelinę o nierównych krawędziach, o której opowiadał sprzedawca herbaty.

Tak się teraz bała, że łuski na jej ogonie stanęły dęba. Nie miała pojęcia, w co się pakuje, nie wiedziała, czy Williawaw będzie w swojej jaskini, gdzie powinna szukać złotej monety Pyrrhy ani jak długo pozostanie niewidzialna. Precisnęła się przez szczelinę i znalazła korytarz. Było ciemno, ale syrena nie odważyła się rzucić *illuminaty* w obawie, że zostanie zauważona. Musiała więc poruszać się po omacku przy ścianach. Po mniej więcej pięciu minutach korytarz zaczął się wznosić, a wody wokół niej się rozjaśniły.

Kilka sekund później Becca wyłoniła się na powierzchnię w wysokim pomieszczeniu. Odchyliła głowę w górę i ujrzała, że jaskinia ma kształt stożka, a na szczycie znajduje się duży otwór, przez który wpada światło i powietrze.

Tuż powyżej linii wody, na szerokiej półce skalnej, widniało ogromne gniazdo. Było zbudowane z desek pokładowych, połamanych masztów, kości wielorybów, ludzkich szczątków, żagli, lin, włókna szklanego i podartych kamizelek ratunkowych.

Gniazdo było puste. Podobnie jak cała jaskinia. Becca była w niej sama. Odetchnęła z ulgą i trudno jej było uwierzyć w swoje szczęście. Jej radość szybko ustąpiła jednak miejsca rozczarowaniu, gdy zdała sobie sprawę, że nigdzie nie widać złotej monety Pyrrhy. Myślała, że Williwaw trzyma talizman w jakiejś skrzyni albo niszy na skarby. Myliła się. Moneta musiała być gdzieś w tym gigantycznym gnieździe, co oznaczało, że znalezienie jej zajmie jej całe wieki.

Dorsz wystawił pysk z wody.

– Czy mogę teraz dostać resztę kałamarnic? – zapytał.

– Dopiero gdy będziemy na zewnątrz – odrzekła Becca.

Ryba zanurkowała, po czym zaczęła zataczać pod wodą kręgi, marudząc przy tym.

Syrena zajrzała pod wodę.

– A może ty byłbyś w stanie mi pomóc? – dodała. – Muszę znaleźć złotą monetę. Jest bardzo stara i ma wizerunek Nerii.

– Być może – rzucił dorsz. – Ale nie liczyłbym na zbyt wiele.

Becca westchnęła i skupiła się ponownie na gnieździe. Wiedziała, że musi się dostać do środka, tylko w jaki sposób?

Oparła dłonie na skalnej półce, aby podciągnąć się do góry, ale ręce tak bardzo jej się trzęsły, że nie potrafiła tego zrobić. Becca nie lubiła opuszczać wody, a podczas wspinaczki ogon na niewiele się przydawał. Poza tym... nie lubiła nie mieć planu.

„To niemożliwe – pomyślała. – Nie dam rady”.

Już miała schować się pod wodą i tam się zmotywować do kolejnej próby, gdy na jednej z dłoni dostrzegła skaleczenie. Była to rana powstała podczas ślubowania krwi. Nacięcie było wtedy głębokie i bolesne, ale po zagojeniu rany skóra syreny stała się mocniejsza niż wcześniej.

Podobnie jak więź krwi wzmocniła ją samą.

W jej żyłach krążyła przecież krew Sery, Neeli, Ling i Avy. Dzięki temu jej przyjaciółki, jej siostry, były przy niej. Może i się bała, ale nie była sama.

Ręce przestały jej się trząść. Wspięła się na półkę skalną, po czym ostrożnie wdrapywała się po boku gniazda używając rąk, a ogon służył jej do odpychania się. Wiedziała, jaki będzie każdy następny ruch. To już coś. Może jeszcze nie miała planu, ale to mógł być jego początek.

Pół godziny później była już na szczycie. Jej ogon spoczął na złamanym maszcie. Ostatnim podciągnięciem wspięła się na skraj gniazda, po czym upadła z hukiem.

Przy upadku okulary spadły jej z nosa. Poprawiła je i nie tracąc czasu, zaczęła poszukiwania, podnosząc wyściełające gniazdo poduszki i poszarpane żagle. Pod spodem znalazła wydrążone otwory, ale wewnątrz nich niczego nie było. Wkrótce Becca odkryła, że każdy ze składników gniazda ma za zadanie je wzmocnić. Nie było tam elementów ozdobnych.

„Dlaczego moneta w ogóle miałyby tu być?” – zadała sobie pytanie syrena, powoli tracąc nadzieję.

Kontynuowała jednak poszukiwania, lecz w pewnej chwili zauważyła, że jedna z jej rąk migocze. Perła niewidzialności traciła moc.

Właśnie uniosła rąbek żagla, gdy to poczuła. Drgania. Wibracje pochodziły z wnętrza skały. Trzęsły się ściany jaskini, w której przebywała.

Zbliżało się coś dużego.

Dorsz uniół głowę ponad powierzchnię wody.

– Chyba mamy towarzystwo – rzekł. – To Williwaw. Jeśli cię zobaczy w swojej jaskini, na pewno cię zabije. Czy mogłabyś więc dać mi kałamarnice już teraz?

Becca nie odpowiedziała. Opierała się o krawędź gniazda, wpatrując się w otwór w ścianie jaskini.

Drgania się wzmagaly. Woda w jaskini zaczęła kipieć i wirować. I wtedy pokazał się on. Stwór, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

Becca zmrużyła oczy i stłumiła krzyk.

## Rozdział 47

**W**ILLIWAW BYŁ ISTOTĄ o wysuszonym, zniszczonym ciele. Był wcieleniem śmierci w postaci garstki pyłu.

Był wielorybem wyrzuconym na brzeg morza i wystawionym na działanie bezlitosnego słońca. Mewą ze złamanym skrzydłem utykającą po rozżarzonym piasku. Jeleniem padającym trupem przy wysuszonym wodopoju.

Górną część jego głowy stanowiła trupio blada czaszka ptaka uzbrojona w ostry, czarny jak heban dziób. Dolna połowa głowy miała ludzki kształt. Potwór miał szeroką szczękę i siną dolną wargę. Jego stopy i dłonie były zakończone szponami. Przez dziury w wysuszonej skórze naciągniętej na człekokształtne ciało widać było kości. Ze złotych łańcuchów wiszących na szyi zwisały świecące ozdoby. Z pleców wyrastała para czarnych skrzydeł. Z każdym ich machnięciem przerażający stwór zbliżał się do syreny.

– Muszę się zastanowić. Coś wymyślić. Potrzebuję planu – mamrotała przerażona Becca.

– Planu? – zachnął się dorsz. – Chyba raczej cudu!

Becca wiedziała, że musi zacząć działać. I to szybko. W przeciwnym razie zginie zabita przez Williwawa. Sęk w tym, że nie mogła się ruszyć. Była sparaliżowana.

Williwaw był coraz bliżej. Becca wyteżyła wzrok. Jej okulary były wystarczająco mocne, żeby syrena potrafiła rozróżnić poszczególne ozdoby wiszące na łańcuchu potwora. Klejnoty, zęby, kości oraz sekretnik. Prastary złoty sekretnik na prastarym złotym łańcuchu.

Sekretnik był otwarty i krył w sobie monetę.

„To talizman Pyrrhy! Na pewno! Założę się, że Moruadh ukryła go w sekretniku, a później nałożyła łańcuch na szyję Williwawa, aby zagwarantować, że nikt nigdy go nie dostanie w swoje ręce”.

Odebranie pierścienia tej szkaradzie graniczyło z cudem. Na pewno wymagało kalkulacji, ale na to potrzebny był czas.

Becca nie miała jednak czasu. Ogarnęła ją rozpacz. Nigdy nie zdoła wykraść tej monety. W ten sposób nie wypełni swej misji, a Abbadon powstanie ponownie.

Dźwięk pędzącego wiatru się wzmagął.

Dorsz rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku otworu.

– Czas na improwizację, siostrzyczko – rzekł.

– Nie potrafię improwizować. Nie umiem. To nie w moim stylu.

– A śmierć? Czy śmierć jest w twoim stylu? – rzucił dorsz.



Przed oczami syreny stanął obraz potwora uśmiercającego jedną z ieli. Abbadon w ten sposób zabiłby jej przyjaciółki i wiele innych istot. Chyba że uda jej się zdobyć monetę.

Popatrzyła na swoje dłonie. Jedna z nich nadal migotała, ale niezbyt intensywnie.

„Nadal jestem prawie niewidzialna. Mam też tego dorsza. I głowę nie od parady. Jestem wszechstronna. Dam radę” – powiedziała sobie.

Raz jeszcze zmierzyła wzrokiem Williwawa, który był już zaledwie kilka metrów od niej, i obliczyła, że ma około sześćdziesięciu sekund.

– Rybo! – syknęła. – Nadal masz ochotę na kałamarnice?

– A jak sądzisz?

– Więc rób dokładnie to, co ci każę.

## Rozdział 48

**W**ILLIWAW MÓWIŁ COŚ, wlatując do jaskini. Jego głos wydał się syrenie podobny do wściekłego wycia wichury, a za chwilę zmienił się we wrzask rozszalałego huraganu. Stwór zawisł nad inną półką skalną, gdzie wyrzucił swoją ostatnią zdobycz w postaci drewna, wędki i wiosła, w końcu wleciał do gniazda. Serce Bekki dudniło ze strachu. Siedziała przecież na drugim końcu gniazda, opierając się plecami o ścianę jaskini, z ogonem podwiniętym pod siebie. Widziała, jak okropne, ostre i zakrzywione szpony potwora moszczą dno gniazda. Po chwili stwór odwrócił się tyłem do syreny i usiadł, a następnie złożył skrzydła i zaczął je czyścić.

„Gdzie ta ryba?” – niecierpliwiła się Becca, modląc się, by dorsz nie zmienił zdania. Syreny potrafiły jakiś czas oddychać powietrzem, ale nie było to łatwe. Płuca Bekki zaczynały już się męczyć.

Jakby na jej życzenie dorsz wystawił głowę z wody.

– Witaj, o wielki Williwawie! – zawołał.

Potwór pochylił się nad nim złowrogo.

– Czego chcesz, rybo?

– Przysłały mnie duchy. Na pokładzie Achillesa wybuchła awantura i kazały mi cię powiadomić.

Wietrzny upiór mówił do ryby w swoim języku, podobnie jak Becca. Syrena rozumiała całą ich rozmowę.

„Na razie wszystko idzie zgodnie z planem” – pomyślała. Dorsz powtarzał wszystko to, o co go prosiła.

– Jaka znowu awantura? – spytał Williwaw.

– Wygląda na to, że Cassio, bóg nieba...

– Wiem, kim jest Cassio – ryknął Williwaw.

– No tak. Więc Cassio czuje coś do Nefeli, nimfy chmurnej. Kiedy wczoraj przelatywałeś obok niej, widziała twój sekretnik i zapragnęła go mieć. Cassio wysłał po niego swoich osiłków. Trykel i Spume są tam, na dole, i toczą bitwę z duchami. Lada chwila wpadną do jaskini. Do tego Zephyros szykuje atak z powietrza. Założę się, że niebawem wleci tamtędy. – Mówiąc to, dorsz wskazał otwór, przez który dostał się do jaskini Williwaw. – Proponuję zatem zdjąć sekretnik z szyi i gdzieś go ukryć.

„Dobra robota!” – szepnęła pod nosem Becca. Trykel i Spume, bogowie pływów, oraz

Zephyros, syn Cassia, byli znacznie potężniejsi od bestii. Wietrzna istota musiała trochę się przestraszyć.

Tak jej się tylko zdawało. Potwór tylko się roześmiał.

– Chcesz, żebym zdjął sekretnik, a ty go wtedy zabierzesz – oznajmił. – Uważasz mnie za głupca?

– Głupca? Nie. Paranoika? Być może – odrzekł dorsz.

Williwaw skoczył na skraj gniazda i wściekle kłapnął potężnym dziobem.

– Wyluzuj, Wiluś. Jak pewnie widzisz, jestem rybą. Nie mam ani nóg, ani skrzydeł, ani pojazdu latającego. Więc nie dam rady wejść do twojego gniazda po skarb. Nie mam nawet szyi, więc na co mi on? Rób jak chcesz, nie chowaj go. To nie mój interes. Duchy kazały mi cię ostrzec i to zrobiłem. Nic tu po mnie.

Dorsz machnął ogonem i zniknął pod wodą, ale Becca wiedziała, że to nie koniec przedstawienia. Kazała mu pływać w kółko pod powierzchnią i wzbudzić wir, by Williwaw pomyślał, że nadciągają Trykel i Spume.

Początkowo nic się nie działo, ale po chwili woda zaczęła wirować i bulgotać. Kiedy ujrzał to Williwaw, wrzasnął i zerwał z szyi sekretnik, a następnie zakopał go w gnieździe. Wtedy wspiął się ponownie na skalną półkę, odwrócony plecami do Bekki, i bystrym wzrokiem wpatrywał się to w kipiącą wodę, to w otwór prowadzący do jaskini od góry.

Powoli, uważając, by nie spowodować żadnego hałasu, Becca wyslizgnęła się ze swojej kryjówki. Serce waliło jej jak młot. Stawianie ciężaru ciała na ognie sprawiało ból. Teraz migotały jej już obie dłonie.

Williwaw mamrotał coś do siebie pod nosem, skutecznie zagłuszając ciche trzaski czy szmery poruszającej się syreny. Nie spuszczać wzroku z potwora, uniosła podszycie gniazda, wsunęła dłoń w zagłębienie i wydobyła sekretnik.

Wydawało jej się, że w jej dłoni ozdoba świeci jeszcze mocniej. Czuła moc talizmanu. Przeszła przez nią fala podniecenia. Nareszcie zdobyła talizman Pyrrhy! Jednak strach szybko wziął nad nią górę. Gdy już zdobyła swój skarb, bała się jeszcze bardziej. Dopiero teraz miała coś do stracenia.

Wsunęła klejnot do kieszeni, po czym podniosła kawałek drewna. Wystarczyło, że rzuci nim w górę, w kierunku wlotu do jaskini. Miała nadzieję, że w ten sposób oszuka Williwawa i ten pomyśli, że z powietrza nadciąga Zephyros, po czym wzbije się do lotu, aby stawić mu czoło.

Wtedy Becca zamierzała przejść na drugą stronę gniazda, następnie wzdłuż półki skalnej i stamtąd bezpiecznie wskoczyć do wody. Zanim Williwaw się zorientuje, że sekretnik zniknął, ona pędziłaby już co sił przez kadłub Achillesa w kierunku otwartej toni. Tam wietrzny duch nie mógłby jej dosięgnąć.

Becca przełknęła ślinę, zbierając siły na ten ostatni ruch. Dotychczasowe spontaniczne posunięcia udały jej się perfekcyjnie.

Możliwe, że ta szczęśliwa passa trwałaby dłużej, gdyby nie to, że Williwaw nagle się

odwrócił.

## Rozdział 49

**B**ECCA WIEDZIAŁA, ŻE o jej życiu lub śmierci zadecyduje ułamek sekundy.

Przenikliwy wzrok drapieźcy przeniósł się z kawałka drewna, które trzymała w ręce, na jej niewidzialne ciało.

Następnie potwór otworzył swój śmiercionośny dziób, i rzucił się w dół.

Becca bez zastanowienia zeskoczyła z gniazda, nie widząc, którądy biegnie półka. Spadając, uderzyła o krawędź skały, która rozcięła dotkliwie jej prawe biodro, i runęła do wody.

Zignorowała piekący ból i łapczywie wciągnęła wodę w wyschnięte płuca. Podczas upadku zgubiła okulary. Zaczęła ich desperacko szukać po omacku i w końcu znalazła je na dnie podwodnej części jaskini. Nawet pod wodą słyszała wicherę wrzasków potwora, która wypełniała teraz całą jaskinię.

Z mętnej wody wychylił się szary pysk.

– Płacimy – zawołał dorsz.

Becca wyjęła z kieszeni ostatnią porcję kałamarnic. Rozdarła torbę i wysypała jej zawartość, po czym uciekła co sił. Nie prosiła dorsza o pomoc w drodze powrotnej. Nie mogła już oszukać duchów, ponieważ stała się całkowicie widzialna.

– Dziękuję! – zawołała, odwracając się przez ramię, ale dorsz miał pysk zbyt wypchany smakołykami, by odpowiedzieć.

Becca popędziła co tchu przez wąskie przejście prowadzące do wnętrza Achillesa. Tunel był równie ciemny jak wcześniej, tak że syrena dwukrotnie wpadła na ścianę, ale nie zatrzymywała się. Tuż za nią woda zaczęła wirować i się unosić, a wkrótce zawrzała siłą gniewu Williwawa.

Po kilku minutach korytarz się rozszerzył i Becca znalazła się w kadłubie okrętu. Teraz jej jedyną bronią były szybkość i zaskoczenie. Płynąc pełną szybkością, syrena wystrzeliła z ładowni przez dziurę w kadłubie prosto w grupkę duchów rozgrywających partyjkę kręgli.

Holenderski kapitan, który miał teraz rzucić kulę, był tak zdziwiony, że cisnął ją prosto w brzuch swojego pierwszego oficera.

– Co my tu mamy? – zaintonował brodaty żeglarz.

Uśmiechy duchów były złowrogie, a ich spojrzenia wygłodniałe. Jeden z nich rzucił się na Beccę. Zrobiła unik, ale palcami zdążył zadrapać jej ramię. Syrena jęknęła. Poczuli się, jakby wpadła do lodowatego basenu. Nadciągnęło więcej duchów. Becca próbowała zanurkować głębiej, ale duchy zmusiły ją do podpłynięcia wyżej.

Ogon Bekki uderzał miarowo o wodę. Duchy były tuż za nią. Ich ludzkie nogi nie radziły sobie

tak dobrze jak jej ogon, ale to ich nie zatrzymało. Becca próbowała powiększyć dystans. Gdyby udało jej się wzbić wystarczająco wysoko, może zdołałaby wykonać ostry zakręt i ich zgubić.

Duchy jednak nie dawały za wygraną.

Becca zatrzymała się na kilka sekund i popatrzyła w dół. Zjawy otaczały ją szerokim łukiem niczym sieć. Z przerażeniem stwierdziła, że ich intencją było doprowadzenie jej na powierzchnię, gdzie na pewno czekał już na nią Williwaw.

Becca popłynęła jeszcze wyżej, a gdy zbliżyła się do powierzchni, spostrzegła, że morze jest wzburzone i przetaczają się po nim wielkie fale. Wpadła w wir, który pociągnął ją ze sobą i wyrzucił w górę.

Głowa Bekki wynurzyła się. Szalał sztorm, tak potężny i przerażający, jakiego dotąd nie widziała. Niebo stało się czarne i rozświetlały je tylko błyskawice, którym towarzyszyły ogłuszające grzmoty. W twarz syreny uderzały ciężkie krople deszczu. Ponad wodą unosił się Williwaw, wrzeszcząc i wzbijając w górę gigantyczne fale.

Kiedy ujrzał Beccę, rzucił się na nią. Syrena ponownie zanurkowała. Nie wiedziała, gdzie się podziały duchy. Była tak oszołomiona, że ledwo zauważała, co się z nią dzieje.

Walczyła z szalejącym morzem, starając się pozostać pod powierzchnią. W pewnej chwili nadciągnęła dzika spieniona fala, która uniosła ją w górę i cisnęła w kierunku zdradzieckiego wybrzeża.

Wzrok Bekki przenosił się z nieba na potworną istotę, która się po nim przesuwała. Nie widziała wysokich, ostrych skał, aż do chwili, gdy w nie uderzyła.

Wtedy nie widziała już niczego.

## Rozdział 50

**M**AMY ZA ZADANIE znaleźć perłę – rzekł z rezygnacją Des. – Jedną czarną perłę... w tym? Astrid pokiwała głową. Syrena oniemiała i wpatrywała się w wir rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma. Słyszała liczne opowieści na temat Qanikkaaq, ale nigdy dotąd nie widziała wiru na żywo.

Był ogromny i ani na chwilę nie zwalniał. Astrid i Des widzieli w oddali jego lejkowatą paszczę, która była skierowana ku powierzchni i połykała wszystko, co miała w swoim zasięgu. Jego oczy, w postaci dwóch jasnych plam na falach, lśniły radosną żarłocznością.

Gdy Astrid mierzyła wir wzrokiem, zastanawiając się, jak ma się w ogóle do niego zbliżyć, ujrzała przedmioty różnych rozmiarów i kształtów, które były wciągane do środka: drewniane łodzie, plastikowe butelki, boje, kajaki, sieci rybackie, rybacy, odblaskowe kamizelki, jachty.

Miała pewien pomysł na to, jak się dostać w pobliże wiru, pytanie tylko, czy da się go zrealizować. Może gdy znajdzie się w środku, zamieni się w bezsilny wirujący przedmiot?

Dwa dni wcześniej, zanim Astrid i Des opuścili metalowy kontener, syrena zmieniła się w poszukiwaczkę skarbów. Otwierała znalezione w kontenerze pudła i skrzynie i wyciągała z nich wszystkie ciekawe świecidełka, na które się natknęła. Następnie umieszciała je w dużym worku marynarskim, który również znalazła, i popłynęła do Desa, który właśnie czyścił uprząż Elskan.

– Co o tym sądzisz? – spytała, pokazując mu parę jaskrawozielonych tenisówek.

Des zmarszczył brwi z zakłopotaniem.

– Chcesz powiedzieć, że masz ochotę na zabawę w Hansa Christiana Andersena? – rzekł.

Astrid się roześmiała. Ta baśń terragógów była dobrze znana również w świecie syren i uważana za jedną z najbardziej niedorzecznych historii. Bo kto o zdrowych zmysłach zamieniłby płetwy i ogon na stopy?

– Nie, szukam czegoś, co moglibyśmy podarować Qanikkaaqowi – odparła, wyciągając z torby lśniące korale i plastikowy puchar. – Mam nadzieję, że będzie skłonny do wymiany.

– Magiczna perła bogini w zamian za kupę ludzkich rupieci? – rzucił sceptycznie Des.

– Przedstawiłabym swoją ofertę nieco inaczej – nie poddawała się Astrid. – Co powiesz na to: wszystkie te rzadkie i drogocenne świecidełka w zamian za jedną pospolitą perłę? Liczę na to, że Qanikkaaq wyznaje zasadę „więcej znaczy lepiej”.

– Albo że jest totalnym idiotą – parsknął Desiderio.

Teraz nadszedł czas próby. Spoglądając na wir z takiej odległości, na pewno nie zdołaliby się

dowiedzieć, czy czarna perła rzeczywiście jest w nim schowana. Astrid denerwowała się, ale próbowała to ukryć. Jej plan był rozsądny i stanowił ryzyko tylko dla niej, nie dla Desa. Ale czy miał szansę powodzenia? Bez zdolności magicznych Astrid mogła liczyć jedynie na swoją siłę i spryt. Nie narzekała na ich brak, ale czy tyle wystarczy do przechytrzenia wiru?

– Masz linę? – spytała Desa.

– Aha. Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Niezupełnie – odrzekła syrena.

– Może ja to zrobię?

– Nie, Des. To moje zadanie. – Astrid miała wypełnić tę misję i to ona powinna stawić czoło niebezpieczeństwu.

Des pokiwał głową. On również przeszukał wcześniej kontener i znalazł w nim zwój mocnej nylonowej linki. Miał ją teraz przerzuconą przez ramię. Zdjął ją i na jednym końcu wykonał pętlę, którą następnie podał Astrid. Syrena założyła pętlę przez głowę i umocowała ją na wysokości bioder, a w tym czasie Desiderio zawiązał pętlę na drugim końcu liny. Tę przerzucił przez głowę Elskan.

Orka pływała w pobliżu, zerkając niepewnie na wir. Do siodła miała przytroczony marynarski worek wypełniony znaleźskami. Astrid podpłynęła do Elskan i odpięła go.

– Gotowa? – spytał zdenerwowany Des.

Astrid odpowiedziała twierdząco, a Des odpłynął z Elskan wystarczająco daleko, by na linie nie było luzów.

– Witaj, o potężny Qanikkaaq! – krzyknęła, zbliżywszy się do wiru, choć nie była pewna, jak powinna się do niego zwracać.

Wir zwolnił nieco prędkość i obrócił swoją gigantyczną twarz w stronę syreny. W jednej chwili woda na powierzchni przestała się poruszać.

– Jak śmiesz zakłócać mi posiłek, syreno? – rozgniewał się Qanikkaaq.

– Proszę o wybaczenie, wasza... wirowatość. Poszukuję czarnej perły i pomyślałam, że tak zacny wir na pewno będzie takową posiadał.

– Zacny wir? – powtórzył Qanikkaaq, wyraźnie urażony.

– Chciałam powiedzieć: potężny, przewspaniały wir zagłady – dodała pospiesznie Astrid.

Desiderio uniósł brew.

„Wir zagłady?” – powtórzył bezgłośnie.

Qanikkaaq odrobinę złagodniał.

– A gdybym posiadał taką perłę, dlaczego miałbym ci ją oddać? – spytał.

– Bo w zamian dam ci dziesięciokrotność jej wartości w skarbach.

Wir wyraźnie się ucieszył i roześmiał się, bulgocząc.

– Zbliź się, syreno. Pokaż, co tam masz.



– Uważaj, Astrid – ostrzegł Desiderio.

– Nie obawiaj się, Des – odrzekła, po czym podpłynęła bliżej wiru. Jego wzrok spoczął na marynarskim worku. Astrid wyjęła srebrny puchar i rzuciła go w stronę wiru, który łapczywie pochłonął skarb. Następne były korale, kula zdobiona tłuczonym szkłem oraz jaskrawe tenisówki.

– To dopiero początek, wielki Qanikkaaqu – rzekła. – Tam, skąd przybywam, jest tego mnóstwo. Wszystko będzie twoje, jeśli oddasz mi perłę.

– Nie słyszę cię wyraźnie – odparł Qanikkaaq. – Jestem już stary i moje uszy nie są tak sprawne jak dawniej. Podpłyn bliżej.

Astrid wiedziała, co knuje wir. Pragnął ją połknąć. Mimo to poruszyła się nieznacznie w jego kierunku.

– Jestem pewna, że teraz już będziesz mnie słyszał dobrze – rzekła, rzucając mu jednocześnie plastikowy diadem. – Więc... jak będzie z perłą?

Prądy Qanikkaaqa otaczały ją teraz, bawiąc się jej włosami i ciągnąc jej ubrania.

– Chętnie bym spełnił twoją prośbę, syreno, ale przybywasz za późno.

Tylko nie to! Nadzieje Astrid zostały rozwiane. Czyżby Vallerio i Portia mieli rację? Czy tajemniczy ktoś naprawdę zdobył talizman?

– Co chcesz przez to powiedzieć, Qanikkaaqu? – spytała, nachylając się ku niemu.

– To prawda, miałem kiedyś taką perłę. Rzuciła mi ją pewna syrena.

„Moruadh” – pomyślała Astrid.

– Ale później połknąłem wielką ławicę tuńczyków – ciągnął wir – i jedna z ryb przeżyła w moim wnętrzu. Tuńczyk zjadł perłę, a potem spryciarz znalazł sposób na ucieczkę. Podpłynął do mojego gardła i mnie ugryzł. Krzyknąłem, bo zęby tuńczyków są dość ostre. Przestałem też wirować, a wtedy tuńczyk wyskoczył na zewnątrz, i odpłynął. Okazało się jednak, że ryba nie była aż tak sprytna, jak myślałem, ponieważ wpadła w sieć okolicznego rybaka. A kiedy ten rozciął brzuch tuńczyka, by go wypatroszyć, znalazł w środku perłę.

Astrid zbliżyła się jeszcze bardziej, zafascynowana opowieścią. Pragnęła poznać każdy szczegół dotyczący perły, aby przekazać te informacje Serafinie i reszcie. Des ostrzegł ją jeszcze raz, ale nie dołyszała jego głosu.

– I co się stało później? – spytała.

– Mówili, że rybak sprzedał ją młodemu wojowniczemu wikingowi, który usłyszał pogłoski o jej uroku.

Astrid poczuła na skórze dreszcz.

– Perła musiała mieć magiczne właściwości – kontynuował Qanikkaaq. – Od dnia, w którym zdobył ją młody wojownik, jego moc zaczęła się wzmagać. Został bezlitosnym, siejącym trwogę wodzem. Podbił Grenlandię, Islandię i Skandynawię, łupiąc te krainy w poszukiwaniu skarbów. Zmienił nawet imię na Feimor Fa Eaemor, co oznacza Feimor, Syn Chaosu.

– Jak wyglądał? – wypytywała go Astrid, obawiając się, jaką odpowiedź usłyszy.

– Podobnie do innych wikingów: blondyn, opalony słońcem, o brązowej od długiego przebywania na morzu skórze.

Astrid przeszedł zimny dreszcz, gdy pomyślała, że opis przypomina mężczyznę, którego widziała w lustrze. Tego, którego uznała za senną marę.

– Mawiają, że w jego oczach tkwiło takie zło, że nikt nie odważył się w nie spojrzeć – dodał Qanikkaaq.

Astrid przypomniała sobie, że mężczyzna z lustra nosił ciemne okulary, choć do krainy Vadus dociera niewiele światła słonecznego. Do tego na szyi miał zawieszoną czarną perłę.

„Czy to może być jedna i ta sama osoba? – zastanawiała się. – Czy jego perła jest właśnie tą, której szukam? Ale jak to? Przecież to niemożliwe! Feimor nie żyje od jakichś ośmiuset lat, a jego perła pewnie została pogrzebana razem z nim”.

Wikingowie byli rodem żeglarzy żyjącym w zgodzie z syrenami. Mieszkańcy Ondaliny dobrze znali sagi o wikingach, stąd Astrid wiedziała, jak wyglądały ich pochówki.

Pogrążona w myślach nie zauważyła, że prądy Qanikkaaqa przyciągnęły ją znacznie bliżej centrum wiru. Desiderio również nie zwrócił na to uwagi, bo musiał się zająć podenerwowaną Elskan. Co innego Qanikkaaq. Wir mlasnął ustami i zaatakował, rzucając się na Astrid z rozdziawioną paszczą. Syrena krzyknęła i próbowała uciec, ale wir zaczął ją wciągać.

Desiderio odwrócił się i spostrzegł, co się dzieje.

– Chwytaj linę, Astrid! – zawołał.

Syrena zdołała złapać się liny, a Des klepnął Elskan po grzbiecie. Orka ruszyła z impetem, a lina napięła się z głośnym brzdękiem, szarpiąc Astrid do przodu z ogromną siłą. Lecz mimo wielkiej mocy Elskan nie wystarczyło to, by wyrwać syrenę z wirującego prądu.

Czuła, że jest wsysana. Widziała ból na twarzy Desa. Wiedziała, że jej własna twarz ma identyczny wyraz.

– Rzuć zakłęcie, Astrid! – krzyknął Des. – Spróbuj *commoveo*! Albo *stilo*!

Syren zaklął, po czym mocniej uderzył Elskan w bok.

– Płyn, Elskan! – poleciał. – Płyn, mała!

Orka podniosła się, zebrawszy ostatnie siły, ale nadal nie była w stanie pociągnąć Astrid wystarczająco mocno, by ją uwolnić. Przerazona syrena poczuła, że jej płetwy znikają w paszczy Qanikkaaqa. Jeszcze chwila, a zostanie pożarta. Podobnie jak Elskan. Niedługo syrena i jej orka będą się kręcić w wirujących odmętach, aż zostaną rozerwane na strzępy.

Desiderio zostawił orkę i popędził w kierunku Astrid. Chwycił ją za ręce i pociągnął, ale bez powodzenia. Syrena z każdą sekundą przybliżała się do paszczy wiru.

– Przetnij linę, Des! – wrzasnęła Astrid. – Odetnij mnie, zanim pociągnę ciebie i Elskan.

Desiderio pokręcił głową. Nie puszczając jej, rzucił zakłęcie *commoveo*, za pomocą którego próbował powstrzymać Qanikkaaqa. To także nie odniosło skutku. W paszczy była już połowa ogona Astrid.

Des zmienił zaklęcie na *stilo*, starając się przyzwać kolczaste kule wody. Następnie ciskał jedną po drugiej w twarz wiru, a ostatnia z nich wylądowała w jego paszczy.

Qanikkaaq się zadławił. Przestał wirować i zaczął kaszleć.

Astrid pomknęła przez wodę z zawrotną prędkością. Elskan, która przez cały ten czas usiłowała się uwolnić, nareszcie mogła się swobodnie poruszać. Nabrała pędu i pociągnęła za sobą Astrid. Des został z tyłu.

Astrid z trudem oddychała i prawie nic nie widziała z powodu uderzającej ją w twarz masy wody. Syrena zdołała jednak za pomocą rąk podciągnąć się na linie i wgramolić na grzbiet orki. Po jakiejś minucie czy dwóch zdołała uspokoić spłoszone zwierzę i je zatrzymać. W końcu wykonała zwrot i wróciła po Desa.

Znalazła go tam, gdzie go zostawiła, pochylonego i ciężko dyszącego. Qanikkaaq wrócił na powierzchnię.

Des wyprostował się, słysząc płynącą Elskan. Był wściekły. Astrid potrafiła wyczytać z jego twarzy wszystkie uczucia. „No i po naszej przyjaźni – pomyślała. – Pewnie nie będzie już chciał mieć ze mną do czynienia”. Przypomniała sobie słowa Kolfinna: „Kto by chciał syrenę nieznaną magii?”.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytał Des.

Astrid milczała. Zsiadła z grzbietu orki i wbiła wzrok w dno.

– Ukrywając przede mną fakt, że nie potrafisz śpiewać, omal nie zabiłaś nas obojga! – skarcił ją Des. – Straciłem cenne sekundy, wołając do ciebie, zamiast zająć się tym osobiście.

– W takim razie już się wynoszę – odrzekła ze smutkiem Astrid. – Weź jedzenie, ja sobie coś upoluję.

– Astrid, co ty wygadujesz? Wydawało mi się, że płyniemy do Karg.

Astrid pokręciła głową

– Powinieneś popłynąć tam sam, Des. Nie przejmuj się, naprawdę. Większość syren po tym, jak się dowiedziały, nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Widzą we mnie słabe ogniwo. Chyba nie muszę ci tłumaczyć dlaczego.

Des milczał przez chwilę, po czym zadał jej pytanie:

– Czy to z tego powodu Kolfinn nie zgodził się na podpisanie *permutavi*?

Astrid pokiwała głową, nie podnosząc jej.

– Nie chciał, żeby moja tajemnica się wydała. Nie chciał, by ktokolwiek się dowiedział, że członek rodziny admirała jest słaby i niesprawny.

– To straszne, Astrid. – Przez Desa ciągle przemawiał gniew.

Astrid uznała, że chodzi mu o próby ukrycia jej sekretu przez Kolfinna oraz przez nią samą.

– Przepraszam, Des. Powinam być z tobą szczerą – wyznała.

– Nie, mam na myśli sposób, w jaki potraktował cię ojciec. – Głos syrena złagodniał. – Nie powinien był tego robić. Nie miał prawa. Nie ma w tobie żadnej niedoskonałości. Wprost

przeciwnie. Nie jesteś słaba, lecz silna. Chyba nigdy nie poznałem syreny silniejszej od ciebie.

Astrid podniosła na niego niepewny wzrok i zastanawiała się, czy tylko z niej drwi, ale w jego oczach nie widziała złości, lecz troskę.

– Posłuchaj, Astrid. Ja też cię przepraszam. Nie powinienem na ciebie wrzeszczeć. Zrobiłem tak tylko dlatego, że panicznie się bałem.

– Bałeś się? Ale czego?

– Bałem się, że zostaniesz wessana przez wir – odrzekł Des. – Bałem się, że cię stracę.

Astrid ponownie odwróciła wzrok. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Nie mogła uwierzyć w to, co się działo wokół niej.

– Może więc pozwolisz, żebym sam zdecydował, czy chcę być przy tobie, dobrze? – dodał. – A chcę. I to bardzo.

Syrena podniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Oczy Desa uśmiechały się ciepło i Astrid poczuła, że wpada w ich szmaragdową głębię niczym kamień wrzucony do spokojnego morza. Wtedy Des ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Pocałunek był namiętny, a jednocześnie delikatny. Odebrał jej oddech.

Gdy ich usta oderwały się od siebie, Astrid poczuła lęk. Bała się, że Des pocałuje ją ponownie. Bała się też, że jej nie pocałuje.

– Bardzo – podkreślił Des, po czym nagle stracił śmiałość i odpłynął sprawdzić, jak się czuje Elskan.

## Rozdział 51

**M**INĘŁY DWA PEŁNE dni, Marco – rzekł zmartwiony głos.

– Wiem o tym, Elisabetto. Otrzymała solidny cios w głowę, ale oddycha już spokojniej i wróciły jej kolory – powiedział ktoś inny.

Mówili po włosku, w języku terragogów. Becca zdziwiła się, że ich rozumie. „Więź krwi” – pomyślała. Mimo że słyszała większość słów, nie potrafiła stwierdzić, do kogo były kierowane. Zdawało jej się, że dobiegają z daleka. Czuła się, jakby unosiła się na powierzchni morza i lekko kołysały nią fale. Chciała dryfować dalej, ale wiedziała, że nie może. Musiała otworzyć oczy. Płynąć dalej. Miała ważny powód, ale teraz nie pamiętała jaki.

– Może miała wylew krwi do mózgu? A może doszło do pęknięcia kości? A może...

– A może zrobiłabyś nam kawy, kwiatuszku?

„Kto miał wylew? – pomyślała Becca. – Co to jest kawa?”.

Syrena otworzyła oczy i błyskawicznie tego pożałowała.

Ostre światło posłało do jej mózgu falę bólu. Zaczekała, aż męczarnia minie, po czym spróbowała ponownie.

Jej wzrok był mętny, ale obraz pomału stawał się coraz wyraźniejszy. Ujrzała, że pochyła się nad nią czyjaś twarz. Najpiękniejsza, jaką widziała w życiu. Patrzyła na nią para piwnych oczu, z których przemawiała troska. Wydatne usta były skrzywione w grymasie, ale nagle ułożyły się w uroczy, serdeczny uśmiech.

Była to twarz mężczyzny.

„Zaraz, zaraz – zmęczony umysł syreny tego nie pojmował. – Twarz mężczyzny? Mężczyzny?”.

Z przerażeniem stwierdziła, że patrzy na nią terragog. W panice skreśliła ciało i usiłowała odpłynąć, ale nie mogła, ponieważ znajdowała się w niewielkim, płytkim zbiorniku z wodą. Odruchowo zaczęła się miotać, uderzając o jego ściany.

– Posłuchaj! Proszę, posłuchaj mnie – mężczyzna błagał ją teraz w języku syrenim. – Jesteś tu bezpieczna. Nikt cię nie skrzywdzi.

Serce Bekki biło w szalonym tempie. Syrena oparła się o przeciwną ścianę zbiornika. Chwyciła jego krawędź i próbowała się podciągnąć, ale dłonie jej się ześlizgnęły. W akcie desperacji uderzyła raz jeszcze ogonem, lecz i tym razem nieskutecznie. Zbiornik był solidny, a ona za słaba.

– Musisz przestać. Zerwiesz szwy. Już podarłaś kilka bandaży – uspokajał ją mężczyzna.

Becca zwróciła się ku niemu, po czym przyłożyła dłoń do skroni. Ból głowy był oślepiający.

– Co zamierzacie ze mną zrobić? – spytała drżącym głosem.

– Poprawić zniszczone opatrunki, podać ci trochę zupy z księżycowej meduzy i zabrać cię do Karg. Chyba że do tego czasu zdążysz nam się tu zabić.

Becca zmrużyła oczy.

– Kim jesteś? – spytała.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Marco Contorini, doża Wenecji.

## Rozdział 52

**N**IE JESTEŚ DOŻĄ – protestowała Becca, uważnie przyglądając się terragogowi. – Armando został zabity przez Rafe Mfemego i jego ludzi.

Marco pokiwał głową.

– Tak, to prawda – odparł, a w jego oczach widać było smutek. – Jestem jego synem. Odziedziczyłem po nim tytuł oraz związane z tym obowiązki.

– Jego synem? A więc jesteś... – nie potrafiła dokończyć zdania. Myślenie i przypominanie sobie faktów przychodziło jej z wielkim trudem.

– Dowódcą Praedatorich oraz Wojowników Fal – dokończył Marco z uśmiechem. – A przynajmniej próbuję nim być. Tak naprawdę studiuje na Uniwersytecie Mediolańskim dwa fakultety: biologię morską i filmoznawstwo. Po śmierci ojca musiałem zostawić studia i przejąć jego funkcję.

– W Wenecji... w pałacu... – zaczęła opowiadać Becca. Sama nigdy tam nie była, ale wiedziała o wszystkim z relacji Serafiny.

– Pałac jest teraz dla mnie zbyt niebezpieczny. Musiałem go zamknąć i opuścić. Rafe Mfeme nasłał na mnie swoich ludzi. Dzięki wsparciu Wojowników Fal udało mi się umknąć.

Do pomieszczenia weszła kobieta z dwoma kubkami.

– Becca, obudziłaś się! – zawołała z szerokim uśmiechem, po czym odstawiła kubki.

– To moja siostra, Elisabetta – przedstawił kobietę Marco. – Też studiuje. Prawo ochrony środowiska.

– Skąd znacie moje imię? Gdzie jestem? Jak się tu dostałam? – pytała Becca. Nadal była nieufna. Jej wiedza na temat terragogów ograniczała się do tego, że nie szanowali morza i jego mieszkańców.

– Wszystko w swoim czasie. Teraz musisz coś przekąsić – odrzekła Elisabetta. – Mocno się poobijałaś i straciłaś sporo krwi. Musisz odzyskać siły. Dasz radę zjeść trochę zupy z księżycowej meduzy?

Becca zdała sobie sprawę, że rzeczywiście jest bardzo głodna.

– Mogę spróbować – odparła, ale nadal zachowywała się z rezerwą w stosunku do ludzi.

– Dobrze, zaraz ci przyniosę. Marco odpowie na twoje pytania.

– Pozwolisz, że będę odpowiadał, poprawiając twoje opatrunki? – zapytał Marco, wskazując gestem prawą rękę syreny.

– D-dobrze – odrzekła Becca.

Podążyła za jego wzrokiem i kiedy ujrzała swoją rękę, jęknęła. Niemal cały bandaż został z niej zdarty, a pod nim widniała głęboka rana, starannie zszyta, biegnąca od łokcia po nadgarstek. Obejrzała też resztę ciała i znalazła więcej sińców i zadrapań. Druga paskudna rana znajdowała się na biodrze.

– Zdażyłaś unieść rękę tuż przed tym, jak rozbiłaś się o wielką skałę. Uderzyłaś o nią głową, na szczęście ręka cię ochroniła – oznajmił Marco.

Becca instynktownie dotknęła dłonią głowy. Palcami wymacała bandaż.

– Obawiam się, że to też będzie wymagało szycia – rzekł Marco. – Cud, że nie pękła ci czaszka. Masz szczęście, że przeżyłaś.

– Macie tu lustro? – spytała Becca.

Marco się skrzywił.

– Jeśli naprawdę tego chcesz.

– Chcę – odparła syrena, ale po cichu dodała: – Chyba.

Marco znalazł niewielkie lusterko i podał jej. Zajął się przygotowywaniem bandaży, nożyczek i taśmy wodoodpornej, a Becca skrzywiła się, patrząc na swoje oblicze. Prawa strona twarzy była pokiereszowana, oko podbite. Bandaż miała owinięty wokół głowy na ukos, co wyglądało komicznie.

Oddała Marcowi lustro. Ślady na jej twarzy nie były ładne, ale wiedziała, że się zagoją i znikną. Coś innego martwiło ją znacznie bardziej niż rany.

– Jak mnie znaleźliście? – spytała podejrzliwie.

– Szukaliśmy cię.

– Ale kto...?

– Mahdi. Praedatori są teraz rozbici, ale udało mu się skontaktować z jednym z nas imieniem Nero, a ten przekazał wiadomość mnie – wyjaśnił Marco, ściągając z ręki Bekki stary bandaż.

Becca poczuła się znacznie lepiej, wiedząc, że ci ludzie mają powiązania z Mahdim.

– Natychmiast udałem się na przylądek Horn i poprosiłem szefową amerykańskiego działu Wojowników Fal, aby pojechała w rejony Missisipi – ciągnął Marco, owijając jej rękę nowym bandażem. – Od dwóch dni poszukuje tam Avy.

– Ale jej nie znalazła – skomentowała ponuro Becca.

– Jeszcze nie. Ale jesteśmy dobrej myśli. Ciebie też nie znaleźliśmy od razu. Najpierw przez kilka dni krążyliśmy wokół jaskini Williwawa, a kiedy nie wiadomo skąd nadciągnął okropny sztorm, uznaliśmy, że to prawdopodobnie sprawka wietrznego ducha i że może ma to jakiś związek z tobą. Właśnie to jest jego metoda: duchy wypędzają intruzów na powierzchnię, a wtedy on rozbija ich o skały.

– Mnie też rozbił – rzekła Becca, wzdrygając się na wspomnienie uderzenia.

– El podpłynęła łodzią w pobliże skał, a ja złowiłem cię w sieć. Byłaś strasznie zziębnięta.



Gdy tylko znalazłaś się na pokładzie, El odpaliła silniki. To sportowa motorówka. Na spokojnym morzu wyciąga sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Sto na wzburzonym. Trochę nami pobujało, ale w końcu uciekliśmy przed sztormem.

Becca obserwowała, jak Marco zręcznie pokrywa nowe bandaże specjalną taśmą.

– Nieźle sobie radzisz – przyznała. – Ratujesz syreny na co dzień?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Niekoniecznie syreny, ale nasza łódź, Marlin, ma zbiornik ze słoną wodą do transportu chorych i zranionych morskich zwierząt. Staramy się pomagać, choć jest coraz trudniej, bo...

– Proszę bardzo – przerwała Elisabetta, która właśnie wróciła z miską zupy. – Zjedz. Dobrze ci zrobi.

– Dziękuję. – Becca wzięła od kobiety miskę. Czuła się już wystarczająco pewnie, aby coś zjeść.

– Mam nadzieję, że ci posmakuje – powiedziała kobieta z niepewnym uśmiechem. – Nie bardzo wiem, jak powinna smakować zupa z księżycowych meduz.

Becca upiła łyk i rzekła:

– Jest doskonała. Chciałam wam podziękować... nie tylko za zupę. Dziękuję za uratowanie mi życia.

– Proszę bardzo. – Elisabetta wzruszyła ramionami. – Taką mamy pracę.

– Nieźle wkurzyłaś Williwawa – przyznał Marco. – Zdobyłaś to, czego szukałaś?

Becca się zawahała. Nie powinna mówić zbyt wiele na temat talizmanów.

– W porządku, Becca. Mahdi opowiedział Nerowi o talizmanach, a Nero powtórzył mnie. On nam ufa, a my ufamy jemu – zapewnił.

Becca instynktownie sięgnęła do kieszeni i zdała sobie sprawę, że nie ma na sobie kurtki. Rozejrzała się dokoła z niepokojem. Marco najwidoczniej zrozumiał jej intencje, bo właśnie podniósł coś z ławki za swoimi plecami. Gestem ręki poprosił Beccę o miskę z zupą, a sam podał jej ubranie.

Becca zrozumiała, że Marco i Elisabetta z łatwością mogliby przywłaszczyć sekretnik, gdyby tylko chcieli.

Skarb nadal był w kieszeni.

– Tak – rzekła z wielką ulgą. – Mam go.

– To świetna wiadomość! – zawołał Marco.

– Ale i zła – dodała Elisabetta.

– Dlaczego? – zdziwiła się Becca, wieszając kurtkę na krawędzi zbiornika z wodą. Marco oddał jej miskę z zupą.

– Kiedy cię znaleźliśmy, jeźdźcy śmierci znajdowali się zaledwie trzy kilometry od Achillea – wyjaśniła Elisabetta. – Prawdopodobnie zdążyli już przetrząsnąć wrak i podsłuchać duchy. Na

pewno żeglarze opowiadali o syrenie, która ukradła coś Williwawowi i została uratowana przez dwoje ludzi w motorówce. Vallerio o wszystkim się dowie. Przekáže informacje Rafe Mfememu, a wtedy to jego będziemy mieli na karku. Jeśli już go nie mamy... On też ma łodzie motorowe.

Marco uśmiechnął się do siostry.

– Tylko jego sternicy nie są tak szaleni jak ty – zażartował.

Elisabetta się roześmiała.

– Nie mam zamiaru ryzykować. Jesteśmy dopiero na południowym Atlantyku, a musimy się dostać aż do Morza Północnego. Po drodze będziemy mijać inne łodzie, które zaopatrzą nas w paliwo, ale nie możemy się zatrzymywać. – Posłała bratu znaczące spojrzenie. – W porządku, Marco?

– W porządku – odrzekł Marco, a Elisabetta wróciła na górny pokład. Marco rzekł do syreny:

– Poprosiłem ją, żeby się zatrzymała i wyłączyła silniki na czas posiłku i odpoczynku, ale ona ma rację. Musimy płynąć dalej. Mfeme może się tu pojawić w każdej chwili.

Oboje usłyszeli głuchy chrobot oznaczający, że kobieta odpaliła silniki Marlina. Wcisnęła gaz i po chwili byli już daleko.

– Zostawię cię – uznał Marco. – Ty też odpocznij. El zapomniała swojej kawy. Pójdę jej ją zanieść.

– Co to jest kawa?

– Napój bogów. Przynajmniej według terragogów – zażartował Marco. – Nie powinnaś go próbować, jeśli masz zamiar się przespać. – Uśmiechnął się, po czym dodał: – Sen dobrze by ci zrobił. Jesteś już bezpieczna.

Becca pokiwała głową. Miała ciężkie powieki. Całe ciało ją bolało i było wyczerpane.

„Jesteś już bezpieczna”.

Kiedy spojrzała w jego zatroskane oczy, pierwszy raz od kilku miesięcy Becca naprawdę w to wierzyła.

## Rozdział 53

**C** IEMNOŚĆ BYŁA ŻYWYM stworzeniem, uważnym, czającym się. Oczami i zębiskami.

W niej poruszały się zwierzęta, widzące, ale niewidziane. Ling czuła ich obecność. Była w Głębi, około dwóch kilometrów od obozu pracy, tam, gdzie według obliczeń jej ojca mogła się znajdować układanka.

Trzymała w dłoni grubą księżycową meduzę, która stanowiła jej jedyne źródło światła. Nie mogła rzucić choćby najprostszej *illuminaty*. Nie mogła rzucać żadnych zaklęć. Jad morskiej osy osłabił ją tak bardzo, że prawie straciła zdolności magiczne. Nawet jej talent rozumienia mowy innych zwierząt jakby osłabł. Mówiła jedynie garstką prostszych języków. Teraz oświetlała światłem meduzy południową część Głębi i wypatrywała talizmanu Sycorax. Poruszała się w przód i w tył przy jednym fragmencie ściany i nie znalazłszy niczego, przemieszczała się dalej.

W pewnej chwili poczuła w głowie ostre ukłucie bólu.

„Choroba głębokościowa – pomyślała. – Zaczyna się”.

Nie była zaskoczona. Tkwiła tu już od dziesięciu godzin. Znała symptomy: ból głowy, mdłości, a na koniec dezorientacja. Później było już tylko gorzej. Ofiarom choroby brakowało tlenu. Kaszlały krwią i traciły koordynację ruchową. Zwykle wykańczał je wylew krwi do mózgu. To... albo uduszenie.

Po tym jak Ling rozstała się z wielką płaszczką, wpłynęła do jaskini i spędziła w niej dwa dni. Schorowana i roztrzęsiona czekała, aż z jej ogona zejdzie opuchlizna. Trzeciego dnia z jaskini wypędził ją głód. Znalazła trochę ikry i gorzkie wodorosty, które pochłoneła łapczywie. Jedzenie dodało jej energii i siły, więc czwartego dnia mogła już wyruszyć na poszukiwanie talizmanu.

Ling wiedziała, że ma szczęście, iż w ogóle przeżyła. Mimo to nie czuła się szczęściarą. Nie miała pojęcia, ile jeszcze przyjdzie jej czekać na odzyskanie pełni magii ani czy w ogóle do tego dojdzie. Ta ostatnia myśl była tak zatrwajająca, że syrena nie mogła jej znieść.

Teraz nurkowała coraz niżej wzdłuż południowej ściany Głębi, macając płetwą ogonową skupiska wieloszczetów, by zbadać, czy czasem kulista układanka nie wylądowała między nimi, a także sprawdzała wszelkie małe groty i zagłębienia.

Poczuła falę zawrotów głowy. Zamknęła oczy i zaczęła, aż nieprzyjemne uczucie przejdzie, a po chwili zaczęła się śmiać. Właśnie szukała kuli wielkości dłoni... w Wielkiej Głębi!

– Postradałam zmysły – powiedziała na głos.

Talizman mógł wylądować na każdej z miliona półek skalnych biegnących wzdłuż obu stron Głębi. Mógł być zakopany w gęstym mule albo wciśnięty w wąską szczelinę. Mógł także

znajdować się dużo niżej i ciągle spadać. Według legendy Głębia nie miała dna.

– To całkowite wariactwo – dodała, nie przestając chichotać. – To niemożliwe!

Śmiała się tak bardzo, że zaczynało jej brakować tchu, co przypomniało jej, że choroba głębokościowa zaczyna się nasilać.

– Wpadasz w histerię – powiedziała sobie. – Weź się w garść. Natychmiast.

Ling była silna i dobrze o tym wiedziała. Silne syreny nie tracą głowy i nie załamują się, lecz wykonują swoje zadania. Zanurkowała głębiej. W skale poniżej znalazła niewielki otwór. Trzymając meduzę jedną ręką, drugą dłonią chwyciła się krawędzi skały i zajrzała do jamy.

Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy rzuciło się na nią zwierzę o kościstym pysku i szeroko otwartej paszczy. Ostre zębiska wielkiego anoplogastra minęły ją o centymetry. W panice Ling instynktownie uniosła ręce do twarzy i upuściła meduzę, za którą skoczył drapieżnik.

– Nie! – wrzasnęła Ling.

Było już za późno. Ryba zatrzasnęła szczęki na smakowitej meduzie i połknęła ją w całości.

Ling nie wiedziała, jaki był następny ruch ryby, ponieważ nic nie widziała. Woda wokół niej była nieruchoma i cicha, a ciemność przytłaczająca. Syrena czuła się tak, jakby została pożarta, podobnie jak przed sekundą meduza.

Słyszała tylko własny oddech, szybki i płytki. Znów ogarnęły ją mdłości. Tym razem były tak silne, że zrobiło jej się bardzo niedobrze. Kiedy spazmy w końcu ustały, zdała sobie sprawę, że nie ma innego wyboru niż powrót na górę. Jej oddech był nierówny. Musiała go ustabilizować. Musiała też znaleźć nowe źródło światła.

Syrena popłynęła wyżej, lecz po kilku ruchach stwierdziła, że woda zamiast się ocieplać, ochładza się. Czyżby płynęła w dół, nie w górę?

Znów poczuła zawroty głowy. Próbowwała się zbliżyć do ściany, płynąc z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Gdyby udało jej się dotknąć skały, może zdołałaby opanować zawroty, ale ściany nie było w jej zasięgu. Ling tkwiła teraz w ciemnej głębinie, nie mając pojęcia, co się dzieje wokół.

Wtedy ujrzała światło.

– Dzięki bogom! – zawołała, płynąc ku niemu. – Hej, zaczekaj! Tu jestem!

Światło pojaśniało. Zbliżało się do niej. Ling przyspieszyła, aby jak najszybciej znaleźć się przy nim.

Światło trzymał mężczyzna. Człowiek. Blondyn o czarnych oczach. Z czarną perłą wiszącą na szyi.

– Witaj ponownie, Ling – rzekł.

– Nie! – krzyknęła syrena.

Ujrzała twarz ze swoich koszmarów. Twarz potwora.

Orfeo.

## Rozdział 54

**N**IE – WYSZEPTAŁA Ling. – To niemożliwe.  
Orfeo był przy niej w Głębi.

Syrena krzyknęła, odwróciła się i popłynęła co sił w przeciwnym kierunku, ale wtedy stanęła oko w oko z kimś jeszcze potworniejszym.

Z Morsą.

Bogini płynęła ku Ling, kręcąc swoim węzowym ogonem, a jej usta bez warg wykrzywiły się w uśmiechu. Skorpiony otaczające jej głowę uniosły jadowite ogony.

– Czyżbyś przyniósł mi ofiarę, Orfeo? – spytała oschłym głosem. – Zawsze można liczyć na tak wiernego sługę.

Ling krzyknęła. Próbowwała uciec przed Morsą i Orfeem, ale gdziekolwiek się zwróciła, byli tam oni, w zasięgu ręki.

Jęcząc, zamknęła oczy i zwinęła się w kłębek, czekając, aż spadnie na nią ciężka ręka mężczyzny lub zabójcze żądło Morsy.

Niczego jednak nie poczuła.

Powoli otworzyła oczy. Orfeo i Morsa zniknęli.

– W ogóle ich tu nie było – rzekła do siebie. – To tylko halucynacje.

Ling wiedziała już, że musi wracać. Natychmiast. Gdyby tylko udało jej się znaleźć stworzenie, które nie jest drapieżnikiem, a które wskazałoby jej właściwą drogę! Potrzebowała pomocy, ale bała się o nią poprosić. A jeśli przywoła kolejnego anoplogastra... albo coś jeszcze gorszego?

„Zginę tutaj – pomyślała. – Całkiem sama”.

Ling pomyślała o Serafinie i reszcie. O tych, którzy na nią czekali i na niej polegali. Pomyślała o zamkniętym w obozie ojcu, który również wiązał z nią nadzieje. Pomyślała o braciach. Czy w następnej kolejności zostanie napadnięta ich wioska? Czy i oni trafią do obozu pracy?

Pomyślała o matce. Najbardziej bolało ją to, że nie mogła się z nią pożegnać.

Syrena rozstała się z nią w złości, zdenerwowana jej milczeniem. Ale teraz zdała sobie sprawę, że właśnie tak ona sama czuje się w Głębi: wystraszona, samotna, zdesperowana. Dokładnie takie uczucie miała jej matka każdego dnia swojego życia.

Ling ceniła w sobie i w innych takie cechy jak siła i hart ducha, ale teraz się przekonała, że czasami każdy może odczuwać strach, samotność lub mieć zranione serce. W takich chwilach te

osoby potrzebują siły innych.

Tutaj zrozumiała to po raz pierwszy.

Wzięła głęboki oddech, po czym krzyknęła na cały głos:

– Halo, czy ktoś tu jest? Ktokolwiek? Czy ktoś może mi pomóc? Szukałam łamigłówek w kształcie kuli, ale się zgubiłam. Jestem chora i wystraszona. Muszę się stąd wydostać!

Nikt nie odpowiedział.

Nie od razu.

Wtem Ling coś usłyszała, a po kilku sekundach zobaczyła głęboko pod sobą jakąś postać.

Było to dziwne stworzenie o szczupłym, zakręconym ciele z tysiącem lśniących macek. Po chwili dołączyło do niego więcej podobnych zwierząt.

Syrena widziała kiedyś na niebie widowisko, które ludzie nazywają fajerwerkami. Te stworzenia wyglądały właśnie jak takie świecące wybuchy pośród ciemności. Płynąc w górę, mówiły coś, a ich język brzmiał jak piękna, tajemnicza muzyka.

– Patrz! – wołały istoty. – Patrz! Patrz! Patrz!

„Możliwe, że to znów halucynacje” – uznała Ling.

Nadpłynęło więcej stworzeń, których światło oświetliło ciemną wodę. Ling dostrzegła, że unosi się bardzo blisko ściany.

– Jesteście tu naprawdę? – spytała.

– Patrz! – śpiewały istoty. – Patrz! Patrz!

Posłuchała ich. Mimo pulsującego bólu głowy i zawrotów syrena pływała tam i z powrotem, przeszukując jamy i szczeliny. Jej ciało błagało o tlen, kiedy penetrowała muliste zapadliny, odganiała stadko belon czy zagłębiała w gęstwinę wstężnic. W końcu ją ujrzała. Kilka metrów przed sobą. Na półce skalnej.

Niewielka biała kula.

Ling próbowała się do niej zbliżyć, ale dopadł ją atak bolesnego kaszlu. Syrena wypluła krew. Ponowiła próbę i tym razem jej się udało. Z uśmiechem podniosła talizman. Kula była wyrzeźbiona z masy koralowej i zawierała w środku mniejsze kule. Zewnętrzną kulę ozdobił wizerunek Feniksa.

Zacisnąwszy palce na skarbie, Ling usiłowała wrócić na górę, ale opadła z sił. Nastąpił kolejny atak kaszlu. Gdy minął, oddychała z największym trudem.

Dziwne świecące stworzenia zaczęły nurkować.

– Nie! – zacharczała Ling. – Proszę! Zostańcie! Potrzebuję was! Nie mogę tu umrzeć. Proszę, pomóżcie.

Po tych słowach z ciemności wyłonił się kolejny anoplogaster. Był dwukrotnie większy od tego, który ją wcześniej zaatakował, a jego zęby miały piętnaście centymetrów długości.

Ling zamknęła oczy w oczekiwaniu na śmierć.

Ta jednak nie przyszła. Ryba zanurkowała pod nią i wielkimi zębiskami chwyciła jej tunikę. Syrena poczuła, jak unosi się z półki skalnej w kierunku skraju Głębi.

Pojawiła się także żabnica, z której czaszki wystawała cienka, patykowata tyczka zakończona błękitnym światełkiem. Ryba, oświetlając drogę, płynęła ku powierzchni, a anoplogaster podążał za nią. W miarę zmniejszania się głębokości ścisk w klatce piersiowej syreny stawał się lżejszy. Zawroty głowy ustępowały. Trzymała talizman pewniej.

Pół godziny później była z powrotem na skraju Głębi. W oddali błyskały światła. Ling wiedziała, że pochodzą z obozu pracy. Musiała uciekać jak najdalej stąd.

– Dziękuję – zwróciła się do żabnicy i anoplogastra. Targały nią tak silne uczucia: wdzięczność, ulga, podziw, że ten jeden raz nawet ona nie potrafiła się wysłowić. – Ura...towaliście mi życie.

– Wiemy, dlaczego szukają białej kuli. Słyszeliśmy, co mówią – wyjaśnił anoplogaster, wskazując głową obóz. – Nie pozwolimy im zwyciężyć. Ruszaj, syreno. Uratuj jeszcze więcej istnień.

Ling pokiwała głową. Odprowadziła wzrokiem dwie ryby, a następnie zaczęła długą podróż. Miała zamiar udać się do Miromary i spotkać się tam z Serą. Przygotować się na wojnę.

Ale najpierw powinna zrobić jeden przystanek. Aby dać swoją siłę tej, która jej potrzebowała. Aby naprawić pewne sprawy.

Ling zawróciła i udała się do domu.

## Rozdział 55

**M**ARCO, MASZ PEWNOŚĆ, że naprawdę nie jesteś syrenem przebrany za człowieka? – droczyła się Becca.

Pływali razem w oceanie. Marco, leżąc na plecach, uniósł nogi i pomachał palcami u stóp. Becca ujrzała między nimi błony.

– O rany! – zaśmiała się.

– Mutacja genetyczna – wyjaśnił. – Wszyscy mężczyźni z Contorinich tak mają.

Zanurkował, po czym wypłynął tuż przed syreną i ochlapał ją wodą.

– Naprawdę? – Becca popatrzyła na niego wymownie, po czym uniosła ogon i uderzyła nim o wodę. Niewiele brakowało, by Marco się utopił.

Doża starł wodę z twarzy i wspólnie odpłynęli. Mężczyzna nalegał, by codziennie w południe kotwiczyli łódź na godzinę. W tym czasie on miał przygotowywać drugie śniadanie, Elisabetta drzemać, a Becca pływać w morzu.

– Potrzebujesz ruchu – powiedział. – Musisz rozruszać wszystkie obolałe miejsca, bo inaczej będziesz miała skurcze.

Becca opuszczała łódź przez niewielką szluzę w kadłubie, leżącą tuż pod zbiornikiem ze słoną wodą.

Tego dnia Marco zdjął koszulkę i odsłaniając opalony tors, wskoczył do wody razem z nią. Becca nie mogła wyjść z podziwu, jak swobodnie i dostojnie porusza się w wodzie.

Zerwał się silniejszy wiatr, wzburzając wyższe fale, ale nawet to było dla Bekki fantastyczną odmianą po długotrwałym siedzeniu w ciasnym zbiorniku Marlina. Kiedy dołączył do niej Marco, było jeszcze przyjemniej.

Pływając, rozmawiali. Becca poznała go zaledwie przed czterema dniami, ale wydawało jej się, że zna go całe życie. Nigdy nie brakowało im tematów do rozmów.

– Jakież wieści na temat Avy? – spytała.

– Niestety żadnych. Amerykańscy Wojownicy Fal dotarli do Missisipi, ale jeszcze jej nie odnaleźli. Bagna są gigantyczne, a ona może być wszędzie. Znam ich szefową, Allie Edmonds. Szybko się nie podda.

– A Ling?

Marco pokręcił głową.

Becca posmutniała. Obawiała się najgorszego. Za każdym razem, gdy wracała do morza,



próbowała połączyć się *convocą* z przyjaciółkami, ale nigdy jej się to nie udało. To zakłęcie było niezwykle trudne i najlepsze efekty przynosiło, gdy kilka osób wykonywało je wspólnie.

– Słyszeliśmy za to, że u Astrid wszystko w porządku – zmienił temat Marco. – Podobno w towarzystwie Desideria, brata Serafyny, zmierza w kierunku Karg.

– Nareszcie jakieś dobre wieści! – uradowała się Becca.

– Ciebie też tam zawieziemy – obiecał mężczyzna. – Nie wątp w to ani przez minutę.

– Nie wiem, jak wam dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiliście – rzekła Becca.

Marco wzruszył ramionami.

– Nie musisz nam dziękować. Taką mamy pracę.

– Jednak muszę – upierała się syrena. – Gdyby nie wy, nie byłoby mnie tutaj.

Mężczyzna popatrzył na nią i rzekł:

– Nawet nie chcę o tym myśleć.

Jego pełen napięcia wzrok hipnotyzował ją. Przez chwilę wydało jej się, że ujrzała w nim coś więcej niż tylko troskę o przyjaciółkę. Szybko odwróciła wzrok z zażenowaniem.

– I co zrobicie? – spytała, zmieniając temat. – To znaczy, co zrobicie po dotarciu do Karg?

– Wrócimy na Pacyfik, gdzie pomagaliśmy morskim zwierzętom. Starszy Qin i jego siły nie dają rady. To nieprzyjemne miejsce, Becco. Ptaki jedzą tam kawałki plastiku, który mylą z rybami. Od tego niszczą się im żołądki. Delfiny zaplątują się w sieci rybackie i umierają. Żółwie połykają foliowe torebki, które biorą za meduzy. Folia zapycha im jelita i umierają z głodu.

Spojrzenie Marca zmieniło się, kiedy o tym opowiadał. Becca słyszała w jego głosie gniew i smutek.

– Ludzie tego nie rozumieją, ponieważ większość z nich nie widzi, jak bardzo zanieczyszczone są morza. Jeśli ktoś wyrzuci śmieci w Alpach, w Serengeti czy w Wielkim Kanionie, od razu podnosi się larum.

Obok nich przepłynął właśnie żółw morski. Marco wyciągnął rękę i powiódł nią po imponującej skorupie zwierzęcia.

– Czy to życie nie jest warte więcej niż worek foliowy? – spytał, patrząc na odpływające stworzenie.

– Oczywiście, że jest – rzekła łagodnym tonem Becca.

– Wody tego świata kryją w sobie miliony gatunków, których jeszcze nie odkryliśmy. Miliony. Są pod wodą równiny, góry i rowy, których nie nakreśliliśmy na mapach. I niszczymy je...

Pokręcił głową, nie kończąc zdania. Kiedy się opanował, dodał:

– Elisabetta kończy w przyszłym roku szkołę. Następnie będzie mogła kontynuować pracę naszego ojca, czyli wytaczanie procesów tym, którzy zatruwają oceany. Ja kończę studia za trzy lata, jeśli jeszcze na nie wrócę. Wtedy zamierzam udokumentować zniszczenia i obudzić sumienia ludzi. Może moje pokolenie zdoła osiągnąć to, czego nie udało się mojemu ojcu. Taką

mam nadzieję, bo to jedyna szansa dla oceanów.

Becca była poruszona żarliwością mężczyzny, a także zaskoczona. Nie miała pojęcia, że istnieją ludzie, którzy tak bardzo troszczą się o morza i ich mieszkańców. Nie wyobrażała sobie także, że ją samą mógłby obchodzić los terragoga.

„Jako przyjaciela – dodała pospiesznie w myśli. – Dlaczego nie? Ocalił mi życie, a później on i Elisabetta byli dla mnie tacy mili”.

Fale poniosły ich z powrotem do łodzi. Becca usłyszała na pokładzie kroki i podniosła wzrok. Na dziobie stała Elisabetta z lornetką przy oczach.

– Widziałaś coś, El?! – zawołał Marco.

– Mantę i ławicę bassów – odparła.

Marco zauważył mantę w odległości kilkunastu metrów.

– Pościgajmy się! Ostatni przy mancie jest zgniłym jajem kałamarnicy! – zawołał do Bekki.

Oboje zanurkowali. Becca rzuciła się w kierunku manty, pewna, że wygra wyścig, ale mężczyzna był tuż za nią. Płaszczka zauważyła ich. Ponieważ nie miała ochoty na zabawę, machnęła ogonem i się oddaliła.

Becca się zaśmiała. Nagle przypomniała sobie, że ma do czynienia z człowiekiem, nie syrenem. Popatrzyła na niego zmartwiona – przecież powinien wypłynąć na powierzchnię. Zrozumiał troskę w jej oczach, ale pokręcił głową i pokazał jej uniesiony w górę kciuk.

Nagle uwagę syreny przykuł ruch z jej prawej strony. Z głębin coś się wyłoniło i poruszało w ich kierunku. Przypominało to odłamek podwodnej góry, który oderwał się od dna i swobodnie dryfował.

Becca chwyciła Marca za rękę, a drugą dłonią wskazała dziwny obiekt. Mężczyzna powiódł wzrokiem tam, gdzie mu pokazała, i otworzył szeroko oczy. Uśmiechnął się przy tym promiennie.

Płetwal błękitny był tak cudowny, a jego pieśń tak przepiękna, że serce syreny wypełniło się radością. Poczwała, jak Marco silniej zaciska palce na jej dłoni, i wiedziała, że czuje to samo co ona. Zwróciła się do niego i zauważyła, że mężczyzna wcale nie podziwia wieloryba, lecz ją. Cały czas trzymał ją za rękę i zaczął się zbliżać do jej ciała.

Nagle Becca odniosła wrażenie, że brakuje jej powietrza, ale było to przyjemne uczucie. Zauważyła, że Marco także ma kłopoty z oddychaniem, nawet trochę poważniejsze. Zaczęła płynąć w kierunku powierzchni i pociągnęła go za sobą. Syrena i mężczyzna wynurzyli się z wody i Marco wreszcie zaczerpnął powietrza.

Sekundę później chwycił ją za obie dłonie i rzekł:

– Becca, muszę ci coś wyznać...

Patrzył na nią tym samym spojrzeniem co wcześniej. Po raz kolejny Becce wydało się, że ten wzrok oznacza nie tylko przyjaźń. Jej tętno przyspieszyło. Ona także czuła do niego coś więcej niż przyjaźń, choć tego nie chciała. Wiedziała, że takie uczucie między mężczyzną a syreną to zły pomysł. Bardzo zły.

– O co chodzi, Marco? – spytała niemal ze strachem.

– Wydaje mi się...

Dalsza część odpowiedzi została zagłuszona przez nagły, pełen lęku krzyk.

– Marco! Becca! Natychmiast wracajcie do łodzi!

Elisabetta biegła na mostek kapitański.

– Dwie motorówki od sterburty. To Mfeme!

– Szybko, Becca! – polecił Marco, popychając syrenę w kierunku łodzi.

Becca zanurkowała, wpłynęła pod łódź i wskoczyła na wąską platformę wystającą z kadłuba. Ustawiła się tak, jak ją uczył Marco, i nacisnęła zielony przycisk. Platforma wpłynęła do środka, zamykając szczelnie kadłub. Becca otworzyła drugą śluzę, wskoczyła do zbiornika z wodą, a na koniec zatrzasnęła śluzę.

– Jest w środku! – krzyknął Marco. – Płyn, El!

Elisabetta ruszyła. Morze było wzburzone, więc motorówka podskakiwała na falach.

– To mnie chcą dorwać – rzekła Becca. – Marco, otwórz śluzę. Wskoczę stąd i ucieknę.

– Nie ma mowy. Właśnie tego by sobie życzyli – odparł mężczyzna. – Założę się o wszystkie pieniądze świata, że na pokładach mają jeźdźców śmierci gotowych rzucić się za tobą w pogoń.

Usłyszeli, jak Elisabetta dodaje gazu.

– Próbuje im uciec – wyjaśnił Marco.

Becca przykucnęła w swoim zbiorniku, którego przezroczyste ściany pozwalały jej obserwować ocean. Wiatr się wzmógł i fale były coraz wyższe.

Marco wyjrzał przez śluzę i zaklął.

– Nie jest dobrze – oznajmił nerwowo, wróciwszy do Bekki. – Blokują nas. Próbują odciąć nam drogę ucieczki.

– Trzymajcie się! – krzyknęła Elisabetta. – Będzie trochę trzęsło!

Silniki ryczały głośno. Marlin płynął znacznie szybciej, niż powinien przy takiej pogodzie.

– Marco, co się dzieje? – spytała ze strachem Becca, trzymając się kurczowo obu brzegów zbiornika, ponad którymi przelewała się woda. – Gdzie są łodzie Mfemego?

Mężczyzna znowu wychylił głowę przez śluzę.

– Tuż przed nami i z boku! – krzyknął.

– Tuż przed nami i z boku? Ale przecież pędzimy ze sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę! – zawołała Becca.

– El spróbuje nad nimi przeskoczyć. Fale posłużą nam jako rampa. Jeśli wyskoczymy w pełnym pędzie, może uda nam się uciec – tłumaczył Marco, krzycząc.

– A jeśli się nie uda? – krzyczała równie głośno Becca.

Marco nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili odwrócił się do niej i odrzekł:

– To zginiemy.

## Rozdział 56

**M**ARCO, BECCA, PRZYGOTUJCIE SIĘ! – krzyknęła Elisabetta.

Marco usiadł bokiem w swoim fotelu i przerzucił ramię przez jego oparcie. Becca chwyciła się zbiornika obiema rękami. Usłyszała jęk silników oznaczający, że Elisabetta pchnęła rączkę gazu do samego końca.

Marlin niemal stanął dęba, zbliżając się do ogromnej fali, która chwyciła motorówkę i wyniosła ją na sam szczyt, po czym pozwoliła łodzi przelecieć nad łodziami Mfemego. Kiedy z hukiem wylądowała ponownie w wodzie, jej wirniki kontynuowały pracę i Marlin się oddalił.

Marco wbiegł na pokład, a po kilku sekundach Becca słyszała jego śmiech i wiwaty.

– Dobra robota, El! – wołał.

– Co się dzieje? – spytała Becca.

Marco wrócił pod pokład z wypiekami na twarzy i z błyskiem w oku.

– Dwóch kapitanów Mfemego próbowało nas ścigać – oznajmił. – Ale zanim zdążyli się obrócić, następna fala uderzyła w ich burty. Jedna łódź się wywróciła, a druga zatонуła. Topią się!

Mięśnie Bekki rozluźniły się z ulgą. Sprint do łodzi, a potem świadomość, że wkrótce czeka ją śmierć, wypędziły z jej głowy wszystkie myśli. Teraz, gdy znów mogła normalnie myśleć, słowa Marco wypowiedziane, zanim Elisabetta zamieniła Marlina w latającą rybę, wróciły ze zdwojoną mocą.

– Marco?

– Tak? – mężczyzna wyglądał przez okno.

– Wcześniej chciałeś mi coś wyznać. Zanim Elisabetta kazała nam wracać. O co chodziło?

Syrena denerwowała się, co może usłyszeć w odpowiedzi, ale chciała wiedzieć. Musiała wiedzieć. Jeśli on czuł to co ona, oboje mogli się spodziewać problemów. Podobne relacje zdarzały się od czasu do czasu, ale nigdy nie kończyły się dobrze. Syreny nazywały takie związki mokro-suchymi. Becca mogła sobie już teraz wyobrazić wszystkie pogardliwe uwagi.

Marco zbliżył się do niej. Był opalony, ale syrena zauważyła, że lekko się zarumienił. Po chwili zmierzwił dłonią włosy.

– Wcześniej? Hmm... zapomniałem – rzekł. – Może... Pewnie to, że według moich obliczeń niedługo dotrzemy do Karg. Tak, o to chodziło. Trzy, cztery dni. Nie więcej. To dobre wieści, co? – dodał, uśmiechając się z satysfakcją.

– Bardzo. – Becca pokiwała głową, odpowiadając równie serdecznym uśmiechem.

Pomyliła się. Marco nie czuł do niej niczego ponad przyjaźń. Dzięki bogom.

– No tak... Sprawdzę, co słychać u El. Upewnię się, że na górze wszystko jest w najlepszym porządku.

– Zrób to – zgodziła się Becca.

Mężczyzna wspiął się po drabince i zniknął.

Becca odprowadziła go wzrokiem i poczuła ulgę.

A także niebywały, beznadziejny smutek.

## Rozdział 57

**L**UCIA WZIEŁA GŁĘBOKI oddech, po czym nacisnęła rzeźbioną figurkę delfina stojącą na kominku w pokoju gościnnym jej matki. Sekretne drzwi po lewej stronie kominka z lawą otworzyły się.

Po cichu dziękowała odrażającemu Baco Godze za pokazanie jej tych drzwi oraz sieci tuneli, do której prowadziły. Pod nieobecność matki zrobiła z nich doskonały użytek.

Trzymając w dłoni pochodnię z lawą, wpłynęła do przejścia, zamknęła drzwi i ruszyła jednym z tuneli. Przez ramię miała przerzucone ubrania Mahdiego, które wykradła z jego komnaty w czasie, gdy był nieobecny. Nie było jej trudno się tam dostać. Wystarczyło wsunąć w dłoń pokojówki kilka muszelek.

Żałowała, że nikt nie towarzyszy jej w tej wędrówce przez tunele, ale teraz, gdy już nie było Bianki, nie istniała osoba, której mogła powierzyć swoją tajemnicę. Na wspomnienie przyjaciółki ogarnęło ją lodowate, przejmujące poczucie winy. Lucia bez mrugnięcia okiem złożyła ją w ofierze Kharis. Czasami w sennych koszmarach słyszała jeszcze krzyki Bianki.

Teraz otrząsnęła się, zapominając o sumieniu. Najważniejsze dla królestwa było szczęście królowej. W swoich ostatnich chwilach życia Bianca na pewno cieszyła się, że wypełniła swój obowiązek.

– No i po małej rybce. Bardzo małej. A takich w morzu nie brakuje – powiedziała do siebie na głos Lucia, starając się odsunąć od siebie myśli o Biance. Miała teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Ściany tunelu były gęsto porośnięte wodorostami, białymi ukwiałami i innymi organizmami, które świetnie radziły sobie w ciemności. Kiedy Lucia przepływała obok nich, próbowały jej dosięgnąć. W jednym z tuneli na dnie znalazła syrenie kości. Popatrzyła na jedną z czaszek i próbowała odpędzić myśl, że kiedyś ktoś mógłby natrafić tu na jej czaszkę. A mogłoby tak się stać, gdyby zabłądziła. Wokół nie było nikogo, kogo mogłaby poprosić o pomoc.

Po jakiejś godzinie dotarła do celu – labiryntu jaskiń pod Kolisseo, przestronnym amfiteatrem na otwartej wodzie stojącym poza pałacowymi murami. Gdy płynęła w kierunku centralnego pomieszczenia, do światła jej pochodni podpływały i podpełzały przeróżne stworzenia. Usłyszała niskie, głuche trzeszczenie, jakby sterta metalowego złomu nagle ożyła, a następnie dźwięki przypominające uderzenia młota o skały.

– Kto śśśmie zakłócać sssspokój Alithej? – syknął głos. – Twoje kośści zzzzzje ona, intruzie. Twoją krew będzie piła.

Lucia zatrzymała się, sparaliżowana głosem anarachny. Nienawidziła tego potwora i okropnie się go bała, ale teraz był jej potrzebny. Jaskinia Alitheii była jedynym miejscem w Cerulei, do którego nikt nie odważyłby się wpłynąć. Nikt poza Lucią.

Alitheia była gigantycznym pajakiem z brązu połączonego z krwią. Ta bezlitosna morderczyni zabijała wszystkie syreny, które ośmieliły się do niej zbliżyć, poza reginami Merrovingii. Alitheia została stworzona przez Moruadh oraz bogów, aby uniemożliwić uzurpatorom możliwość zasiadania na tronie Miromary. Lucia przełknęła ślinę i własne lęki i podpłynęła bliżej.

– Alitheio, przed tobą Lucia, twoja regina! Mam nadzieję, że dobrze strzegłaś mojej własności!

Syrena usłyszała rozziewający uszy ryk, a następnie dudnienie. Wiedziała, że pajęczycza jest wściekła.

– Nie ma kości dla Alitheii! – zawyla bestia.

– Dostaniesz swoje kości, pajęczyczo – obiecała Lucia, wpływając do jaskini. – Lochy mojego ojca są pełne zdrajców.

Alitheia podpełzła do Lucii. Była potężna. Miała cienkie długie odnóża zakończone ostrymi jak brzytwa pazurami, ośmioro czarnych oczu i długie, zakrzywione kły. Lucia uniosła wysoko kulę z lawą, na wypadek gdyby anarachna zapomniała, z kim ma do czynienia. Jedyną rzeczą, jakiej bał się potwór, była lawa.

– Gdzie maligno? – zapytała Lucia.

Alitheia wskazała tył swojej groty.

– Nie ma kości, nie ma krwi. Nie ma sssserca, nie ma duszszczy – mówiła z goryczą.

Lucia podpłynęła do maligna, mijając zwisające z brązowego sklepienia kokony. Większość z nich była nieruchoma, ale wewnątrz niektórych ktoś jeszcze się poruszał.

Trzy noce wcześniej Kharis przekazała swoje dzieło Alitheii. Jaskinia była doskonałą kryjówką.

– Jesteś doskonały – rzekła Lucia do magicznego tworu, wodząc pomalowanym na karmazynowy kolor paznokciem po jego policzku. – Nikt nigdy nie zobaczy różnicy między tobą a prawdziwym Mahdim.

Maligno patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

– Załóż to – poleciła Lucia, podając mu przyniesione ubrania.

Maligno pokiwał głową. Zdjął tunikę, w którą ubrała go Kharis, po czym przywdział białą koszulę i czarną marynarkę Mahdiego.

Lucia zapięła guziki i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Wkrótce... – wyszeptała do maligna. Następnie zwróciła się do pająka: – Żegnaj, Alitheio. Strzeż mojej własności, a sownie cię wynagrodzę.

– Kiedy kości? Kiedy krew? – spytała niezadowolona bestia.

– Już niedługo – odparła Lucia, opuszczając jaskinię. – Bardzo niedługo.



## Rozdział 58

**N**IEWIELKA WIOSKA ZWANA Qingshui była cicha i opuszczona. Oświetlało ją światło księżyca, ukazując wąskie nurty i skromną zabudowę.

Ling widziała swój dom, podobnie jak inne stojący na wysokiej skale. Pragnęła szybko się w nim znaleźć, ale wystarczająco dobrze знаła już metody jeźdźców śmierci, więc postanowiła poczekać w ukryciu u podnóża skały. Spędziła godzinę na obserwacji.

Kiedy się upewniła, że żołnierze nie czekają na nią z zasadzką, podpłynęła do domu, mijając mieszkania sąsiadów. W żadnym oknie nie paliło się światło. Było po północy. Wszyscy spali.

Bezszelestnie wpłynęła tylnymi drzwiami. Dom był podłużny, wąski i przyklejony do frontu skały jak pąkle. Mieszkała w nim nie tylko jej najbliższa rodzina, ale też dwie babki i wiele ciotek, wujków i kuzynów.

Ling zatrzymała się w kuchni, chłonąc znajome zapachy domu: perfumy matki, smakowity aromat perłowych ciastek pieczonych przez babcię Wen, a także woń Laty i Zanga, leniwych rekinków psich należących do jej brata. Teraz chrapały smacznie w rogu pomieszczenia. Oba zwierzaki otworzyły po jednym oku, spojrzały na syrenę i powróciły do snu.

Ling ryzykowała, przyplływając tu, ale nie miała wyboru. Musiała zmienić więzienną tunikę na jakieś normalne ubranie, zaopatrzyć się w jedzenie i pieniądze, wziąć lekarstwa. Dwa dni wcześniej opuściła Głębię i do tego czasu nie odzyskała jeszcze zdolności magicznych. Nadal cierpiała na skutek choroby głębokościowej, przez co pływała wolniej. Aby móc ponownie wykonywać zaklęcia, musiała pozbyć się z organizmu resztek jadu morskiej osy.

Był jeszcze jeden, najważniejszy obowiązek, jaki musiała wypełnić – porozmawiać z przygnębioną, milczącą matką.

Ling wpłynęła do swojego pokoju, odsuwając bambusowe drzwi, po czym je zamknęła. Jej łóżko wyglądało tak wygodnie i zachęcająco, że z trudem powstrzymała się przed tym, by wskoczyć do niego, zasnąć i nie wstawać przez tydzień. Nie mogła tak postąpić. Musiała się dostać do Sery.

Szybkim ruchem otworzyła szafę i zdjęła z półki plecak. Włożyła do niego ubrania na zmianę i ciepłą kurtkę. Resztę miejsca chciała przeznaczyć na jedzenie. Zamierzała podróżować z dala od głównych nurtów. Im mniejszy ruch, tym lepiej. Nie mogła pozwolić, by ktoś ją zauważył.

Kiedy Orfeo odkryje, że zbiegła z obozu, wyśle na poszukiwania wszystkich swoich żołnierzy. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było zdradzenie Serafinie prawdziwej tożsamości Rafe Mfemego.

Przebrała się w czyste ubrania, ale najpierw wyjęła z kieszeni koszmarnej więziennej tuniki talizman i umieściła go na dnie plecaka. Następnie wycięła spod materiału obrączkę ślubną taty. Już miała wyrzucić tunikę do kosza, ale po namyśle postanowiła schować ją w mniejszej kieszeni plecaka. Miała zamiar wrzucić ją do pierwszego napotkanego krateru z lawą.

Wróciła do kuchni, wybrała produkty, które nadawały się na dłuższą podróż, po czym schowała je do plecaka. Następnie otworzyła szafkę z lekarstwami i zaczęła szukać czegoś, co mogłoby jej pomóc. Znalazła kremy na skaleczenia i wysypki, syropy na zmęczenie, kaszel i bolące gardło, ale nie było tam nic przeciw jadowi. Odsunęła kilka buteleczek i spostrzegła specjalny eliksir babci Wen. Ling nie miała pojęcia, jaki jest jego skład, gdyż babcia pilnie strzegła przepisu. Elixir zawsze pomagał w chorobie. Wyjęła korek butelki, wypła łyk, zamknęła buteleczkę, po czym schowała ją w plecaku. Zostawiła swój pakunek na ladzie, a sama udała się do pokoju matki z obrączką ojca w kieszeni.

Zhu spała, ale poruszyła się, gdy Ling otworzyła drzwi.

– Mamo? Mamo, obudź się, to ja – wyszeptała.

Oczy kobiety otworzyły się szeroko. Usiadła nagle na łóżku, przyciągnęła do siebie Ling i mocno ją przytuliła. Ling czuła, że matka płacze. Podczas pobytu w Głębi cała złość, którą kiedyś żywiła do mamy, zniknęła. Ling doświadczyła tam na własnej skórze, co to znaczy być słabym i wystraszonym. Zrozumiała, jak ważna jest konieczność polegania na innych. Czasem nawet najsilniejsi potrzebują pomocy.

Syrena bardzo się cieszyła, że jej gniew minął. Dzięki temu miała w duszy miejsce na inne, lepsze uczucia.

– Już dobrze, mamo – rzekła. – Jestem tu. Nic mi nie jest. Chciałam cię przeprosić. Przepraszam, że na ciebie krzyczałam. Przepraszam, że byłam zła. Nie rozumiałam cię, ale już rozumiem. Myślę, że przestałaś mówić, bo nikt cię nie słuchał. Mam coś dla ciebie.

Zhu rozluźniła objęcia, a Ling wyjęła z kieszeni obrączkę, którą następnie położyła mamie na dłoni.

Syrena zmrużyła oczy.

– On żyje, mamo.

Zhu popatrzyła na Ling bez zrozumienia.

– Tata żyje. Jest w obozie pracy na skraju Głębi.

Oczy Zhu otworzyły się szerzej ze strachu.

– Wiesz coś o jeźdźcach śmierci? – spytała Ling. – Widziałaś ich?

Zhu pokręciła głową.

– To żołnierze, którzy pracują dla pewnego potwornego człowieka. Porywają mieszkańców wiosek i zmuszają do poszukiwania drogocennego przedmiotu. – Mówiąc te słowa, instynktownie ściszyła głos. – Tata go znalazł i nie chciał im oddać. Kiedy próbowali mu go odebrać, wrzucił przedmiot z powrotem do Głębi.

Ling nie była pewna, ale wydawało jej się, że matka zaśmiała się cicho.

– Ja też zaszłam im za skórę. I to poważnie. Trafiliśmy do tego samego obozu. Tata pomógł mi uciec. Dał mi to i kazał ci doręczyć.

Dłoń Zhu zadrżała, podnosząc obrączkę.

– Powiedział, że chce, byś jej strzegła, do czasu aż on wróci do domu. Wtedy będziesz mogła jeszcze raz nałożyć mu ją na palec, tak jak podczas Przyrzeczenia.

Do oczu matki syreny napłynęły kolejne łzy. Kręciła głową, nie mogąc pojąć nadmiaru informacji.

– Wszystko zaczęło się od sennych wizji. Widziałam w nich rzeczne czarownice. Pamiętasz, jak ci o tym opowiadałam? Myślałaś, że to zwykłe koszmary.

Zhu powoli pokiwała głową.

– Babcia Wen powiedziała, że jeśli wzywają mnie wiele, powinnam ich posłuchać. Odkryłam, że wokół nas dzieją się złe rzeczy, mam. Te koszmarnie obozy pracy to dopiero początek. Grozi nam większe niebezpieczeństwo. Rzeczne czarownice wezwały mnie oraz pięć innych syren, aby temu zaradzić.

Zhu chwyciła córkę za rękę, jakby chciała ją przy sobie zatrzymać.

– Zostałam wezwana nie bez powodu – ciągnęła Ling. – Ale nie mogę powiedzieć ci nic więcej ze względu na bezpieczeństwo całej rodziny. Jeźdźcy śmierci będą mnie szukać. Jeśli tak się stanie, nikt nie może się dowiedzieć, że tu byłam. Nie mogą się też dowiedzieć o tacie. Ukryj tę obrączkę, na wypadek gdyby chcieli przeszukać dom. Muszę już płynąć.

Zhu gwałtownie pokręciła głową i zaczęła się podnosić z łóżka.

Ling nie pozwoliła jej wstać i raz jeszcze ją przytuliła.

– Im dłużej tu zostanę, tym gorzej dla mnie, dla ciebie i dla wszystkich.

Zhu otarła łzy i kaszlnęła.

Tak przynajmniej wydawało się Ling. Ale nie, to było słowo, wypowiedziane charczącym po tylu latach nieużywania głosem.

– Ling – powtórzyła mama.

Syrena poczuła przypływ silnych emocji. Chciała zostać i rozmawiać z nią bez końca.

– Przepraszam – dodała Zhu.

– Mamo, nie musisz przeproszać. Już rozumiem – odparła Ling. – Po prostu nie zapominaj o nas, dobrze?

– Kocham cię – zaskrzeczała mama. – Proszę... uważaj na siebie.

– Ja też cię kocham, mam. Wrócę. Tata też wróci. Pewnego dnia wszyscy znów będziemy razem.

To mówiąc, Ling pocałowała matkę w czoło. Następnie, w obawie, że jeszcze może się rozmyślić, pospiesznie zabrała z kuchni plecak i opuściła dom. Bardzo pragnęła wierzyć

w swoje ostatnie słowa.

## Rozdział 59

**J**ESTEŚ PEWNA, ŻE tyle jedzenia ci wystarczy? – zwróciła się do Bekki Elisabetta.

Syrena popatrzyła na nią znad okularów.

– Żartujesz sobie? Spakowałaś tyle, że ledwie to udźwignę. A nawet gdyby zapasy mi się skończyły, co się nie stanie, mam pieniądze.

Marlin kołysał się na szarych wodach Morza Północnego. Od ucieczki Bekki, Elisabetty i Marca przed łodziami Mfemego minęły trzy dni.

– Jesteśmy pięć kilometrów na zachód od obozowiska – rzekła kobieta. – Nie możemy sobie pozwolić na podpłynięcie bliżej. Meerteuflowie wyznają zasadę „najpierw strzelaj, potem pytaj”. Jeśli zbliżysz się do obozu od strony dna, nie wzbudzisz podejrzeń. Na wypadek pojawienia się jeźdźców śmierci masz perły niewidzialności i...

Becca objęła kobietę ramionami, nie pozwalając jej dokończyć zdania.

– Przestań się martwić, El. Nic mi nie będzie. Jestem już prawie na miejscu – rzekła, ściskając ją mocno.

Elisabetta odpowiedziała uściskiem, po czym chwyciła syrenę za ramiona.

– Uważaj na siebie – szepnęła.

– Będę uważała. Dziękuję. Gdyby nie ty i Marco, byłabym karmą dla rekinów. Kto wie, co by się wtedy stało z talizmanem. Jestem waszą dłużniczką.

– Nie, Becco, to my jesteśmy twoimi dłużnikami – odparła Elisabetta. – Waszymi. Powstrzymajcie Valleria, Traho i Mfemego. Powstrzymajcie ich, zanim będzie za późno.

Pod pokład zszedł Marco i wręczył siostrze lornetkę.

– Zbiornikowiec z ropą i dwa kontenerowce. To wszystko. Ani śladu żołnierzy Mfemego.

– Dobrze. Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej – uznała Elisabetta.

Popatrzyła na brata, biorąc od niego lornetkę. Podobnie jak Becca widziała, że pomimo uśmiechu na ustach jego oczy są smutne.

– To ja już... pożegnam się z tobą, Becco. Muszę... coś sprawdzić przy silniku – wydukała Elisabetta, po czym pomachała do syreny i wspięła się po drabince.

– To dziwne – rzekła Becca, odprowadziwszy kobietę wzrokiem.

Marco wbił wzrok w podłogę.

– Niezupełnie – rzekł. – Ona wie.

– O czym? – spytała Becca.

Mężczyzna podniósł wzrok.

– O tym, że coś do ciebie czuję.

Becca straciła oddech. Sądziła, że coś sobie uroiła, i postanowiła odsunąć myśli o Marcu na bok. Tak było bezpieczniej. Zadurzenie się w terragogu nigdy nie było częścią żadnego z jej planów.

– Skłamałem – przyznał się Marco. – Kiedy spytałaś, co ci chciałem powiedzieć, zanim pojawili się ludzie Mfemego, wygląda na to, że stchórzyłem. Chciałem ci powiedzieć, że... Wydaje mi się, że się w tobie zakochałem, Becco.

– Marco, przecież wiesz, że jestem syreną, prawda?

– Nie zauważyłem – uśmiechnął się.

– A ty jesteś człowiekiem. Nieważne, co czujemy...

– Więc ty czujesz to samo? – spytał z nadzieją.

Becca nie odpowiedziała, lecz dokończyła swoje zdanie.

– ...to niemożliwe.

– Wszystko jest niemożliwe, Becco – rzekł Marco, biorąc ją za rękę. – Zdobycie talizmanów jest niemożliwe. Pokonanie Abbadona jest niemożliwe. Powstrzymanie wielorybników i trucicieli morza jest niemożliwe. Nasze uczucia są niemożliwe...

– Marco, ja...

– Co? Nic do mnie nie czujesz? Jeśli tak, to mi to powiedz i więcej o tym nie wspomnę.

Becca odwróciła wzrok i nie powiedziała nic.

– Wiele rzeczy na tym świecie wydaje się niemożliwe, dopóki ktoś nie sprawi, że staną się możliwe – odparł łagodnym tonem Marco.

Becca nie wiedziała, co powiedzieć. Jej logiczny głos rozsądku toczył bitwę ze zbuntowanym sercem.

– Jesteśmy głupi, Marco – rzekła wreszcie.

Marco się skrzywił.

– Miłość nie może być głupia.

– W takim razie ja jestem głupia.

– Przykro mi, że tak myślisz. – Jej słowa wyraźnie Marca dotknęły.

– Nie chciałam być okrutna. Ale to sprawia mi ból – ciągnęła Becca. – Chociaż ostatnie dni były cudowne, chyba wolałabym, żeby nigdy się nie wydarzyły, ponieważ teraz będzie mi bardzo trudno się z tym wszystkim rozstać. Z tobą.

– Więc się nie rozstawaj.

– Jak to? Odchodzę, Marco. Dołączam do przyjaciółek i zaczynam walkę z jeźdźcami śmierci, dyktatorami i morderczym potworem. Szanse mamy niewielkie, wiesz o tym? Najprawdopodobniej nie wrócę.

Słowa Bekki położyły się między nimi ciężarem.

Marco zamilkł. Becca także. Nie wiedziała, co jeszcze powinna powiedzieć.

Była ekspertką od rozwiązywania problemów. Jako sierota nie miała innego wyjścia. Musiała sobie radzić z okropnymi domami zastępczymi. Kiepskimi posiłkami. Zniszczonymi ubraniami po kimś. Ale teraz, niezależnie od tego, ile razy myślała o swoich uczuciach względem Marca i wyobrażała sobie ich razem, uznała, że z tym sobie nie poradzi.

– Marco... Muszę już iść – rzekła, podnosząc walizkę.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Jeszcze się spotkamy – odparł. – W innym, lepszym miejscu... Kocham cię, Becco.

Do oczu syreny napłynęły łzy.

– Nie mów tego. Nie teraz. To nie w porządku!

– Masz rację – przyznał Marco. – Ale taka jest prawda.

Becca nacisnęła przycisk, który pozwolił jej zejść do śluzy. Właz się otworzył. Zanim wyszła, rzuciła mu jeszcze jedno spojrzenie.

– Żegnaj, Marco.

I zniknęła. Nurkując, zapięła kurtkę pod szyję, nieprzyzwyczajona do chłodu po tygodniu spędzonym w zbiorniku ze słoną wodą.

W uszach dźwięczały jej słowa Marca. „Kocham cię, Becco”.

Nie odpowiedziała mu, ponieważ nie miało to sensu. Ich związek skończył się, zanim mógł się zacząć. Musiała dokonać praktycznego wyboru, jak zwykle. Musiała słuchać głosu rozsądku.

Jednak nurkując w głąb morza, zatrzymała się i spojrzała w górę. W oddali dostrzegła jeszcze kontury Marlina odcinające się na powierzchni. Wydawało jej się, że widzi coś jeszcze. Cień stojącego na dziobie łodzi Marca.

Becca poczuła ścisk w sercu, a następnie wyznała morzu to, czego nie odważyła się powiedzieć mężczyźnie.

– Ja też cię kocham, Marco. Ale, bogowie mi świadkami, wolałabym, żeby było inaczej.

## Rozdział 60

SERA UNIOSŁA KUSZĘ i wymierzyła.

Konger był imponujący. Na oko miał jakieś dwa i pół metra długości i ważył pewnie ze sto pięćdziesiąt kilo. Nie chciała do niego strzelać, ale nie miała wyboru. Wszystkiemu przyglądały się gobliny.

Pomodliła się do bogów o bezbolesną śmierć dla zwierzęcia, po czym wystrzeliła. Węgorz nie wiedział nawet, co się stało. Zginął w sekundzie i powoli opadł na dno.

Chciało jej się płakać, ale odwróciła się do goblinów z triumfalnym uśmiechem.

– Dzisiejszej nocy moi dzielni wojownicy mogą liczyć na wyzerkę! – zawołała w ich języku.

W odpowiedzi usłyszała głośny gardłowy wiwat. Meerteuflowie ucieszyli się z łupu i Sera mogła odetchnąć z ulgą. Powiedziała kucharzowi Antonio, że sama zadba o naprawę stanu zapasów, i spełniła tę obietnicę. Polowania nie tylko zwiększyły ilość pożywienia w obozie, ale pozwoliły dać ujście energii goblinów.

Jeden problem miała z głowy, ale już czekały następne. Nadal brakowało nie tylko jedzenia, ale i broni oraz miejsca w koszarach. Nie wszyscy obiecani przez Guldemara żołnierze zdążyli dotrzeć na miejsce, ale nawet gdyby skompletowała całą armię, Sera wiedziała, że liczbowo nie może się ona równać z siłami jej wuja.

Najbardziej martwiła się losem przyjaciółek. Zadawała sobie mnóstwo pytań. Czy Mahdi jest bezpieczny? Czy jego podstęp nadal działa? Czy Astrid i Desiderio natknęli się w Qanikkaaqu na jeźdźców śmierci? Co się stało z Beccą i Avą? Od czasu, gdy ostrzegła syreny o ruchach wojsk Valleria w stronę przylądka Horn i Missisipi, nie miała na ich temat żadnych wieści. Gobliny wojownicy, których wysłała na te tereny, nie potrafili rzucać *convoki*, więc Sera nie wiedziała, czy wypełnili swoje zadanie.

I jeszcze Ling. Serce Serafiny pękało na jej wspomnienie. Ciągle się łudziła, że reszta syren ma się dobrze i w końcu spotkają się w Karg, ale jej nadzieje związane z Ling powoli się rozwiewały.

Ling miała przecież niezwykły dar komunikowania się. Gdyby żyła, na pewno znalazłaby sposób na nawiązanie kontaktu z Serą. Po raz setny Serafina powiedziała sobie, że czas spojrzeć prawdzie w oczy i pogodzić się ze śmiercią przyjaciółki. Ale w głębi serca nie potrafiła się poddać. „Jesteśmy związane krwią – mówiła sobie. – Gdyby Ling zginęła, razem z nią umarłaby część mnie. A to pewnie bym poczuła?”.

Z zamyślenia wyrwał ją śpiew.



Polowała w towarzystwie setki goblinów. Był wczesny wieczór i morskie stworzenia podływały bliżej powierzchni na żer. Grupa przemieściła się na północ od obozu do miejscowości Skuld's Rise, gdzie podzieliła się na trzy oddziały, przeczesując szerokim wachlarzem wzgórze i płycizny. Umówili się, że spotkają się po dwóch godzinach w miejscu przegrupowania. Oddziałem, w skład którego wchodziła Sera, dowodził goblin imieniem Dreck. Pozostałe grupy prowadzili Totschlager i Garstig. Właśnie nadciągał oddział Totschlagera, śpiewając w rytm marszu. Niektórzy nieśli na barkach grube pnącza krasnorostów, z których zwisały zdobycze.

– Dobra robota – pochwaliła Serafina.

Totschlager uśmiechnął się, ukazując krótkie, połamane zęby. Następnie gobliny z obu grup oglądały łupy kolegów i dyskutowały, jak najlepiej je przyrządzić. Tymczasem Sera zastanawiała się, co się stało z trzecią grupą. Zapadał zmrok i trzeba było wracać do obozowiska. Nie miała ochoty przebywać w otwartej wodzie po ciemku.

– Totschlager, Dreck... gdzie jest Garstig? – spytała.

Goblińscy wodzowie popatrzyli po sobie, a ich uśmiechy ustąpiły miejsca grymasom.

– Powinien być już z powrotem – uznał Dreck.

– Może wpadł w zasadzkę – dodał Totschlager. – Jest dość głupi.

Sera poczuła, jak stroszą się jej pletwy. Zebrała wszystkich i wyruszyli wspólnie na poszukiwania brakującego oddziału.

Po kilku minutach Totschlager wpadł na właściwy trop.

– Poszli tędy – oznajmił, wskazując odciski stóp w mule.

Gobliny i Sera podążali za śladami aż na skraj lasu krasnorostów i już mieli wkroczyć w jego gęstwinę, gdy usłyszeli jakieś głosy. Sera pospiesznie nakazała goblinom się wycofać. Ukryli się za skałami i ułożyli w rowach z bronią gotową do strzału.

Dźwięki stawały się coraz głośniejsze. Liście i gałązki pękały pod naciskiem stworzeń, które poruszały się w lesie. Sera uniosła rękę, a żołnierze wymierzyli broń. Usłyszała po drugiej stronie gęstwiny głosy goblinów, lecz także syren. Czyżby Garstig wpadł w sidła jeźdźców śmierci?

Rośliny na samym skraju lasu zadrżały i wyłonił się z nich Garstig w towarzystwie swoich żołnierzy.

Na rozkaz Sery Totschlager i reszta opuścili broń.

– Garstig, gdzie się podziewaliście? – krzyknęła ze złością syrena, choć jednocześnie poczuła ulgę. Zbliżyła się do niego i dodała: – Baliśmy się, że zostaliście napadnięci!

– Garstig napadnięty? – ryknął urażony goblin. – Nigdy. To Garstig zastawił zasadzkę i złapał nie tylko węgorze. Mamy trójkę szpiegów. Dajcie no te szumowiny! – krzyknął donośnie.

Na jego komendę trzy syreny z rękoma związanymi za plecami zostały brutalnie wypchnięte przed oblicze Serafiny.

– Ale nam zgotowałaś powitanie, Sero – rzekła pierwsza z nich. Była wysoką blondynką w kurtce z foczej skóry, z wściekłym spojrzeniem.

– Witaj, Sero – rzekł drugi szpieg, rudowłosa syrena w okularach.

– Sero, czy to ty? – odezwał się trzeci szpieg, syren o szmaragdowozielonych oczach i miedzianych włosach.

Sera kręciła głową. Była tak szczęśliwa, że nie potrafiła mówić. Podpłynęła do brata i objęła go, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Ledwie cię poznaję. Gdzie masz szaty i klejnoty, siostrzyczko? Gdzie muszle, z którymi się nie rozstawałaś? Gdzie twoje włosy? – pytał Desiderio.

– Już ich nie ma, Des. Nie ma niczego. Nie ma Cerulei. Nie ma pałacu. Nie ma rodziców... – Jej głos się załamał.

– Ciii, Sero. Wiem o wszystkim. Astrid mi opowiadała.

Serafina na jakiś czas spoczęła w objęciach brata. Zamknęła oczy. Jej smutek był zbyt wielki, by mogła go wyrazić słowami. W końcu rozluźniła uścisk.

– Astrid... Becca... – rzekła Sera. – Tak się cieszę, że nic wam nie jest. Że jesteście ze mną. – Mówiąc to, mocno przytuliła syreny.

– Ja też, Sero – odparła rozemocjonowana Becca.

– Okej, świetnie. Nic nam nie jest. Przynajmniej mnie. – Astrid była nieco zażenowana takim publicznym okazywaniem uczuć.

Sera pocałowała ją w policzek, a ta się skrzywiła. Kiedy Serafina ucałowała Beccę, przypomniała sobie, że syreny mają związane ręce. Podobnie jak Des.

– Garstig, uwolnij ich! – rozkazała.

Garstig był zbity z tropu.

– To nie są szpiedzy?

– Nie! To mój brat Desiderio, a to moje przyjaciółki Astrid Kolfinnsdottir i Becca Quickfin. Des, Astrid, Becca... poznajcie Garstiga, Totschlagera i Drecka oraz oddział Meerteuflów.

Gdy Garstig rozcinał pęta jeńców, wśród wojska rozległ się chóralny jęk zawodu.

– O co im chodzi? – spytała skonfundowana Sera.

– Szpiedzy stanowią świetny przysmak, zwłaszcza po upieczeniu i nadzianiu plażowymi śliwkami – oznajmił Garstig.

– Przykro mi, że was zawiedliśmy – rzuciła Astrid.

– Totschlager i Dreck złowili ponad trzydzieści kongerów – rzekła Sera. – Gobliny mogą dziś liczyć na obfitą kolację.

Oczy Garstiga rozblęły.

– Nadziewane śliwkami węgorze też są pyszne – przyznał.

Totschlager prychnął.

– Lepsze będą zawinięte we wstęznice i podlewane atramentem kałamarnicy.

Gobliny zaczęły się spierać, a Sera wróciła do rozmowy z przyjaciółmi.

– Jak się tu dostaliście? – spytała.

– Pomogli mi przyjaciele – rzekła Becca, rozglądając się. – Tak w skrócie. Później ci opowiem. – Sera pokiwała głową i czekała na dalszą część. – Zostawili mnie kilka kilometrów na zachód stąd. Musiałam zanurkować od samej powierzchni i płynąć w dół, spotkałam dwie postacie zmierzające w stronę obozu. Rozpoznałam Astrid i dalej popłynęliśmy razem.

Sera musiała zadać im jeszcze jedno, najważniejsze pytanie. Musiała wiedzieć.

– Becco, czy...

Nie dokończyła pytania, ale nie musiała tego robić.

– Mam ją w kieszeni – odparła z uśmiechem Becca.

Sera prawie krzyknęła z radości.

– Becca, to niesamowite! Mamy już trzy z sześciu! – wyszeptała.

Następnie popatrzyła na Astrid, wierząc wbrew nadziei, ale syrena tylko pokręciła głową.

– Dotarliśmy z Desem do wiru, ale spóźniliśmy się jakieś osiemset lat – rzekła. – Talizmanu już tam nie ma.

Sera opuściła głowę z rozczarowaniem. Tak przynajmniej można było wnioskować z jej miny, ponieważ Astrid dodała po chwili:

– Przepraszam, że zawiodłam.

– Nie zawiodłaś – odrzekła z naciskiem Sera, kładąc przyjaciółce ręce na ramionach. – Jesteś z nami, Astrid. Jesteśmy już szóstką, tak jak to było zapisane. A to oznacza dla mnie bardzo dużo.

Astrid popatrzyła na Serę sceptycznie.

– Ale nie zdobyłam talizmanu. Nie mamy go – zauważyła.

– Jeszcze – poprawiła ją Sera. – Może nadal istnieje jakiś sposób, by go zdobyć. Kiedy odpoczniecie, opowiecie mi wszystko ze szczegółami i zastanowimy się nad następnym posunięciem. Wiecie cokolwiek na temat Avy lub Ling?

– Nie – odparła Becca, marszcząc brew. – Miałam nadzieję, że tutaj się czegoś dowiemy.

Ich rozmowę przerwał krzyk Garstiga, który tłumaczył coś Totschlagrowi. Kłótnia na temat najlepszego sposobu podania kongera stawała się coraz poważniejsza.

– Lepiej się tym zajmę – rzekła Serafina.

Zaniepokojony Desiderio otworzył szeroko oczy.

– Nie rób tego, Sero. Gobliny w bitwie tracą rozum. Może ci się coś stać.

Sera się zaśmiała.

– Tak, może – przyznała, po czym wpłynęła między skłóconych i położyła ręce na ich klatkach piersiowych. – Przestańcie – nakazała. – Możecie to obgadać z Antoniem w kantynie. Nie powinniśmy tutaj dłużej przebywać. Nie jest tu bezpiecznie. Zabierzmy wszystkich do obozu.

Gobliny mruknęły coś pod nosem i usłuchały.

Desiderio popatrzył na nią z podziwem.

– Chyba nie mam już prawa nazywać cię siostrzyczką – rzekł. – Znam wielu żołnierzy, którzy za nic w świecie nie weszliby pomiędzy dwóch rozgniewanych goblinów. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę obóz.

– Nie mogę się doczekać nocy w wygodnym łóżku – dodała Becca.

– A ja bym zjadła coś ciepłego – skwitowała Astrid.

– Zobaczycie prawie cały obóz w drodze powrotnej z północnych gór. Jeśli chodzi o pozostałe sprawy... Co powiecie na niewygodne łóżko i piezonego kongera? – rzuciła ironicznie Sera.

W obozie nie można było liczyć na wygody, ale nagle ten fakt przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Miała u boku brata i dwie przyjaciółki. Według Vrăi ich siła rosła, gdy były razem. Sama to odczuła w jaskiniach ieli. To samo uczucie wróciło do niej teraz. Od wielu miesięcy nie była tak silna i pełna nadziei.

Możliwe, że nadciągała nowa, lepsza fala.

## Rozdział 61

SERA ZDAŻYŁA JUŻ zapomnieć, jak doskonale Becca włada podwodnym ogniem. Syrena wyczarowała nieco skwierczących płomieni na środku jaskini będącej kwaterą główną obozu i teraz siedzieli wokół nich: Sera, Astrid, Yazeed, Des, Sophia i Neela.

Sera z uśmiechem podała dalej miskę oliwek rafowych i przypomniała sobie reakcję Neeli na widok Desa, Astrid i Bekki. Kiedy jej przyjaciele wpłynęli do jaskini, krzyknęła ile sił w płucach i uściskała ich tak mocno, że omal ich nie udusiła. Jednocześnie jej skóra zmieniła kolor na najpiękniejszy odcień błękitu, jaki można sobie wyobrazić. Mimo że minęła już godzina, syrena nadal świeciła.

Gdy Becca była zajęta wzniecaniem ogniwody, pozostali pomogli przygotować posiłek. Gobliny nadal się kłóciły, który sposób przyrządzenia kongera jest najlepszy. Sera spodziewała się, że nieprędko porzucą ten drażliwy temat. Sera, Neela i Yaz mieli tylko oliwki rafowe oraz ser z morświna, za to Becca dała im wodne jabłuszka, bagiennego melona i jajka ślimaka, a Astrid i Des podzielili się solonymi wieloszczetami i wisienkami mułowymi.

Dla Sery to była prawdziwa uczta. Podczas posiłku Astrid, Des i Becca opowiedzieli swoje historie, a następnie przyszła kolej Sery i Neeli.

Becca opisała podróż do przylądka Horn oraz sposób, w jaki udało jej się znaleźć i wykraść talizman Williawawa, któremu próbowała uciec, lecz została roztrzaskana o skały. Powiedziała przyjaciółom, że poznała nowego dożę Wenecji, który wraz ze swoją siostrą ocalił życie syreny.

Sera poprosiła ją, by opisała Marca. Serce nadal ją bolało, gdy wspominała jego ojca Armanda i jego śmierć z ręki Rafe Mfemego.

– On i Elisabetta są bardzo dobrymi ludźmi. I bardzo dzielnymi – dodała Becca z wdzięcznością w głosie... i z czymś jeszcze. Sera początkowo nie potrafiła tego nazwać, ale po chwili już wiedziała. Z miłością.

Nie było to typowe uczucie względem terragoga, ale Sera ją rozumiała. Sama pokochała starego księcia za dobroć i odwagę. Uznała, że podobnie nowego dożę i jego siostrę odbierała jej przyjaciółka.

Następnie Becca podała jej złotą monetę Pyrrhy. Sera potrzyzymała ją w dłoni i poczuła jej moc, po czym przekazała ją dalej. Kiedy otrzymała ją z powrotem, podniosła się i umieściła talizman w skrytce w wydrążonym otworze ściany jaskini wraz z błękitnym diamentem Moruadh oraz kamieniem księżycowym Naviego, po czym rzuciła zaklęcie *camo*, dzięki któremu otwór był niewidoczny.

Gdy Sera wróciła do grupy, Astrid opowiedziała o śmierci swojego ojca i zdradzie Rylki. Desiderio opisał, w jaki sposób trafił do niewoli i jak dzięki Ludowi i jego orce imieniem Elskan udało mu się wraz z Astrid uciec z Ondaliny.

W głosie Astrid czuć było smutek, kiedy mówiła o tym, jak musiała odesłać Elskan do domu, gdy już znaleźli się we wschodniej części Atlantyku. Wody te były zbyt ciepłe dla orki, mimo to Elskan nie chciała zostawić Astrid i Desa. Trącała syrenę nosem i płakała w swoim języku.

– Nie tylko Elskan płakała – dodał Des.

Astrid się skrzywiła.

– Mylisz się. Coś mi wtedy wpadło do oka.

Następnie Astrid i Des opisali podróż do wiru oraz podzielili się wiedzą o wodzu wikingów imieniem Feimor Fa Eaemor, który wszedł w posiadanie czarnej perły. Sera nachyliła się bliżej, chcąc usłyszeć wyraźnie każde słowo.

Kiedy skończyli opowieść, spytała:

– Co się stało z perłą po śmierci Feimora?

– Tego wir nam nie powiedział – odparła Astrid. – Bardziej mu wtedy zależało na uśmierceniu nas.

Sera pokiwała głową w zamyśleniu. Przypomniała sobie, że Vallerio i Portia opowiadali o jakimś tajemniczym „nim”, który według nich posiada perłę.

– Gdybyśmy tylko się dowiedzieli... Może ktoś wie, kto objął przywództwo nad wikingami po Feimorze? Ciekawe, czy odziedziczył po nim również talizman.

– Posłuchaj, Sero – odezwała się Astrid. – Wiem, że jesteś naszym głosem optymizmu, ale cała ta misja z praktycznie niemożliwej zmieniła się w absolutnie niemożliwą. Feimor był wikingiem. Zapewne został pochowany razem z perłą. Nawet jeśli nie, i jeśli rzeczywiście przekazał ją krewnemu, to ta osoba była człowiekiem. Ludzie żyją na lądzie. A my nie mamy nóg.

Jaskinia pograżyła się w ciszy, którą przerwała dopiero Becca.

– Wiele rzeczy wydaje się niemożliwe – rzekła łagodnym tonem – do czasu, aż przestają takie być.

– Masz rację – przyznała Neela. – My nie jesteśmy ludźmi, ale Marco i Elisabetta tak. Mogliby się dowiedzieć, czy perła została komuś przekazana i czy dziś jest w posiadaniu jakiegoś człowieka.

– W jaki sposób, Neela? – Astrid była sceptyczna. – Marco i Elisabetta... mają ograniczony zasięg. Perła może być wszędzie. W posiadaniu kogokolwiek. Ludzi na świecie są setki milionów.

– Zapomnijcie o tym – odezwał się głos za ich plecami.

Syrena oparta na ramieniu Garstiga, stojąca przy wejściu do jaskini, była przerażająco chuda. Miała podkrążone, zmęczone oczy i bladą, wymizerowaną twarz.

– Wiem, kto ma perłę – oznajmiła. – I na pewno nie jest to człowiek.

## Rozdział 62

LING! – ZAWOŁAŁA Sera.

Syrena podpłynęła do przyjaciółki i objęła ją. Ling była chuda jak tatarak. Kiedy Sera wypuściła ją z objęć, zaczęła kaszleć i nie mogła przestać. Jej twarz przybrała siny odcień. Serafina prawie wpadła w panikę, na szczęście kaszel ustał i Ling wreszcie wciągnęła trochę wody w płuca.

– Choroba głębokościowa – rzekła. – I zatrucie jadem osy morskiej.

Do syren dołączyły także Neela, Becca i Astrid.

– Moi żołnierze znaleźli ją na południe od obozu – rzekł Garstig. – Upadła tam. Przyprawdzili ją do mnie. Czy to szpieg? – spytał pełnym nadziei głosem.

– Nie, Garstig. Ale dziękuję, że ją przyprawdziliś.

Zawiedziony goblin oddalił się. Astrid i Becca zabrały Ling do ogniwody i pomogły jej usiąść. Neela przyniosła jej filiżankę sargassowej herbatki, którą syrena przyjęła z wdzięcznością.

– Znajdę ci coś do jedzenia – rzekła Neela.

Ling powstrzymała ją gestem dłoni.

– Dzięki, ale najpierw muszę z wami porozmawiać. Na wypadek, gdybym znowu miała atak kaszlu i straciła głos.

Jej badający i nieufny wzrok padł na nieznajome twarze, które przebywały w jaskini. Sera ujrzała w nim wątpliwość.

– Wiedzą o wszystkim – zapewniła. – Całkowicie im ufam.

Ling pokiwała głową, zdjęła plecak i wyjęła z niego kulistą łamigłówkę.

– Proszę – rzekła, wręczając ją Serafinie. – Talizman Sycorax.

Z ust Sery wyrwał się stłumiony okrzyk. Nie mogła uwierzyć, że trzyma w dłoni kolejny drogocenny przedmiot. Podobnie jak to zrobiła z monetą Pyrrhy, podała kulę wszystkim wokół, by na koniec schować ją w skrytce.

– Jak ją zdobyłaś? – spytała po powrocie do grupy.

– Później wam opowiem. Najpierw musicie się czegoś dowiedzieć.

Wtem złapał ją następny atak kaszlu. Wychudzona syrena musiała na moment usiąść i nabrać sił, zanim zdołała kontynuować.

– Ling, może chcesz się położyć? – zaproponowała Sera, zmartwiona stanem zdrowia

przyjaciółki.

– Nie, Sero. Chcę mówić dalej – odrzekła z przekonaniem Ling. – To, co mam wam do powiedzenia, jest bardzo istotne. Czarną perłę ma Rafe Mfeme.

Sera momentalnie ujrzała oczami wyobraźni bezlitosnego terragoga. Pamiętała jego obraz, gdy stał na pokładzie swojego okrętu, Bedrieera, i próbował wciągnąć na pokład Ling uwięzioną w sieć.

– Wielka Nerio, on ma perłę Morsy? – spytała.

– Zaczekaj, Ling – wtrąciła się Astrid. – Powiedziałaś, że posiadacz perły nie jest człowiekiem.

– Zgadza się. – Ling zaśmiała się nerwowo.

– Jak to? Nie ma wątpliwości, że Rafe Mfeme to terragog.

Ling pokręciła głową.

– Nie miałyśmy pojęcia, z kim mamy do czynienia. Doża Armando też nie. Nawet Vřaja nie wiedziała.

Płetwy Sery się nastroszyły.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała.

Ling popatrzyła na wszystkich zebranych po kolei.

– Rafe Mfeme nie jest człowiekiem. Nawet nie nazywa się Rafe Mfeme. To najpotężniejszy mag, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. To... Orfeo.



## Rozdział 63

Z APADŁA GROBOWA CISZA. Serafinie zakręciło się w głowie. Sądząc po twarzach jej towarzyszy i towarzyszek, im również.

– Orfeo tu jest. I uwierzcie mi, on naprawdę żyje – ciągnęła Ling. – To mężczyzna, którego Sera i ja widziałyśmy w lustrze w Atlantydzie.

Sera pamiętała tę przerażającą twarz.

– Widziałam go też w swojej komnacie w pałacu – rzekła cicho.

– To on chce uwolnić Abbadona – dodała Ling. – Próbuje odnaleźć pozostałe talizmany przed nami.

Astrid wyprostowała się.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała tonem, jakiego Sera do tej pory nie słyszała z jej ust. Zdziwiło ją to.

Ling uśmiechnęła się gorzko.

– Stąd, że miałam wątpliwą przyjemność goszczenia na jego kutrze.

– Co się stało? – zainteresowała się Neela.

Ling opowiedziała zebranych swoją historię, począwszy od przesłuchania na pokładzie Bedrieera. Opisała, w jaki sposób Mfeme ułożył za pomocą płytek z literami swoje pełne imię, czyli RAFE IAORO MFEME, a następnie, używając magii, poprzestawiał litery, tworząc napis I AM ORFEO FEAR ME. Opisała obóz pracy oraz sposób wysyłania broni. Wszyscy słuchali z zapartym tchem jej opowieści o spotkaniu z ojcem oraz podróży do Kargjordu.

– Zamierzałam popłynąć do Miromary – rzekła – ale wiedziałam, że nie starczy mi sił, by przebyć całą drogę. Dlatego postanowiłam przejść przez krainę luster.

– To było bardzo ryzykowne – pouczyła ją Sera.

– Miałam dużo szczęścia. Rorrim był zajęty dręczeniem jakiegoś terragoga, więc mogłam niezauważona wślizgnąć się do Korytarza Westchnień. Znalazłam lustro prowadzące do pokoju Sery w pałacu w Cerulei. Mieszkała w nim vitrina. Wiedziałam, że ciebie tam nie spotkam, Sero, ale pomyślałam, że być może ona coś podsłuchiwała i będzie wiedziała, gdzie cię szukać.

– Dobry pomysł – pochwaliła ją Becca.

– Musiałam powiedzieć jej tyle komplementów, że omal nie oszalałam – ciągnęła Ling. – W końcu podała mi jakąś plotkę na temat Lucii Volnero. Podobno myśli, że jest nową reginą.

– Podobno myśli. Kropka – syknęła Sera.

Ling pokiwała głową.

– Vitrina podsłuchiwała, jak pewien nieprzyjemny syren imieniem Baco Goga opowiadał Lucii i jej matce o twoich poczynaniach. Powiedział, że masz w swoich szeregach szpiega.

Sera popatrzyła na Yazeeda.

– Miałeś rację – przyznała.

– Gdy tylko się dowiedziałam, że przebywasz w Karg, zaczęłam szukać lustra, które by mnie tu doprowadziło. Vitrina...

Ling znowu zaczęła kaszleć, a Sera poprosiła, by zrobiła sobie przerwę i posłuchała przez chwilę kogoś innego. Ling ucieszyła się, słysząc, że Neeli udało się odzyskać kamień księżycowy Naviego oraz że syreny weszły również w posiadanie złotej monety Pyrrhy. Zdziwiła się jednak, że Sera ma również diament Moruadh.

– Orfeo powiedział, że diament jest u niego – wyszeptala z trudem Ling.

– Tak mu się tylko wydaje – odparła Sera. – Infantka nosiła podróbkę na wypadek kradzieży. Właśnie taką kopię ma Orfeo.

Ling wyprostowała się, a na jej twarzy zagościł uśmiech.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że on żyje. Jak to możliwe? – spytała Neela. – Orfeo zginął cztery tysiące lat temu! W jaki sposób mógł ot tak pojawić się na nowo?

Ling pokręciła głową. Zanim odpowiedziała, musiała wypić jeszcze jeden łyk herbaty.

– Nie powiedziałabym, że pojawił się ot tak. Po tym, co usłyszałam od was, wydaje mi się, że czaił się od bardzo dawna.

– Co masz na myśli? – spytała Sera.

– Pamiętajcie, że powiedziałam wam, że jego pełne imię jest anagramem zdania I AM ORFEO FEAR ME?

Wszyscy pokiwali głowami.

– A co powiecie o imieniu Feimor Fa Eaemor? – rzekła Ling.

Sera poczuła ukłucie w sercu.

– Na bogów – syknęła przyciszonym głosem. – Amarrefe Mei Foo...

– Kto to taki? – zdziwiła się Becca.

– To pirat, który próbował odebrać Marii Teresie, infantce hiszpańskiej, diament Moruadh. Jego imię też jest anagramem.

– Do licha – zakląła Becca. – Tak samo jak Maffeio Aermore, kapitan, który próbował wpłynąć do jaskini Williwawa.

– Prawdopodobnie było ich więcej. I to na długo przed Feimorem – dodała Astrid. – Imiona, których nie spamięta czas.

– Orfeo nigdy nie umarł. Był pośród żywych od upadku Atlantydy. Poszukiwał talizmanów. – Serafina poczuła dreszcze do szpiku kości.

– Ale według wszystkich legend i opowieści Orfeo zginął. Moruadh i reszta magów widzieli jego śmierć. Przecież zginął z ich rąk! Jak to możliwe? – Neela pragnęła poznać odpowiedź.

– Musiał w jakiś sposób wykorzystać czarną perłę oraz tajemnice nieśmiertelności, które pozyskała Morsa poprzez nekromancję – stwierdziła Ling.

– Ale to nie jest odpowiedź na pytanie Neeli – wtrącił Desiderio. – Nadal nie wiemy, w jaki sposób to zrobił.

– Czarna perła była pojemnikiem. To jedyne wytłumaczenie – zasugerowała Astrid.

– Pojemnikiem? Co masz na myśli? – zdziwił się Des.

– Co zostaje po śmierci ciała? – spytała Astrid.

– Dusza – odparł Yazeed. – Horok zabiera dusze do świata zmarłych.

Astrid pokiwała głową.

– A w czym?

Desiderio pstryknął palcami.

– W perle!

– No właśnie. Morsa też wiedziała, w jaki sposób schwytać duszę w jej czarną perłę. Tak powiedziała Thalia, prawda?

– Zgadza się – potwierdziła Sera.

– Orfeo użył perły bogini do zatrzymania w niej duszy. Swojej własnej – podsumowała Astrid.

– Chyba rozumiem, do czego zmierzasz – zapaliła się Sera. Syrena była pod wielkim wrażeniem, że jej przyjaciółka zdołała tak sprawnie połączyć wszystkie fakty.

– Moruadh i reszta zabili Orfea – ciągnęła Astrid. – A przynajmniej tak im się wydawało. Jednak kiedy uchodziło z niego życie, jego dusza przeniosła się do czarnej perły. Prawdopodobnie nosił ją wtedy na szyi, tak jak teraz.

– A Moruadh nie miała o tym pojęcia – zmartwiła się Sera.

– Dokładnie. Zabrała talizman Orfea nieświadoma, że w środku znajduje się jego dusza. Później wrzuciła perłę do Qanikkaaaqa, w wir wpłynął tuńczyk i ją zjadł. Rybak złowił tuńczyka, znalazł w nim perłę i sprzedał ją wikingowi, który od tego czasu ją nosił na szyi. Wtedy dusza Orfea nim zawładnęła. Dlatego zmienił imię. I dlatego tak szybko zyskał wielką sławę.

– Bo nie był już zwykłym wojownikiem, lecz najpotężniejszym magiem w dziejach świata – wtrąciła Becca.

– A kiedy umarł wiking, dusza Orfea wróciła do perły i czekała na kolejnego gospodarza. I tak dalej – rzekła Ling.

– Musiał tylko wiedzieć, kiedy nadchodzi śmierć ciała, i upewnić się, że nowe ciało już czeka – stwierdziła Neela.

– Co nie jest takie trudne – odparła Ling. – Widziałam, jak działa Orfeo. Nie zastanawiałby się długo przed wydaniem rozkazu swoim zbirom, aby ci siłą zawiesili komuś perłę na szyi.

W jaskini zapanowała kompletna cisza, a syreny i syreni oswajali się z nowymi odkryciami.

Pierwsza odezwała się Sera.

– Jeśli się nie mylimy, to wszystko wyjaśnia. To dlatego Traho zawsze wyprzedzał nas o krok. Wiedział, czym są talizmany, kiedy nie wiedziały tego nawet iele. Dowiedział się tego od Orfea. To by wyjaśniało, kim jest tajemniczy ktoś, o którym mówili Vallerio i Portia po Dokimi Lucii. Jest tym, który wspierał armię Valleria i który pragnął wejść w posiadanie talizmanów.

– Nie mylimy się, Sero – rzekła Astrid. – Orfeo sam poprzysiągł, że tak właśnie robi, prawda?

Sera pokiwała głową.

– Tak. Thalia mówiła, że miał zamiar wyciągnąć Almę z zaświatów, nawet gdyby potrzebował do tego tysiąca żywotów.

Sophia, która do tej pory przez cały czas tylko słuchała, odezwała się wreszcie.

– Musimy zdobyć czarną perłę.

Becca uniosła brwi.

– Niby jak? Poprosimy uprzejmie Orfea, by ją oddał? Astrid ma rację. To niemożliwe. Nie da się jej zdobyć.

Astrid wpatrywała się w ogniowodę i patrzyła na coś, co tylko ona widziała.

– Nie miałam racji. Da się ją zdobyć – powiedziała uroczyście.

– W jaki sposób?

– Tym razem zabijemy Orfea naprawdę.

– Ale jak, Astrid? – zaciekawiała się Ling.

Syrena nie odpowiedziała.

Ling odwróciła się, wzdychając. Neela przygotowała jej posiłek na talerzu, a kiedy Ling jadła, grupowa konwersacja ożywiła się jeszcze bardziej.

Sera zauważyła, że Astrid przestała brać udział w rozmowie. Zamiast mówić, wpatrywała się w ogniowodę, a na jej twarzy widać było smutek i determinację.

## Rozdział 64

**R**EGINO SERAFINO! – zawołał szorstki głos. – Obudź się! Mamy kłopoty.

Astrid błyskawicznie otworzyła oczy. W mgnieniu oka podniosła się i dobyła miecza. Sera była tuż przed nią i zmierzała do wejścia jaskini.

Stały tam trzy gobliny oświetlone pochodniami z lawą. Gdy oczy Astrid przyzwyczyły się do światła, rozpoznała dwóch z nich: Drecka i Totschlagera. Podtrzymywali innego goblina, młodą kobietę. Jej głowa i jedna noga były owinięte zniszczonym bandażem. Mundur miała poplamiony krwią.

– To jest Mulmig – przedstawił Dreck kobietę Serafinie. – Wchodziła w skład oddziału, który wysłałaś do Missisipi na poszukiwanie Avy.

Do Sery dołączyła Astrid, by lepiej słyszeć gobliny. Po chwili zbliżyły się również Neela, Ling i Becca. Pięć syren położyło się spać zaledwie godzinę wcześniej. Rozmawiały tej nocy jeszcze długo i uznały, że wygodniej im będzie położyć się właśnie tam, na kępach wodorostów. Wojownicy Czarnych Płetw udali się do koszar, a Des popłynął z Yazeedem.

– Dotarliśmy na bagna – relacjonowała Mulmig. – Trafiliśmy na ślad Avy.

– Znaleźliście ją? Nic jej nie jest? – spytała pospiesznie Sera.

Mulmig pokręciła głową.

– Nie znaleźliśmy jej. Za to jeźdźcy śmierci znaleźli nas. To... – urwała. Po chwili zebrała się w sobie i kontynuowała. – To była rzeź. Walczyliśmy zaciekle, ale było ich cztery razy więcej niż nas. Zostałam ugodzona włócznią w nogę, a potem ktoś mnie ogłuszył. Kiedy się ocknęłam, czułam się, jakbym leżała na cmentarzu. Wszyscy z mojego oddziału zginęli. Jeźdźcy śmierci zniknęli.

Sera była załamana.

– Jak zdołałaś tu wrócić? – spytała.

– Pomogli mi żarłacz tępogłowy, delfin i długoszar – odparła Mulmig. – Każdy z nich przewiózł mnie kawałek. Zawdzięczam im życie.

– Dziękuję ci za wszystko – rzekła Sera, chwytając gobliną kobietę za rękę. – Mam wielkie szczęście, że walczysz u mojego boku. – Mówiąc to, zwróciła się do Drecka i Totschlagera. – Zabierzcie ją do szpitala.

Gdy gobliny opuściły jaskinię, Becca wznieciła świeżą ogniowodę. Sera spojrzała na resztę, trzymając się za głowę.

– Cały oddział wybity. Jeźdźcy śmierci na bagnach. Nie wiadomo, co z Avą. – Syrena wzięła

głęboki oddech i opuściła ręce. – Musimy wykonać *convocę*. Natychmiast. Ling, czujesz się na siłach?

Ling pokiwała głową. Becca i Neela wzięły się za ręce.

Astrid zrobiło się niedobrze.

Właśnie tej chwili się obawiała. Wiedziała, że w końcu nastąpi, ale nie sądziła, że tak szybko. Nie była gotowa.

– Może pomogę Mulmig? – zaproponowała w panice. – Znam się na bandażach. Nie potrzebujecie mnie do *convoki*.

Astrid poczuła na sobie wzrok Bekki. „Powiedz im” – mogła odczytać z ruchu ust przyjaciółki. Pokręciła głową.

– Ależ potrzebujemy – odparła Ling. – Vřāja powiedziała, że nasza magia przybiera na sile, gdy jesteśmy razem. Będziemy mieć większe szanse skontaktowania się z Avą, jeśli zaśpiewamy wspólnie. – To powiedziawszy, wyciągnęła dłoń do Astrid.

– Ale... jestem bardzo zmęczona. – Astrid była zdesperowana. – Chyba potrzebuję snu.

Becca nie mogła się dłużej powstrzymać.

– Musisz im powiedzieć – rzekła. – To nie może trwać wiecznie.

– Co powiedzieć? – zdziwiła się Ling.

Astrid posłała Becce gniewne spojrzenie.

– Dzięki, serdeczne dzięki – syknęła.

– Czy coś się stało? Może jesteśmy w stanie ci pomóc? – zasugerowała Sera.

Astrid westchnęła głęboko. Przyjaciółki były dla niej uprzejme i pomocne, ale czy nie zmieni się to, gdy wyzna im prawdę?

Becca podpłynęła do Astrid i delikatnie położyła jej rękę na ramieniu.

– Kiedy trzymasz w sobie sekret, ten sekret trzyma też ciebie – rzekła. – Jeszcze tego nie odkryłaś?

Astrid musiała im powiedzieć. Nie miała już wyjścia.

– Nie potrafię czarować – wyrzuciła z siebie. – W dzieciństwie straciłam zdolność śpiewu.

– Nie masz w sobie magii? – zdziwiła się Sera. – Ani trochę?

Astrid próbowała doszukać się w jej głosie śladu wzgardy albo drwiny, ale usłyszała tylko współczucie.

– Trochę mam – przyznała. – Jakieś pozostałości. Nawet o tym nie wiedziałam, do czasu aż Becca zrobiła dla mnie flet z kości wieloryba. Nauczyłam się grać na nim kilka prostych pieśni.

– Dlaczego to ma być problem? – zniecierpliwiła się Ling. – Nie mamy całej nocy, moje drogie. Ava też nie. – Mówiąc to, ponownie zaoferowała Astrid swoją dłoń.

Syrena pokręciła jednak głową.

– Nie. Potrafię. Śpiewać. Nie potrzebujecie mnie. Naprawdę. Kiedy znajdziecie się

w więzieniu Abbadona, każda z was musi być sprawna na sto procent. Ja nie jestem i nigdy nie będę.

– Każda z nas? – powtórzyła Ling. – Kiedy znajdziemy się w więzieniu? Astrid, czy mam ci przypomnieć, kto uratował nam życie w jaskiniach ieli? Ja chętnie powierzę swoje życie w twoje ręce, czy będziesz sprawna na sto, czy na zero procent.

Becca skrzyżowała ręce na piersi.

– Też jej tak powiedziałam, ale nie chciała mnie słuchać.

– Może teraz posłucha – rzekła Sera, wyciągając z pochwy sztylet.

– Hola! Co ty wyprawiasz? – krzyknęła Astrid, otwierając szeroko oczy.

– Włączam cię do więzi krwi – odparła Sera, nacinając swoją dłoń ostrzem. – Kiedy opuściłaś nas w jaskiniach ieli, przysięgłyśmy sobie nawzajem wierność przypieczętowaną własną krwią.

– Więź krwi to czarnopieśń – rzekła Astrid, przypominając sobie, że Becca opowiedziała jej o pakcie, który zawarły syreny. – Jeśli złamiesz przysięgę, umrzesz.

– To prawda. Może dzięki temu zrozumiesz, że mówimy poważnie. Chcemy, żebyś była z nami, Astrid. Vräja przyzwała całą szóstkę. Nie piątkę. Bez ciebie nie damy rady.

Sera podała sztylet Ling, a ta nacięła lekko skórę dłoni. Następne były Becca i Neela, która wręczyła ostrze Astrid.

Syrena wzięła sztylet do ręki i zadrżała. Ani Lododuch, ani Qanikkaaq, ani Rylka nie wzbudzili w niej takiego strachu, jaki czuła teraz. Cztery syreny oczekiwały od niej czegoś trudnego. Prosiły, by stała się jedną z nich, zaufała im i uznała je za przyjaciółki.

W jej głowie znowu pojawiły się głosy, choć wydawało jej się, że już o nich zapomniała.

Głos ojca. „Kto by chciał syrenę nieznaną magii?”

Głos Tauna. „To zwariowana wariatka!”

Głos mężczyzny z lustra. „Dokąd się wybierasz, Astrid? Do przyjaciółek? Naprawdę sądzisz, że z nimi będzie inaczej?”

W tej chwili Astrid rozumiała, że zawsze będzie słyszeć głosy mówiące jej, że nie jest wystarczająco dobra. Stare głosy. Nowe głosy. Zrozumiała też, że nigdy nie uda jej się ich uciszyć.

Lecz teraz, otoczona przyjaciółkami, które jej potrzebowały, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że naprawdę liczy się tylko jeden głos. Jej własny.

Wzięła głęboki oddech, po czym nacięła skórę dłoni.

Gdy jej krew zawirowała w wodzie, łącząc się z krwią pozostałych syren, Sera zaintonowała słowa pieśni więzi krwi. Pozostałe syreny się przyłączyły. Astrid również, dziwiąc się, że nie wiedzieć skąd zna jej słowa.

*Wreszcie szóstka połączona,*

Więź krwi nasza nieskończona.  
Łącząc myśli, dusze, serca,  
Jak ocean będzie wieczna.  
Więzi tej między siostrami  
Nikt nie zdoła nigdy zranić.  
Krąg zamknięty się dokonał.  
Czas pokonać Abbadona.

Krew pięciu syren połączyła się, po czym spiralnym ruchem wróciła do ran w ich dłoniach. Skóra zamknęła się i błyskawicznie zagoiła, zostawiając na sobie jedynie ledwo widoczne blizny. Astrid wiedziała już, że w jej żyłach płynie krew pięciu towarzyszek. Również Avy, ponieważ jej krew została zmieszana z krwią pozostałych syren podczas pierwszej pieśni krwi. Poczła się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

– No dobrze – rzekła, spoglądając na każdą ze swoich sióstr krwi po kolei. – Wystarczy tych sentymentów jak na jedną noc. Możemy przystąpić do *convoki*? Ava nas potrzebuje.

Pozostałe syreny popatrzyły na siebie, powstrzymując się od uśmiechu, po czym złączyły dłonie.



## Rozdział 65

**O** LA, GATINHAS! – zawołała Ava. – Como vai?

– Ava, oszalałaś? Trochę ciszej! – syknęła Sera. – Jeźdźcy śmierci są już na bagnach. Mogą być blisko!

Ava pokiwała głową i przyłożyła palec do ust. Dookoła niej pływało Maleństwo, strzegąc jej. Zakłęcie zadziało. Ava odpowiedziała niemal natychmiast.

– Dobrze was słyszeć! – dodała ciszej. – Astrid, czy to ty?

– Cześć, Ava – przywitała się Astrid. – O rety. W niezłe bagno wpadłaś – rzekła syrena, widząc oczyma wyobraźni czarną wodę, w której pływała Ava, długie, wykręczone korzenie drzew oraz przemykającego ponad jej głową aligatora.

– Wiem! – odrzekła Ava. – I jeszcze ten zapach! Jesteście razem... Czy to oznacza, że macie też talizmany?

– Wszystkie poza czarną perłą – odparła Becca.

Ava ucieszyła się po cichu i już miała pogratulować przyjaciółkom, ale przerwała jej Sera.

– Ava, posłuchaj mnie. Nie połączyłyśmy się, żeby sobie pogadać. Sprawa jest pilna – rzekła.

– Kiedy się dowiedziałam, że wojska mojego wuja zacierają na bagna, wysłałam oddział goblinów, aby cię chroniły. Jeźdźcy śmierci zabili wszystkich poza jedną osobą, która wróciła do obozu i powiedziała, że zbliżają się do ciebie żołnierze Valleria. Musisz się stamtąd wynosić. Zapomnij o talizmanie i czym prędzej płyń do Kargjordu!

Ava pokręciła głową.

– Nie – odparła krótko.

– Nie? – powtórzyła ze zdziwieniem Sera. – Nie słyszałaś, co przed chwilą powiedziałam?

– Słyszałam, ale nie zamierzam opuścić bagien bez pierścienia. Wiem, że jestem w stanie go zdobyć. Kilka dni temu rozmawiałam z kilkoma bagiennymi syrenami. Podobno Okwa Naholo są tak przerażający, że potrafią zabić syrenę samym wyglądem.

– Jak to? Ava, nie zbliżaj się do nich! – błagała Neela.

Ava się roześmiała.

– Nie zapomnieliście o czymś? Jestem niewidoma! Nieważne, jak okropne są te zjawy, bo i tak ich nie zobaczę!

– Tak samo jak nie zobaczysz nadciągających jeźdźców śmierci! – dodała gorączkowo Sera.

– Nigdzie się nie ruszam. Nie bez talizmanu – upierała się Ava. – Nie rozumiecie? Bogowie

wybrali mnie, abym udała się na bagna i stawiała czoło Okwa Naholo. Mnie i tylko mnie. Powiedzie mi się, ponieważ ich nie ujrzę. Bogowie to wiedzą. Odpowiedzą na moje pytanie.

Sera pokręciła głową. Była tak zdenerwowana, że nie potrafiła się wysłowić.

– Jakie pytanie? O czym ty mówisz? – wtrąciła Ling.

– Nigdy nie opowiadałam żadnej z was o tym, w jaki sposób straciłam wzrok.

– Ava? – przerwała jej Sera, z trudem opanowując głos. – Nie wiem, czy mamy teraz czas na twoje opowieści. Jeźdźcy śmierci mogą być w pobliżu i zrobić ci krzywdę. Musisz stamtąd uciekać!

– Vråja mówiła, że nasze historie dowodzą, kim jesteśmy. A moja historia dowodzi, kim jestem ja. Musicie mnie wysłuchać. Musicie wiedzieć, dlaczego stąd nie odejdę.

– Ava... – syknęła Sera przez zaciśnięte zęby.

– Niech mówi – uznała Ling.

– Mieszkam w faweli, biednej dzielnicy miasta – zaczęła Ava. – Gdy miałam sześć lat, dopadła mnie ciężka gorączka. Nie mieliśmy pieniędzy na lekarza. Rodzice próbowali zaradzić chorobie domowymi metodami, ale nic nie pomagało. Gorączka odebrała mi wzrok. Mój tato tak bardzo płakał, kiedy wydobrałam. Cieszył się, że przeżyłam, ale był zrozpaczony tym, że nie widzę. Wziął mnie wtedy za rękę i powiedział, że bogowie odebrali mi wzrok z jakiegoś powodu. Jego słowa były moją jedyną nadzieją. Dorastanie w faweli to trudne doświadczenie. A dorastanie bez wzroku... no cóż, gdyby nie Maleństwo, nie wiem, czy w ogóle bym przeżyła – zachichotała, po czym dodała: –

– Ava, wszystko rozumiem, ale to jest... misja samobójcza – nie dawała za wygraną Sera.

– Wcale nie. Musicie mi zaufać. Jestem tu, ponieważ nadal wierzę w słowa ojca. Bogowie mieli powód, by mnie oślepić. Muszę się dowiedzieć, co to za powód, i nic mi w tym nie przeszkodzi: ani aligatory, ani jeźdźcy śmierci, ani obślizgłe bagienne zjawy. Zdobędę pierścień, a później przybędę do Karg. Wy dopilnujcie, żeby do tego czasu czarna perła też znalazła się u was!

*Convoca* zaczęła słabnąć. Syreny się pożegnały.

– Nie martwcie się – rzekła Ava. – Nic mi nie będzie. Cały czas będę przy was...

Po chwili zniknęła.

Becca przygasiła ogniowodę i syreny wróciły do łóżek. Ling i Neela położyły się na swoich posłaniach z wodorostów. Zdenerwowana Sera pozostała w miejscu. Astrid również.

– Nigdy jej się to nie uda – uznała Sera. – Jedna krucha syrena przeciwko nie wiadomo jak licznej armii jeźdźców śmierci. Widziałaś, jaka jest wychudzona? Trzeba było powiedzieć jej prawdę. Może wtedy opuściłaby bagna.

– Co masz na myśli? – zdziwiła się Astrid.

– Nie miałam serca jej powiedzieć, że perłę ma Orfeo – odparła Sera.

– Dobrze, że tego nie zrobiłaś. Ona potrzebuje nadziei – skwitowała Astrid, po czym

skierowała się do łóżka.

Sera zaśmiała się gorzko.

– Nadzieja nie przywróci nam perły – rzekła.

„Nadzieja nie – pomyślała Astrid w duchu, przykrywając się wodorostami. – Ale ja tak”.

## Rozdział 66

**L**UCIA OKRĄŻYŁA MALIGNA. Jej szata powiewała przy tym w nurcie.

Minęła północ. Syrena wyprowadziła kopię Mahdiego z groty Alithei do ruin reggii Moruadh przy świetle słabej *illuminaty*.

– Jesteś taki piękny – wyszeptła, gładząc maligna po plecach. Kolejny raz podziwiała kości policzkowe, silne szczęki, szerokie ramiona i potężny błękitny ogon stworzenia do złudzenia przypominającego Mahdiego. Jedyna różnica tkwiła w oczach. Brakowało w nich blasku. To nie miało znaczenia. Zanim Sera w nie spojrzy, będzie już za późno.

Lucia zatrzymała się przed malignem i przystawiła mu do ust niewielką muszlę.

– Powtórz teraz dokładnie to, co ci mówiłam – poinstruowała.

Stwór otworzył usta i głosem Mahdiego rzekł:

– Sera, to ja, Mahdi. Zbliżam się do Karg, jestem w Mrocznej Płyciznie. Nie mogłem przekazać tej wiadomości przez Allegrę. Mamy poważny problem. Do Karg zmierza Vallerio. Ma ze sobą dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Zamierza zaatakować. Mam ci więcej do powiedzenia, ale nie mogę wpłynąć do obozu. Masz u boku szpiega, a ja nie chcę zostać zdemaskowany. Przybądź do płycizny. Pospiesz się, Sero. Proszę cię.

Maligno mówił z zapałem, głosem pełnym lęku, ale jego spojrzenie przez cały czas było zimne i puste.

– Doskonale – rzekła Lucia, kiedy skończył.

Następnie syrena umieściła muszlę w kieszeni jego kurtki i podała mu coś jeszcze – marynarkę Sery.

Maligno przyłożył ubranie do twarzy, szukając zapachu właścicielki, podobnie jak rekiny wietrzą krew w wodzie.

Lucia rozpięła jego kurtkę, włożyła marynarkę Sery pod jej poły, po czym zapięła ją z powrotem.

Pstryknęła palcami i spod zawalonego filaru wypełził ogromny, paskudny, czarny skorpion morski. Jego ukąszenie powodowało błyskawiczny paraliż, ale skorpion nie ukąsił maligna, lecz wszedł mu na ogon, wspiął się na grzbiet i spoczął na ramieniu.

– Udaj się do Mrocznej Płycizny. Wyślij muszlę do Serafiny i zaczekaj na nią. Kiedy ją schwytasz, przyprowadź ją do mnie – poleciła Lucia, po czym dodała z uśmiechem i błyskiem ciemnych oczu: – Żywą.

## Rozdział 67

**W**KARGJORDZIE ZAŚWIECIŁY PIERWSZE promienie porannego słońca, wkradając się do jaskini dowódców i budząc Serafinę. Syrena była wykończona. Ze zmartwienia z powodu Avy mało co spała.

Gdy otworzyła oczy, spostrzegła, że nie ona jedna się obudziła. Ktoś inny poruszał się w ciszy, jakby nie chcąc zbudzić pozostałych.

Sera uniosła głowę i zobaczyła, że to Astrid. Syrena siedziała na swoim łóżku i pakowała plecak.

Na oczach Sery założyła płaszcz, podniosła plecak i opuściła jaskinię. Ledwie świtało.

„Dokąd ona się wybiera o tej porze?” – zastanawiała się Sera.

Podążyła za nią, uważając, by nie zbudzić Bekki, Neeli i Ling. Zastała Astrid siedzącą na skale. Syrena grała na flecie z kości wieloryba spokojną *illuminate*. Obok niej skupiło się światło pierwszych promieni słońca. Sera zbliżyła się i usiadła obok.

– Fajna sztuczka – pochwaliła przyjaciółkę.

– Dzięki.

– Znów nas opuszczasz?

Astrid się zachnęła.

– Próbuję was opuścić, odkąd tylko was poznałam. Jakoś nigdy nie udało mi się uciec zbyt daleko.

Sera się uśmiechnęła.

Kiedy Astrid wykonała prawidłową *illuminate*, odłożyła flet.

– Zmieniłaś się, i to bardzo. Stałaś się wspaniałą przywódczynią – pogratulowała Serafinie.

Sera była pozytywnie zaskoczona tymi słowami. Astrid Kolfinnsdottir nie słynęła z prawienia komplementów.

– Sama nie wiem... – rzekła Sera.

– Ale ja wiem.

– Dzięki. Staram się. Ciągłe słyszę w głowie słowa Vräi. Rozmawiałam z nią po tym, jak nas opuściłaś.

– Niech pomyślę... Narzekałaś na mnie – zgadła Astrid.

– Można tak powiedzieć – przyznała Sera. – Vräja powiedziała, że jeśli chcę być przywódczynią, muszę pomagać innym tak, by wydobyć z nich to, co najlepsze. Powiedziała, że

muszę pomóc Ling przełamać ciszę, przekonać Neelę, że jej największa siła tkwi w niej samej. Muszę pomóc Becce uwierzyć, że najcieplejszy ogień to taki, którym się dzieli, a Avie, że bogowie naprawdę wiedzieli, co robią, odbierając jej wzrok.

– I robisz to wszystko, Sero. Pozostałe syreny... też się zmieniły. Widzę to.

– Mam nadzieję. Na pewno zaszła zmiana u Neeli. Naprawdę czerpie moc ze swojego wnętrza. Nie prosi już o żadne zi-zisy ani nie przejmuje się wyglądem swoich włosów.

Astrid się zaśmiała.

– A Becca i Ling? – ciągnęła Sera. – Trudno mi powiedzieć. Dopiero przybyły. A Ava? – To mówiąc, pokręciła głową. – Mam tylko nadzieję, że będzie mi dane się przekonać.

– A Astrid? – spytała Astrid. – Co powiesz o niej?

– Nie jestem pewna. – Sera napotkała poważny wzrok przyjaciółki. – Mówiłam Vrăi, że się boisz.

– A co ona na to?

– Powiedziała, że to ja się boję – wyznała Sera.

– Obie miałyście rację. Boję się, Sero.

Serafina była przekonana, że wie, jaki jest powód strachu Astrid.

– Ty też go widziałaś, prawda? Orfea. Nic nie mówiłaś, ale widziałam twój wyraz twarzy, gdy wczoraj w nocy o nim rozmawialiśmy. Odwiedził cię w lustrze?

Astrid pokiwała głową.

– Nie powiedziałam ci wszystkiego. Widziałam go. Chce, żebym poszła za nim. Wie, że nie potrafię śpiewać, i chce mi pomóc. Jestem jego potomkinią. To oznacza, że w moich żyłach płynie jego krew. Krew najpotężniejszego z magów. Pragnie, żebym ja też poczuła tę potęgę.

– Żebyś mogła pomóc mu uwolnić Abbadona – odparła gwałtownie Sera, a jej serce wypełnił lęk. Wiedziała, co Astrid za chwilę powie.

– Idę do niego, Sero. Spróbuję go przekonać, że mnie skusił, i w jakiś sposób zdobyć perłę.

– Nie możesz tego zrobić – zaprotestowała żywo Sera. – To zbyt niebezpieczne.

– Nie ma innego sposobu. Nikt inny się do niego nie zbliży. Zabije każdego, kto spróbuje. Tylko ja mogę to zrobić. Mogę go oszukać.

– Może i tak, ale czy zdołasz mu się oprzeć?

Astrid przechyliła głowę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– On ma ogromną siłę, Astrid. Tak wielką, że udało mu się oszukać śmierć. Zamierza skupić na tobie tę moc. Zamierza tobą zawładnąć. Co będzie, jeśli mu się to uda?

– Nie uda.

– Astrid... – urwała Sera.

– Płynę.

Wściekła Serafina podniosła się i uderzyła ogonem o skałę, na której siedziała.

– To się nazywa dojrzała reakcja – rzuciła Astrid.

– Dopiero udało mi się nas wszystkie zebrać – rzekła ze złością Sera. – Prawie wszystkie, z wyjątkiem Avy. Potrzebuję cię, Astrid.

– To prawda. Potrzebujesz, abym zdobyła perłę. Jestem naszą jedyną szansą i dobrze o tym wiesz.

Sera westchnęła głęboko. Było to bolesne, ale musiała przyznać jej rację.

– Znajdź Avę. Zdobądź ostatni z talizmanów – rzekła Astrid. – Potem udaj się z nimi wszystkimi do Oceanu Południowego. Tam się spotkamy.

– Kiedy?

– Tego nie wiem. Przekażę ci wiadomość. Możliwe, że trochę na mnie poczekaasz, ale wrócę. Wrócę z czarną perłą. Obiecuję.

– Gdziekolwiek będziesz, nie będziesz tam sama – odparła Sera. – Masz teraz nas: mnie, Neelę, Ling, Avę i Beccę... twoje przyjaciółki i siostry.

Astrid pokiwała głową, a Sera miała wrażenie, że w jej błękitnych oczach dostrzegła łzę.

– Pożegnaj ode mnie resztę – poprosiła Astrid. – Powiedz Desideriowi... powiedz mu... że dziękuję.

– Dobrze.

Astrid odwróciła się i odpłynęła. Sera patrzyła, jak przepływa przez obozowisko w słabym świetle pierwszych promieni słońca próbujących przeniknąć ciemne wody Morza Północnego. Minęła jaskinie i namioty, stawała się coraz mniejsza, aż w końcu dotarła do północnej bramy i zniknęła.

Sera zaczekała jeszcze chwilę. Nie miała ochoty na powrót do jaskini. Gdyby pozostałe syreny już wstały, pewnie pytałyby o Astrid. Mogłyby próbować ją zatrzymać, a tego Astrid na pewno by nie chciała.

Siedząc na skalnej półce, Serafina patrzyła, jak obóz budzi się do życia. Strażnicy zmienili się na warcie, a Antonio udał się do kantyny. Zastanawiała się, skąd wezmą jedzenie, by w ciągu najbliższych dni wszystkich wykarmić. Zastanawiała się, skąd wziąć lekarstwa dla Ling i Mulmig. Zastanawiała się, czy Ava przeżyje ten dzień. Zastanawiała się, skąd wziąć siłę, by podnieść się ze skały i poprowadzić rebeliantów.

Spojrzała na świeżą bliznę na dłoni i uśmiechnęła się.

Znała odpowiedź.

Wody się rozjaśniały. Sera się podniosła.

– Powodzenia, Astrid Kolfinnsdottir – wyszeptała.

Następnie wróciła do jaskini, do swoich przyjaciółek.

## Rozdział 68

**W**YSOKO PONAD OBOZOWISKIEM Czarnych Płetw, na samotnej, omiatanej prądami podwodnej skarpie unosił się maligno. Bez cienia zmęczenia, z niewzruszonym spojrzeniem i uporem chłodno obserwował liczną grupę uwijającą się w oddali.

Siedzący na jego ramieniu morski skorpion zaskrzeczał cicho, machając jadowitym ogonem. Jego czarne oczy błyszczały nienawiścią.

Maligno sięgnął do kieszeni, wyjął z niej niewielką muszlę, którą otrzymał od swojej pani, i bez słowa podał ją skorpionowi. Ten chwycił muszlę szczypcami i spełził po plecach maligna. Następnie zeskoczył ze skarpy i skierował się do obozowiska.

Maligno odprowadził go wzrokiem.

Uśmiechnął się, po czym popłynął do Mrocznej Płycizny.



# Podziękowania

*Czy suknia może zmienić czyjeś życie?*

*Jeżeli została uszyta przez Ś.P. Alexandra McQueena, prawdopodobnie tak.*

*Już tłumaczę.*

*Jakiś czas temu poszukiwałam nowych pomysłów na powieść. Wszystkie moje poprzednie historie były inspirowane duchami z przeszłości. Musiałam się jednak od nich uwolnić. Duchy to przebiegłe stworzenia. Dają ci swoje historie, ale jednocześnie w zamian odbierają część serca.*

*Po inspirację udałam się do Metropolitan Museum w Nowym Jorku, które właśnie wystawiało przegląd prac Alexandra McQueena. Był on projektantem mody, człowiekiem genialnym, ale nękanym problemami.*

*Jego kolekcje wystawiano w bogato zdobionych pomieszczeniach, których atmosfera przypominała mroczną baśń. Jego suknie były wyjątkowo surowe, wykonane z tkanin i sznurków, ale nie tylko. Także z poroży i czaszek. Cierni, kwiatów i piór.*

*Oraz z emocji. Każdy szew wypełniała miłość, tęsknota, pragnienie i żal. Czułam je. Czułam jego.*

*Po tych pomieszczeniach przechadzał się sam McQueen.*

*Kiedy weszłam do ostatniej sali, poświęconej kolekcji inspirowanej morzem, wprost oniemiałam. Jedna z sukni wyglądała jakby została skrojona ze spienionych fali, inna jak uszyta z wodorostów. Powyżej, na dużym ekranie widniał obraz młodej tonącej kobiety, której suknia opadając, wydeła się.*

*Kim była? Nie miałam pojęcia. Wiedziałam tylko, że wizja morza McQueena mnie oczarowała – morza pięknego, lecz jednocześnie mrocznego i zdradliwego. Już wtedy wiedziałam, że muszę o tym napisać.*

*Myślałam, że mam już dość duchów, ale okazało się, że one nie miały dość mnie. Po dziś dzień uważam, że to Alexander McQueen zesłał mi pewien dar. Mroczny Przyptyw dedykuję jemu, gdziekolwiek jest, w podzięcie za całe tajemnicze bogactwo, które od niego otrzymałam.*